

Addonia Sulaiman

Miłość i jej następstwa

*Książkę tę dedykuję z wielką miłością swojej matce,
babci i dziadkowi ze strony matki
oraz pamięci mego ojca*

Wiele razy snułem marzenia o przyszłości, ale choć były przeróżne, to zawsze koncentrowały się wokół mojej matki, która nieodmiennie odgrywała w nich główną rolę. Teraz jednak nadeszła chwila pożegnania z marzeniami. Matka postanowiła wyprawić nas za granicę: mnie, dziesięciolatka, razem z moim zaledwie trzyletnim bratem.

Siedzieliśmy w prowizorycznym barze wtulonym w zakole rzeki. U stóp pobliskiego wzgórza, ukryty w gęstych zaroślach, biegł szlak, którym z naszej wioski w Erytrei można było dostać się do wschodniego Sudanu; był on tak wąski i wiódł przez ziemię tak suchą i jałową, że ten, kto chciał nim podróżować, musiał jechać na wielbłądach.

Przemytnicy zaczęli już się zbierać. Wodziłem wzrokiem za ich mrugającymi lampami naftowymi, które podrygiwały, objijając się o wielbłądzie boki. Dookoła tłoczyli się ludzie, lecz bynajmniej nie byli to tylko ci, którzy uciekli przed wojenną zawieruchą. Niektórzy, tak jak moja matka i inne kobiety zamieszkujące Wzgórze Kochanków, przyszli tylko się pożegnać. Większość jednak faktycznie stanowili uchodźcy, podobni do mnie i do mojego brata. Matka była dla mnie wszystkim; drżałem na myśl o zbliżającej się chwili, kiedy naftowe płomienie zgasną, zdmuchnięte, a wielbłądy ruszą w drogę, znikając w zaroślach u stóp wzgórza. Wiedziałem, że będzie to koniec świata, który znałem i kochałem całym sercem.

Obok mnie stała Samira, najlepsza przyjaciółka mojej matki; ona sama odwróciła się ode mnie i odeszła na chwilę, żeby u herbaciarki, rozłożonej ze swoim kramem kilka kroków dalej, kupić ciepłego mleka

dla mojego braciszka. Herbaciarka zanurzyła chochle w kociołku, przelała parujący napój do blaszanego kubka i podała małemu Ibrahimowi.

Pojawiły się nowe wielbłądy. Mężczyźni, którzy prowadzili zwierzęta, szli za nimi, okładając je od czasu do czasu długimi kijami. Byli to słynni przemytnicy, Bedżanie ze szczepu Beni Amir. Wszyscy nosili włosy związane w duży węzeł i byli jednakowo ubrani: w niebieskie kamizelki na białych galabijach. Każdy z nich miał przewieszony przez ramię pas z szablą.

Matka wróciła, przystanęła przy mnie i Samirze. Dziwna rzecz: łez nie było już prawie wcale. My wszyscy - Samira, matka, nawet ja sam - płakaliśmy przez cały dzień, więc teraz pozostało już tylko się pożegnać.

Kiedy się zbliżała, uniosłem wzrok i spojrzałem jej w twarz. Miała na sobie długą czarną suknię i swoje ulubione czerwone włoskie buty, które dostała w prezencie od Samiry. Moja matka była wysoką kobietą, ale w tych butach wyglądała na jeszcze wyższą niż w rzeczywistości.

Podeszła, przekazała Ibrahima Samirze i wzięła mnie za rękę. Samira oddaliła się w kierunku grupki kobiet stojących przy wielbłądach; czekały w świetle naftowych lamp, żeby się ze mną pożegnać.

Nagle w moje uszy uderzył ogłuszający huk. Poderwałem głowę; niebo nad naszą wioską przeciął etiopski myśliwiec. Ścisnąłem z całej siły dłoń matki i oparłem czoło o jej biodro. Z zamkniętymi oczami wyszeptałem modlitwę:

- Błagam Cię *ja Allah**, spraw, żeby te samoloty odleciały na zawsze. Błagam Cię, *ja Allah*. Błagam, *ja Allah*.

Kiedy niebo już ucichło z powrotem, jeden z przemytników podszedł do matki.

- Wielbłądy gotowe, Rahimo - powiedział. - Nie martw się. Twoim dzieciom nic nie grozi.

Matka podniosła z ziemi naszą lampę i kurczowo ściskając mnie za rękę, ruszyła w stronę oczekującej karawany. Ale ja zaparłem się mocno stopami w sypkim piasku i z całej siły pociągnąłem ją w tył.

***Ja (arab.) - partykuła wykrzyknikowa dosłownie oznaczająca „o!”. *Ja Allah* - O, Allahu! (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).**

- Nie ruszę się stąd, mamó - oznajmiłem.

Stała przede mną, pochyliła się. Jej kolczyki zawisły w powietrzu, rozkołysane powiewem wiatru. Cudowna woń osnuwająca jej szyję spłynęła falą w dół, tak jak kłęby żywicznego dymu wylewają się z kadzielnicy. Wpiłem się wzrokiem w pukle jej długich czarnych włosów. Oparłem czoło na jej piersi. A ona otoczyła mnie ramionami. Zapragnąłem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Matka szepnęła mi do ucha:

- Najdroższy, robię to, bo cię kocham. Jeszcze raz jęknąłem błagalnym głosem:

- Proszę, mamó, nie odsyłaj nas. Chcę zostać tutaj, z tobą. Proszę, mamó.

Oderwała się ode mnie miękkim, łagodnym ruchem.

- Chcę ci się przyjrzeć, mój najdroższy - powiedziała, ujmując moją twarz w dłonie.

- Obiecujmy sobie coś - poprosiła cichym, łamiącym się głosem, a jej słowom towarzyszyły nieme łzy toczące się po policzkach. - Obiecujmy sobie, że dokądkolwiek zanieś nas los, zawsze pozostaniemy tacy jak w tej chwili.

Splotła palce z moimi palcami i pochyliła głowę, aby złożyć pocałunek na mojej dłoni.

Przemytnicy po raz ostatni wezwali do wyruszenia w drogę. Przywarłem do matki; jej lampa stuknęła o ziemię, wydobywając czerwone buty z gęstniejącego mroku nocy.

Kiedy wielbłądy zaczęły iść przed siebie, chciałem odszukać wzrokiem jej twarz, zobaczyć ją po raz ostatni. Ale światło u jej stóp powoli zgasło i matka zniknęła mi z oczu.

Cześć pierwsza

Czarno-biały film

Wieczór drugiego piątku miesiąca lipca okazał się wieczorem wyjazdów. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty; kto tylko mógł sobie pozwolić na wakacje, żegnał się z Dżiddą i znikał z miasta. Nie zamknąłem okna, aby łagodny wiatr napełnił mój pokój wilgotnym powietrzem. Wciągnąłem w nozdrza pikantny aromat jagnięciny zmieszany z ostrym zapachem męskiej wody kolońskiej; to były wonie pory zmierzchu, dnia przechodzącego w noc.

Odezwał się telefon. Po sześciu sygnałach podniosłem słuchawkę. Dzwonił Dżasim. Prosił, żebym zajrzał do restauracji; chciał się ze mną pożegnać, ponieważ następnego dnia wyjeżdżał do Paryża. Dżasim regularnie bywał za granicą, a ze swoich podróży zawsze przywoził prezenty; miały one, jak sam twierdził, budzić zmysłowość w osobach, które kochał.

Zawiadomił mnie także, że muszę zabrać swoje ostatnie listy do matki. Wiele razy próbowałem napisać do domu, ale każdy list zawsze wracał do nadawcy. Odkąd tylko poznałem Dżasima, używałem adresu jego restauracji jako własnego adresu zwrotnego.

Mieszkałem wtedy w mikroskopijnej kawalerce mieszczącej się w maleńkim, jednopiętrowym budynku. Nie było mnie stać na nic większego, bo pracowałem w myjni samochodowej, zarabiając tylko czterysta riali miesięcznie. Mój blok znajdował się na końcu długiej ulicy, która w swojej środkowej części miała rondo, tak że jej kontur przypominał cień brzuchatego dryblasa z tyczkowatymi nogami. Wokół ronda tłoczyły się sklepy i restauracje, a dalej ulica, znów wąska jak przedtem, biegła w stronę Charentiny.

Za dnia pokryte białą farbą ściany budynków ciągnących się rzędami wzdłuż jezdnii lśniły w słońcu, a na ulicy widać było o wiele więcej mężczyzn w białych saubach* niż kobiet w czarnych abajach**. Patrząc na ten obraz, człowiek miał wrażenie, że znalazł się w starym czarno-białym filmie.

Szedłem chodnikiem, mijając rezydencje otoczone ogrodami pełnymi drzew, które tańczyły na wietrze niczym ślamazarne baletnice. Przy ulicy An-Nuzla stał najwyższy budynek w naszej okolicy. Wyróżniało go dziewięć pięter i szeroko znana reputacja: mieszkali tam bogaci ludzie.

Nagle zauważyłem dwóch młodych mężczyzn. Szli kilka kroków przede mną, trzymając się za ręce, a w pewnym momencie zniknęli w drzwiach sklepu Jemeńczyka. Chwilę później zatrzymałem się, żeby przepuścić innego człowieka, odzianego w galabiję i w takijji*** na głowie, który taszczył cały karton pepsi w plastikowych butelkach. Poprawiłem na sobie T-shirt, wkładając go za gumkę dresów, i ruszyłem dalej.

W pewnym momencie w moje nozdrza uderzył zapach piżma. To był znak, że zbliżam się do największego meczetu w okolicy. Mieszkałem kiedyś u wuja, tuż naprzeciwko tej świątyni. Kawalerka, którą obecnie wynajmowałem, znajdowała się przy tej samej ulicy, kilka przecznicy dalej - ale do tego meczetu wciąż miałem najbliżej.

Przed wejściem dostrzegłem grupkę sześciu brodatych mężczyzn. Stali tak blisko siebie, że wyglądali jak bracia syjamscy, zrosnięci biodrami i ramionami.

Rozstąpili się przed niewidomym imamem, który właśnie wychodził ze świątyni. To właśnie przez tego człowieka przestałem pojawiać się na modlitwach. Imam szedł, kurczowo ściskając ramię wysokiego mężczyzny, który w drugiej ręce niósł torbę z czarnej skóry. Dwie długie brody kołysały się lekko na wietrze.

Pochyliłem głowę, szybko przechodząc na drugą stronę ulicy, a kiedy już się tam znalazłem, ruszyłem w przeciwnym kierunku niż oni.

* *Saub* (arab.) - jednoczęściowa szata z długim rękawem, sięgająca kostek.
** *Abaja* (arab.) - zasłona: obszerna peleryna czarnego koloru, noszona przez kobiety w Arabii Saudyjskiej.

*** *Takijja* (arab.) - okrągła czapka męska, prosta po bokach i spłaszczona na wierzchu.

I wtedy nagle znany mi dobrze dżip z przyciemnianymi szybami skręcił gwałtownie i zgrzytając hamulcami, zatrzymał się przede mną. Zamarłem. To był wóz policji religijnej. Chciałem uciekać, ale nogi miałem jak z ołowiu. Z samochodu wyskoczyło trzech brodatych mężczyzn. Szli prosto na mnie. Nie mogłem nawet drgnąć, ale oni minęli mnie, wchodząc do budynku, pod którym stałem.

Kilka sekund później wyprowadzili stamtąd Muhsina. Znałem go ze szkoły, chociaż nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Nie można było go z nikim pomylić - Muhsin nosił się w romantycznym stylu Omara Sharifa, egipskiego aktora z lat sześćdziesiątych. Przywarłem z powrotem do ściany. Matka Muhsina wypadła na ulicę, biegnąc za nimi z płaczem, zaklinając w imię Allaha, aby puścili jej syna.

- Błagam, darujcie mu, to mój jedyny syn, jedyny żywiciel. Allah przebacza. Allah jest miłością.

Policjanci z policji religijnej upchnęli Muhsina w swoim dżipie i odwrócili się do zapłakanej matki. Jeden z nich przyskoczył do niej, wymachując ściskany w dłoni kijem.

- Wracaj do domu i zakryj twarz, niech Allah cię przeklnie! - wrzasnął i zapędził kobietę za drzwi, tłukąc po plecach i pośladkach.

Chwilę później dżip ruszył i pomknął w kierunku ulicy Mekkańskiej. Oderwałem się od ściany i wbiegłem do domu, szukając Umm Muhsin. Zobaczyłem ją przez małe okienko: siedziała na schodach i rzewnie płakała. Po chwili podparła się drżącą ręką, chcąc wstać. Zastukałem w drzwi, ale nawet się nie obejrzała.

Przystanąłem na skrzyżowaniu ulic An-Nuzla i Mekkańskiej, zastanawiając się, którądy iść dalej. Nie chciałem przechodzić obok Willi Abu Fajsala i narażać się na spotkanie z pierwszym katem Dżiddy. Był to ojciec Fajsala, mojego znajomego ze szkoły, ale kiedy tylko wyjrzałem zza rogu ulicy i zobaczyłem białego cadillaca stojącego pod jego domem, nogi w jednej chwili same poniosły mnie w przeciwnym kierunku.

Dżasim powitał mnie z uśmiechem na twarzy. Wyszczерzone zęby podkreślała starannie przystrzyżona, wygięta do góry kozia bródka. Był ubrany na modłę saudyjską i stał oparty łokciami o bar; owłosione przedramiona wystające z podwiniętych rękawów spoczywały na blacie.

Kiedy wszedłem, kilku klientów wyciągnęło-szyje, odprowadzając mnie wzrokiem. W powietrzu unosił się słodki, wonny dym ulatujący z zapalanej sziszy", tłumiony stopniowo przez aromat gorącej kawy parzonej z hojnym dodatkiem kardamonu. Dżasim był zajęty, więc usiadłem, żeby na niego poczekać.

Rozejrzawszy się po sali, dostrzegłem nowego kelnera. Był młody i gibki, przemykał się pomiędzy ciasno poustawianymi stolikami tak zwinnie, jakby od pasa w dół był zrobiony z gumy. Kiedy przechodził obok mnie, zauważyłem, jak klienci wyciągają ręce, żeby go dotknąć. Odsuwał od siebie ich dłonie niczym zwiewne zasłony.

Stoliki specjalnie stały tak ciasno; Dżasim chciał, żeby mężczyźni ocierali się o siebie, chciał rzucić pomiędzy nich iskrę.

- Nie ma cudowniejszego widoku niż dwa męskie ciała złączone jedną pieśczętą - powiedział mi kiedyś. - Gdy to widzę, wyobrażam sobie, jak wybucha ogień miłości.

Zaniepokoiło mnie to wtedy.

- Ale gdyby któryś z nich choćby przez chwilę pomyślał, że dotyka swojego sąsiada z innego powodu niż brak miejsca, to wtedy na pewno spaliłby ci restaurację, prawda?

Dżasim wzruszył tylko ramionami i wybuchnął śmiechem.

Restauracja Dżasima mieniła się kolorami, a każdy detal wnętrza, od ścian po obrusy i strój kelnera, nosił ślady dręczącej właściciela obsesji komponowania barw.

Ściany pomalowano w dwa szerokie, poziome pasy: na górze jaśniał mglisty róż, dół osnuwała ciepła szarość przetykana gdzieśgdzie dzikimi kwiatami szkicowanymi ręką samego Dżasima.

Młody kelner zatrzymał się przy stoliku zarezerwowanym przez okrągłą dobę dla Fawwaza i jego kumpli. Siedzieli tam teraz wszyscy, a gęste wąsy tłumiły ich szepty. Chłopak pochylił się nad blatem, żeby pozbierać filiżanki po kawie. Ustawiwszy je na tacy, uciekł co sił w nogach w najdalszy kąt sali i zamelinował się pod wylotem klimatyzatora. Stał twarzą do ściany i powoli zatoczył głowę koło, a potem otarł twarz rąbkiem saubu. Dostrzegłem, że ma na sobie obcisłe spodnie

*** Szisza (arab.) - fajka wodna. ,1,**

z beżowego aksamitu; ich barwa idealnie kontrastowała z niebieskim obrusem na stole obok.

Mężczyźni przy zarezerwowanym stoliku rozłożyli na blacie kostki domina. Fawwaz oparł podbródek na dłoni, przyglądając się badawczo chłopakowi. Minę miał srogą, ale to nie wystarczyło, żeby ukryć żądę płonąca w jego oczach. Nagle zerwał się na równe nogi i ruszył w kierunku młodego kelnera.

Stał przed nim i wziął go za rękę. Przyglądałem się im niewidzącym wzrokiem. Przed oczami przesuwaly mi się wspomnienia z czasów, kiedy sam pracowałem tutaj jako kelner.

Dżasim siedział przy stoliku w towarzystwie Omara, jednego ze swoich najbliższych przyjaciół. Był poranek, moja ulubiona pora: wczesne godziny dnia wypełniała cisza i czyste, niezadymione powietrze, a ciepłe kolory ścian restauracji otulały człowieka niczym jedwabne szaty.

Czyściłem bar, słuchając w radiu wywiadu, którego udzielał mój kafil, Błogosławiony Badr ibn Abd Allah. Jako komisarz policji w okręgu Dżiddy wypowiadał się na temat młodzieży i moralności. W pewnym momencie ni stąd, ni zowąd porzucił jednak spokojny ton rozmowy w cztery oczy z dziennikarzem i zaczął głosić regularne kazanie: cytując Koran i przysłowia Proroków, ostrzegł młodych ludzi przed złym postępowaniem.

- Niemniej jednak nasze służby - dodał po chwili mój kafil - we współpracy z policją religijną zwalczają wszelkie akty niemoralności. *Insha Allah**, Allah pobłogosławi naszą, jakże ważną, pracę.

Wyłączyłem radio, potrząsając głową, po czym poszedłem do kuchni, żeby zapalić kawaleczek węgla drzewnego. Podniosłem go szczypcami i zabrałem ze sobą do stolika, przy którym siedział Dżasim. Położywszy płonący węgielek na skraju glinianej miseczki, przysunąłem sobie krzesło i usiadłem. Dżasim podał mi fajkę. Oparłem ustnik o wargi i zaciągając się dymem, poruszyłem szczypcami okruch żaru. Omar mówił o sprawie, która wywołała niedawno wiele kontrowersji w naszej okolicy: nastolatek został aresztowany przez policję religijną za to, że pewnego dnia w drodze do szkoły dostał liścik od dziewczyny.

* *Insha Allah* (arab.) - **jeśli Allah zechce.**

- Z tego, co wiem - orzekł Omar, szczypiąc się w lewy policzek - to w rzucanie chłopakom liścików pod nogi bawią się głównie księżniczki i córki bogaczy. Robią to z nudów, dla zabawy. A kiedy już mają dość, znikają równie szybko, jak się pojawiły, wracają do swojego niewidocznego świata. I zostawiają chłopaka ze złamanym sercem.

- W takim razie dlaczego mnie nigdy żadna nie rzuciła liściku pod nogi? - zapytał go Dżasim.

- Cóż - odparł Omar - mówiłem: tak się bawią bogaczki i księżniczki, a te mają wyrafinowany gust.

Dżasim podniósł się z krzesła i zawisł nad stolikiem, spowity kłębam dymu.

- Chcesz powiedzieć, że nie jestem przystojny? - huknął, udając obrażonego.

- Siadaj, siadaj - zaśmiał się Omar, ciągnąc go z powrotem na krzesło.
- Sam wiesz, że nie jesteś. Do tego umiesz myśleć, a człowiek myślący wie, że takie zabawy mają przykre następstwa, których lepiej unikać.

Z zadumy wyrwał mnie głos Dżasima, powtarzający moje imię. Kiedy uniosłem głowę, szef restauracji skinął, zapraszając, żebym usiadł obok niego, przy barze.

- Będę za tobą tęsknił, ale kiedy wrócę, dostaniesz ode mnie piękny prezent z Paryża - zapowiedział, całując mnie w oba policzki. Oczy miał przekrwione, białka pocięte czerwonymi żyłkami.

- Czy ty nigdy nie masz dość tych podróży? - zapytałem. Zastanowił się przez chwilę, a potem zachichotał, potrząsając przecząco głową.

- Na długo wyjeżdżasz?

- Cicho - syknął. - Masz oddech jak połykacz ognia. Spalam się, kiedy do mnie mówisz.

Każde jego słowo zdawało się wręcz ociekać intensywnym, kosztownym zapachem.

- Piłeś perfumy? - spytałem.

- Francuskie, luksusowe - skinął głową, spoglądając mi prosto w oczy. Nie odwracał wzroku przez długą chwilę. Jego twarz zaczęła ociekać potem, jakbym naprawdę ział na niego ognistym oddechem. Tymczasem ja tylko obserwowałem go milcząco, bez słowa.

Wreszcie Dżasim odwrócił się, sięgając do małego magnetofonu, który stał za jego plecami. Wsunął taśmę do kieszeni odtwarzacza i pokręcił gałką głośności. Rozległ się kobiecy głos: melancholijna piosenka śpiewana przez Umm Kulsum. Jeden z klientów krzyknął do Dżasima, żeby zrobił głośniej. Kilku mężczyzn zerwało się z krzesel; stali, kołysząc głowami i zaciskając powieki.

Spojrzałem na Dżasima, zaskoczony. Był niższy ode mnie, ale za to szerszy w barach. On też kołysał głową w takt piosenki, a rozluźniony lekko *ikał** zsunął mu się na bok.

- Od kiedy to słuchasz Umm Kulsum? - zapytałem.

Zamiast odpowiedzieć, obejrzał się tylko przez ramię, na wiszące za barem lustro, w którym ocierał się twarzą o moją twarz. Jego głęboki głos zadudnił, odbity od szklanej tafli:

- Naser, mój drogi, jesteś bardzo piękny. Patrzyłem na ciebie i widziałem, jak smuklejesz, jak twoje oczy olbrzymieją niczym dwa oceany, zaostrzają się rysy policzków, a szyja, ach, wyciąga się strzeliście aż do samego nieba.

Poszedłem z Dżasimem do kuchni, skąd zagracony korytarz prowadził do jego pokoju.

Była to składnica marzeń i fantazji o życiu, za jakim tęsknił Dżasim. Pomiędzy pomalowanymi na czerwono ścianami znalazło się dość miejsca, aby pomieścić tapczan, krzesło i telewizor z podłączonym odtwarzaczem wideo. Obok telewizora stały słupki ułożone z wideokaset. Na ścianach wszędzie wisały plakaty, zdjęcia i arkusiki z ręcznie wypisanymi wierszami.

Dżasim zamknął drzwi, a potem chwycił mnie za rękę i oparł czoło o moją pierś.

- Nie bije, nawet nie drgnęło - wymamrotał pod nosem. - Ale może jeszcze kiedyś... Może? - zapytał wprost.

Nie odpowiedziałem.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, nie odzywając się do siebie ani słowem. Wreszcie Dżasim delikatnym ruchem położył sobie moją dłoń tam, gdzie jest serce, i zapytał:

*** *Ikał* (arab.) - czarna opaska na głowę, służąca do przytrzymywania gutry (rodzaj chusty, tradycyjne arabskie nakrycie głowy).**

- Czujesz? Westchnąłem.

- Naser, mój drogi, gdyby cały świat zwałił mi się na pierś - mówił dalej drżącym głosem - to moje serce wywołałoby najstraszliwsze trzęsienie ziemi.

Rzucił się na tapczan twarzą do ściany, ale po chwili odwrócił się i wyciągnął na wznak, z podbródkiem sterczącym do góry. Spojrzał w pęknięte lustro wiszące na suficie. Westchnął przeciągle i głęboko.

- Och, Naser, byłeś taki piękny, kiedy mieszkałeś w tym lustrze. Wolny, seksowny, zmysłowy. Żyłeś w swoim świecie. I cóż to był za świat...

Zamknął oczy i zakończył:

- Koperta z twoimi listami leży na telewizorze. Idź już, proszę, a wychodząc, zgaś światło.

W korytarzu prowadzącym do kuchni wpadłem na nowego kelnera.

- Możesz mi przynieść miętową herbatę? - poprosiłem. Wpadły mi też w oko kartony z perfumami, stojące na podłodze.

Wziąłem sobie kilka flakoników i wyszedłem z restauracji, siadając przy jednym ze stolików na zewnątrz.

Ulicą An-Nuzla śmigają samochody zjeżdżające ze szczytu wzgórza. Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się dymem, nie myśląc właściwie, co robię.

Młody kelner wyszedł do mnie.

- Herbata - powiedział, stawiając na moim stoliku małą szklanekę w kształcie pąku tulipana i nalewając do niej herbaty z dużego dzbanka. - Naser?

- Słucham.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Oparłem się łokciami na stole i pochyliłem głowę, a on wyszeptał szybko:

- Nocowałem wczoraj u Fawwaza. Jego rodziców nie ma w domu. Tłumaczył mi tak samo jak zawsze: „To, co robimy, jest *haram*”, ale ten kraj jest jak największe więzienie na świecie, a w więzieniu ludzie

*** *Haram* (arab.) - dosł. grzech; termin oznaczający wszystko to, czego zabrania islam.**

robią sobie nawzajem rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobili". I poprosił mnie, żebym był jego chłopcem, dopóki się nie ożeni. Idziemy teraz na randkę do galerii handlowej, bo restaurację i tak trzeba zamknąć na czas modlitwy.

Skończył i wrócił do środka, nie czekając, co odpowiem. Niedługo później on i Fawwaz wyszli z restauracji i ruszyli ulicą, trzymając się za ręce.

Kiedy miałem szesnaście lat, a w restauracji Dżasima pracowałem już mniej więcej od roku, pewien znajomy zabrał mnie do galerii handlowej w centrum Dżiddy. Nazywał się Abu Imad, a ja mówiłem na niego „Pan Cichy”. Miał około czterdziestki. Galeria była pełna mężczyzn. Spacerowali korytarzami, gawędzili i śmiali się. Jedni trzymali się za ręce, inni szli pod ramię.

Klimatyzowane centrum handlowe zbudowano według zagranicznego projektu. Miało ono pięć pięter, a na nich - bez liku sklepów z zachodnimi artykułami.

- To miejsce - powiedział mi kiedyś Dżasim - niczym się nie różni od najbardziej luksusowych galerii handlowych w Paryżu czy w Londynie. Można tu kupić sprzęt elektryczny dowolnej marki, europejskiej lub amerykańskiej, buty i ubrania od wszystkich projektantów, nawet z ekskluzywnych kolekcji Armaniego albo CaMna Kleina.

Galeria handlowa stała przy placu Kar. To tutaj odrąbywano ludziom głowy i ręce, chłostano kochanków, ścinano ich lub kamienowano na śmierć. To było miejsce, gdzie ojciec Fajsala wykonywał swoją pracę.

Kiedy weszliśmy do środka, mój towarzysz kupił nam coś do picia i usiedliśmy przy fontannie. W pewnej chwili minęło nas dwóch funkcjonariuszy z policji religijnej. Obaj nieśli w rękach kije i rozglądali się dookoła bez pośpiechu, z rozmysłem.

- Patrz - powiedział Pan Cichy. - Szukają mężczyzn, którzy w tajemnicy spotykają się z kobietami. - Nachylił się bliżej i szepnął: - Nie dalej niż wczoraj widziałem, jak złapali chłopaka i dziewczynę. Dziękuję Allahowi, że jesteś mężczyzną, inaczej już by nas prowadzili do tego dżipa, a potem - Allah jeden wie, dokąd byśmy trafili.

Kelner i Fawwaz zniknęli mi z oczu. Rozejrzałem się; moją uwagę przykuła kobieta okryta od stóp do głów burką, wychodząca ze sklepu obuwniczego naprzeciwko restauracji Dżasima. W tym samym momencie pojawił się dżip policji religijnej: podjechał powoli i zatrzymał się przed drzwiami do sklepu, kryjąc kobietę przed moim wzrokiem. To mi przypomniało, że choć żyję w tym kraju od dziesięciu lat, to jeszcze ani razu nie rozmawiałem z dziewczyną, nie trzymałem jej za rękę; jeszcze nigdy nie miałem ukochanej.

Kobieta ukazała się ponownie, wychodząc z cienia rzucanego przez wóz policji religijnej. Przeszła na drugą stronę ulicy i zaczęła się oddalać. Samochód tkwi! dalej w tym samym miejscu, a stróże moralności ukryci za jego przyciemnianymi szybami z całą pewnością bacznie obserwowali ulicę, pilnując, żeby Dżidda nie przestała być miastem czerni i bieli.

Wypiłem herbatę jednym haustem i otworzyłem kopertę. W środku znajdowały się najnowsze listy, które próbowałem wysłać do matki, wszystkie, co do jednego, ale czarny atrament, jak zauważyłem, przerzucając kartki, wciąż jeszcze lśnił. Nagle ogarnęło mnie przemożne pragnienie ucieczki: daleko, jak najdalej od Dżasima i wspomnień z jego restauracji.

Miałem dziesięć lat, a mój brat Ibrahim trzy, kiedy nasz wuj przyjechał do obozu dla uchodźców w Sudanie i zabrał nas do Dżiddy. Spędziliśmy w tym obozie pięć miesięcy. Wuj, starszy brat mojej matki, miał w Dżidzie pracę: był szoferem saudyjskiej rodziny. Dowiedział się, że jesteśmy w tym obozie, od znajomego z naszej wioski, na którego trafił przypadkiem w barze, gdzie spotykali się Erytrejczycy. Ten człowiek powiedział mu dokładnie, gdzie znajduje się nasz obóz i w której jego części nas szukać.

Kiedy zobaczyłem wuja i dowiedziałem się, że przyjechał nas zabrać do Arabii Saudyjskiej, nie chciałem się zgodzić. Wołałem czekać w obozie na matkę i być jak najbliżej niej. Wuj namawiał mnie, tłumacząc, że Dżidda jest tuż-tuż, na drugim brzegu Morza Czerwonego:

- Widzisz, wcale nie będziesz daleko od Erytrei. Dżidda jest na tej samej wysokości, tylko po drugiej stronie morza.

Udało mu się wreszcie mnie przekonać, kiedy wspomniał, że Arabia Saudyjska to jedno z najbogatszych państw na świecie, miejsce, gdzie będę mógł zarobić furę pieniędzy i wysłać wszystko matce.

Zabrał nas do Chartumu, stolicy Sudanu, a stamtąd poleciliśmy samolotem do Dżiddy.

Wylądowaliśmy w Dżidzie wczesnym wieczorem, na kilka dni przed ramadanem. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty. Zakochałem się w tym mieście od pierwszego wejrzenia.

Z lotniska wuj zawiózł nas do siebie taksówką. Jezdnie były szerokie i dobrze oświetlone, a ja przeskakiwałem wzrokiem z budynku na bu-

dynek, z przecznicy na przecznicę. Mijaliśmy je tak szybko, że aż oczy bolały. W obozie dla uchodźców o tej porze światło dawały tylko księżyc i gwiazdy, a było go zaledwie tyle, żeby jakoś sobie radzić. Ale tutaj, w Dżiddzie, księżyc i gwiazdy były nikomu niepotrzebne. Wyjrzałem przez okno samochodu; nad ulicą zobaczyłem jasne lampy, zwieszające się z wysokich słupów. Te słupy wyglądały w moich oczach jak smukłe boginie, obsypujące całe miasto złotym światłem w swej hojności.

- *Ja Allah*, a jaka równa ta ulica. Prawie nie ma dziur - powiedziałem do wuja.

Ze wszystkich stron górowały nad nami ogromne budynki, o wiele wyższe niż jednopiętrowe domy, które widziałem w Chartumie. Kiedy jechaliśmy szosą biegnącą wybrzeżem, wychyliłem się z okna i odcchnąłem powietrzem, które pachniało rybami i solą.

Nagle taksówka wjechała do głębokiego tunelu.

- Wujku-wyjąkałemjaka małe dziecko-jesteśmy pod ziemią. Tam idą tylko umarli.

Ale kiedy wyjechaliśmy z powrotem na powierzchnię, zawołałem radośnie: „Żyjemy!”, a wuj uśmiechnął się i poczochnął mi włosy.

Taksówka zatrzymała się na światłach; przed nami rozciągał się plac, na którym stał olbrzymi pomnik w kształcie roweru. W jednej chwili wyobraziłem sobie, że ktoś na nim jedzie. Zamknawszy oczy, zobaczyłem na pedałach dwie stopy, wsunięte w czerwone włoskie buty... szczupłe nogi opięte niebieskimi džinsami... i długie czarne włosy okalające kobiecą twarz. Kiedy zapłonęło zielone światło, a silnik taksówki ożył z gromkim rykiem, kobieta - widziałem to wyraźnie - pochyliła lekko głowę i spojrzała na mnie. A potem mrugnęła. Matka, pomyślałem, absolutnie pewien, że to właśnie ona. Wziąłem brata za rękę i zdjąłem go wujowi z kolan. Przygarnąłem małego do siebie, całując w policzek. Ale on zwił mi w ramionach, a głowa opadła mu w tył, opierając się o wujowską pierś; zasnął.

- Ibrahim? - próbowałem go obudzić. - Patrz, patrz... - Urwałem, zablądziwszy wzrokiem na ulicy, pełnej ogromnych rezydencji, drzew

I pięknych samochodów przeróżnych rodzajów, kolorów i rozmiarów. - Ibrahim, patrz, patrz na te samochody. - Chcąc lepiej widzieć, pochyliłem się w przód, wsuwając głowę pomiędzy siedzenia. Po chwili

opadłem z powrotem na miejsce, szepcząc bratu do ucha: - Kiedyś będziemy taki mieli.

W trakcie dalszej drogi zauważyłem pewną rzecz, która mocno mnie zastanowiła. Wśród mężczyzn w białych saubach majaczyły jakieś postacie odziane od stóp do głów na czarno. W świetle ulicznych latarni wyglądały one jak cienie męskich sylwetek rzucone na białe ściany domów. Patrząc na nie, przypomniałem sobie, jak matka opowiadała nam o niewidzialnych duchach, z tym tylko, że tutaj te duchy było widać. Wiedziałem, że Arabia Saudyjska to święty kraj, gdzie każdego dnia może zdarzyć się jakiś cud, ostatecznie jednak domyśliłem się, kim są te czarne figury, ponieważ na całej ulicy nie było ani jednej kobiety.

- Wujku, mogę cię o coś zapytać?

- Pytaj, synu.

- To jest kobieta, prawda?

- Słucham?

- Tam, spójrz tam. - Pokazałem palcem cień na białej ścianie. Wuj odparł z uśmiechem:

- Tak, to kobieta. O, błogosławiona jest nieświadomość dziecka.

- Dlaczego one chodzą tak pozakrywane? Przecież nie jest zimno.

- Te kobiety noszą abaje.

- Wujku?

- Słucham.

- Czy im nie jest gorąco w takim ubraniu? A jak w tym się oddycha?

- Taka jest wola Allaha. Ale On, Najwyższy, wynagrodzi im to w niebie, *insza Allah*.

- To znaczy, że w mojej szkole dziewczyny też będą tak chodzić?

- Pójdiesz do szkoły dla chłopców. Dziewczęta mają własną szkołę.

Przypomniałem sobie naszą małą szkółkę w obozie dla uchodźców. Przyjaźniłem się tam z samymi dziewczynami. Prawdę mówiąc, to od chłopaków zawsze mi się obrywało; zazdrościli mi, bo kiedy bawiliśmy się w wesele, to wszystkie dziewczyny zawsze wybierały mnie na męża. Opowiedziałem o tym wujowi.

- *Ja Allah*, zmiłuj się nad nami - westchnął w odpowiedzi. - Będę miał pełne ręce roboty z tym utrapieńcem. Posłuchaj mnie, Naser: niedobrze mieszać chłopców z dziewczętami.

-Dlaczego?

- To jest *haram*, synu.

- Dlaczego to jest *haram*?

- *Ja Allah*, obdarz mnie cierpliwością. A dlatego, że... - Urwał, odwrócił wzrok. Po chwili dokończył: - Dlatego, że mężczyźni i kobiety są jak ogień i oliwa. Kiedy się zetkną, wybucha wielki płomień, a piekło zaczyna się na ziemi i trwa po śmierci. Sam się przekonasz, synu, że Allah chce nas chronić, bo pragnie naszego dobra. W porządku?

- W porządku - przytaknąłem, opierając się o szybę. Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co wuj do mnie powiedział.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił brat mojej matki, kiedy taksówka zatrzymała się przed wysokim białym budynkiem. - Ta okolica nazywa się An-Nuzla.

Jeszcze kilka dni wcześniej mieszkaliśmy w namiocie w obozie dla uchodźców; teraz miałem wrażenie, że znaleźliśmy się na innej planecie.

Wuj otworzył drzwi. Kiedy zobaczyłem telewizor, olbrzymią czarną kanapę w czerwone pasy i gruby niebieski dywan, spojrzałem na brata mojej matki oczami wielkimi jak spodki, a potem pocałowałem go w rękę, mówiąc przez łzy:

- Dziękuję ci, wujku, że przywiozłeś nas do tego pięknego miasta. Ale potem zobaczyłem oczyma duszy matkę, jak podczas nocnego

nalotu na naszą wioskę chowa się, tak jak kiedyś, pod naszym łóżkiem, ale teraz jest już całkiem sama.

- *Proszę, ja Allah*, chroń ją - wyszeptałem modlitwę, ślubując jednocześnie, że będę się pilnie uczył! i ciężko pracował, tak aby móc zabrać ją i Samirę tam, gdzie jest bezpiecznie.

Ale tamtej nocy, kiedy uciekałem z restauracji Dżasima, Dżidda nagle wydała mi się inna. Nie mogłem jej rozpoznać, zmieniła się zupełnie.

Za dawnych czasów, kiedy był tutaj tylko szmat jałowej ziemi na skraju pustyni, ludzie zamieszkujący tę okolicę nazwali ją Dżidda; nazwa ta miała wskazywać, że tutaj, pomiędzy nimi, spoczywa *Dżadda Hawwa*, matka rodzaju ludzkiego. Ale tej nocy był to dla mnie zwykły miasteczko, nic więcej.

Pamiętam też inną myśl: doszedłem do wniosku, że współcześni urbaniści, kontynuując tradycję przodków, nadali temu miastu imię

zdecydowanie na wyrost. Brzmiało ono „Oblubienica Morza Czerwonego”. I wystroili Dżiddę, zgodnie z tym imieniem, w najdroższe ozdoby. Na wszystkich głównych ulicach stanęły rzeźby z brązu; oblubienica zaślśniła blaskiem klejnotów. Wszędzie pojawiły się eleganckie wiadukty, podobne wzorom malowanym henną na dłoniach dziewczyny idącej do ślubu. Aleje zazieleniły się drzewami, mającymi odpowiadać kwietnym płatkom rzucanym pannie młodej pod nogi.

A jednak pomimo tych wszystkich wysiłków, pomyślałem, Dżidda nie zasługuje na miano Oblubienicy Morza Czerwonego. Brak jej było tej wszechogarniającej radości, bijącej od kobiety, która za chwilę ma wyjść za mąż. Mieszkało tam zbyt wielu ludzi, którym dnie i noce upływały niczym jeden długi rejs rzeką smutku. Tak jak mnie.

Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w fałdach ślubnej szaty Dżiddy czeka na mnie, ukryta, moja prawdziwa miłość.

Kiedy wróciłem do domu z restauracji Dzasima, dochodziło wpół do dziewiątej. Tego wieczoru miałem spotkać się z Jahją, moim przyjacielem, który wyjeżdżał ze znajomymi na wakacje w góry, niedaleko miasta Abha. To była jego ostatnia noc w Dżiddzie, więc umówiliśmy się tam, gdzie zwykle - w Pałacu Rozkoszy.

Zostało mi jeszcze trochę czasu, więc pomyślałem, że poczytam sobie książkę. Usiadłem przy swoim maleńkim biurku. Wisiał nad nim portret mojej matki, szkic, który wykonał dla mnie Dzasim. Dzasim uczył się sztuk pięknych; kiedy już zgodził się spełnić moją prośbę, wziął dużą, czystą kartkę, obok ustawił puszkę pełną kredek i posadził mnie przed sobą. Opisałem mu, najlepiej jak tylko umiałem, każdy szczegół tej pięknej twarzy, za którą tak bardzo tęskniłem.

Kiedy Dzasim dowiedział się, że lubiła kolor czerwony, obramował rysunek płomieniami, dzięki czemu twarz mojej matki zaczęła przypominać gwiazdę mknącą po niebie. Mogłem wpatrywać się w ten portret godzinami i nigdy nie mieć dość.

Mój pamiętnik wpadł mi w oko, kiedy sięgałem do szuflady po książkę. Odłożyłem ją na bok i wziąłem go do ręki.

Otworzywszy flakonik z perfumami, jeden z tych zabranych od Dzasima, usiadłem na podłodze, kładąc obok siebie pamiętnik. Pociągnąłem łyk perfum, przed połknięciem zatrzymując płyn na chwilę w ustach. Iskry biegające po języku zsywały się głębiej, do gardła i nosa. Poczulem chemiczny zapach, a wargi i język zaczęły lekko szczypać. Chwyciłem się za nos, ściskając go mocno, aby zdławić to doznanie. Powoli, w miarę, jak alkohol zniknął z flakonika, zaczęło kręcić mi się w głowie.

pamiętnik pisałem od momentu przybycia do Arabii Saudyjskiej. Jak powiedział kiedyś Pan Cichy:

- Chyba wiem, dlaczego jesteś taki małomówny. Wyczuwam, że czekasz na kogoś wyjątkowego, kogoś, kto zrozumie szept uwięziony w twoim sercu. Dopóki nie znajdziesz kogoś takiego, powinieneś wszystko zapisywać. Pamiętniki wymyślono dla takich jak ty.

To była prawda: nie miałem kobiety, z którą mógłbym dzielić życie i snuć plany na przyszłość. Dżidda - to był toczący się z mozołem świat mężczyzn nadzorowanych przez mężczyzn. Poza tym światem nie było nic. Pamiętnik stał się dla mnie pomostem do nadziei, powiernikiem tajemnic, świątynią, gdzie moje serce cichym głosem szeptało wyznanie wiary w szczęśliwą przyszłość.

Otworzyłem go na chybił trafił. W nagłówku strony widniała data: „Wiosna, 21 kwietnia 1984 r., sobota”. Pociągnąłem kolejny łyk perfum, powracając myślą do tamtego dnia. Miałem wtedy piętnaście lat.

Obudziłem się w ten sobotni poranek o szóstej, tak jak zwykle. Kiedy szykowałem się do szkoły, do naszego pokoju wszedł wuj. Był to człowiek religijny, konformista, który nienawidził mojej matki. Z drugiej strony nikogo innego nie obchodził nasz los - mój i mojego brata -i nikt inny na pewno by nam nie pomógł. A jednak, mimo wszystko, życie w jego domu było tylko odrobinę lepsze niż namiot w obozie dla uchodźców. ,

- Ibrahim pod prysznicem? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałem, choć ostrożnie.

- Nie pójdziesz dzisiaj do szkoły - poinformował mnie wuj.

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na taką wiadomość. Z jednej strony nie znosiłem szkoły i na myśl o całym dniu laby chciało mi się skakać z radości. Ale to było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Dostawałem bity od wuja, kiedy tylko odważyłem się bąknąć, że wolałbym iść na wagary niż do szkoły, gdzie uczą mnie nienawiści do każdego, kto wyznaje inną religię albo w odmienny sposób interpretuje nauki islamu.

Zamiast się więc ucieszyć, spojrzałem na niego podejrzliwie.

- Dlaczego? - zapytałem. - Cóż to za wyjątkowa okazja? '

- Dlatego, że... - Wuj urwał, kiedy do pokoju wparował mój młod-

szy brat, świeży, umyty i ubrany dokładnie tak, jak powinien wyglądać grzeczny mały Saudyjczyk. Już wtedy wyglądał na o wiele starszego niż te swoje osiem lat.

- Ibrahimie, poczekaj za drzwiami - polecił mu wuj. - Rozmawiam z Naserem.

- Dobrze, wujku - zameldował Ibrahim, posłuszny mały żołnierz. Wychodząc, spojrzął na mnie i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „I co tym razem narozrabiałeś?”.

Kiedy zostaliśmy sami, wuj podjął:

- Chcę, żebyś wziął nasze ikamy* i zaniósł je naszemu kafilowi, Błogosławionemu Badrowi ibn Abd Allahowi. Specjalnie prosił, żebyś to tyje przyniósł. Musimy odnowić zezwolenia na stały pobyt.

Wiedziałem nie od dziś, że każdy obcokrajowiec przebywający w Arabii Saudyjskiej musi mieć swojego kafila, czyli Saudyjczyka, który zgodzi się wziąć za niego odpowiedzialność na czas pobytu w Królestwie - w zamian za coroczną zapłatę. Nie było to dla mnie nowiną, ale dopiero tamtego dnia dotarło do mnie, że w ten sposób kafil ma absolutną władzę nad życiem ludzi, za których poręczył. Zrozumiałem to w momencie, kiedy odpowiedziałem wujowi: „Dlaczego sam do niego nie pójdziesz, tak jak zawsze?” i już miałem złapać szkolną torbę i wypaść z pokoju, ale on zatrzymał mnie, chwytając za ramię. Nagle zaczął się pocić.

Po chwili cofnął rękę i powiedział tak:

- Naser, proszę cię, nie bądź uparty. Musimy być posłuszni naszemu kafilowi i robić to, czego sobie życzy. Idź i odnow nasze zezwolenia na pobyt. Proszę cię. Kafil chce, żebyś to ty do niego poszedł. Jeśli go nie posłuchamy, będzie zły i możemy się żegnać z tym krajem. Proszę cię, Naser. Błagam.

Zawahałem się. Jeszcze nigdy wuj o nic mnie tak nie prosił. Mój biedny wuj, który wziął sobie na głowę taki ciężar - dzieci siostry, którą gardził. Imigrant ledwo wiążący koniec z końcem, choć przecież żyje i pracuje w tak bogatym kraju.

Ale potem pomyślałem sobie: Czemu właściwie nie chcę się zgodzić? Pójdę, a po powrocie będę miał resztę dnia dla siebie.

- W porządku - powiedziałem wujowi. - Mogę iść.

* *Ikama* (arab.) - karta stałego pobytu.

Wręczył mi nasze ikamy.

- A pieniądze? - zdziwiłem się.

- Słucham?

- Dwa tysiące riali, które muszę mu zapłacić przy odnowieniu zezwoleń.

- Nie mam pieniędzy, ale on powiedział, że tym razem o nich zapomni, niech mu Allah błogosławi.

Spróbowałem się uśmiechnąć, wiedząc, że to sprawi przyjemność wujowi. Miałem jednak pełną świadomość, tak samo zresztą jak i on, że dla obcokrajowca w Arabii Saudyjskiej nigdy nie ma nic za darmo.

Zadzwoiłem do drzwi rezydencji. Otworzył mi uśmiechnięty służący imieniem Harun, z pochodzenia Erytrejczyk. Poprosił, żebym skorzystał z tylnego wejścia, ponieważ żona i córki naszego kafila miały właśnie wychodzić z domu. Skinąłem głową i ruszyłem powoli chodnikiem biegnącym w cieniu drzew. Kiedy zapukałem do tylnych drzwi, Harun otworzył je, wciąż uśmiechnięty, i wprowadził mnie na przestronny dziedziniec, po czym wskazał przecinającą go wąską ścieżkę obsadzoną drzewkami owocowymi; to tędy miałem iść.

- *JaAlil* - zawołał zza moich pleców. - Powiedz błogosławionemu szefowi, że chłopak przyszedł!

Zawołany Ali, który wyszedł z pomieszczenia znajdującego się na drugim końcu ścieżki, kazał mi czekać. Pod ścianą okalającą dziedziniec leżało sporo różnych zabawek, a do tego stało tam kilka małych rowerów. Sama ściana była pomalowana na jasny turkusowy kolor, bardzo ładnie kontrastujący z zielenią roślin; na tym tle wiły się misterne, abstrakcyjne wzory. W powietrzu wisiał silny zapach kadzidła, a złote światło sączyło się przez korony ogrodowych drzew. Uniósłszy głowę, naliczyłem cztery piętra. A to był tylko niewielki fragment pałacu naszego kafila.

Ali wrócił z wiadomością, że kafil już na mnie czeka.

- Idź - powiedział, kłaniając mi się nisko.

- Dokąd mam iść? Nie zaprowadzisz mnie? Dlaczego?

- Wszystko w porządku, idź śmiało, to tam - odparł, nie podnosząc głowy.

Ruszyłem przed siebie, usiłując zgadnąć, dokąd mam się kierować. Odwróciłem się z powrotem do Alego.

- W którym pokoju jest kafil?

- W tamtym. - Wskazał duże drzwi, obok których rosła lipa. - Tam, tam. Wejdz.

Drzwi się otworzyły, a na progu, podwyższonym o kilka stopni, stanął potężny mężczyzna odziany w ciężkie i bogate szaty; wyglądał jak posąg. Widziałem go już kilka razy - kiedy byłem znacznie młodszymi - ale nigdy przedtem nie byłem sam w jego domu. Kafil patrzył na mnie z wielką uwagą.

- Witam cię, Naser - uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję. - Pochyliłem głowę, żeby ucałować jego dłoń. Zaprowadził mnie do pokoju, gdzie do siedzenia służyły tradycyjne arabskie grube materace, rozłożone pod ścianą. Na materacach leżały olbrzymie poduszki, a podłogę pokrywały kolorowe dywaniki, w których zapadały się stopy. Unosił się tam zapach kadzidła. Stałem, czekając, aż kafil zajmie miejsce.

- Siadaj - zaprosił mnie, sadowiąc się na materacu i podkładając poduszki, żeby było wygodniej. - Przyniosłeś dokumenty?

- Tak. - Podałem mu formularze z naszymi zdjęciami i usiadłem. Kiedy przeglądał trzy ikamy, ja rozejrzałem się po pokoju. Wpadł mi w oko portret wiszący na ścianie za plecami kafila, a przedstawiający jego samego, w szacie ze złotą lamówką narzuconej na nieskazitelnie biały saub. Twarz na portrecie tchnęła spokojem i pogodą ducha.

Skąd u niego w tym wieku policzki gładkie jak u chłopca, zdziwiłem się w duchu i wtedy usłyszałem pytanie:

- A pieniądze?

- Pieniądze?

- Owszem. Cena poszła w górę, wiesz? Teraz płaci się trzy tysiące riali - dodał cichym głosem.

- Wuj mówił, że podobno tym razem mamy nie płacić.

- Posłuchaj mnie, synu. Powiedziałem tak twojemu wujowi, bo mu współczuję. Opiekuje się tobą i twoim bratem, chociaż wcale nie jesteście jego dziećmi. Pomyśl tylko, ile pieniędzy wydał, żeby was tutaj sprowa-

dzić. A ile kosztują wasze ubrania, wyżywienie? On płaci za to wszystko, a zarabia marne osiem tysięcy riali miesięcznie. W imię Allana, oto jest zacny i dobry człowiek.

Policzki kafilą zalśniły w świetle wpadającym przez drzwi.

- Nie rozumiem - mruknąłem.

- Pozwól, że powiem wprost, Naser. Uważam, że to ty powinieneś tym razem opłacić ikamy. Masz już piętnaście lat. Powinieneś pomóc swojemu wujowi i dać coś od siebie, przynajmniej ten jeden raz.

- Jak mam zapłacić?

- Zastanów się. Nie chcesz pomóc wujowi?

- Oczywiście, że chcę. Przecież obiecałem, że kiedy skończę szkołę, to wszystko mu zwrócę. Jak tylko znajdę sobie jakieś zajęcie, on już nigdy nie będzie musiał pracować.

Urwałem, zastanawiając się, po co właściwie mu o tym mówię. To przecież była sprawa pomiędzy mną a moim wujem. Umilkłem na dobre, patrząc tylko na kafilę takim wzrokiem, jaki wznoszę ku Al-lahowi, kiedy Go błagam, aby zmiłował się nade mną i wysłuchał moich modlitw, pomimo że byłem złym muzułmaninem.

Kafil przez chwilę studiował moją twarz, a potem odkaslnął i pocierając grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, powiedział:

- Naser? Zastanów się nad tym. Ostatecznie, o ile mi wiadomo, twoja matka oddała ci Ibrahima pod opiekę, zaufała ci. Zapomniałeś?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

- Naser?

- To prawda - szepnąłem - ale zwrócę wszystko wujowi, kiedy skończę szkołę i znajdę pracę.

- Mnie chodzi o to, co będzie teraz, Naser.

- Rozumiem, ale nie mam pieniędzy. Ani trochę.

- Masz dar Allaha. Zacisnąłem powieki.

Wyobraziłem sobie, że widzę matkę. Biegła ku mnie, ale co krok się przewracała; wstawała, z powrotem zrywając się do biegu - i znów padała na ziemię.

- Naser - odezwał się kafil, który przysunął się tymczasem bliżej i zaczął gładzić mnie po plecach. - Naser?

Czułem się bardzo dziwnie. Uniosłem głowę i spojrzałem na niego.

- Ujmę to w ten sposób - powiedział kafil. - Masz coś, co może być warte te trzy tysiące riali.

Znów zamknąłem oczy, modląc się w duchu, żeby matka przyszła i zabrała mnie ze sobą. Ale ona tym razem nie mogła już wstać. Usłyszałem, że coś mówi, i szepnąłem w odpowiedzi:

- Nic się nie stało, mamó. Wybaczam ci.

- Naser? - Kafil wezwał mnie do siebie.

Dochodziła dziesiąta w nocy, a ja wciąż nie mogłem zasnąć, wciąż dygotałem na całym ciele. Kapałem się już tyle razy, że zupełnie straciłem rachubę.

Kiedy chciałem usiąść w wannie, za każdym razem kończyło się tak samo: zrywałem się gwałtownie, jakby mnie posadzili na rozżarzonych węglach. Położyłem się do łóżka, płasko, na brzuchu, ale ból i tak był straszny.

Spojrzałem na drugie łóżko, gdzie leżał mój brat. Zsunąłem się z posłania i przepelzłem na czworaka na jego stronę pokoju. Przyklęknąłem obok niego. Spał. Pogładziłem go po głowie. Odwrócił się do ściany i spał dalej.

- Ibrahim, kocham cię - zatkąłem.

- Naser, nie widzisz, że śpię? - jęknął. - Daj mi spokój.

- Ibrahim? - Trąciłem go palcem. - Bardzo mnie boli, pomóż mi proszę.

Ibrahim usiadł na posłaniu i zaczął wołać wuja, na cały głos.

- Nie krzycz, już sobie idę. Przepraszam - wymamrotałem, wracając do łóżka.

Ułożyłem się z powrotem na brzuchu i leżałem tak, gryząc róg poduszki i zaciskając palce na brzegach materaca. Nie mogłem zasnąć. Myślałem o matce i nagle zapragnąłem być bliżej niej. Wstałem, włożyłem ubranie i wyszedłem z domu, przemykając się na palcach obok drzwi sypialni wuja. Postanowiłem pojechać na Corniche, nadmorską promenadę Dżiddy, w pewne sekretne miejsce, o którym nie wiedzieli nawet moi przyjaciele. Do północy pozostała jeszcze godzina, więc było dość czasu, żeby złapać ostatni autobus.

Zapłaciwszy za bilet, poszedłem, ciężko powłócząc nogami, na sam tył męskiej części autobusu i usiadłem, podkładając dłonie pod uda, żeby zmniejszyć nacisk.

Oparłem się wygodniej i odetchnąłem głęboko. Pomimo bólu było mi tutaj przyjemnie, ponieważ to siedzenie znajdowało się najbliżej części dla kobiet i chociaż rozdzielało nas przepierzenie sięgające od podłogi do samego sufitu, to ich zapach przenikał do męskiej części przez małe okienko tuż nad moją głową.

Przez pierwszych kilka miesięcy po przybyciu do Dżiddy, kiedy zżerała mnie tęsknota za matką i jej przyjaciółkami, bardzo dużo jeździłem autobusami - tylko po to, żeby być blisko kobiet i ich świata. Były to dla mnie chwile, kiedy udawało mi się uwierzyć, że życie w tym mieście mimo wszystko może być piękne. Ze rzeczy niemożliwych wcale nie jest aż tak wiele. Szczególnie podobały mi się godziny szczytu, bo wtedy w maleńkim kobiecym przedziale panował wielki tłok, a sącząca się przez okienko mieszanka rozmaitych aromatów - wonnego olejku do włosów, ostrego kadzidła, którym nasiąkły abaje, mięsa i świeżych ziół w koszach na zakupy - była bardziej intensywna.

Kiedyś dostałem po głowie od mężczyzny, który przyłapał mnie, gdy zaglądałem przez okienko, przyklejony całym ciałem do przepierzenia, nie mogąc oderwać wzroku od kobiet w czarnych abajach, ściśniętych jedna obok drugiej. Ten nieznajomy krzyknął na kierowcę, kazał mu się zatrzymać i wyrzucił mnie z autobusu. Wtedy jeszcze mi się upiekło.

Fontanna w Dżiddzie ma podobno najwyżej tryskający strumień wody na całym świecie; wybudowano ją w pobliżu jednego z pałaców króla Fahda ibn Abd al-Aziza położonych na wybrzeżu Morza Czerwonego. Moje sekretne miejsce znajdowało się niedaleko niej.

Fontannę otacza rozległy plac, gdzie pełno jest restauracji i małych knajpek. W normalnych okolicznościach przespacerowałbym się wzdłuż Corniche, ciesząc oczy widokiem rodzin wypoczywających na plaży, a serce wspomnieniem, że ja też kiedyś byłem kochany, że mną też ktoś się opiekował.

Ale tamtej nocy odciąłem się od całego świata. Mijałem szybkim krokiem szeregi zaparkowanych samochodów, puszczając mimo uszu

pokrzykiwania ulicznych handlarzy, Afrykańczyków, którzy podobnie jak ja przybyli tutaj zza Morza Czerwonego.

Nieco dalej, tam, gdzie z ulicy schodziło się na plażę, dostrzegłem śpiewaka z lutnią *oud*. Siedział jak zwykle na swojej ławce i grał. Minąłem go, starając się nie robić hałasu, i zszedłem po stromych stopniach.

Przebiegłem plażę, kierując się nad samą wodę, gdzie musiałem uważać, żeby nie nadepnąć na jakieś morskie śmieci: plastikowe butelki albo martwe skorupiaki wyrzucone przez fale. Myślałem już na mojej skale, w swoim osobistym świecie, u boku matki.

To była spora skała, jakich tam wiele, a podpierała jeszcze większą, której wierzchołek sterczał ponad nią, tak że można było się pod nim schować jak pod dachem. Usiadłem właśnie tam i zasłuchałem się w pieśń ulicznego muzyka. Jego śpiew i dźwięki lutni *oud* dobiegały z góry, z poziomu ulicy.

Na początku, gdy zacząłem go tam widywać, to chociaż był ubrany w nieskazitelnie czysty saudyjski strój, wydawało mi się, że jest bezdomny, bo niezależnie od tego, czy pojawiłem się na Corniche za dnia czy nocą, on zawsze siedział na tej samej ławce. Szybko jednak zrozumiałem, kim jest ten człowiek: kochankiem szukającym ukojenia w ramionach morza. W swoich pieśniach opisywał dziewczynę, Egipcjanę, z którą przeżył najszcześniejsze chwile swojego życia - a było to w Kairze, w pewnej restauracji nad brzegiem Nilu. Kiedy jednak oznajmił swojemu ojcu, że chce poślubić tę dziewczynę, ten zabrał mu paszport i podarł go na strzępy, żeby uniemożliwić synowi wyjazd z kraju. Teraz śpiewak snuł opowieść o tym, jak przepłynie morze w pudle swojej lutni, żeby zobaczyć się z ukochaną; jego bijące serce będzie silnikiem, a dłonie wiosłami.

Próbowałem wyrzucić kafiła z pamięci, ale ból płonący w brzuchu i rozlany po całym ciele nie ustępował. Wstał świt, a ja wciąż siedziałem na swojej skale, wypatrując oczy za Erytreją leżącą na drugim brzegu morza. Fale łagodnie biły o brzeg skąpany w promieniach wschodzącego słońca. Od czasu do czasu na niebie pojawiały się chmury i zamierały z wahaniem, jakby się zgubiły, aby ostatecznie ruszyć na wędrówkę ponad dachami Dżiddy. W pewnej chwili fale nagle się wygładziły, a niezmacona powierzchnia morza odbiła barwy nieba: wydało mi się,

że posiadam nadprzyrodzoną moc, tak jak prorok Mojżesz, obdarowany cudowną łaską. Zmrużyłem oczy, zwięzając bezkresne morze do rozmiarów wąskiego strumyczka, który z łatwością mógłbym przekroczyć i w ten sposób powrócić do Erytrei, prosto w czule ramiona matki.

Tak jak każdego popołudnia, usiadła na stołku, wyglądając na ulicę.

Obserwowałem ją w milczeniu z wnętrza naszej chaty. Założyła nogę na nogę, wymachując stopą w powietrzu; czerwony but pływał ponad żółtym piaskiem. Wystawiła twarz na silny wiatr. Jej szczupła, pociągła twarz była ciemna, jak obsypana lśniącem proszkiem antymonowym, a kości policzkowe przypominały niewielkie pagórki opięte gładką skórą. Kiedy zapatrzyła się w pustą przestrzeń, którą miała przed sobą, jej oczy wydawały się nawet ciemniejsze niż skóra, a kiedy mrugnęła powiekami, rzęsy rozpostarły się łagodnie niczym ogon pawia - takie były długie i gęste.

Miałem siedem lat. Tego dnia byłem ubrany w białą koszulkę z krótkim rękawem i żółte szorty w czarne paski. Kręcone włosy nosiłem przycięte na długość małego palca u ręki. Wyjrzałem z chaty - pod ścianą leżał worek ziarna, kupiony przez matkę poprzedniego dnia na targu, a nasza kura dziobała go zawzięcie, próbując zrobić w nim dziurę. Przegoniłem ją i wniosłem ziarno do środka, kładąc worek za drzwiami.

Potem wyszedłem z chaty, żeby napić się wody z glinianego zbiornika, który w Erytrei nazywa się *outer*. Rozłożyłem szeroko ramiona, chcąc pochwycić wiejący wiatr - i wtedy w moje nozdrza uderzył zapach mięsa i przypraw. Spojrzałem w lewo, a następnie w prawo, sprawdzając, która z naszych sąsiadek szykuje posiłek.

W chatach stojących tuż obok naszej mieszkały kobiety o imionach Lumlim i Kamela. Każda rodzina posiadała ten skrawek ziemi, na której stał jej dom, a inne rzeczy były wspólne: szopa, trzy duże beczki na wodę, sznur do suszenia prania, rozpięty na trzech długich tyczkach.

Na osiedlu nie było praktycznie żadnej zieleni oprócz dużego drzewa rosnącego obok naszej chaty od strony domu Lumlim. Czasami zbieraliśmy się pod nim, a Lumlim opowiadała nam różne historie albo wieszala na gałęzi swoje stare radio i słuchaliśmy sobie muzyki.

Podszedłem do miejsca, gdzie stał *outer*. Zbudowaliśmy nad nim mały daszek, żeby woda się nie grzała. Wziąłem do ręki kubek i unio-

słem żelazną pokrywę. Nagły powiew wiatru zawinął mokre ubrania na sznurze, który wydał zupełnie taki sam dźwięk jak struna naszej erytrejskiej liry *krar*. Zerknąłem za siebie; długie, gęste włosy mojej matki płynęły w powietrzu niczym skrzydła czarnego łabędzia, zrywającego się do lotu.

Znów byłem w swojej małej kawalerce. Oczy mi łzawiły od chemikaliów w wypitych perfumach. Zamknąłem pamiętnik, zerkając na zegarek - była dziewiąta dwadzieścia pięć. Z Jahją umówiłem się o dziesiątej. Schowałem pamiętnik z powrotem do szuflady, ale nie byłem jeszcze gotowy, żeby wyjść. Wysączyłem z flakonika ostatnie krople perfum i położyłem się, podciągając kolana pod brodę i oplatając je ramionami. Leżałem tak - wydawało mi się - bardzo długo.

Pięć minut przed umówioną godziną wypadłem z domu i pobiegłem pod swoją ulubioną palmę, rosnącą przed domem, w którym kiedyś mieszkał mój wuj. To tam umówiłem się z Jahją. Odkąd mieszkałem w Arabii Saudyjskiej, to drzewo rosło razem ze mną. Mniej więcej rok po moim przybyciu do Dżiddy władze miejskie wydały polecenie, żeby zazielenić naszą ulicę. Jedna z zasadzonych wtedy palm stała pod domem wuja, a ja przyrzekłem sobie opiekować się nią; miała rosnąć jak najszybciej, żebym mógł schronić się w jej cieniu przed piekielnym żarem lejącym się z nieba. Każdego dnia po szkole nosiłem z domu wuja wodę w butelkach i podlewałem drzewo. Na moich oczach jego cienkie gałązki spotężniały, aż wreszcie stało wyniosłe niczym cesarz w ogromnej, ciężkiej koronie.

Mijały lata, a ta palma dawała mi o wiele więcej niż tylko schronienie przed słońcem. Była moim towarzyszem. Jej gałęzie czuwały nade mną, gdy siadywałem w ich cieniu, rozmyślając, czy wśród kobiet przechodzących ulicą nie ma przypadkiem dziewczyny z moich snów. A chociaż były to zupełnie nierealne mrzonki, to i tak dalej zacho-

dziłem pod swoje drzewo, ponieważ to miejsce świetnie się nadawało do śledzenia owego czarno-białego filmu, który ciągnął się bez końca, ukazując oczom widza nieustającą procesję abaj i saubów. Pomimo całej swej monotonii był to jedyny film w całej Dżiddzie, na którym oczami wyobraźni dostrzegłem za czarnymi kotarami kobiecej odzieży tę jedną aktorkę, dzięki której w moim życiu miała zagościć wreszcie odrobina koloru.

Dochodził kwadrans po dziesiątej, a Jahja wciąż się jeszcze nie pokazał.

Coś zaczęło się dziać gdzieś po mojej lewej stronie. Obejrzawszy się, dostrzegłem człowieka, który dyskutował z zamiataczem ulic, gestykulując przy tym z ożywieniem. Był to mój przyjaciel Hilal, Sudańczyk. To on znalazł mi pracę w myjni samochodowej. Zarabiał na prowizjach od obcokrajowców, którym wyszukiwał różne kiepsko płatne zajęcia, był więc kimś w rodzaju nieoficjalnego pośrednika pracy.

Odwróciłem wzrok. Kiedy Hilal z kimś się kłócił, nie było sensu tego słuchać. Zawsze trwało to bardzo długo.

Spojrzałem na zegarek, zastanawiając się, gdzie jest Jahja. Kiedy uniosłem głowę, zauważyłem dwie kobiety idące razem ulicą. Były podobnego wzrostu i miały na sobie identyczne abaje, przez co wyglądały tak, jakby jedna była cieniem drugiej, bliźniaczą siostrą nocy. Zwróciły głowy w moją stronę. Zwolniły kroku. Patrzyły na mnie - czy może na ścianę albo wiekowe drewniane drzwi za moimi plecami?

Abu Mahdi, stary mężczyzna mieszkający w najwyższym bloku w okolicy, tym dziewięciopiętrowym, pojawił się właśnie na ulicy. Za nim szła kobieta okryta od stóp do głów abają. Mogła to być tylko jego żona, ponieważ Abu Mahdi miał samych synów, którzy już się pożenili i mieszkali w innych dzielnicach Dżiddy. Od dziesięciu lat widywałem go na ulicy; zmarszczki rozsypywały się coraz szerzej po jego twarzy, aż oblepiły ją całą niczym pajęczna sieć. Ciekawe, zastanowiło mnie, czy jego żona też się tak zestarzała.

W pobliżu zawarczał silnik. Myślałem, że to Jahja, ale zamiast niego zobaczyłem białego cadillaca Abu Fajsala; jechał w kierunku

ulicy Mekkańskiej. Zrobiłem to samo co zawsze na widok samochodu pierwszego kata Dżiddy: zacisnąłem z całej siły powieki, nie otwierając oczu, dopóki mnie nie minął. Straciłem ochotę do oglądania go, odkąd po raz pierwszy zobaczyłem jego właściciela przy pracy.

Było to sześć lat temu, w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim, dwa tygodnie po Id al-Fitr*. Szedłem właśnie do galerii handlowej; chciałem kupić sobie nową koszulę, ponieważ dostałem pięćdziesiąt riali w prezencie z okazji Id od znajomego mojego wuja, który tego dnia złożył mu wizytę.

Pojechałem autobusem do dzielnicy Al-Balad, położonej w najstarszej części Dżiddy. Dalej poszedłem pieszo, zagłębiając się w wąskie uliczki brukowane dużymi, popękkanymi kamieniami. Większość domów w tej okolicy zbudowano z ciętych gładów spojonych gliną. Wiszące nad ulicami kolorowe balkony z rzeźbionego drewna trzymały się chyba tylko na pobożnych życzeniach, ale żaden nigdy nie spadł, jakby podpierały je ramiona niewidzialnych duchów.

W powietrzu unosił się zapach zagranicznych przypraw, bijący z niewielkich straganów stojących rzędem wzdłuż większych sklepów, które dla odmiany słynęły ze srebrnej beduińskiej biżuterii.

Opuściłem dzielnicę Al-Balad, kierując się w stronę nowoczesnej galerii handlowej; tutaj ulice były już znacznie bardziej hałaśliwe. Piątkowe modlitwy skończyły się mniej więcej przed godziną, więc wszędzie tłoczyli się mężczyźni w czystych saubach, a nieruchome powietrze przesyciła woń pachnideł i piżma.

Na placu naprzeciwko wejścia do galerii zbierał się gęsty tłum, formując olbrzymi półokrąg.

Chcąc dostać się do sklepów, musiałem przebić się przez tę ciżbę. Lawirując wśród pękających brzuszysk zgromadzonych na placu mężczyzn, całą uwagę skupiłem na tym, żeby nie zemdleć w zabójczym upale. Nagle tłum napał do przodu, podrywając mnie z ziemi; zawisłem w powietrzu, na samym czole szpaleru, oblepiony zbitą męską masą. Zagrzmiały megafony, obwieszczając, że mężczyzna

***Id al-Fitr* (arab.) - święto kończące ramadan i trzydziestodniowy muzulmański post.**

pochodzenia indyjskiego ma tego dnia zostać ścięty za handel narkotykami.

Abu Fajsal wystąpił na środek kręgu. Patrzyłem, nie mogąc nawet drgnąć. Jeszcze nigdy przedtem nie widziałem go przy pracy. Wszędzie dookoła mnie mężczyźni krzyczeli: „*Allahu Akbar**”.

Abu Fajsal był ubrany w czarny płaszcz zarzucony na biały saub. Czarny ikał opinający jego czerwoną gutrę wygląda! jak ciężka korona. Był to najwyższy człowiek, jakiego widziałem w życiu. W szkole mówiliśmy tak: urósł wysoki, aby Allah mógł łatwiej przekazywać mu swoją siłę, kiedy ścina ludzi i odrąbuje im ręce.

Za katem stał krępy, przysadzisty człowiek, który trzymał w rękach długi miecz, lśniący w promieniach słońca. Na środek kręgu wprowadzono skazanego Hindusa z oczami zawiązanymi przepaską i zmuszono go, aby uklęknął!. Dookoła stanęło trzech mężczyzn. Jeden z nich usiadł na ziemi i poprosił, żeby skazaniec powiedział szahadę**. Chwilę później wszyscy trzej odeszli w pośpiechu, a ten krępy z mieczem ruszył w kierunku Abu Fajsala, który tymczasem przechadzał się nieopodal ze spuszczoną głową. Widząc, kto się do niego zbliża, przystanął i wyprostował się, wyciągając swoją długą rękę.

Chwyciwszy miecz pewną dłonią, kat machnął nim dla rozgrzewki, wodząc wzrokiem po cisnącym się wokół tłumie. Przypadkiem chyba spojrzął mi w oczy. Widok jego twarzy przypomni mi, jak to kiedyś Fajsal rozplakał się w mojej obecności, skarżąc się na ojca, który podobno rozpowiadał wszystkim, że jego syn urodził się po to, żeby zostać katem i ścinać ludziom głowy. A on, Fajsal, nie chciał tego robić.

Tłum ucichł; ustały pomruki. Miecz Abu Fajsala zawis! nad samą głową klęczącego na ziemi Hindusa. W chwili, gdy kat wziął zamach, odwróciłem się, wciskając głębiej w ciżbę, chcąc się z niej wydostać.

Zapadła całkowita cisza.

Wyrwałem się z tłumy i popędziłem przed siebie - ale dogonił mnie cienki, przeraźliwy krzyk, po którym zagrzmiało chóralne *Allahu Akbar*.

* *Allahu Akbar* (arab.) -Allah jest wielki.

** *Szahada* - wyznanie wiary w Allaha.

Wbiegłem do galerii handlowej i usiadłem obok wodotrysku stojącego naprzeciwko sklepu ze sprzętem elektronicznym. Wsunąłem dłonie między kolana, mając gorącą nadzieję, że jeśli mocno je ścisnę, to uda mi się stłumić drzenie rąk, od którego dygotała mi cała klatka piersiowa.

Nagle tłum wybuchł dzikim rykiem, który przebił się z łatwością przez ściany galerii handlowej. Oczy zamknąłem już wcześniej, a teraz zatkałem jeszcze uszy palcami, żałując, że nie mogę uciec z tego budynku. Kiedy wrzaski ucichły, wiedziałem, że egzekucja dobiegła końca. Zgromadzony tłum częściowo przelał się do galerii, przynosząc ze sobą echo swojego pomruku i ściszone okrzyki „Allahu Akbar”.

Dopiero wtedy mogłem wyjść i wrócić do domu. Odechciało mi się zakupów i nowej koszuli.

Jahja spóźnił się całą godzinę. Zatrzymał samochód prawie pod samą palmą, ledwie kilka metrów od niej, i wysiadł. Wstałem i podszedłem do niego. Był ubrany w swój ulubiony T-shirt z emblematem klubu futbolowego Al-Ahli, a w dłoni trzymał puszkę z napisem „Pepsi”.

Jahja żył ze spadku po ojcu. Jego ojciec, zanim umarł, był jednym z najbogatszych obcokrajowców w okolicy. Jahję i jego motor znali u nas wszyscy. Lubił się przechwalać, że nie ma na świecie chłopaka, który umiałby się oprzeć jego wdziękowi; że dzięki swojej wspaniałej muskulaturze zawróci w głowie każdemu. Jako jedyny z całej okolicy trenował podnoszenie ciężarów i z wielką ochotą poświęcał godzinę dziennie na dojazd zatłoczonymi ulicami Dżiddy do jedyne go klubu w mieście dysponującego urządzeniami do takich ćwiczeń.

- Wybacz, że się spóźniłem - powiedział swoim gardłowym głosem. - Musiałem się spakować.

- W porządku. - Wyjąłem mu puszkę z dłoni. - Jesteś już gotowy do drogi?

- Aha - przytaknął. - Hani w tym roku też jedzie z rodziną w góry niedaleko Abhy, więc będę się z nim widywał, ale starczy mi też czasu na własne przedsięwzięcia. Wiesz, o co chodzi.

Hani, nasz przyjaciel, był rodowitym Saudyjczykiem. Podobnie jak Jahja nie chodził do szkoły. Pracował u ojca, w firmie importowo-eksportowej. Jahja rzucił naukę w ósmej klasie; powiedział, że nie widzi w tym sensu, skoro jako cudzoziemiec nie ma wstępu na uniwersytet.

- A kiedy wracacie, ty i Hani? - zapytałem.

- Gdzieś w połowie września.

W tym momencie otworzyły się drzwi rezydencji naprzeciwko nas i na ulicy ukazał się Muhammad al-Hyrania w takijji i przykrótkim saubie. Gutrę miał przerzuconą luźno przez ramię. Mierząc nas uporczywym wzrokiem, nałożył ją na głowę i zaczął odczytywać głośno wersety z Koranu. Głowa trzęsła mu się w tę i z powrotem, ale nie spuszczał z nas oczu.

- My to nie Mekka, odwróć się tam, gdzie trzeba! - huknął na niego Jahja.

Kujon zaczął tę samą surę od początku, wciąż nie odrywając od nas wzroku. Kiedy wreszcie skończył recytację, zamknął za sobą drzwi i ruszył ulicą, zakładając dłonie za plecami. Co jakiś czas odwracał się i oglądał na nas.

Pałac Rozkoszy był to prawdziwy pałac. Niegdyś należał do króla Sauda ibn Abd al-Aziza, ale teraz stał opuszczony. Król Saud stracił tron mniej więcej przed ćwierćwieczem, w wyniku zamachu stanu ukartowa-nego przez jego własną rodzinę przy poparciu uczonych teologów.

Pałac znajdował się zaledwie kilka minut samochodem od naszej ulicy. Był olbrzymi i powoli popadał w ruinę pod ciężarem własnej samotności. Jahja skręcił, porzucając ulicę An-Nuzla, i pojechaliśmy na skróty, docierając po chwili do wyludnionego bulwaru, który prowadził prosto do królewskiej siedziby. Z przedniego siedzenia widziałem jak na dłoni wyniosłe wieże, dorównujące wysokością filarom meczetów otaczających pałac. Cały ten majestat był jednak złudny. Za dnia każdy mógł na własne oczy zobaczyć, jak złota farba się łuszczy. Wiedzieliśmy, że ani służby rządowe, ani policja religijna nie zapuszczają się w pobliże Pałacu Rozkoszy - a to ze względu na wspomnienia, "które zostawił po sobie król Saud, władca niestroniący od alkoholu i od kobiet. Jego dawny pałac został uznany za siedlisko zła, dzięki czemu mogliśmy się po nim swobodnie włóczyć, popijając perfumy i wachać klej bez najmniejszej obawy, że przyłapie nas policja. Zajechaliśmy na ulicę biegnącą wzdłuż tylnej ściany pałacu, a tam czekał już na nas Al-Jamani, nasz znajomy, który mieszkał na ulicy Mekkańskiej.

Przywitaliśmy się.

- Co ja dzisiaj widziałem... - zaczął Jahja. - Nie uwierzcie. Zib al-Ard stał pod meczetem, w grupie *mutawwa'in*. Wystrojony na ich modłę, nawet - *jaAllah* - nawet brodę zaczął zapuszczać. Jak on mógł? I to kto? Zib al-Ard? Przecież to nasz kumpel. Niech ja się tylko dowiem, kto jest za to odpowiedzialny. Zatłukę jak psa.

Zostawiłem ich, podchodząc do dziury w pałacowej ścianie, załatanej arkuszem cynkowanej blachy. Strumień moczu zadzwonił o cienki metal, rozpryskując się obok czubków moich butów.

Skończyłem i wracałem już do towarzystwa, kiedy nagle serce zaciążyło mi w piersi jak ołów. Osunąłem się na kolana i zwymiotowałem, ale ponieważ cały dzień nic nie jadłem, żołądek wyrzucił z siebie tylko wonny płyn. Wnętrznosci skręcały się we mnie, warcząc złowrogo. Odetchnąłem powoli. Nie miałem najmniejszej ochoty rozchorować się w tej chwili. Chciałem tylko spędzić trochę czasu ze znajomymi, zanim wyjadą z miasta i zostaną sam jak palec aż do końca lata.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jahja, przyglądając mi się uważnie. - Przestałbyś w końcu chlać te perfumy - dodał.

- Każdy ma jakiś nałóg, nie? - odparowałem, patrząc mu prosto w oczy.

Jahja tylko zatarł ręce, jakby nagle coś sobie przypomniał. Odwróciwszy się plecami do Al-Jamaniego, wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego małe zdjęcie. Był na nim chłopiec o jasnej skórze, gładkiej twarzy i łagodnym uśmiechu.

- Skąd jest ten chłopak? - zapytałem.

- Nie wiem - odparł jakby nigdy nic.

- Jak to: nie wiesz?

- Niedawno sprowadził się z rodziną na naszą ulicę i nie mówi po arabsku.

- To jak z nim się porozumiewasz?

- Arabski to język islamu, tak? Ale nikt nie powiedział, że język miłości to też musi być arabski - zachichotał Jahja. - No, gadaj - odwrócił się z powrotem do Al-Jamaniego - kto tak przekabacił Zib al-Arda. Ty znasz go najlepiej.

* *Mutawwa* (liczba mnoga: *mutawwa'în*) - określenie muzułmanina wiernego ścisłej interpretacji islamu. Nazywa się tak również członków saudyjskiej policji religijnej.

Al-Jamani zaczął mówić, przerywając co chwilę, żeby zaciągnąć się papierosem.

- Przerobili go we dwóch: ślepy imam i Basil.

- Ślepego imama znam, a ten Basil to kto?

- Jego opiekun-przewodnik.

- Widziałem go parę razy na ulicy z imamem - wtrąciłem się do rozmowy - ale on jest z innej dzielnicy, prawda?

- Prawda. Z Charentiny. Trzymał się tam z chuliganami, miał własną flotę motocykli i ćpał. Ale każdy wiedział, że Basil przede wszystkim ma słabość do ładnych chłopców. I było ich tam dla niego pod dostatkiem. Tylko że któregoś dnia rozwalił się na motorze. Poważnie się rozwalił, a chłopak, którego wiózł z tyłu, o mały włos nie umarł.

- Jak się nazywał ten chłopak? - zapytał Jahja, opierając się na moim ramieniu. Nie lubiłem tego.

- Nie martw się - odpowiedział Al-Jamani - jest jeszcze kilku takich, których nie miałeś w łóżku.

Jahja spojrział na mnie i mruknął, uśmiechając się przebiegle:

- Kilku, być może. Ale to tylko kwestia czasu.

- No więc - podjął Al-Jamani - kiedy Basil wyszedł ze szpitala i wróci! do domu, postanowił pójść do meczetu i podziękować Alla-howi. A tego dnia naucza! tam gościnnie ślepy imam. I nagle, kiedy w swoim kazaniu zaczął opisywać piekło tak szczegółowo, jakby widział je na własne oczy - nagle wszystko się zmieniło. Opowieść imama chwyciła Basila za serce do tego stopnia, że postanowił zerwać z całym swoim dotychczasowym życiem - nie wyłączając przyjaciół, kochanków ani nawet rodziny - i poświęcić się służbie imamowi i Allahowi. Stara się teraz odkupić swoje grzechy: na wszelkie sposoby i najszybciej, jak tylko zdoła.

Al-Jamani zrobił pauzę, żeby zaciągnąć się papierosem.

- Tak więc teraz Basil myśli tylko o tym, żeby zebrać jak najwięcej nagród. To jego misja: wznosić niebotyczne szczyty zbudowane z dobrych uczynków. Takich jak na przykład nawrócenie chuligana i zrobienie z niego *mutawwa* albo wysłanie kogoś do Afganistanu.

- A w jaki sposób przerobił Zib al-Arda? - zapytał Jahja.

- Dokładnie to nie wiem - przyznał Al-Jamani - ale musiał to zrobić na nabożeństwie za jego brata-męczennika.

- Chalid nie żyje? - zapytaliśmy obaj jednym głosem.

- Nie żyje. Zginął męczeńską śmiercią w Afganistanie, kilka miesięcy temu, podczas ciężkich walk pomiędzy komunistami a mudżahedinami, które ostatecznie doprowadziły do wycofania wojsk sowieckich. Wiadomość o jego śmierci przyszła dopiero niedawno. Gdybyście słyszeli, jak Basil przemawiał na pogrzebie, to na pewno byście się popłakali. Wszyscy mężczyźni płakali. Basil recytował piękne wiersze, wysławiając bohatera - opowiadał Al-Jamani. - A kiedy opisywał, co czeka męczenników w niebie, patrzył prosto na Zib al-Arda, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że powinien zazdrościć bratu takiej śmierci. I moim zdaniem osiągnął swój cel. Kilka dni później Zib al-Ard już chodził wystrojony jak bogobojny *mutawwa*: gutra bez ikala, a saub skrócony tak, że kończył się tuż nad kostkami. I zaczął się zachowywać jak *mutawwa*: wyrzucił wszystkie taśmy z muzyką, pornomagazyny i filmy. Rozwalił nawet telewizor i zniszczył albumy ze zdjęciami. „Fotografie”, powiedział, „są zakazane, bo tam, gdzie ich dużo, anioły nie wchodzi, a tego, kto je robi, czeka kara w dniu sądu ostatecznego: Allah wyzwie go na próbę i rozkaże mu tchnąć życie w swoje stworzenie”. Tylko Allah jest stwórcą, powiedział Zib al-Ard.

- Tylko po co chce jechać do Afganistanu? - dziwił się Jahja.
- Myślałem, że wojna już skończona.

- To prawda - odparł Al-Jamani - ale jak mówił Basil, mudżahedini toczą teraz równie doniosły dżihad skierowany przeciwko promoskiew-skierowemu reżimowi Nadżibullaha. I dlatego, powiedział, Arabowie z Afganistanu potrzebują jeszcze więcej rekrutów, aby zwyciężyć zdrajców i odstępców od wiary. A Zib al-Ard odpowiedział na to wezwanie.

Umilkł nagle, a potem wymamrotał:

- *Astakfirullah, astakfirullah**.

- Za co prosisz Allaha o wybaczenie? - rozzłościł się Jahja.

- Uświadomiłem sobie, że nie możemy go już przezywać Zib al-Ard, bo został *mutawwa* i to teraz jest *haram*. Musimy używać jego prawdziwego imienia: Murad.

- Nie wygłupiaj się! - warknął Jahja. - Jest z niego taki sam kurdupel jak kiedyś i z tego, co wiem, dalej ciągnie tego swojego długiego

****Auakfindluh* (arab.) - niech Allah nam wybaczy.**

fiuta po ziemi, kiedy chodzi. To jest Zib al-Ard* - i nigdy nie będzie inaczej.

Al-Jamani potrząsnął głową i poszedł sobie, cały czas mamrocząc to swoje: „*Astakfirullah, astakfirullah*”.

Jeśli chodzi o mnie, to z jednej strony byłem zdania, że Zib al-Ard to świetne przezwisko, i miałem ochotę roznieść je po całym mieście, żeby zemścić się na jego właścicielu za to, że przeszedł na stronę ślepego imama i został zwykłym Muradem - ale jednocześnie wcale nie przestałem lubić tego chłopaka i nie mogłem zapomnieć, że przez długi czas byliśmy dobrymi kumplami.

Kto następny wpadnie w łapy ślepego imama i jego Basila? Na pewno nie ja - tak przynajmniej mi się wydawało tamtej nocy, kiedy patrzyłem w ślad za Al-Jamanim wychodzącym z Pałacu Rozkoszy.

Przysiedliśmy sobie na chodniku przed Pałacem. Jahja podał mi puszkę z napisem „Pepsi”. Chwyciłem ją w dłoń i zatkałem palcem jedną dziurkę w nosie, po czym pochyliłem nisko głowę, przykładając otwarte nozdrze do otworu w puszcze. Zamknąwszy oczy, wciągnąłem opary kleju głęboko w płuca, wstrzymując na chwilę oddech, a potem wypuściłem powietrze, powoli odchylając głowę do tyłu. Pozostałem w tej pozycji przez jakiś czas.

Wreszcie odstawiłem puszkę na chodnik pomiędzy sobą a Jahją. Wieczorny wiatr muskał moje łydki. Spojrzałem na pałacową wieżę, kruszejące mury i samotną palmę pośród suchych traw - jedyną, która się jeszcze ostała.

Znów chwyciły mnie mdłości. Odwróciłem się, czując już prawie na karku oddech Jahji, który pochylał się nade mną, błyskając roziskrzonymi oczami. Uciekłem przed tym gorącym oddechem.

Jahja wyciągnął się na chodniku, na boku, nogami w stronę kępy suchej trawy. Wyciągnął dłoń, kładąc ją na moim udzie.

Odepchnąłem ją, a on się roześmiał.

Najchętniej bym mu przyłożył, ale wiedziałem, że jest ode mnie silniejszy, więc po prostu odwróciłem głowę, zawieszając wzrok na palmie, którą obserwowałem wcześniej.

* **Zib al-Ard (arab.) - dosł. „fiut do samej ziemi”.**

Po chwili poczułem dłoń Jahji na piersi. Złapałem puszkę po pepsi i rąbnąłem go w rękę. Widząc, jak oczy nagle otwierają mu się szeroko, zacisnąłem powieki w oczekiwaniu na kontrę. Jahja zerwał się na równe nogi, chwycił mnie za ramiona i szarpnął, odrzucając o kilka kroków. Przewróciłem się, ale nie próbowałem wstawać; trwałem bez ruchu, tak jak ta samotna palma.

Jahja rzucił mi wściekłe spojrzenie

- Nikt nie będzie mnie bił, zrozumiano?! - wrzasnął. Odpowiedziałem cicho:

- A ja prosiłem cię milion razy, żebyś mnie nie dotykał.

- Dlaczego? - zawarczał, podchodząc bliżej.

Podniosłem się z chodnika, otrzepując ręce i nogi z kurzu. Zmierzyliśmy się wzrokiem.

- Jahja, jesteśmy przyjaciółmi czy nie?

- Wiem, że robisz numerki - powiedział tylko.

Odrzuciłem głowę w tył, zamknąłem oczy, zacisnąłem zęby.

- To dlatego, że nie jestem Saudyjczykiem? - zapytał.

- Idę - uciałem. - Baw się dobrze w górach.

Chciałem go minąć, ale złapał mnie za ramię i osadził na miejscu.

- Odpowiedz mi - rozkazał. - Czy to dlatego, że nie jestem Saudyjczykiem? Mam dla ciebie za mało władzy, za mało prestiżu?

- Nie, Jahja, tutaj chodzi o zupełnie coś innego.

- O co?! - wydarł się. - No, mów! - Puścił mnie i splunął na chodnik, a potem podwinął rękawy koszulki, prężąc swoje napakowane mięśnie.

- A to widziałeś? - szepnął i dodał, całując się w biceps: - Czy któryś z tych twoich facetów ma takie?

- Jahja, nie słuchasz mnie - zwróciłem mu uwagę. - Ja czekam na dziewczynę.

Gdy tylko to usłyszał, zaniósł się szczekliwym śmiechem hieny. Nie mógł się opanować.

- Robisz się zupełnie jak Hani - oznajmił, kiedy złapał oddech.

- Widziałeś, jak on się obnosi ze zdjęciem jakiejś egipskiej aktorki i opowiada, że kocha ją nad życie? Mówi o niej tak, jakby to była prawdziwa, żywa osoba. Gadał, że będzie spotykał się z nią nocami w apartamencie z widokiem na plażę i że kupi jej wszystko, czego tylko ona sobie zażyczy. - Umilkł na chwilę, spokojnym ruchem wyjął

z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego. - Uważaj, żebyś i ty nie stracił głowy.

Zaciągnął się głęboko i poczęstował mnie jednym.

- Gdzie ty chcesz się spotykać z tą swoją dziewczyną? W kinie? W teatrze? Takie rzeczy dzieją się gdzie indziej, w Egipcie, w Bejrucie, ale nie tutaj, w Arabii Saudyjskiej. My i one żyjemy w osobnych światach i spotykamy się dopiero przy ślubie. Więc ja mówię tak: dopóki się nie poženimy, cieszymy się sobą nawzajem we własnym towarzystwie. Tak jak ty, kiedy pracowałeś u Džasima. To jest twoje prawdziwe przeznaczenie, musisz się tylko z nim pogodzić.

Odepchnąłem Jahję na bok i odszedłem, zostawiając go pod samotną palmą. Nawet się nie pożegnałem. Szedłem prosto na przystanek autobusu jadącego na Corniche.

Spędziłem na swojej skale dobrych kilka godzin, a towarzyszył mi melancholijny głos saudyjskiego śpiewaka. Zazdrościłem mu tych łez miłości i tęsknoty za kobietą, którą opisywał jako ukochaną, ale też jako najlepszą przyjaciółkę. Bardzo chętnie przyłączyłbym się do śpiewu, aby posmakować westchnień jego serca.

Tymczasem, tak jak zawsze, postanowiłem mu nie przeszkadzać i zamiast się włączyć, odpłynąłem w marzenia, niesiony jego pieśniami. Moje serce wypatrzyło gdzieś w przyszłości tę chwilę, gdy Allah sprawi cud: jakaś dziewczyna weźmie mnie za rękę, a ja powiem jej wszystkie rzeczy, które mówią sobie kochankowie.

Po powrocie do domu, gdy noc dobiegała już końca, wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka.

Moje ciało ze wszystkich sił domagało się kobiecego dotyku. Zamknąłem oczy, powracając wyobraźnią do świata, w którym kiedyś żyłem z matką i jej przyjaciółkami. Odwiedzałem go w ten sposób już od wielu lat; zagnał mnie tam strach, który wybuchł piekącym płomieniem w moim żołądku, kiedy po raz pierwszy pomyślałem, że mogę już nigdy nie zobaczyć matki. Tylko tak mogłem ugasić ten ogień. Później jednak, kiedy ból już przygasł (choć bynajmniej nie ustąpił), ów świat przeszłości stał się dla mnie jedynym miejscem, gdzie mogłem spotykać się z kobietami. Moje budzące się pragnienia znalazły schronienie w krainie mojej matki.

Matka robiła różne rzeczy, żeby zarobić na życie: plotła kobietom włosy i robiła rysunki henną na dłoniach i stopach. Pracowała na miejscu, w naszej chacie, siedząc na stołku obok swojego łóżka, które stało naprzeciwko mojego. Jej klientki - a często oprócz tego także przyjaciółki - przychodziły do nas, kiedy tylko miały ochotę. Najwięcej pracy było, kiedy szykował się jakiś ślub, a także przed Id al-Fitr, Wielkanocą i Bożym Narodzeniem.

Leżąc w swoim łóżku, słyszałem ich rozmowy. Przysłuchiwałem się, jak opowiadają sobie o miłości, mężach, i o tym co je cieszy, a co smuci. Kiedy jakaś kobieta przychodziła do mojej matki na noc, udawałem, że śpię, a tak naprawdę podglądałem je, gdy nie zwracały na mnie uwagi. Samira, w połowie Erytrejka, a w połowie Włoszka, przychodziła do naszej chaty najczęściej.

A teraz, kiedy zamknąłem oczy, Samira stanęła przede mną, ale nie jako matka chrzestna, którą kiedyś znałem, ta, która dzieliła się ze mną mądrością i dobrą radą; teraz zobaczyłem w niej boginię miłości i pożądania. Była jedyną kobietą, jaką widziałem nago. Wspominając krągłości jej ciała, czułem, że żyję.

Przypomniałem sobie pewien wieczór, kiedy miałem dziewięć lat. Siedziałem na kolanach u Samiry, a ona żuła gumę, która co jakiś czas wychylała się spomiędzy jej czerwonych warg. Samira miała na sobie białą koszulę, obcisłą w gorsie i z głębokim dekoltem, odsłaniającym miejsce, gdzie zaczynały się piersi. To była koszula, w której najbardziej lubiłem ją oglądać. Wodziłem wzrokiem za grzebieniem, migającym w jej dłoniach, kiedy czesała włosy.

- Mogę pozuć twoją gumę? - poprosiłem.

Skinęła głową i wypchnęła gumę językiem, zatrzymując ją na krawędzi rozchylonych ust. Wyciągnąłem rękę i palcami wyjąłem gumę, rozgrzaną ciepłem jej ciała. Nie była już słodka, ale nasyciła się smakiem ust Samiry. Zacząłem żuć, powoli, wędrując jednocześnie oczami po jej smukłej szyi i dalej, wzdłuż złotego naszyjnika, tak pięknie pasującego do jasnobrązowej skóry. Ostatecznie zatrzymałem wzrok na uniesionych wypukłościach piersi i nie mogłem go już od nich oderwać. Samira uśmiechnęła się i odwróciła głowę.

Następnego dnia wstałem o piątej rano i poszedłem do pracy, czyli do myjni samochodowej. To był mój ostatni dzień przed rocznym dwutygodniowym urlopem.

Myjnia mieściła się przy małej bocznej uliczce odchodzącej od An-Nuzli, w okolicy zamieszkaney przez Czadyjczyków. Tuż obok znajdowała się prowizoryczna szkółka, w której pewien muzułmanin z Czadu uczył francuskiego i angielskiego.

Głównymi klientami naszego zakładu byli bogaci Saudyjczycy mieszkający we wschodniej części dzielnicy An-Nuzla, zamożnej okolicy An-Nuzla asz-Szarkijja. Ci ludzie mieli własnych szoferów, którzy przyprowadzali do nas ich samochody.

Ponieważ jednak większość tych bogaczy w lecie wyjeżdżała z rodzinami na wakacje (głównie do Europy), mieliśmy mniej pracy, a mój szef, pięćdziesięcioletni Czadyjczyk, dawał mi w tym sezonie trochę wolnego. Co roku dostawałem całe dwa tygodnie urlopu - bardzo dużo jak na cudzoziemca; nie każda praca była dozwolona dla przyjezdnych, a z urlopem bywało różnie. Tak więc w pewnym sensie mi się poszczęściło, ale z drugiej strony przez cały rok musiałem wyrabiać nadgodziny i zasuwać w myjni od świtu do późnego wieczora, a w nagłych wypadkach, kiedy klient wybierał się na jakieś ważne spotkanie - być pod ręką, żeby jego samochód wyglądał jak nowy.

I tak późnym popołudniem, po umyciu dwóch rolls-royce'ów i jednego mercedesa, szef oznajmił mi, że od tej chwili mam wakacje.

Mogłem więc teraz bez przeszkód przesiadywać do woli pod swoją palmą i szukać ucieczki przed samotnością w ciepłym, żywym świecie wspomnień.

Część druga

Samotność w lecie

W lipcu mieszkańcy Dżiddy powyjeżdżali na wakacje i miasto ogarnęła niecodzienna cisza. Ulica An-Nuzla zaczęła świecić pustkami, nawet wieczorną, chłodniejszą porą. Jeszcze przed tygodniem wszędzie uwijali się ludzie - teraz jakby ich wymiotło.

Prawie wszyscy moi znajomi wyjechali z Dżiddy. Moi przyjaciele, Fajsal i Zib al-Ard, walczyli w Afganistanie. Dżasim był w Paryżu, kupował prezenty i najprawdopodobniej poszukiwał nowych pomysłów na upiększenie swojej restauracji. Jahja włóczył się po górach i szukał miłości - tego można było być pewnym. W mieście nie został nikt, tylko ja sam. O bracie i wuju przestałem już nawet myśleć; nie ma sensu starać się o kogoś, kto nie życzy sobie utrzymywać z tobą kontaktu. Poza tym ani Ibrahim, ani mój wuj nigdy w życiu nie odezwaliby się nawet słowem do kogoś, kto pracował u Dżasima. Tym, którzy wiedzą, o co chodzi, nie trzeba nic tłumaczyć, natomiast mój wuj, kiedy się w czymś nie orientował (a takich rzeczy było sporo), zawsze miał o tym z góry jak najgorsze zdanie. Tak w jego mniemaniu postępował człowiek religijny.

W naszej okolicy istniały tylko cztery kategorie ludzi niewyjeżdżających w lecie na wakacje: tacy, którzy nie mieli pieniędzy, tacy, którzy nie mieli rodziny do odwiedzenia, tacy, dla których wakacje były zakazaną, prostacką rozrywką, oraz tacy, którzy najbardziej z całego roku lubili spokój ulicy An-Nuzla latem. Ja, chociaż miałem oszczędności odłożone jeszcze z czasów pracy u Dżasima, marzyłem tylko o jednym: odwiedzić matkę i Samirę. Ale one mieszkały w kraju ogarniętym wojną, która wydawała się nie mieć końca.

W mojej samotności czasami udawało mi się odnaleźć chwilę szczęścia wśród mglistych wspomnień, jednakowo zaprawionych goryczą jak i słodyczą - lecz pomimo to lato w Dżiddzie, wyludnione ulice, zalane żarem z nieba i przytłoczone ciężką ciszą, były dla mnie czymś nie do zniesienia.

Letnie dni wydawały się dłuższe niż zwykle, a czas płynął ospale. Nie miałem nic do roboty, więc mój pamiętnik także leżał odłogiem. Każda minuta przymusowego pobytu w tym mieście popychała mnie coraz bliżej skraju urwiska, za którym roztaczało się morze osamotnienia.

Trzeciego dnia urlopu, we wtorek, po południu, naszała mnie chęć, żeby odpocząć sobie trochę od czytania, wyjść z domu i posiedzieć w cieniu mojego drzewa.

Za drzwiami ogarnęło mnie rozfałowane od skwaru powietrze. Na skraju chodnika rozejrzałem się w obie strony - niepotrzebnie, bo nic nie jechało. Ulica była pusta, wyludniona. Podeszwą sandała oczyściłem płytę chodnikową z kurzu i usiadłem. Miałem ochotę na długi odpoczynek. Dzień o tej porze cudownie nieruchomiał. Zapadała tak głęboka cisza, że z łatwością można było sobie wyobrazić, jak ulicą An-Nuzla toczy się kłęb spleciony z połamanymi gałązek pustynnych krzaków, jak na starych kowbojskich filmach. A w zasięgu wzroku nie było żadnego szeryfa ani policjanta z policji religijnej, który mógłby zatrzymać tę lekką, kolczastą kulę.

Wyciągnąłem się na chodniku i tak sobie leżąc, nagle zauważyłem kobietę okrytą szczelnym, czarnym kwefem, która wyszła właśnie szybkim krokiem zza rogu. Zdziwiłem się, nie mogąc zrozumieć, po co tak pędzi w tym upale. Ułożyłem się wygodnie na chłodnych kamiennych płytach, z twarzą zwróconą w kierunku ulicy.

Odgłos pospiesznych kroków zbliżał się coraz bardziej. Uniosłem głowę. Kobieta szła prosto na mnie, więc usiadłem.

Zatrzymała się, spojrzała w lewo, potem w prawo. Przystanęła tuż przede mną, mierząc mnie wzrokiem zza swojej czarnej maski, załamanej w miejscu, gdzie znajdował się nos. Po chwili rzuciła mi na kolana kulkę zgniecionego papieru i oddaliła się szybko.

Błyskawicznie rozłożyłem kartkę. Był to list do mnie. Przeczytałem go, a nieliczne zapisane w nim słowa natychmiast wryły mi się w pamięć.

Potrząsnąwszy głową, rozejrzałem się, sprawdzając, czy przypadkiem nikt mnie nie obserwuje. Czy to miał być jakiś podstęp? Złożyłem kartkę na kilka części, tak że była jeszcze mniejsza niż poprzednio, i schowałem ją głęboko w kieszeni.

Ulica znów świeciła pustką, tak jak przedtem. Zapaliłem papierosa, usiłując zachować spokojny wygląd, ale w głowie aż wirowało mi od myśli i pytań. Przecież to było czyste szaleństwo. Czy ta kobieta nie wiedziała, że policja religijna śledzi każdy nasz krok? I jak to możliwe, że zaufała mi do tego stopnia? A gdybym był tradycjonalistą, konserwatystą, który nie toleruje zachowań tego typu, kompletnie sprzecznych z islamem? Mógłbym za nią pójść, śledzić aż do samego domu, a potem donieść o wszystkim głowie jej rodziny. Bałem się nawet pomyśleć, co zrobiliby takiej kobiecie mężczyźni, dla których najwyższą i jedyną wartością jest własny honor. *Ja Allah*, pomyślałem, to musi być wariatka. Tylko wariatka tak ryzykuje.

Mimo wszystko, na myśl, że siedzę sobie na ulicy z liścikiem od dziewczyny w kieszeni, poczułem jednak dreszcz ekscytacji. A w pewnym momencie, zanim jeszcze wstałem z chodnika, zacząłem się poważnie zastanawiać nad propozycją złożoną w tych kilku krótkich zdaniach.

- Czemu nie? Lato i tak będzie się dłużyć - namawiał mnie diabeł, którego nosiłem w sobie. Podniosłem się i ruszyłem z powrotem do domu, czytając po drodze otrzymany liścik jeszcze raz:

Mój drogi!

Piszę do Ciebie w tajemnicy. Nikt o tym nie wie, oprócz mnie samej i Allana. Chcę tylko powiedzieć, że mi się podobasz i że chciałabym jeszcze kiedyś do Ciebie napisać. Będę Cię wyglądać pod tym drzewem jutro o tej samej porze.

Zacisnąłem powieki, usiłując sobie przypomnieć, jak wyglądała. W obszernej czarnej burce, czarnych rękawiczkach i czarnych butach była podobna do wszystkich innych kobiet na ulicy. Ale pod spodem... Pod spodem wszystko było możliwe.

Mogła pochodzić z królewskiego rodu albo z bogatej saudyjskiej rodziny mieszkającej w An-Nuzli asz-Szarkijji. Lecz jeśli była bogaczką albo wręcz księżniczką - to czemu nie wyjechała na wakacje, tak jak wszyscy? Może ten list napisała zwykła służąca albo córka jakiegoś religijnego człowieka? Albo - czy to możliwe? - żona, którą mąż zostawił w domu z dziećmi, a sam wyjechał na wakacje? Czy to była dziewczyna, kobieta, czy wdowa? Czy mieszkała w sąsiedztwie? Czy mogła być siostrą któregoś z moich znajomych? Ale przecież moi znajomi nigdy nie mówili ani słowa o kobietach ze swoich domów.

Przypomniałem sobie ten poranek w restauracji Dżasima, kiedy Omar opowiadał o dziewczynach rzucających chłopakom liściki pod nogi. Może ta, która napisała do mnie, miała już na koncie podobną korespondencję z innymi dorastającymi mężczyznami? Może zdążyła już złamać niejedno serce i rozglądała się za kolejną ofiarą?

A nawet gdybym zdecydował się zaangażować, to przecież wystarczyła chwila nieuwagi, żeby wpaść w ręce policji religijnej i z aresztu powędrować prosto na plac Kar, gdzie kochanków czeka chłosta - a czasami nawet śmierć. Jak ona śmiała mnie narażać? Życie w Dżiddzie jest i tak wystarczająco ciężkie, po co jeszcze stroić sobie żarty z ludzi, nawet gdy nie ma się nic lepszego do roboty? Kto by chciał dostać taki makabryczny prezent, opakowany w pogniecioną kartkę? i

Cisnąłem liścik do śmietnika i wróciłem do domu.

Tego lata, nie mając żadnego towarzystwa, czytałem książki i przeglądałem swoje pamiętniki oraz listy do matki. Często powracały przy tym też wspomnienia z okresu, kiedy byłem piętnastolatkiem schwytanym w pułapkę, jaką była restauracja Dżasima, gdzie musiałem godzić się na to, że jestem obiektem pożądania wyposzczonych seksualnie mężczyzn. Pamiętnik był mi w tym wypadku zupełnie zbędny; wspomnienia tamtych dni wtarły się na zawsze w moją skórę.

Wszystko zaczęło się kilka tygodni po całym tym zajściu z moim kafilem, Błogosławionym Badrem ibn Abd Allahem. Wciąż jeszcze dręczyły mnie koszmary. Pewnego razu obudziłem się w środku nocy, cały we łzach, raz po raz wołając matkę.

Do pokoju wpadł wuj.

- Bądźże cicho! - krzyknął.

Ale ja, zamiast umilknąć, wołałem ją dalej. To wystarczyło, żeby wuj wybuchnął wielkim gniewem.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie wymawiał imienia tej grzeszniczki, niech Allah spali ją w piekle, *insza Allah*.

Zerwałem się z łóżka, skoczyłem mu prosto na pierś i uderzyłem w twarz. Odepchnął mnie z powrotem na posłanie, złapał oburącz za szyję. Był zlany potem, a z górnej wargi ciekła mu krew. Wpatrywał się we mnie oczami nieruchomymi jak u lalki. Zacząłem rzezić, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

Wreszcie wuj odepchnął mnie od siebie.

- Wstawaj i wynoś się z mojego domu! - zawołał, odwracając się plecami. - Jesteś niewdzięcznikiem i nigdy się nawet nie modlisz. Nie będę wyrzucał pieniędzy na takiego odszczepieńca. Do jutra ma cię tutaj nie być.

Krzyczałem, płakałem, błagałem, ale wuj nie chciał nawet słuchać. Wyszedł, zamykając drzwi, a rano przyglądał się, jak pakowałem swoje torby. Oznajmił mi, że nie widzi absolutnie żadnej szansy na to, żebym został dobrym muzułmaninem, ponieważ wychowała mnie niereligijna kobieta.

- Ale spójrz na Ibrahima - powiedział. - Odkąd zostałem jego ojcem, od razu znać różnicę. Już teraz widać, że będzie z niego błogosławiony muzułmanin.

Nie wiedziałem, dokąd mam iść. Zacząłem go prosić, ostatni raz, żeby zmienił zdanie.

- Skończyłem dopiero piętnaście lat - błagałem. - Nie mam żadnych pieniędzy. Dokąd pójdę?

- Idź sobie do swoich koleżków, do tych zakał islamu, co wachają klej - odpowiedział, wypychając mnie za próg i zamykając za mną drzwi. Usiadłem przed domem i siedziałem tak przez jakiś czas, nie wiedząc, co mam teraz robić.

Jedynym przyjacielem, który mógł mi pomóc, był Dżasim.

Znałem go wtedy już trzeci rok. Poznaliśmy się w jego restauracji, do której zaszedłem pewnego ranka na herbatę. Miałem dwanaście lat. Kiedy podszedłem do lady, wyciągając pieniądze, Dżasim powiedział, że nie muszę płacić, bo jestem najmłodszym klientem w dziejach lokalu, który przy herbacie czytał gazetę.

- I do tego moją ulubioną - dodał, wskazując mój „Ukaz”. Powiedział, że podziwia ludzi, którzy lubią czytać, i że odtąd zamiast codziennie kupować poranny numer, mogę przychodzić do restauracji i pożyczać go sobie od niego.

Z czasem poznaliśmy się lepiej i oprócz codziennej gazety zacząłem dostawać od Dżasima prezenty, najczęściej książki i zbiory poezji. Ale dopiero kiedy w oparciu o mój opis namalował dla mnie portret matki - dopiero wtedy stał się kimś bardzo mi drogim. Dzięki jego wspaniałemu dziełu mniej za nią tęskniłem, bo teraz miałem ją już na wyciągnięcie ręki, bo jej twarz, wyryta w mojej pamięci, znów stała się rzeczywista, a kwitnący na niej uśmiech obdarzył kolorem każdą rzecz, którą spotykałem, idąc swoją drogą. Kiedy tylko brak mi było ciepła jej miłości, mogłem przytulić ten portret mocno do piersi.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem - powiedziałem Dżasimowi w dniu, kiedy zakończył pracę. - Najlepszym przyjacielem - powtórzyłem w nagłym przyływie nieopanowanych emocji.

Kiedy stanąłem w drzwiach, objuczony torbami, Dżasim natychmiast zabrał mnie do kuchni, z dala od klientów. Przekonałem go, żeby pozwolił mi zamieszkać w pokoiku na zapleczu, tym z lustrem na suficie.

- Posłuchaj, Naser - powiedział. - Mogę cię tutaj zakwaterować, ale musisz zrozumieć, że dla mnie to nie jest zwykły pokój.

- Dżasim - przerwałem mu - nie martw się. Nie będę u ciebie długo mieszkał. Przebłagam wujka, żeby pozwolił mi wrócić. Na pewno się zgodzi. Zaufaj mi: niedługo się wyprowadzę.

- Tym się nie przejmuj. Nie musisz się wyprowadzać tak natychmiast - zaprotestował. - Chcę ci pomóc, ale chciałbym także, żebyś ty pomógł mnie.

- Co mam zrobić? - zapytałem.

- Pracuj u mnie. Wyleję kelnera. Na tym chłopaku nie można polegać. Mam wrażenie, że ty sobie lepiej poradzisz. I nie obawiaj się: dostaniesz normalną stawkę.

Nie zastanawiałem się długo. Zgodziłem się praktycznie od razu. Dlaczego? Bo - jak sobie pomyślałem - jeśli będę miał pieniądze, nie będę musiał płacić ciałem naszemu kafilowi za przedłużenie zezwoleń stałego pobytu.

- Zaoszczędzę tyle, że starczy i za mnie, i za brata - mruknąłem pod nosem do siebie.

- Co z tobą? Dobrze się czujesz? - zapytał Dżasim.

- Tak - uśmiechnąłem się, zadowolony, że od tej chwili będę mógł sam podjąć jakąś odpowiedzialność.

- Uwielbiam ten twój uśmiech, mój drogi - powiedział Dżasim, biorąc mnie za rękę i przyglądając mi się błyszczącymi oczami.

Odwróciłem głowę.

Wypuszczając moją dłoń, dodał jeszcze ostrzegawczym tonem:

- Ale chyba rozumiesz, że jeśli chcesz tu pracować, to musisz rzucić szkołę?

W zamian za rezygnację z nauki Dżasim obiecał mi, że będę mógł brać sobie do czytania każdą książkę z jego kontrabandy. Szmuglował literaturę zza granicy na zamówienie ludzi, którzy chcieli czytać to, co było zakazane przez władze. Niektóre z tych pozycji trafiły na indeks, bo krytykowały rząd, inne zostały uznane za nieislamskie. Ulubionym autorem klientów Dżasima był saudyjski pisarz nazwiskiem Abd ar-Rahman Munif, pozbawiony obywatelstwa za pisanie o polityce i mieszkający na wygnaniu w Syrii.

Wydawało mi się, że nie pomieszkam długo na zapleczu restauracji, bo byłem pewien, że wuj przyjmie mnie z powrotem do siebie, kiedy obiecuję mu oddawać większość swoich zarobków jako wkład w utrzymanie domu. Tymczasem kilka tygodni po mojej przymusowej przeprowadzce wuj zabrał Ibrahima na stałe do Rijadu, bo tam jego pracodawca przeniósł swoją firmę. Dowiedziałem się o tym od dozorca domu, w którym mieszkaliśmy z wujem. Dozorca wyznawał sufizm i pochodził z Pakistanu - czyli był obcy, tak samo jak ja - i zawsze informował mnie, co sływać u Ibrahima.

Ale tamtego ranka, kiedy stanął w otwartych drzwiach, opuścił tylko głowę, nie mówiąc ani słowa, po chwili zaś wziął mnie w ramiona i szepnął:

- Od dziś masz przy sobie tylko Allaha, mój synu. Pomyślałem od razu, że z moim bratem stało się coś złego, i zacząłem

krzyczeć na niego, błagając, żeby natychmiast wszystko mi powiedział.

Jednak Ali, zamiast od razu wyjaśnić, o co chodzi, chwycił mocno moje dłonie w swoje i dopiero wtedy przemówił:

- Twój brat jest zdrow i cały. Tyle że wyjechał razem z wujem. Wyprowadzili się na zawsze i zostawili cię. Ale nie jesteś sam, synu. Allah jest z tobą.

- Jak to: wyprowadzili się? Dokąd? Do której dzielnicy? Znasz ich nowy adres?

- Nie, Naser. Oni wyjechali do Rijadu. Na zawsze.

- Dlaczego się przynajmniej nie pożegnali? - zawołałem.

- Przykro mi - powiedział. - Współczuję ci.

Od tej chwili restauracja Dżasima stała się dla mnie całym życiem. Wstawałem o szóstej rano i pracowałem do dziesiątej wieczorem. Po całym dniu pracy nie miałem już siły, żeby ruszyć się z restauracji choćby na krok. Jadłem to, co nasz jemeński kucharz przyrządzał dla gości, a nowe ubrania kupował mi Dżasim. Teraz moje życie było jakby lustrzanym odbiciem czasów, kiedy mieszkałem z matką: zamiast kobiet otaczali mnie sami mężczyźni.

Pewnego dnia, kilka miesięcy po tym, jak pojawiłem się w restauracji, Dżasim polecił mi włożyć pod saub obcisłe spodnie z beżowej bawełny.

- To będzie twoje nowe ubranie robocze - oznajmił, popijając poranną kawę. Pora była wczesna; siedzieliśmy razem w pokoju na zapleczu.

- Patrz, Dżasim - zaprotestowałem - nie mogę nawet zapiąć rozporoka. Kupiłeś zły rozmiar.

- Nie, nie, będą pasować, na pewno. Trzeba tylko mocniej pociągnąć. Pozwól, pomogę ci. - Złapał spodnie w stanie, wsuwając kciuki za gumkę moich slipów.

Wzdrygnąłem się, czując na ciele jego ciepłe dłonie. Dżasim spojrzał mi w oczy.

- Przepraszam - mruknął, dodając szybko: - Widzisz, mój drogi? Pasują jak ulał!

Zapalił papierosa, przesuwając wzrokiem po moim ciele.

- Dżasim - skrzywiłem się - ja nie mogę tak iść do pracy. Już i tak jest źle, kiedy noszę saub. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak się

pokażę w takich obcisłych portkach. Mam dość. Klienci wciąż podszycupują mnie w tyłek, robią różne propozycje i obiecują prezenty, jeśli się zgodzę.

Dżasim pochylił się do mnie. Jego oddech pachniał kardamo-nem.

- Nie przejmuj się, na wierzch włożysz saub. Ale powiedz mi, Naser, czy można im mieć to za złe?

- Słucham?

- Mój drogi, ci mężczyźni żyją w świecie bez kobiet, są odcięci od splendoru płci pięknej. Chłopcy tacy jak ty potrafią idealnie wypełnić ten brak. -I pd raz uciągnął dalej, mrużąc oczy i gestykułując z ożywieniem: - Po co kryć swoje wdzięki, swoje ciało, tak delikatne, po co się zasłaniać jak kobieta? Jesteś najpiękniejszą, najbardziej zmysłową istotą ludzką, jaką moi klienci mogą zobaczyć na swobodzie w swoim świecie. Czemu więc skąpić innym swojej urody, kiedy nie jesteś ptakiem bez skrzydeł, ale naprawdę potrafisz latać?

Przysiadłem na skraju łóżka, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Naser, chcę, żeby moja restauracja przypominała raj, gdzie każdy dostaje to, czego pragnie. Mogą odizolować nas od kobiet, ale nasze fantazje nie dadzą się zamknąć w klatce. Ja chcę uwolnić namiętność, znaleźć dla niej inne ujście.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie zrobiłem to, co zawsze robiłem w tym kraju, znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia: zamknąłem oczy.

Był w restauracji pewien stały klient. Nazywał się Raszid. Bez przerwy wodził za mną oczami: kiedy palił sziszę, kiedy pił, kiedy jadł, nawet kiedy rozmawiał z przyjaciółmi. Nie był bynajmniej jedynym mężczyzną, który obmacywał mnie wzrokiem, ale z całą pewnością robił to najbardziej uporczywie ze wszystkich. W lokalu Dżasima znany był z tego, że co dwie godziny spożywa obfity posiłek; taki miał zwyczaj i za nic nie chciał z niego zrezygnować, pomimo ostrzeżeń lekarza, że powinien stracić na wadze.

- W co się dzisiaj wystroiłeś, przystojniaku? - zapytał mnie ów Raszid pewnego dnia.

- W saub, a w co innego? Ślepy jesteś?

- Nie wygłupiaj się, wiesz, o co mi chodzi.
- Nie zaczynaj, bardzo proszę - uciałem. - To co zwykle?
- Tak. Tylko pamiętaj, że fasola ma pływać w oliwie - zaznaczył, puszczając do mnie oko.

Ruszyłem do kuchni po jego zamówienie, burcząc niechętnie pod nosem.

- Naser? - zawołał mnie Dżasim zza lady, gdzie wypisywał jakieś papiery. - Coś się stało? O co chodzi?

- O niego - wskazałem głową Raszida.

- Postaraj się nie denerwować - odparł, sięgając po chusteczkę i ocierając nią czoło.

- Męczy mnie to już - powiedziałem cicho.

Dżasim wyciągnął wolną rękę i poklepał mnie miękko po ramieniu.

- Mój drogi, zawsze, gdy ci się wydaje, że nie wytrzymasz już ani chwili dłużej, przypomnij sobie, co ci mówiłem: Bądź dumny z tego, kim jesteś, a tym, co masz, dziel się z innymi.

Musiałem przestać się skarżyć i robić to, o co mnie prosił, bo nie widziałem dla siebie tak naprawdę żadnego wyboru. Przecież nie tylko pracowałem, ale też mieszkałem w tej restauracji, a kiedy wuj opuścił mnie na dobre, zabierając ze sobą mojego brata, na całym świecie miałem już tylko Dżasima.

Następnego dnia rano dostrzegłem w powietrzu uniesioną dłoń, ciężką od pierścieni. To Pan Cichy chciał czegoś ode mnie. Uśmiechnąłem się. Był on jednym z nielicznych klientów, którzy ani razu nie próbowali mnie dotknąć. Zawsze siadał w głębi sali, pod samą ścianą, przy zarezerwowanym dla siebie stoliku, który był wyjątkowy, bo miał tylko jedno krzesło. Jego twarz kryła się w kłębach dymu, a dodatkowo za ciemnymi okularami i zasłoną milczenia. Podawałem mu zawsze to samo: ciasto *basbusa* i kawę, a on dziękował mi jednym krótkim zdaniem: „Niech Allah obdarzy cię dostatkiem”. I to było wszystko, co od niego słyszałem.

Pan Cichy rozmawiał wyłącznie z Dżasimem, a ich rozmowy nigdy nie trwały długo. Był wysokim mężczyzną, miał gęstą, siwą brodę i zawsze nosił marynarkę zarzuconą na saub.

- Nigdy go o nic nie pytaj - ostrzegł mnie Dżasim. - Ten człowiek lubi samotność.

- O nic nie mogę go pytać? Nawet jak się nazywa?

- Powiem ci, jak się nazywa. Abu Imad. Roześmiałem się.

- Nawet z własnym nazwiskiem kryje się za imieniem syna*.

Podszedłem szybkim krokiem do stolika, przy którym siedział Pan Cichy.

- *As-salamu alajkum* - pozdrowiłem go.

- *Wa alajkum as-salam*** - zabrzmiał w odpowiedzi jego melodyjny głos.

- Podać coś jeszcze? Oprócz *basbusa* i kawy?

- Nie, dziękuję - odparł. - Niech Allah obdarzy cię dostatkiem. Chwilę później do restauracji wszedł Raszid, zajmując swój zwykły stolik.

- Chłopak! - zawołał.

- *Ja Allah* - jęknąłem pod nosem, idąc do niego.

- Coś ci się dzisiaj nie spieszy - zauważył z przekąsem, kiedy podszedłem.

- Może w innej restauracji mają szybszą obsługę - odciąłem się.

- Na razie tylko wytrzymaj stolik, zaraz przyjdą moi znajomi.

- Przed chwilą go wycierałem.

- Ale nie tak, jak należy - zwrócił mi uwagę. - O, patrz: tutaj i tutaj. Dżasim nie nauczył cię, że nie wolno pyskować ludziom, z których żyjesz? Zamknij się i wycieraj.

Potrząsnąłem głową, pochylając się nad blatem, a wtedy Raszid wsunął rękę pod mój saub i włożył mi dłoń pomiędzy uda. Rzuciłem ścierkę na stół i wypadłem z sali.

W kuchni umyłem ręce i zacząłem mleć kawę z nasionami kardamonu. Nasz jemeński kucharz stanął obok, trzymając dzbanek do kawy za ostry, wygięty dziobek. Czekał, żeby dodać zmielone przyprawy.

***Abu (arab.) - ojciec.**

****As-salamu alajkum (arab.) - pokój niech będzie z tobą; wa alajkum as-salam (arab.)-iztobaniechbędzie pokój.**

Po chwili do kuchni wpadł Dżasim i zapytał, co mają znaczyć moje wygłupy.

Puściłem to pytanie mimo uszu. Wyjąłem kucharzowi dzbanek z rąk i naląłem do niego odrobinę wody.

- Naser, mówię do ciebie - huknął Dżasim.

- Daj mi spokój.

Zamiast dać mi spokój, poprosił kucharza, żeby wyszedł na chwilę. W tym samym momencie do kuchni wszedł Raszid, krzycząc na cały głos:

- Dżasim, ja tylko mu kazałem wytrzeć stół jak należy! Dżasim odwrócił się do niego.

- Raszidzie, wiem, że jesteś zdrowym mężczyzną i masz swoje potrzeby, ale z Naserem trzeba delikatnie. Jeśli chcesz czegoś od niego, wystarczy poprosić.

Słyszając te słowa, wałęsałem pięścią w stół.

- Chcesz handlować moim ciałem? - wrzasnąłem na Dżasima. - Tak? To bądź mężczyzną i powiedz mi to prosto w oczy!

Spojrzałem na niego bystro, chcąc sprawdzić, czy się zawstydził. Nic z tych rzeczy. Odepchnąłem go i uciekłem do swojego pokoju. Zdjąwszy portret matki ze ściany, usiadłem, dysząc ciężko. Chciało mi się płakać, ale krzykiem powstrzymałem się od łez; tkwiłem na posłaniu, patrząc na nią bez słowa i zaciskając zęby.

Dżasim otworzył drzwi, nie trudząc się pukaniem. W jego wzroku było coś, co przejęło mnie niepokojem.

- Dżasim, nie chcę o tym słyszeć - jęknąłem, widząc, że się zbliża. - Zostaw mnie, błagam.

- Naser - szepnął, siadając obok na łóżku - boleję nad tym, że muszę cię o to prosić, zwłaszcza że... - Urwał nagle, potem westchnął głęboko i mówił dalej: - Podobasz się Raszidowi. On powiedział, że musi cię mieć, bo chce...

- Niech zgadnę - przerwałem. - Chce, żebym był jego chłopcem, dopóki się nie ożeni. Już to słyszałem, i to nie raz, ale nie dam się, nie ma mowy.

- Naser, nie możemy mu odmówić. Raszid może na to nie wygląda, ale w tej restauracji bardzo wiele od niego zależy. Nie mówiłem ci o tym, ale muszę robić pewne rzeczy i przestrzegać pewnych zasad,

inaczej trzeba będzie związać cały interes. Jestem cudzoziemcem, tak jak ty. Jeśli złamię zasady, to mogą mnie wyrzucić z tego kraju w jednej chwili. Jesteś mi bardzo drogi, a jeśli już o coś cię proszę, to na pewno nie bez powodu. Dokąd pójdziesz, jeśli zamkną mi lokal? Kto cię weźmie pod swój dach? Naser, twój wuj i twój brat mieszkają teraz w Rijadzie. Nigdy nie przyjmą cię z powrotem, a niedługo będziesz musiał odnowić swoją ikamę. A skąd weźmiesz pieniądze? Jeśli nie zapłacisz, a skończy ci się prawo pobytu, czeka cię deportacja. To tak chcesz się odwdziżyć matce?

- Daj mi spokój! - krzyknąłem na niego.

- Naser, posłuchaj mnie. Jeśli Raszid dostanie od ciebie to, czego chce, nie będziesz musiał się już o nic martwić. Allah obdarzył go wszystkim, z wyjątkiem urody i dobrych manier. Ja go będę uczył, jak się zachować, a ty będziesz musiał użyć mu odrobiny swoich wdzięków. I zobaczysz: gwarantuję ci, że skapnie nam co nieco z jego bogactwa.

- Przestań, Dzasim. - Odłożyłem portret matki na bok.

Ale on musiał wyczuć, że się łamię, bo natychmiast, niczym morderca uważnie obserwujący swoją ofiarę, obrócił nóż w ranie:

- Pomyśl, ile twoja matka musiała przejść, żeby wyprawić was z kraju, odesłać w bezpieczne miejsce. A teraz ty chcesz wrócić tam, gdzie szaleje wojna i śmierć. Ona na pewno za tobą tęskni, jestem tego pewien. O ile, oczywiście, jeszcze żyje.

Aż podskoczyłem na posłaniu i zacząłem okładać go pięściami, krzycząc:

- Ona żyje, wiem, że żyje. I czeka na mnie! Dzasim nie oddawał moich ciosów.

- Możesz mnie bić, Naser - powiedział - ale musisz zrozumieć, że jesteśmy na siebie skazani. Mamy tylko siebie. Przysięgam, nie chcę, żeby tamten położył na tobie łapy, ale musimy pomagać sobie nawzajem. Tak trzeba, inaczej nie przeżyjemy.

Zostawiłem go w pokoju i wypadłem z restauracji.

Biegłem. Mijałem sklepy, nasz duży meczet i dziewięciopiętrowy blok, największy w okolicy. Wskoczyłem do autobusu, wysiadłem na Corniche i pomknąłem co sił w nogach do mojego sekretnego miejsca. Zerwała się gwałtowna burza; wicher szarpał fale i bił w piasek,

nie ustając przez długi czas. Tutaj, gdzie rozdzielało nas tylko morze, czułem się bliżej matki.

Siedziałem na swojej skale z wzrokiem wbitym w pociemniałe wody, zmagając się w myślach z pytaniem: dlaczego wszystko idzie nie tak, jak powinno? Nie umiałem znaleźć słów, żeby opisać to, co czułem. Powolnym krokiem zbliżyłem się do linii przyboju. Czy sprawy przybrałyby inny obrót, gdyby matka nas nie odesłała? Czy ona w ogóle jeszcze żyje, czy nie zabili jej w tej chacie u stóp Wzgórza Kochanków? A może Dżasim ma rację? Może już umarła? Ale jeśli tak, to stało się to dawno temu, tego samego dnia, gdy rozstała się z nami. Bo przecież tyle razy śpiewała mi do ucha, że żyje tylko dla nas - dla mnie i dla mojego braciszka.

Tego dnia podjąłem decyzję: wyjadę z Dżiddy. Nieważne dokąd. Miałem dość. I nic mnie tam nie trzymało. Postanowione; teraz trzeba było szybko zarobić dużo pieniędzy, żeby móc wyjechać przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy.

Zasnąłem na swojej skale. Gniew wypalił się i ulotnił. Następnego dnia, wczesnym rankiem, wróciłem do Dżasima, mokry, brudny i głodny.

Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi; restaurację zalał podmuch ciepłego wiatru, niosący ze sobą woń kanalizacji i ścieków. Na ulicy, we wszystkich dziurach w jezdni stała woda. Niedaleko restauracji znajdowała się szkoła; trzeba ją było zamknąć, bo nawałnica bardzo poważnie uszkodziła budynek. Krążyła także wieść, że podobno wichura zburzyła restaurację na szczycie wzgórza, należąca do pewnego Egipcjanina. Niewidomy imam z naszego meczetu cieszył się z tego ogromnie, zanosząc dzięki do nieba podczas porannego kazania. Nakrywając stoły i ustawiając krzesła, słyszałem przez głośniki jego gardłowanie. Zaczął jak zawsze - od wskazania wrogów, których ten świat jest pełen, a większą część kazania poświęcił napomnieniu wiernych o ich obowiązkach względem rodziny. Potem zrobił pauzę - przedłużył ją chyba celowo - i podjął nowy wątek, odchodząc od zwykłych, codziennych tematów.

- Zło czai się dziś wśród nas pod nową postacią - obwieścił. -

To nowe zło ma twarz cudzoziemca, który przybył tutaj, aby zniszczyć naszą moralność i nasze wartości. Ten cudzoziemiec sprzedaje anteny satelitarne.

Potrząsnąłem głową, przysłuchując się temu, co mówił imam.

- Dziś, o wierni wyznawcy Allaha, mamy wśród nas człowieka, który chodzi wszędzie i sprzedaje te swoje urządzenia, a nasi współbracia, skuszeni przez jego zło, montują na swoich dachach owe paskudne talerze, wysoko niczym minarety. A wiecie dlaczego? Bo chcą oglądać zakazane egipskie filmy i deprawować naszą młodzież. Ale ostatniej nocy Allah przemówił. Spuścił z nieba swój gniew i zrównał z ziemią restaurację człowieka, który mówi, że dba o nasze żołądki, a naprawdę kładzie nam tylko do głowy samą niemoralność i brudne żądze. Allah skierował to przesłanie także do naszego rządu: jeśli oni pozostaną beczynni, wtedy On, Najwyższy, weźmie sprawy w swoje ręce.

„Dowody” zemsty Allaha wciąż jeszcze były widoczne na ulicy. Niedługo po otwarciu w restauracji zaczęli pojawiać się pierwsi klienci. Jemeńczyk poszedł do kuchni, a Dżasim liczy! pieniądze. Nie odezwał się do mnie ani słowem.

Przed drzwiami zobaczyłem Raszida. Zanim wszedł do środka, splunął, a stanąwszy na progu, rzucił do mnie takim tonem, jakbym był jego żoną:

- Jestem! Daj mi kawy.

Siadł przy swoim stoliku. Za nim do restauracji wmaszerowało kilku innych mężczyzn, rozchodząc się w różne strony i wymieniając powitania. Nagle Raszid zerwał się z krzesła i krzyknął do swojego znajomego, Gamala, siedzącego w kącie po drugiej stronie sali:

- Widzisz, co się dzieje z naszym miastem? Rząd dzień w dzień powtarza nam, jacy to niby jesteśmy bogaci, a tu zobacz: parę kropel deszczu i cała Dżidda tonie. Mają tyle pieniędzy, że powinni nam tu założyć porządną kanalizację.

Gamal parsknął śmiechem, a Raszid usiadł z powrotem, bardzo z siebie zadowolony.

- Kawa - powiedziałem, stawiając filiżankę na stole.

Kiedy stanąłem obok lady, Dżasim wziął mnie za rękę, patrząc z ukosa, podejrzliwie.

Odwzajemniłem spojrzenie. A potem cofnąłem dłoń.

- Będę u siebie - powiedziałem, odwracając się tyłem.

W pokoju na zapleczu powietrze było gęste, a moje nagle ociężałe powieki z sekundy na sekundę opadały coraz niżej. Tylko ostre krzyki klientów grających w domino trzymały mnie w jakiejś takiej przytomności. Gracze walili w stoły, ale wyrzucałem ze świadomości wszystkie hałasy. Pragnąłem jednego: żeby matka i Samira obiecały mi, że wszystko będzie dobrze.

Odwróciłem się twarzą do ściany. Myślałem o nich, o matce i o Samirze, a także o ich przyjaciółkach, zarabiających ciałem na Wzgórzu Kochanków. Myślałem o długich latach oddawania się głodnym seksu samcom. O samotnych nocach spędzonych w obcych ramionach nieznanymi mężczyznami, którzy zjawiali się pod osłoną ciemności i krążyli u stóp wzgórza jak wilki, unikając się nawzajem, wyczekując na sygnał, że któraś z kobiet jest już wolna. Myślałem o matce i Samirze, o tym, jak wychowywały mnie i Ibra-hima, pomagając sobie, dzieląc się swoimi skąpymi zarobkami. Co by powiedziały, widząc mnie teraz, u Dżasima, w tym pokoju na zapleczu jego restauracji? Moje rozmyślenia nagle przerwało pukanie do drzwi.

Odetchnąłem głęboko.

- Proszę.

Raszid wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i powiesił gutrę na haczyku. Wygładził na sobie saub, przyjrzał się swoim butom, a potem, bez słowa ostrzeżenia, zgasił światło.

Zanim jeszcze wziął mnie za rękę, w ciemności usłyszałem jego szept:

- Dżasim powiedział, że będziesz moim chłopcem, dopóki się nie ożenisz.

Pewnego dnia, wcześnie rano, siedziałem sobie przed restauracją. Upłynęły już cztery tygodnie, odkąd Raszid zaczął regularnie przychodzić do mojego pokoju. Siedziałem i paliłem papierosa, całkowicie obojętny na to, co działo się wokół. W pewnym momencie przed drzwiami stanął Pan Cichy. Chciał wejść do środka, ale chyba zauważył, że coś jest nie tak, bo podszedł prosto do mnie.

- Jak się miewasz, Naser? Wzruszyłem ramionami.

- Gdybyś chciai porozmawiać - szepnąi - to daj mi znać. Zapewniam cię, że cisi ludzie doskonale potrafią słuchać.

Zapalił papierosa i pochyliwszy głowę, zniknął w drzwiach restauracji.

Za bardzo się wstydziłem, żeby powiedzieć Panu Cichemu o Raszidzie. Zbierałem się długą chwilę, zanim w ogóle do niego podszedłem.

Obsługując go (pod czujnym okiem Dżasima obserwującego nas zza lady oddalanej zaledwie o kilka metrów i Raszida, który jak zwykle siedział przy swoim stoliku przy samych drzwiach, wodząc za mną wzrokiem), rzuciłem szeptem, że chciałbym z nim porozmawiać, ale jestem wolny tylko rano, przed otwarciem restauracji, zanim jeszcze Dżasim i nasz jemeński kucharz przyjdą do pracy.

Skinął głową i powiedział, że zajrzy do mnie następnego dnia, po wczesnoporannych modlitwach.

Pan Cichy zapukał do mojego pokoju dokładnie o wpół do szóstej rano następnego dnia.

Oznajmił, że dobrze wie, czego chce ode mnie Raszid w zamian za ochronę interesu Dżasima. Pocieszał mnie, że podobno nie byłem pierwszym chłopakiem, którego to spotkało, i powiedział, że zna kogoś, kto szybko znajdzie mi inną pracę. Ten ktoś nazywał się Hilal i pochodził z Sudanu. Pan Cichy zapewnił mnie, że to dobry człowiek, który będzie się mną opiekował.

Pan Cichy obiecał mi pomoc, ale zanim Hilal znalazł wreszcie dla mnie pracę w myjni samochodowej, a do tego maleńkie mieszkanie, musiało upłynąć trochę czasu.

Kiedy opuszczałem restaurację, miałem za sobą sześć tygodni przepracowanych w pokoju na zapleczu.

Ostatniego dnia, kiedy Raszid już poszedł, zostawiając po sobie stolaria i do przesytu obrzydzenia, uniosłem wzrok do góry. Marzenie o wyrwaniu się z tego kraju, w połączeniu z naciskami Dżasima, doprowadziły do tego, że zgodziłem się zamieszkać w lustrze na suficie.

Ale to już była przeszłość. Zdjąłem jeden but i cisnąłem nim z całej siły prosto w swoją twarz widniejącą pod szkłem.

Spojrzawszy w górę jeden ostatni raz, zobaczyłem, że moje odbicie przełamało się na pół. Wstałem i wyszedłem, zostawiając za sobą pęknięte lustro i własny spaczony wizerunek.

Kiedy Dżasim dowiedział się, gdzie mieszkam, przyszedł do mnie, błagając, żebym wrócił. Kazałem mu zostawić się w spokoju.

- W porządku - wzruszył ramionami - ale pamiętaj, że jestem twoim jedynym przyjacielem. Nikt ci nie pomoże tak jak ja.

- Daj mi spokój - powtórzyłem.

Moja przyjaźń z Panem Cichym trwała dalej, chociaż nie pracowałem już w restauracji. Spotykaliśmy się na rozmowy w galerii handlowej albo na Corniche. Z czasem zacząłem czuć się swobodniej w jego towarzystwie. Odkąd zamieszkałem w Dżiddzie, nigdy jeszcze nie miałem bratniej duszy, człowieka, któremu mógłbym zaufać; po raz pierwszy poznałem kogoś, przy kim czułem się naprawdę bezpiecznie.

Pan Cichy był nielegalnym imigrantem. Deportowali go już mnóstwo razy, ale zawsze wracał. Po ostatniej deportacji, jak mówił, poszedł po rozum do głowy. Przeszmuglował się jeszcze raz do Arabii Saudyjskiej, do Dżizanu, największego portu na południu kraju - i zaczął kryć twarz za długą brodą i ciemnymi okularami, a do tego ubierać się jak zwyczajny Saudyjczyk. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, unikał też nawiązywania bliższych kontaktów, zarówno z ludźmi z własnej okolicy, jak i z cudzoziemcami.

Próbowałem też nieco lepiej poznać Hilala, ale on nie miał czasu na znajomości. Mieszkał w mikroskopijnym mieszkanku przy ulicy An-Nuzla, dzieląc je z trzema innymi Sudańczykami, pracował ciężko i nigdy nie odpoczywał.

- Trafiłem do bogatego kraju - mawiał - więc skorzystam z okazji i będę pracował, ile się da, żeby odłożyć, ile tylko zdołam.

Hilal oszczędzał pieniądze, żeby wrócić do swojego kraju i uruchomić tam linię autobusową kursującą pomiędzy Port Sudan a jego rodzinnym miastem - Kassalą, stolicą wschodniego Sudanu.

Chociaż nie miałem zbyt wielu przyjaciół, wszystko wskazywało, że los się do mnie uśmiechnął. Byłem niesamowicie przejęty faktem, że mogę zbudować sobie nowe życie na własną rękę. Nie potrzebuję ani wuja, ani Dżasima, myślałem.

Ale zanim uśmiech zdążył z powrotem zagościć na mojej twarzy, nadszedł ten feralny dzień, kiedy wiadomość przyniesiona przez Hilala odebrała mi bez reszty namiastkę szczęścia, którą właśnie zacząłem się cieszyć.

Był to czwartek. Hilal odwiedził mnie w moim mieszkaniu. Powiedział, że u Pana Cichego była policja imigracyjna. Zamknęli go w więzieniu w centrum Dżiddy, gdzie ma czekać na deportację.

- Nie do wiary, że go złapali - dziwił się Hilal. - Abu Imad to naj-ostrożniejszy nielegalny imigrant, jakiego znam, a wierz mi, znam ich sporo. Nie rozumiem, jak mógł wpaść.

Kiedy tylko Hilal wyszedł ode mnie, wybiegłem z domu prosto do więzienia. Musiałem zobaczyć się z Panem Cichym po raz ostatni, zanim go deportują. Musiałem przynajmniej spróbować.

Więzienie miejskie jest to przebudowany kompleks starego lotniska. Z zewnątrz wydało mi się monumentalną twierdzą, strzeżoną przez wysokie białe ściany mające okna wyłącznie na najwyższych piętrach. Tuż przed samym wejściem zobaczyłem niewielką rzeźbę w kształcie startującego samolotu z uniesionym lekko dziobem; tylne koła trzymały się mocno ziemi, ale przednie opony wisiały już w powietrzu. Co za ironia, pomyślałem, że taki symbol jak samolot, czyli maszyna wzorowana na ptaku, ucieleśnieniu swobody, służy jako ozdoba gmachu, gdzie zamyka się ludzi za to, że wbrew zakazom ośmielili się marzyć.

Bramy strzegł uzbrojony policjant. Wiedziałem, że nie mam na co liczyć, ale mimo to musiałem spróbować.

- *As-salamu alajkum* - pozdrowiłem strażnika.

- *Wa alajkum* - odparł chłodnym tonem, połykając połowę grzecznościowej formuły.

- Niech Allah przedłuży dni twojego życia - dodałem. - Mam prośbę. Czy mógłbym odwiedzić przyjaciela, który czeka tutaj na deportację?

Policjant wykrzywił senną twarz w szyderym uśmiechu.

- Cudzoziemiec? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Gdzie twoja ikama?

Podąłem mu kartę. Przejrzał ją pobieżnie, po czym odrzucił lekceważącym ruchem. Złapałem dokument, przyciskając go otwartą dłoń do piersi.

- Idź stąd - padł rozkaz. - Nie ma żadnych widzeń. Więzienie zamknięte.

- Ale to jest mój jedyny przyjaciel w całej Dżiddzie. Proszę, pozwólcie mi się z nim pożegnać, tylko ten jeden raz...

- Idź stąd, mówię. *Jalla'*, na co czekasz? Chcesz do niego dołączyć?

Spuściłem głowę i pomaszerowałem z powrotem do domu, do swojej samotni.

Ledwie zdążyłem zamknąć za sobą drzwi, zadzwonił telefon. Dża-sim.

- Naser? - usłyszałem w słuchawce jego głos.

Rozłączyłem się bez słowa, ale kiedy położyłem się na łóżku, zaczęło do mnie docierać, że po raz kolejny nie znam nikogo oprócz tego człowieka. Zgasiłem światło i wybuchnąłem płaczem.

*** *Jalla* (arab.) - pośpiesz się, idź już.**

Cześć trzecia

Wiatr znad Morza Czerwonego

Przez kilka kolejnych dni nie zaprzątałem sobie głowy liścikiem, który podrzuciła mi nieznajoma dziewczyna; celowo starałem się o nim nie myśleć, bo nie miało to większego sensu. Co mogło mi dać roztrząsanie tej sprawy?

W piątek wieczorem, trzy dni po całym zdarzeniu, pojechałem na Corniche, chcąc uporządkować myśli. Postanowiłem spędzić całą noc w swoim sekretnym miejscu.

Obudziłem się w sobotę rano. Plecy bolały od leżenia na twardej skale. Zamknąłem oczy, goniąc smaczny sen, ale jasne słońce przebiło promieniami moje powieki. Usiadłem, ziewając przeciągle.

Potem zszedłem nad morze, żeby się umyć. Pochylając się nad wodą, złowiłem okiem swoje rozedrgane odbicie, które sprawiało wrażenie, że chce uciekać, skryć się w głębinie. Zimna woda wstrząsnęła moimi myślami.

Dlaczego pozwoliłem, żeby miasto Dżidda narzuciło mi swoje reguły, swoje przesady, odebrało mi wolę, poraziło strachem? Dlaczego jeszcze mnie nie ma na tamtej ulicy, dlaczego nie szukam dziewczyny, która do mnie napisała? Zamiast się ukrywać, powinienem się za nią uganiać, zdobywać ją. Całkiem możliwe, że jej czarna abaja nie kryła niczego specjalnego; owszem, mogło się okazać, że ta dziewczyna to tylko urojenie, że jest obłąkana albo po prostu postrzelona, nie ma co robić i wariuje z nudów. Ale czy mimo to nie było warto zaryzykować, skoro mieszkało się w kraju, gdzie mężczyźni i kobiety żyją oddzieleni od siebie niebotyczną ścianą?

Pobiegłem wzrokiem po fałach Morza Czerwonego, błagając w modlitwie, żeby ta dziewczyna istniała naprawdę, i karmiąc się nadzieją, że będzie mnie jeszcze szukać.

Na ulicy An-Nuzla powitał mnie ten sam stary, czarno-biały film, lecz tym razem w okrojonej obsadzie: ludzi prawie nie było widać, garstka tu, garstka tam. Czuję się jak statysta na jakimś planie filmowym, całkiem niezasłużenie skupiający na sobie główną uwagę pod nieobecność prawdziwych gwiazd.

Zanim dotarłem do domu, prażące słońce zdążyło mi już mocno dopieć. Plan miałem ułożony: najpierw napiję się czegoś zimnego i zjem coś na szybko, a potem schronię się w cieniu swojego drzewa i tam będę czekał na nieznaną dziewczynę. Ten dzień był dniem odwagi, nie strachu.

- *Salam* - powitałem właściciela jadłodajni z szawarmą, krępego Libańczyka.

- *Wa alajkum as-salam* - odpowiedział.

- Proszę jedną szawarmę.

- Kurczak czy czerwone mięso?

- A czy ja wyglądam, jakbym jadał kurczaki?

- Ej, niepokorny! - parsknął z przyganą w głosie. Zmrużyłem oczy.

Sięgając do kieszeni po pieniądze, nad głową sprzedawcy zauważyłem przypiętą kartkę z islamskim wersem: „Życie jest ulotne”. Aw lustrze wiszącym tuż obok mignął mi Abu Fajsal, kat, obcinacz ludzkich głów, który właśnie w tej chwili wszedł do jadłodajni.

Jego pojawienie się wywołało natychmiastowy efekt. Mężczyźni w jednej chwili poderwali się z krzeseł, jeden po drugim sięgając po jego słynną prawicę, którą całowali z taką żarliwością, jakby to był sam Czarny Kamień w świętej Kabbie*. Inni zasypali pocałunkami jego czoło i ramiona. Ktoś zawołał donośnie *AllahuAkbar*. niech Ałlah cię błogosławi, nasza ręko sprawiedliwości.

*** Kabba - budynek wewnątrz Wielkiego Meczetu w Mekce, mieszczący święty Czarny Kamień. Muzułmanie na całym świecie podczas modlitwy zwracają się twarzą w kierunku Kabby.**

Stałem, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Naszło mnie nieodparte wrażenie, że to anioł śmierci zapukał do moich drzwi. Wzdrygnąłem się na tę myśl. Położyłem pieniądze na kontuarze, dając znak, że chcę wyjść. Dość ryzykowania jak na jeden dzień.

Oczy Abu Fajsala, podobne do dwóch żołnierzy kryjących się w okopie, były małe, okrągłe i przymrużone. Jak on może patrzeć na świat takimi oczkami? Nie mogłem się temu nadziwić.

Zabrałem swój posiłek i przedarłem się przez zbity tłumek do drzwi. Kiedy na ulicy uderzyło mnie gorące powietrze, żołądek podjechał mi do gardła. Wyrzuciłem kanapkę do kosza na śmieci i przeciąłem ulicę, kierując się do sklepu Jemeńczyka, naprzeciwno.

Przepchnąłem się między garstką klientów oblepiających ladę, za którą stał stary sklepikarz, i wachlując dłonią, żeby odpędzić od twarzy kłęby kadzidlanego dymu, poszedłem pod tylną ścianę sklepu. Głośnik przybity do najwyższej półki cicho wygrywał sury z Koranu. Odepchnąwszy na bok puste kartony, otworzyłem lodówkę i zacząłem w niej grzebać, szukając dobrze schłodzonej pepsi.

Widząc to, sklepikarz krzyknął do mnie:

- Wszystkie są zimne, weź sobie jedną i idź już!

Udałem, że go nie słyszę, i szukałem dalej, trafiając w końcu na puszkę, do której przywarły mi wszystkie palce. Wyjąłem ją z lodówki, wróciłem do lady i położyłem obok kasy pół riala. Wyszedłem na ulicę, kierując się pod drzewo rosnące przed domem, gdzie kiedyś mieszkał mój wuj. Przed moimi oczami ponownie wyświetlił się ten dobrze znany czarno-biały film, a po twarzy polały się krople potu.

Usiadłem pod szeroką koroną swojej palmy, chłepcząc pepsi. Zimny płyn rwącą falą spływał do gardła.

Zerknąłem w prawo. Gdzieś daleko mignęła mi sylwetka kobiety wychodzącej z jakiegoś domu. Skupiłem na niej wzrok, odrywając puszkę od ust. Czy to ta dziewczyna? Ale przecież to chyba był dom Zib al-Arda? On walczy teraz w Afganistanie, więc jak by się czuł, gdybym ja z jego siostrą... Ale zaraz, czy Zib al-Ard w ogóle ma siostrę? Tego nie byłem pewien, ale pamiętałem dobrze, że jego ojciec wziął sobie drugą żonę, która mieszkała dosłownie kilka metrów od ich domu. Wstałem, mierząc kobietę w oddali surowym spojrzeniem. Czy to moż-

liwe, że druga żona ojca Zib al-Arda podrzuciła mi liścik na ulicy? Owszem, całkiem możliwe.

Zanim Zib al-Ard, pod wpływem ślepego imama, nawrócił się na ortodoksyjny islam, lubił sobie porządnie wypić. Raz przy butelce opowiedział mi o drugiej żonie swojego ojca. Podobno natknął się na nią kiedyś w kuchni u rodziców; przyszła od siebie, żeby opiekować się jego chorą matką. Miała dopiero szesnaście lat, tyle samo co on, a ponieważ myślała, że w domu nie ma żadnych mężczyzn, nie miała na sobie abai. Zadurzyli się w sobie od pierwszego wejrzenia i bardzo szybko mieli już za sobą pierwszy pocałunek, a kilka dni później kochali się na kuchennym stole. Zib al-Ard stracił cnotę z drugą żoną własnego ojca, w kuchni rodzinnego domu, gdzie za ścianą spała jego matka.

Kobieta, która wyszła z pierwszego domu ojca Zib al-Arda, zniknęła za drzwiami jego drugiego domu. Usiadłem z powrotem na chodniku, wciąż jeszcze daleki od wykluczenia możliwości, że tajemnicza dziewczyna, autorka mojego liściku, to była właśnie owa druga żona.

Minęło mnie kilka osób: cztery kobiety idące w grupie, dwóch chłopaków, jakiś Jemeńczyk ze sztyletem zatknętym za pas, a na końcu staruszek, który wyszedł z rezydencji naprzeciwko, żeby przegonić parkę gołębi spółkujących w koronie drzewa rosnącego pod jego oknami. Siedziałem dalej, licząc przejeżdżające samochody. Trzeci z kolei był to czarny dżip z przyciemnianymi szybami. Pędził z ogromną szybkością, przeganiając z okolicy ciszę i spokój. Można było pomyśleć, że to karetka spieszy się do wypadku: ktoś w An-Nuzli właśnie zgrzeszył i musiał zostać bezzwłocznie ukarany.

Ogarnęła mnie senność; powieki zaczęły nieznośnie ciążyć pod naporem podmuchów usypiającego wiatru, który odszukał mnie pod moim drzewem. Wysiłkiem woli odpędziłem sen, a gdy zwróciłem głowę w lewo, moje puste spojrzenie zatrzymało się na sylwetce kobiety. Szła w moim kierunku, ale myśli miałem tak ociężałe, że nie zadałem sobie nawet pytania, czy to może być „ona”. Oderwałem od niej wzrok, wyciągając się na chłodnym chodniku, aby zapaść powoli w głęboki sen. Nagle w uszach zabrzmiał mi stukot pospiesznych kroków tuż nad moją głową. Usiadłem, łowiąc okiem skrawek papieru opadający na ziemię obok mnie, na wyciągnięcie ręki. Obejrzałem się, ale zobaczyłem już

tylko ciemny zarys postaci oddalającej się szybkim krokiem. Zgarnawszy kartkę z ziemi, zerwałem się na równe nogi i wybiegłem na środek ulicy, wypatrując tej, która upuściła list, ale ona tymczasem zdążyła już zniknąć. Wszędzie cisza i bezruch. Spojrzałem w prawo - nieopodal przechodziła bezszelestnie grupka czterech kobiet zakrytych od stóp do głów.

Stałem, jakbym wrósł w ziemię, nie zważając na to, że zalewa mnie żar z nieba. Strużki potu krzyżowały się na moim czole, ściekając aż na szyję.

Żółta kartka w dłoni zaczynała już mięknąć od tej samej wilgoci. Nie docierało do mnie, że stoję na środku jezdni. Gdzieś w oddali rozległ się bardzo cichy samochodowy klakson. Zagubiłem się we własnym śnie i trwało to całe wieki, zanim udało mi się z niego wydostać. Do moich uszu dotarło wreszcie, że ktoś krzyczy. To był ten kujon, Muhammad Ali al-Hyrania. Wystawił głowę z okna samochodu i darł się na mnie, a jego ojciec mierzył mnie ciężkim spojrzeniem zza kierownicy, cisnąc klakson obiema dłońmi.

- Złaż z ulicy! - wrzasnął kujon. Odstąpiłem, przepuszczając ich, i wróciłem pod swoją palmę. Rozejrzawszy się, czy przypadkiem ktoś mnie nie obserwuje, pochłonąłem list łapczywymi oczami:

Habibi*,

Wiele ryzykuję, robiąc to, co robię. Od wtorku przechodziłam pod tym drzewem codziennie, wypatrując Ciebie, ale przez cztery dni stało ono samotne. Nie znam dokładnie Twoich myśli, ale jeśli trzeba, to będę przychodzić pod tę palmę dzień w dzień, aż do końca życia, żebyś tylko uwierzył, że jesteś dla mnie tym jedynym.

WimiejęAllaha: muszę Ci się przyznać, że zakochałam się w Tobie już ponad rok temu, a moje oczy od tej pory są Ci wierne. Stałeś się jedynym towarzyszem moich samotnych dni i nocy, czy to latem, czy wiosną. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam z daleka Twój uśmiech, byłam jak spragniony wędrowiec na pustyni, który ma przed sobą miraż. Ale kiedy podeszłam bliżej Twojej twarzy, okazało się, że ten miraż to prawdziwa oaza, a ja, po raz pierwszy odkąd pamiętam, poczułam w sobie egoizm

* *Habibi* (arab.) - najdroższy, ukochany. Patrz: *habibati*.

- bo zapragnęłam, żeby nikt oprócz mnie nie mógł jej odnaleźć, żeby tylko ja mogła się schronić w Twojej oazie na całą wieczność. Salam prosto z serca dziewczyny z An-Nuzli.

Odwróciłem głowę, tak jakby „ona” siedziała obok mnie, wprost na ziemi, w swojej czarnej abai i czytała mi swój list na głos. Wyciągnąłem się wygodnie na płytach chodnika, przyciskając kartkę do piersi. Ciepło tych słów zapadło głęboko w moje serce.

W drodze powrotnej do domu ośmieliłem się zaśpiewać - piosenkę, której nauczyłem się w obozie dla uchodźców. Opowiadała ona o kobiecie, która tańczyła pod drzewem kadzidłowca. Śpiewający, odkąd zobaczył tę tancerkę, szedł jej tropem przez całe życie; wiódł go jej oszałamiający zapach.

Następnego dnia o czwartej rano obudził mnie telefon. Wstałem i zrobiwszy kilka chwiejnych kroków, podniosłem słuchawkę.

- Halo? Naser? Naser?

- To ty, Dżasim? - zapytałem, przecierając oczy.

- A kto inny dzwoniłby do ciebie bladym świtem? Tęskno mi do ciebie, mój drogi. Szkoda, że cię tutaj nie ma. Paryż tonie w deszczu, a ja włóczę się po ciemku i myślę tylko o tobie.

Zaczął się rozwodzić nad tym, jak strasznie za mną tęskni i jak bardzo żałuje całej tej sytuacji z Raszidem. Ale ja byłem zbyt zmęczony, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Przeciągnąłem dłonią po twarzy, wyobrażając sobie, że opryskuję się wodą; musiałem coś zrobić, żeby się obudzić.

- Naser, jesteś tam?

- Dżasim, proszę cię, to nie jest odpowiednia pora na rozmowę.

- W porządku, jesteś zmęczony, idź do łóżka, mój drogi. Już się nie mogę doczekać, kiedy cię zobaczę.

Cisnąłem słuchawkę z całej siły na widełki i zrzuciłem telefon na podłogę.

Noc była parna. Pot lał się ze mnie strumieniami. Zanim wróciłem do łóżka, wziąłem chłodny prysznic. Wyszedłem z łazienki z piersią usianą lśniącymi kropelkami wody, marząc o tym, żeby schnąć obok ciepłych pleców kobiety.

A ponieważ to było niemożliwe, owinąłem mokre ciało skręconą pościelą i zasnąłem, trzymając w dłoni list od mojej nieznajomej.

Obudziłem się około ósmej rano. Po tak niespokojnej nocy, stając przed lustrem w łazience, spodziewałem się zobaczyć obraz nędzy i rozpacz, tymczasem moja twarz wręcz jaśniała wewnętrznym blaskiem, a z oczu znikła cała senność.

Obserwowała mnie przez ponad rok, myślałem, a ja nie miałem o tym zielonego pojęcia. Gdybym wiedział, starałbym się każdego dnia wyglądać idealnie - na wypadek, gdybyśmy mieli minąć się na ulicy.

Zastanawiałem się, co takiego jej się we mnie podoba. Może migdałowe oczy, a może mocno zarysowane kości policzkowe? Miałem świadomość, że jestem dobrze zbudowany, bo w restauracji Dżasima słyszałem niejedną komplement na ten temat, a pięć lat pracy w myjni samochodowej wyrzeźbiło mi muskulaturę ramion i piersi tak, że lepiej nie trzeba. Po raz pierwszy w życiu zastanowiłem się nad tym, co nieraz słyszałem od klientów w restauracji: „Naser, oddałbym wszystko za twoje smukłe, zgrabne ciało”.

Zanim wyszedłem z domu, wykąpałem się jeszcze raz. Włożyłem nowy dres, a do tego biały T-shirt i skropiłem się odrobiną perfum, które zabrałem od Dżasima. W tym momencie powróciły stare wątpliwości. Jak to możliwe, że dałem się złapać na haczyk romantycznych słówek? Taki list mógłby napisać pierwszy lepszy człowiek spotkany na ulicy Dżiddy. Ilu z nas tłamsiło uczucia w oblężonych twierdzach swoich serc? A czy nie jest prawdą, że ten, kto musi trzymać emocje pod kluczem, staje się poetą, choćby nie umiał czytać ani pisać?

Krążąc po pokoju, wspominałem, jak kiedyś złościło mnie, że nie mogę stanąć na ulicy i po prostu czekać, aż zjawi się jakaś dziewczyna z odsłoniętą twarzą i pośle mi uwodzicielski uśmiech; jak marzyłem o tym, żeby jednym prostym pocałunkiem obrysować kontur kobiecych ust; jak długie, bezsenne noce wypełniały się nadaremny oczekiwaniami na jedno muśnięcie palcem, na słodki ciężar piersi, na połączenie dwóch ciał splecionych jednym uściskiem, nawołujących się biciem serc.

Słoneczna spiekota zaległa ciężką ciszą na ulicy. W oddali, przed wejściem do dziewięciopiętrowego bloku, coś się działo: jakiś mężczyzna wszedł na dach dużego, rodzinnego samochodu. Zatrzymałem się, osła-

niając oczy przed rażącym słońcem i wyęzając wzrok: człowiek stojący na dachu samochodu mocował tam bagaże. Znów jacyś szczęściarze jadą sobie na wakacje, pomyślałem.

Ktoś zawołał mnie po imieniu, kiedy przechodziłem przez ulicę. Odwróciwszy głowę w stronę, skąd dobiegał głos, dostrzegłem Hilala, mojego znajomego Sudańczyka. Kuśtykał ciężko, podpierając się laską. Na głowie miał swój ciężki, biały turban.

- *Salam*, Naser. Jak się miewasz, przyjacielu? - zapytał Hilal.

- *Alhamdulillah* * - odparłem.

- Wyglądasz bardzo szykownie i wytwornie pachniesz. Dokąd się wybierasz? Na spotkanie z dziewczyną? - zarechotał na cały głos.

Skrzywiłem usta w półuśmiechu, a potem, żeby przekrzyczeć jego rzenie, podniosłem głos:

- Drogi Hilalu, życie i tak jest ciężkie, po co jeszcze ładować sobie na głowę siedem metrów ścierki?

Śmiech urwał się jak ucięty nożem. Hilal wypluł na ziemię tum-bak, wielką bryłę tytoniu do zucia, i rękawem galabii otarł podbródek z żółtej śliny.

- Naser - pochylił się do mnie - chciałem podzielić się z tobą dobrą wiadomością, ale jeśli zamierzasz wyśmiewać się z mojego turbanu, to może lepiej się pożegnam.

- Zostań, zostań. Co to za dobra wiadomość?

- Właściwie nawet bardzo dobra. - Hilal splunął jeszcze raz.

- No to mów.

- Jadę do Sudanu - oznajmił z błyskiem w oku. - Dostałem wizę i mogę przywieźć tutaj swoją żonę.

Objąłem go serdecznie, całując w oba policzki i zapewniając, że ogromnie mnie to cieszy.

- Tak - westchnął. - Dzięki niech będą Allahowi i mojemu kafilowi. To bardzo dobry człowiek. Nie dość, że dał mi pieniądze na wizę, to jeszcze zapłacił za bilet dla żony.

Kafilem Hilala był niemłody już Saudyjczyk nazwiskiem Dżawal ibn Chalid, który klepał biedę, zanim w Królestwie odkryto złoża ropy naftowej, ale zdołał się dorobić, zakładając firmę budowlaną.

* *Alhamdulillah* (arab.) - dzięki niech będą Allahowi.

W odróżnieniu od mojego kafila, Dżawal ibn Chalid był życzliwy i hojny.

Hilal zaczął się rozwodzić nad jego wspaniałomyślnością i przez chwilę aż nie mógł przestać, a kiedy już mieliśmy się pożegnać, powiedział mi coś jeszcze.

- Znasz Haruna? - zapytał.

- W An-Nuzli jest wielu Harunów - odparłem. - O którego ci chodzi?

- O służącego twojego kafila, tego, co wiecznie się uśmiecha.

- No i co z nim?

- Uciekł do Niemiec.

- Co takiego? Harun? - Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób Ery-trejkowi z ONZ-owskim paszportem udało się wyjechać do Europy. Ja też miałem taki paszport i kiedy pracowałem u Dżasima, sam próbowałem uciec z Dżiddy, ale we wszystkich europejskich ambasadach odprawiali mnie z kwitkiem, za każdym razem powtarzając to samo: mieszkasz teraz w bezpiecznym kraju i nie widzimy powodu, żeby udzielić ci azylu. Odmawiano mi też wizy turystycznej, bo podobno każdy, kto ma taki paszport jak ja, podczas podróży zamyka się w samolotowej toalecie, drze go i nigdy nie wraca.

Hilal mówił dalej:

- Przemysłownik załatwił mu podrobiony paszport i wizę. Harun mówił, że poznał go w erytrejskiej restauracji. Wiesz, która to?

- Wiem, ale nigdy tam nie byłem. Nie interesuje mnie, co się dzieje w kraju.

- Tak czy inaczej, Harun zapłacił za to majątek.

- Wiesz dokładnie ile?

- Dokładnie nie wiem, ale mówił, że bardzo dużo. Któż by się spodziewał takich wielkich planów pod tym wiecznym uśmiechem? Co za człowiek! No dobrze, ja w każdym razie na pewno przyjdę się pożegnać przed wyjazdem do Port Sudan - obiecał Hilal, spluwając jeszcze raz na ziemię. Uścisnął mi dłoń i zniknął za rogiem, w bocznej uliczce.

Postanowiłem, że usiądę pod swoim drzewem, twarzą do ulicy, aby mieć oba jej końce w zasięgu wzroku, i tak poczekam na dziewczynę

z listem. Ale nie mogłem wysiedzieć spokojnie. Czy ona w ogóle się dziś pokaże? A jeśli tak, to może podejdzie bliżej?

Gorące powietrze oblepiało mi twarz. W lusterku jednego z samochodów stojących szeregiem wzdłuż krawężnika odbijały się rażące promienie słońca. Podeszedłem bliżej i przejrzałem się uważnie. Po nosie spływał mi pot. Rozejrzałem się dookoła, szukając czegokolwiek, co mogłoby mi posłużyć jako wachlarz. Miałem tylko swój list.

Ale zamiast poruszyć powietrze i przynieść orzeźwienie, żółta kartka obudziła we mnie tylko nowe wątpliwości. Może należało odpisać nieznamym, żeby wiedziała, jaki jestem przejęty i podekscytowany? Ale jakimi słowami? Nigdy przedtem nie pisałem listu do dziewczyny. Co się mówi dziewczynie? Może powinienem skomplementować jej urodę?

Zacząłem wyobrażać sobie, jak może wyglądać autorka mojego listu, kiedy jej twarzy nie kryje abaja. Na początek spróbowałem się zastanowić, jak by wyglądała, gdyby była Saudyjką, ale ponieważ nigdy nie widziałem twarzy saudyjskiej kobiety - ani na ulicy, ani w gazecie, ani w książce, ani w telewizji (w telewizji można było zobaczyć tylko stare kobiety, które i tak zasłaniały twarze) - szybko się zniechęciłem. A gdyby była Egipcjanką? Przypomniałem sobie egipskie aktorki widziane na filmach, w tym moją ulubioną, o wielkich, pięknych, sugestywnych oczach i urzekającym uśmiechu.

Takie zgadywanki nie miały jednak większego sensu; Dżiddę zamieszkiwały niezliczone nacje, całe rzesze ludzi przyjeżdżały tutaj w poszukiwaniu pracy. To, jak wyglądała moja nieznamym, zależało od tego, jaką krew miała w żyłach: arabską, afrykańską czy azjatycką.

Ciszę rozdarło nagle wycie policyjnych syren.

Obok mnie przemknęły cywilne radiowozy, eskortujące mały konwój wiozący mojego kafilę, Błogosławionego Badra ibn Abd Allaha. Rozpoznałem cztery szare mercedesy z jego pałacu. Żołądek zacisnął mi się w twardą kulę; wciąż tak reagowałem na tego człowieka, chociaż minęło już tyle czasu od dnia, gdy jako piętnastolatek wszedłem do jego salonu.

Przypomniałem sobie, jak ze mną skończył, a jego służący Harun wyrzucił mnie na ulicę. Nie mogłem iść na skargę do policji religijnej;

zbyt dobrze pamiętałem, co rok wcześniej spotkało służącą żony naszego kafilę, Filipinkę mieszkającą kilka przecznic od domu mojego wuja.

Aresztowano ją i deportowano z dwójką małych dzieci z powrotem na Filipiny, kiedy zgłosiła religijnej policji, że została zgwałcona. Widziałem na własne oczy, jak trzech religijni policjanci wyciągali ją i jej dzieci z domu; krzyczała wniebogłosy, że to przecież ona jest ofiarą, że zgwałcił ją Błogosławiony Badr ibn Abd Allah, ale jeden z nich trzasnął ją tylko w twarz, krzycząc:

- Nie potrzeba nam w tym błogosławionym kraju takich jak ty, kurwo!

- Typowe - szepnął nasz sąsiad z drugiego piętra, Saudyjczyk, stojący obok mnie. - Pewnie to sam błogosławiony książę doniósł na nią policji religijnej, kłamiąc, ile wlezie, żeby tylko ukryć swój ohydny występki. A teraz ona za karę wróci do swojego kraju.

- Myślałem, że prawo szariatu jest po to, żeby w Arabii Saudyjskiej panowała sprawiedliwość? - uniosłem brwi.

Sąsiad westchnął ciężko.

- Prawo, synu, jest tylko dla biedaków i cudzoziemców. Bogaczy i rodziny królewskiej żadne prawo nie obowiązuje.

Wytrzymałem pod palmą całe pół godziny. Potem musiałem pójść do sklepu Jemeńczyka i napić się czegoś zimnego. To zajmie jedną chwilę, przekonywałem się w duchu; obrócić na jednej nodze.

Wracając z puszką pepsi w dłoni, w pewnym momencie poczułem, że muszę natychmiast ugasić pragnienie, chociaż byłem już prawie na miejscu, w cieniu swojej palmy. Zwolniwszy kroku, pociągnąłem za uszko otwieracza.

Spojrząwszy za siebie, zobaczyłem kobietę biegnącą w moją stronę. To była ona, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Mało brakowało, aby na mnie wpadła. Rzuciła mi pod nogi karteczkę i natychmiast zawróciła na pięcie, puszczając się pędem z powrotem. Podniosłem list i pognałem za nią. Jej cień tańczył na drzwiach i maskach parkujących przy krawężniku samochodów, które mijała w biegu. Wreszcie zatrzymała się, otworzyła jakieś drzwi i zniknęła za nimi.

Podniosłem głowę - i aż musiałem się cofnąć, żeby zobaczyć, gdzie zawiódł mnie ten pościg. Stałem przed tym słynnym w całej okolicy

dziwięciopiętrowym blokiem. Aby przyjrzeć się lepiej, przeszedłem na drugą stronę ulicy. Złożony list, który ściskałem w dłoni, był napisany na takiej samej żółtej kartce co poprzedni, ale coś mi mówiło, że jest dłuższy.

Przymocowałem list szpilką na drzwiach szafy i położyłem się na łóżku, przypatrując mu się z daleka. Podziwiałem przepiękną kaligrafię: każda litera budziła do życia kolejną, a słowa rozkwitały na kartce niczym kwiaty w wiszących ogrodach Babilonu.

Podszedłem bliżej i dmuchnąłem lekko na kartkę, jakby w nadziei, że uda mi się oswobodzić związane pismem słowa, aby wyjawily mi tajemnicę dziewczyny, której ręka je nakreśliła, ukazały mi jej głowę pochyloną nad stołem i pióro łączące znaki alfabetu. Zamknąwszy oczy, wyobraziłem sobie, jak jej palce prowadzą je po papierze, w tę i z powrotem, linijka za linijką; jak jej talia, wsparta na silnych biodrach, tańczy do wtóru słów wyśpiewywanych przez radosne serce.

Pochyliłem się, aby przeczytać list jeszcze raz:

Habibi,

Długo to trwało, zanim zdołałam pomieścić w tym krótkim Uście te niezliczone myśli o Tobie, których przez ostatnie miesiące nazbierało się w mojej głowie pod dostatkiem. Proszę Cię więc o zrozumienie, jeśli niektóre słowa wydadzą Ci się nagie i nieme.

Kiedy ujrzałam Cię po raz pierwszy, poczułam się tak, jakby w moje serce zapadło ziarno. Od tej pory za każdym razem, kiedy przypadkiem widziałam Cię na ulicy, na to ziarno padały drobniateńkie krople deszczu. A teraz z tego ziarna wyrósł kwiat i rozchylił swój pąk.

Ofiaruję Ci swoją miłość. Czy ją przyjmiesz?

Być może jesteś jednym z tych mężczyzn, dla których kobieta mająca czelność postawić sama nogę za progiem domu, nie mówiąc już o podejściu na ulicy do swojego wyśnionego, wymarzonego chłopca, aby wręczyć mu wyznanie miłości, zasługuje tylko na ogień piekielny. Być może nie wierzysz w miłość i tolerujesz jedynie związki kojarzone przez osoby trzecie.

Wydaje mi się, jakby dzieliło nas szerokie i zdraдлиwe morze niezliczonych zagadek. Jestem jednak gotowa wyprawić się na ten burzliwy ocean, jeśli tylko jest szansa, że u kresu podróży spotkamy się na jednej wyspie.

Proszę, nie próbuj mi odpisać. Nie mogę przystanąć na ulicy i pochylić się, aby podnieść coś z ziemi. To dla mnie zbyt niebezpieczne. Ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać. Nie warto tak ryzykować.

Salam z głębi serca.

Jej słowa, tak piękne, obudziły we mnie nadzieję, że być może to właśnie jest dziewczyna, na którą czekam. Przez tyle lat narzekałem, że muszę żyć pod rządami strachu, w kraju, gdzie celem władzy jest eliminacja radości życia. A tymczasem to właśnie tutaj nieznajoma dziewczyna ofiarowała mi swoją miłość. Jak mogłem jeszcze się wahać? Czego się obawiałem? Czyż życie nie jest krótkie? A co ma do stracenia człowiek, który nosi w sobie tak wielką pustkę jak ja?

Tej nocy nie mogłem zasnąć, nie mogłem też przełknąć ani kęsa żadnego pokarmu. Zamknąwszy oczy, wodziłem palcami po pięknie wykaligrafowanych słowach jej listu, raz po raz, wciąż na nowo.

Wybiło południe. Z meczetu, gdzie zaczęła się właśnie popołudniowa modlitwa, dobiegał głos niewidomego imama. Aż mnie nosiło, żeby wyjść z domu, ale nie mogłem ruszyć się za próg; w czasie modłów policja religijna patrolowała ulice, szukając mężczyzn, którzy nie chodzą do meczetu. Musiałem poczekać, aż imam skończy. Krążyłem po swoim pokoju, błagając go w myślach, żeby się spieszył, żeby wybierał z Koranu co krótsze wersety do czytania. Kiedy rozpoczął *takbir** na czwartą, ostatnią modlitwę wczesnym popołudniem, wsunąłem klucz do zamka, obracając gałkę w drzwiach. Kiedy wyrecytował *taslim*** , wypadłem z domu, kierując się prosto pod palmę.

Na ulicy zaroilo się od mężczyzn powracających z meczetów do domu, lecz to ożywienie szybko minęło, z powrotem ustępując miejsca ciszy. A ja dostrzegłem, że zbliża się do mnie kobieta o zasłoniętej twarzy. Wstałem. Zwolniła kroku.

Bardzo chciałem do niej podejść, ale to było zbyt ryzykowne, więc czekałem, nie ruszając się z miejsca.

Dała mi znak dłonią i odwróciła się tyłem. Ruszyłem w jej kierunku. Niemalże natychmiast skręciła w lewo. Przyspieszyłem. Minąwszy zakręt, wyszliśmy prosto na butik przewrażliwionego na swoim punkcie hinduskiego krawca, który rozgłaszał wszem wobec, że dorównuje

* *Takbir* (arab.) - wezwanie imienia Allaha; tak zaczyna się każdy cykl modlitw podczas nabożeństwa.

** *Taslim* (arab.) - zakończenie modlitwy słowami *As-salamu alajkum*.

mediolańskim projektantom mody, i słyszał tym, że krzyczał i pluł, kiedy ktoś ośmielił się podać to w wątpliwość.

Dziewczyna szła prosto przed siebie. Na rogu ulicy prowadzącej z powrotem na An-Nuzlę skręciła, a kiedy już byliśmy niedaleko skrzyżowania z An-Nuzlą, odwróciła się pospiesznie, rzucając mi przelotne spojrzenie. Upuściła na ziemię kolejny list, po czym powoli ruszyła dalej. Podbiegłem ile sił w nogach, żeby podnieść kartkę, i natychmiast, nawet do niej nie zaglądając, podążyłem za nieznaną. Najwidoczniej wyczuła, że praktycznie wchodzi jej na głowę, bo znów obejrzała się szybko, wskazując gestem list, który ścisnąłem w dłoni. Chciała, żebym go przeczytał.

Habibi,

Przeczytaj to szybko i idź za mną, ale trzymaj się z daleka. Kiedy będziemy szli ulicą, zwróć uwagę na moje buty i przyjrzyj im się uważnie. Kupiłam je specjalnie dla nas. Wypatrzyłam ten model w katalogu, który pokazywała mi moja przyjaciółka z Egiptu, i poprosiłam ją, żeby przywiozła dla mnie jedną parę z Kairu. Te buty są wyjątkowe i na pewno nikt w całej An-Nuzli takich nie ma. Dzięki nim będę się odróżniać od kobiet na ulicy - a Ty będziesz mógł mnie rozpoznać.

Poszedłeś za mną, a to oznacza, że przyjmujesz to, co chcę Ci ofiarować. Tak więc rozpoczyna się nasza wyprawa.

Nie mogę już dłużej zbliżać się do ciebie na ulicy An-Nuzla. Jest inne miejsce, ślepa uliczka na Ba'da an-Nuzli. Tam będzie dla mnie bezpieczniej rzucać na ziemię listy. Następny przyniosę właśnie tam i będę się za tobą rozglądać. Nie wiem jednak, kiedy uda mi się to zrobić, ponieważ nie jestem panią własnego czasu. Będę upuszczać swoje kartki obok kosza, udając, że to zwykłe śmiecie - ale tylko wtedy, gdy w pobliżu nie będzie nikogo. Proszę, podnieś je wtedy szybko.

Chcę też powiedzieć, że bardzo mi się podobało, kiedy Cię zobaczyłam w koszuli w paski i w tych ekstraspodniach.

Salam z głębi serca.

Uniosłem głowę. Dziewczyna skręciła za róg, wychodząc z powrotem na ulicę An-Nuzla. Ruszyłem w ślad za nią, przyglądając się jej stopom. Spod czarnej abai raz za razem migały jej buty. Były uszyte z delikatnej

skóry barwionej na głęboki ciemnoróżowy kolor. Zauważyłem, jak cholewki opinają miękko jej łydkę, załamując się łagodnie przy każdym kroku. Trzymając się z tyłu, najdokładniej widziałem wynurzające się spod rąbka szaty obcasy, nieduże, średniego rozmiaru. Nagle, całkiem niespodziewanie, ulica An-Nuzla, ten plan czarno-białego filmu, zyskała kolor. Było tak, jakby zjawiała się tutaj para różowych flamingów z jakiejś dalekiej tropikalnej wyspy.

Część czwarta

Różowe buty

Nie mogłem się doczekać następnego dnia; jutro miałem wybrać się do Ba'da an-Nuzli, żeby tam czekać na tajemniczą dziewczynę. Właśnie upłynął dokładnie tydzień, odkąd dostałem od niej pierwszy list.

Ze starego pudła schowanego pod łóżkiem wyciągnąłem koszulę i spodnie na specjalne okazje. Już bardzo długo, bo ponad rok, nie miałem ich na sobie - kupiłem te ciuchy na przyjęcie, które Hilal urządził po swoim ślubie. Wyjechał do Sudanu, ożenił się, a po powrocie zaprosił znajomych na imprezę. Spodnie i koszulę po rozłożeniu czuć było stęchlizną, więc uprałem je pod prysznicem i wywiesiłem w oknie, żeby wyschły.

Spojrzałem na list jeszcze raz. Nagle naszło mnie wrażenie, że atrament się rozpląwa, a litery i słowa wzbierają wysoką falą, która bije prosto we mnie, wypłukując z oczu cały sen.

Zabrzmiało wezwanie na wczesnoporanną modlitwę - a ja nagle przypomniałem sobie, że moja nieznajoma nie podała (bo nie mogła), o której zjawi się w umówionym miejscu. To oznaczało, że każda pora dnia była jednakowo prawdopodobna. Zerwałem się z łóżka, sięgając po flakonik z perfumami stojący na biurku. Spryskałem wonnościami całą koszulę, tak że aż zrobiła się wilgotna. Trochę też wypłem -na wypadek gdyby nadarzyła się okazja, żeby coś do niej powiedzieć, kiedy będzie rzucać list na ziemię. Moje słowa miały wtedy pachnieć jak import z Paryża.

Kiedy tylko modlitwa dobiegła końca, wymaszerowałem z domu, wystrojony w świeżo uprane spodnie i nienagannie odprasowaną koszulę w paski.

Szedłem z uniesioną twarzą, wyglądając najwyższego bloku w całej okolicy - jej bloku. Przechodząc pod nim, prześlizgnąłem się wzrokiem po wszystkich dziewięciu piętrach, zastanawiając się, gdzie jest jej okno, gdzie znajduje się pokój, w którym być może stoi teraz przed lustrem, układając włosy i dobierając spódnicę do bluzki albo kolczyki pod kolor szminki. Wyobraziłem sobie, jak schodzi na dół, na ulicę, a wszyscy przechodnie oglądają się za nią, nie mogąc się napatrzeć na kobietę bez zakrytej twarzy.

Po około piętnastu minutach marszu ulicą An-Nuzla, kiedy minąłem już duży meczet i dom Abu Fajsala, skręciłem w małą boczną uliczkę. Na rogu stała taksówka, a obok - jej właściciel, Filipińczyk.

Przyspieszyłem kroku. To już była inna okolica. Zostawiłem za sobą asfaltowe ulice, a pod podszwami zgrzytały mi teraz drobne kamienie. Wzdłuż pylistej jezdni gęsto stały parterowe domy; niektóre z nich szczyły się luksusem w postaci sięgającego do pasa murku, odgradzającego je od chodnika. Stąd skręciłem w jeszcze mniejszą uliczkę, czerwoną od zalegającego wszędzie pyłu.

Zrobiło się bardzo wąsko - wiedziałem, że zbliżam się już do ślepego zaułka. Przystanąłem, rozglądając się dookoła. Obszedłem stertę śmieci, którą obsiadły muchy. Bił z niej ostry smród, nie do końca zagłuszony przez silną woń kadzidła sącząca się z pobliskich domów. To tutaj, pomyślałem. To jest Ba'da an-Nuzla i ślepa uliczka, o której była mowa w liście.

Po przybyciu na miejsce przemieniłem się w wyczekującego kochanka: stałem z rękami w kieszeniach, sztywno wyprostowany, głowa wysoko, zęby zaciśnięte.

Z któregoś okna dolatywały mnie odgłosy przygotowań do śniadania; zapach jajecznicy i porannej kawy był cudowny. Oparłem się ramieniem o latarnię, wdychając głęboko te aromaty. I czekałem dalej.

Nad Dżiddą wschodziło słońce. W jego promieniach na wyblakłych ścianach domów wystąpiły plamy jaskrawej żółci. Zacząłem się pocić. Rozpiąłem koszulę aż do pępka, obiecując sobie, że to tylko na chwilę. Wyjąłem list, żeby powachlować się nim delikatnie.

Przez długie lata stosowałem się do nauki nakazującej mężczyznom odwracać oczy, kiedy widzą na ulicy przechodzącą kobietę. Nie wolno zatrzymywać wzroku na żadnej części kobiecego ciała; pierwsze spojrzenie zawsze powinno być ostatnim.

Ale odkąd nieznajoma dziewczyna pokazała mi swoje buty, wszędzie chodziłem ze spuszczonego wzrokiem, wypatrując jej stóp opiętych różową skórą. Szybko zauważyłem, że potrafię się domyślić kształtu kobiecych nóg pod luźnymi fałdami abai. Kiedy kobieta szła, rozstawiając stopy na odległość większą niż szerokość ramion, znaczyło to, że albo jest w ciąży, albo ma masywne uda. Te, które poruszały się sztywno, automatycznie i z widocznym wysiłkiem, miały prawdopodobnie rozrośnięte łydki, kostki lub uda - a niewykluczone też, że wszystko naraz. Stopy stawiane blisko siebie zdradzały kobietę z krótkimi nogami. Pospieszny chód - przeważnie nogi długie i smukłe. Przyjemnie się patrzyło na kobiety ze smukłymi nogami, bo miały w sobie mnóstwo energii, która rozpędzała stopy niemalże do biegu. Kobiety śmigały ulicą An-Nuzla w tę i z powrotem, a ja wodziłem za nimi wzrokiem, jakbym oglądał samochody na autostradzie.

- Patrz na jej stopy - wyszeptałem do siebie w gorączkowym podnieceniu, zauważywszy, że u wylotu ślepej uliczki w Ba'da an-Nuzli pojawiły się różowe buty. Obserwacja jednak niewiele mi dała, a moja świeżo opracowana teoria legia w gruzach, bo w pierwszej chwili chód dziewczyny był bardzo ciężki. „Pewnie ma rozrośnięte łydki”, pomyślałem, ale zanim zdążyłem przetrwać to spostrzeżenie, krok nieznajomej uległ nagłej zmianie: stopy oddaliły się mocno od siebie. Czyżby była w ciąży? Potem znów zjechały się razem, ale coś mi mówiło, że to na pewno nie przez krótkie nogi; po chwili zauważyłem, że musiała przejść pomiędzy dwiema dziurami na drodze. Wreszcie jej chód nabrał nagłego pędu, jakby chciała zerwać się do biegu. Ale to nie było dlatego, że miała długie, smukłe nogi. Wiedziałem, że chodzi o coś innego: zobaczyła, że czekam na nią.

Minęła mnie w pełnym biegu, upuszczając obok mnie nową kartkę. Podniosłem ją. Miałem nadzieję, że zatrzyma się chociaż na chwilę, żeby się przywitać. Widać było jednak, że jest bardzo zdenerwowana.

- Cóż - powiedziałem sobie, myśląc o niebezpieczeństwie, na jakie

się naraża, przekazując mi listy w taki sposób - koniec końców dziewczyna i tak ma sporo odwagi. Powinienem się cieszyć tym, co mam, zamiast zachłannie chcieć jeszcze więcej.

Habibi,

Na początku listu powinnam w zasadzie grzecznościowo zapytać o Twoje zdrowie i samopoczucie, o to, jak minął Ci dzień i czy życie, choćby w ogólnym zarysie, układa Ci się dobrze. Ponieważ jednak w obecnej sytuacji i tak w żaden sposób nie mógłbyś mi odpowiedzieć, to nie będę zawracać Ci głowy takimi formalnościami. Zamiast tego byłoby lepiej, gdybyś Ty nastawił się na odbiór wiadomości, które od czasu do czasu będę Ci przekazywać; coś jak popołudniowy dziennik.

Gdybym tylko mogła, dałabym Ci nasz numer telefonu, ale mój ojciec usłyszał kiedyś, że młode dziewczyny potrafią dzwonić do chłopców, kiedy w domu nie ma mężczyzn, i odłączył nam aparat. Chcę, żebyś przeczytał mój list tak, jakbyśmy rozmawiali przez telefon albo wręcz twarzą w twarz.

Kochany mój, następny list przyniosę tutaj za dwa dni. Dziś wieczorem jadę z rodzicami do Mekki, odprawić umrę i odwiedzić przyjaciela mojego ojca.*

Salam z głębi serca.

Dwa dni później zjawiała się w Ba'da an-Nuzli tuż przed modlitwą wczesnym popołudniem. Wyszła zza rogu, a ja pomyślałem, że aby móc domyślić się kształtu jej nóg, będę chyba musiał przynieść szpadel i wyrównać całą ulicę.

Z listu, wypisanego tak pięknie, jakby jego autorka studiowała kaligrafię w samym Bagdadzie, dowiedziałem się, że to właściwie jej najlepsza przyjaciółka zauważyła mnie pierwsza.

Wpadłeś jej w oko pewnego dnia, kiedy wracałyśmy z uczelni. Siedziałaś pod swoją palmą. Trąciła mnie, mówiąc, żebym sama spojrziała. Posłuchałam i od tej pory nie mogę oderwać od Ciebie wzroku.

*** Umra (arab.) - maia pielgrzymka, odprawiana poza porą głównej pielgrzymki.**

Habibi, noszę w pamięci tak wiele obrazów, na których spacerujesz, tańczysz na ulicy ze swoimi kolegami, grasz w piłkę, podlewasz swoje drzewo. Oczyma duszy mogę przeglądać cały album z Twoimi zdjęciami.

A ponieważ jutro już piątek życzę Ci miłego święta i oby niewidomy imam nie popsuł Ci dnia swoim kazaniem.*

Po południu poszedłem podlać swoją palmę. Podśpiewywałem sobie przy tym, a słowa z listu nieznajomej dziewczyny tańczyły w moich myślach niczym wirujący derwisze.

Następnego dnia obudziłem się bladym świtem i cały poranek przeleżałem w łóżku, nie mogąc się nadziwić, jak szybko płynie czas, kiedy mężczyzna nie robi nic innego, jak tylko myśli o kobiecie.

W pokoju pachniało tak, jakby niedawno odwiedziła go kobieta - to aromat dłoni mojej nieznajomej powoli wydzieliał się z listów, napełniając całe mieszkanie.

Moje rozmyślenia o jej listach i tych eleganckich różowych butach przerwał dopiero *azan** na piątkową modlitwę popołudniową.

Nagle do pokoju wtargnął pospieszny tupot stóp. Rozsunąłem zasłony, aby wyrzeć przez okno. Mieszkałem na pierwszym piętrze. Ulica wyglądała tak, jakby wszyscy mężczyźni z całej An-Nuzli ruszyli jak jeden mąż do meczetu. Nie mieszcząc się na chodniku, schodzili na jezdnię. Większość, idąc, rozmawiała, ale byli też tacy, którzy maszerowali prosto przed siebie, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Białe sauby lśniły ostrym blaskiem odbitego słońca. Kobiety przeważnie zostawały o tej porze w domach, przygotowując obiad dla mężczyzn powracających z meczetu; same, jako że nie obowiązywał ich nakaz uczęszczania do świątyni, modliły się w domu.

Kiedy cały ten tłum zniknął już za drzwiami meczetu, a ulica zaczęła pustoszeć, dostrzegłem w oddali niewidomego imama. Prowadził go wysoki mężczyzna z długą, czarną brodą; to musiał być ten Basil, o którym wspominał Al-Jamani, kiedy widzieliśmy się ostatnio w Pałacu Rozkoszy.

*** Piątek jest dla muzułmanów dniem świątecznym, tak jak dla chrześcijan niedziela.**

****Azan (arab.) - wezwanie na modlitwę.**

Mój wuj mówił, że niewidomy imam nigdy w życiu nikogo by nie skrzywdził. Dostawałem od niego lanie, ponieważ bojkotowałem nasz meczet.

Przestałem tam chodzić w wieku czternastu lat. Pamiętam jak dziś ten piątek: zgromadziliśmy się na kazaniu ślepego imama, który wszedł na minbar*, odziany w śnieżnobiały saub i w gutrze na głowie, a mowę rozpoczął od wywyższenia Allaha i Jego posłańca. Potem ogłosił, że kazanie będzie dotyczyć „prostackich rozrywek”, i rozpoczął, momentalnie podnosząc głos. - O, synowie, o niewolnicy Allaha, jak długo jeszcze będziecie odwracać się plecami do Najwyższego? Jak długo jeszcze będziecie odtrącać Jego błogosławieństwa i nadużywać Jego miłosierdzia? Czemu z takim uporem trwacie w swoich grzechach, dzień po dniu, godzina po godzinie, sekunda po sekundzie? Piętrzą się wasze występki, zalegają na sercu Allaha jak najwyższe szczyty górskie. Wasze serca czernieją od brudu codziennych nieprawości i braknie w nich miejsca dla Jego chwały, wasze oczy ślepną w pogoni za prostacką rozrywką, stopy zbaczają z prostej ścieżki, a uszy głuchną na głos Allaha i słowa, które przynosi Jego posłaniec. O, ummo" proroka Mahometa, wy, którzy na tyle sposobów lekceważycie swojego Stwórcę, wspomnijcie na te słowa: ogień, ogień, ogień. O, niewolnicy Allaha, wasze ciała podarte będą na strzępy, serca wyrwane z piersi, kości spalone płomieniem w proch się obróć. Bo On jest grozą. On jest pomstą i On jest krzywdą, On jest mocą. Strzeżcie się Jego srogich kar, kiedy odwróci ziemię do góry nogami i wytrząś-nie grzeszników, jednego po drugim, prosto w czeluść piekielną. On, Wszechmogący, nigdy nie zapomni tych, którzy na tej ziemi lekceważyli Jego posłanie. I ścigać was będzie Jego ogień, ogień, ogień, od chwili śmierci aż po Dzień Sądu Ostatecznego i poza ów dzień. Poruszył ramionami, poprawiając saub, przerzucił jeden rąbek gutry przez ramię. Wziął głęboki oddech i mówił dalej tak:

- O, niewolnicy Allaha, słuchajcie uważnie, co wam opowiem. Pewien zły muzułmanin umarł nagle i niespodziewanie. Pograżona w żalobie rodzina sprawiła mu godny islamski pochówek, ale to wcale nie był

***Minbar (arab.) - podwyższenie, z którego imam wygłasza kazania.**

**** Umma (arab.) - lud, naród; słowo używane na określenie wspólnoty wiernych.**

jeszcze koniec tego człowieka. Jego najbliżsi mieszkali niedaleko cmentarza i co noc słyszeli, jak ich syn woła, jak skamle, jak wylicza swoje przeszłe winy. „O, Allahu”, wołał, „wybacz mi. O, Allahu, zbłądziłem ze słusznej drogi. O, Allahu, winien jestem grzechu. Nie powinienem pić alkoholu i palić papierosów. O, Allahu, powinienem być odpowiedzieć na Twoje wezwanie i modlić się, abyś Ty, Najwyższy, zechciał przyjść do mnie”. Ale taki żal jest jak łyzy krokodyla, niewczesna skrucha nie przystoi przed obliczem Wszechmogącego. Zstąpił więc z królestwa bożego anioł surowej kary, niosąc rozkaz: ukarać tego głupca według woli Allaha. I gdy tylko ów niemoralny złoczyńca, ten odstępcza i od-szczepieniec, wypowiedział słowo, błogosławiony anioł zaraz pograżał w jego piersi swą długą, ostrą włócznię. Mocą otrzymaną od Allaha, raz po raz przebijał serce grzesznika tym czcigodnym ostrzem. Łzy religijnego ferworu polały się po policzkach imama. Niektórzy z przysłuchujących się również zaczęli płakać. A mnie nagle przypomniały się kazania pełne nienawiści, które ten sam człowiek wygłaszał przeciwko żydom, szyitom i sufim, przeciwko hinduistom i chrześcijanom. Pamięć podsunęła mi, jak setki razy wbijał nam do głów, że kobiety to mierne i słabe istoty ludzkie, nieporównanie gorsze od mężczyzn.

Nagle zaczęła boleć mnie głowa, tak mocno, jakby za chwilę miała eksplodować. Zapragnąłem znaleźć się gdzieś indziej. Poczulem, że nie mogę już dłużej siedzieć z zamkniętymi oczami i udawać, że nie słyszę tego, co mówi imam. Nie mogłem dłużej zamykać uszu na jego głos, który sączył się prosto do mojego serca, zalewając je jadem. Nie chciałem nikogo nienawidzić i nie zamierzałem pozwolić, aby imam wmówił mi, że najpierw mam się bać Allaha, a dopiero potem Go kochać. Przypomniałem sobie, co mówił nasz erytrejski imam w obozie dla uchodźców: „AHah jest bogaty we współczucie i miłosierdzie. Zawsze pamiętajcie, że Allah jest miłością”. I nie miałem już ochoty dłużej zdradzać swojej matki, swojej silnej matki - najpiękniejszego człowieka na świecie, który poświęcił życie dla swoich dzieci - przebywając w tym samym miejscu co ten siewca kłamstw i nienawiści, obrzucający ją błotem tylko za to, że była kobietą. Po prostu w pewnym momencie wstałem i wyszedłem.

Kiedy wuj wrócił z meczetu, zdjął pas i spuścił mi lanie za to, że wyszedłem w samym środku modlitwy imama. A im mocniej mnie bił,

tym wyraźniej widziałem oczami duszy swoją matkę, a z nią Samirę, i wiedziałem, że ból jego razów ucichnie w jednej chwili, kiedy tylko przywołam z pamięci ich bezgraniczną miłość. A do meczetu nie zamierzałem już wracać.

Po latach, kiedy zacząłem wynajmować mieszkanie, postanowiłem sobie tak: dopóki nie wrócę do swojego kraju, to kiedy nie jestem w pracy - siedzę w swoim pokoju, żeby nie musieć wysłuchiwać jadowitych przemów ślepego imama albo innych kaznodziejów. Nie miałem telewizora, więc nie docierało do mnie, co mówią w telewizji, sprawiłem sobie za to magnetofon z potężnym basem. Kiedy ślepy imam zaczynał piątkowe kazanie, puszczałem muzykę na cały regulator, żeby zagłuszyć megafony z meczetu. A na ulicę i do pracy zawsze wychodziłem z opuszczoną nisko głową, tak jakby wcale mnie tam nie było, jakbym nie mieszkał w tym kraju. Jeśli było kiedykolwiek takie miejsce, gdzie pragnąłem być głuchym i ślepym, to właśnie tam i właśnie wtedy.

Tamtego piątkowego popołudnia zagłuszyłem jak zwykle głos imama grzmiący przez megafony, wstrząsający ścianami mojego pokoju i gładząc kartki zapisane ręką mojej nieznajomej, myślałem o tym, co jej powiem, jeśli nadarzy się okazja spędzić z nią kilka minut sam na sam.

Różowe buty - to było wszystko, co ją odróżniało od innych kobiet w An-Nuzli. Za każdym razem dostrzegałem w nich jakiś nowy szczegół. Miały spiczaste, lekko wygięte w górę czubki. Po bokach - delikatny rzucik z roziskrzonych perełek. Czasem migają mi też podeszwy - czarne. Na samym początku, kiedy te buty były jeszcze zupełnie nowe, niedawno kupione przez przyjaciółkę z Kairu, ich podeszwy lśniły, ale na ulicach Ba'da an-Nuzli bardzo szybko się starły i zabrudziły. Mimo to moje obawy, że różowe cholewki też szernieją od kurzu An-Nuzli, nigdy się nie sprawdziły. Buty lśniły żywym kolorem, jakby były wieczne, niezniszczalne.

I wciąż odcinały się ostrym kontrastem od czarnej abai, czerwonego pyłu ulic Ba'da an-Nuzli i białych ścian domów. Gdyby nie owa para różowych butów, zgubiłbym swoją nieznajomą w tym świecie mrocznych cieni.

W sobotę rano miałem wrócić do pracy, ale stwierdziłem, że nie umiem zrezygnować z tej fantazji, która tak szybko przemieniła się w obietnicę miłości. Musiałem iść do Ba'da an-Nuzli i spotkać się z tajemniczą dziewczyną. Zadzwoiłem więc do szefa i powiedziałem mu, że źle się czuję i nie mogę być dzisiaj w pracy; potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie.

Szef dostał szału, kiedy to usłyszał.

- Musisz przyjść do pracy! - wściekał się. - Wiesz, ile mamy roboty. Nie symuluj!

Wyprowadził mnie bardzo szybko z równowagi, być może dlatego, że poczułem się po prostu wykorzystany. Przez tyle lat harowałem przecież do późna, a on nigdy nie usłyszał ode mnie ani słowa skargi.

- Naser, ty nie masz rodziny - mawiał - a ja mam dwójkę dzieci. Proszę, zostań dziś dłużej, Allah ci to wynagrodzi, *insza Allah*.

Siedziałem więc w myjni do nocy - tylko dlatego, że prosił mnie o pomoc. W zeszłym roku i dwa lata temu wróciłem nawet wcześniej z urlopu, bo sam w domu nudziłem się jak mops.

- Zapomniałeś?! - wrzasnąłem teraz na niego. - Skróciłem sobie urlop, a ty nawet nie uznałeś za stosowne mi za to zapłacić.

Umilkł w jednej chwili.

- Muhammadzie, tylko jeden tydzień, nie więcej. Proszę. Milczał.

Już miałem powiedzieć, że odchodzę i niech sobie szuka innego pracownika, który wykaże się taką lojalnością jak ja, ale uprzedził mnie:

- W porządku. Ale jak wrócisz, to sobie pogadamy o twojej wypłacie.

- Dziękuję ci, Muhammadzie. Niech Allah błogosławi twoją pracę.

Tamtego popołudnia list od nieznajomej ubawił mnie setnie.

Wypatrzyłem ją z daleka i prowadziłem wzrokiem jej różowe buty. Lubiłem obserwować, jak się zbliża, lawirując pomiędzy dziurami i nierównościami niczym linoskoczek idący po linie.

Tak jak zawsze, upuściła swój list tuż obok sterty śmieci, jak zwykłą kartkę, którą się wyrzuca. Podbiegłem szybko, żeby przechwycić mój skarb.

Tym razem opowiedziała mi o tym, co usłyszała na swojej uczelni. Kilka tygodni przed letnimi feriami dyrektor szkoły chodził z wizytacją po wszystkich klasach i wszędzie opowiadał tę samą historię: podobno dzień wcześniej policja religijna aresztowała pod ich uczelnią jakiegoś chłopaka, który stał po drugiej stronie ulicy w okularach przeciwsłonecznych. Oskarżono go o to, że nosi ciemne okulary sprowadzone z Ameryki. Jak poinformowała dyrektora policja religijna, aresztowany przyznał się, że jego okulary miały specjalne szkła, pozwalające przebić wzrokiem abaje i mundurki uczennic. Dyrektor dał się przekonać, że takie rzeczy są naprawdę możliwe, jednym prostym argumentem: „Ci źli Amerykanie są zdolni do wszystkiego”.

Habibi, pomyślałam sobie wtedy, że wspaniale by było, gdyby takie okulary faktycznie istniały. Mógłbyś je nosić, a ja spacerowałabym sobie przed Tobą w tę i z powrotem.

Przez całą drogę do domu pękałem ze śmiechu.

Wniedzielę rano wybrałem się na bazar Haradż, żeby kupić sobie nowe spodnie. Chciałem pokazać dziewczynie w różowych butach, że też się staram, specjalnie dla niej. Haradż to największy bazar w Dżiddzie. Można tam znaleźć prawie wszystko, czego dusza zapagnie.

Na samym końcu bazaru, za sklepem z tekstyliami, gdzie sprzedawano bawełnę i len drukowane w różne wzory, znalazłem dla siebie ładne czarne spodnie z włoskiej wełny. Miały zupełnie proste nogawki, głębokie kieszenie i kosztowały tylko dwadzieścia riali.

Wracając na przystanek autobusowy, wpadłem na Ismaela, mechanika i właściciela warsztatu motocyklowego w pobliżu An-Nuzli. Naprawiał tam ludziom maszyny i sprzedawał części zapasowe.

Ucieliśmy sobie krótką pogawędkę. Dowiedziałem się, że aktualnie Ismael ma w warsztacie motor Jahji.

- Zepsuł mu się? - zapytałem. - Nic mi o tym nie mówił.

- Nie, nie zepsuł się. Mam zainstalować nową kanapę, specjalnie dla jego chłopca. Jahja chce, żeby mu było wygodnie.

Roześmialiśmy się obaj.

- Nie musisz się spieszyć - powiedziałem Ismaelowi. - On wraca dopiero gdzieś w połowie września.

- Wiem - potrząsnął głową - ale zażyczył sobie ręcznie robionych, skórzanych obić. Ciężka robota, ale przecież nie mogę drażnić tego goryla.

Po powrocie do domu zorientowałem się nagle, że jest już bardzo późno. Przebrałem się w nowe spodnie i szybko wyszedłem. Materiał

drażnił mi skórę, ale dzięki temu czułem się jak mężczyzna idący na randkę ze swoją dziewczyną. Pobudzało mnie to, dodawało energii.

Na wysokości naszego największego meczetu złowiłem po przeciwnej stronie ulicy błysk żywego, głębokiego różu. A kiedy promienie słońca dotknęły butów mojej nieznajomej, do An-Nuzli w jednej chwili powróciły barwy i wszystko zaczęło się mienić odcieniami tego samego koloru.

Zwolniłem kroku, dostosowując się tempem do niej. Widziałem, że też mnie zauważyła. Obserwowałem jej sposób chodzenia już tyle razy, że mogłem się dość dokładnie domyślić, jakie ma nogi, ale nie miałem śmiałości, żeby za długo się nad tym zastanawiać.

Zamknąłem oczy, wyobrażając sobie, że spacerujemy razem brzegiem morza, trzymając się za ręce - para kochanków na dżiddyjskiej promenadzie Corniche.

Przystanąłem na rogu ulicy, w którą zwykle skręcałem, idąc do Ba'da an-Nuzli, ale dziewczyna minęła ją, nie zatrzymując się, więc musiałem ruszyć jej śladem.

Szła teraz długim, niespiesznym krokiem, jakby chciała przeciągnąć naszą wspólną chwilę. Dotarliśmy tak aż do końca ulicy An-Nuzła - ona jedną stroną, ja drugą - po czym zawróciliśmy, aby ruszyć z powrotem w przeciwnym kierunku.

Tego dnia nie dostałem od niej żadnego listu, ale nasze wspólne przeżycie - spacer tą samą ulicą, krok w krok tym samym niespiesznym tempem - miało w sobie tyle głębokiej czułości, że po powrocie do domu rozmyślałem o tym jeszcze intensywniej niż nad listem.

Nazajutrz, ostatniego dnia lipca, równo tydzień po tym, jak przenieśliśmy się z listami do Ba'da an-Nuzli, dostałem od niej kolejną kartkę, w której przeczytałem, co następuje:

Wczoraj, kiedy szliśmy jednym krokiem po przeciwnych stronach ulicy, zapragnęłam w pewnej chwili, żeby jakieś trzęsienie ziemi otworzyło szczelinę i pochłonęło całą szeroką jezdnię, która nas dzieliła. A gdyby policja religijna znalazła nas wtedy stojących ramię w ramię, powiedzielibyśmy tylko: „, Taka była wola Allaha - to On sam zatrzęsł posadami swojego królestwa ". Ale potem obiecałam sobie coś innego: znaleźć drogę, która

zaprowadzi mnie w ramiona mojego habibi Nie będę się spieszyć i obejdę się bez cudu. To ci przysięgam.

Te słowa brzmiały tak pięknie, że aż trudno mi było w nie uwierzyć. Coś takiego mogła napisać tylko kobieta, powtarzałem sobie raz po raz. Bo w gruncie rzeczy musiałem przyjąć na wiarę, że ta czarna abaja naprawdę skrywa kobietę; równie dobrze mógł to być przebrany mężczyzna. Nie było sposobu, żeby się przekonać, jak jest w rzeczywistości. O tym, że faktycznie jest dziewczyną, mogła mnie przekonać tylko w jeden sposób: słowami swoich listów.

Czasami taka miłość doprowadzała mnie do istnego szaleństwa. Kulilem się na skraju łóżka, ściskając w dłoniach kartki od niej, i puszczałem w ruch wyobraźnię, szukając jej głosu w tych pięknie kaligrafowanych zdaniach, starając się zobaczyć kształty jej piersi, jej bioder, poczuć zapach jej skóry, poznać wszystko, co sprawia, że czuje się kobietą i wygląda jak kobieta. A wtedy ogarniało mnie przemożne pragnienie, aby jej dotknąć. Dniem i nocą marzyłem tylko o tym, żeby zobaczyć kosmyk jej włosów. Tymczasem jedynym remedium na frustrację rozdierającą mnie od środka było czytanie jej listów, bez przerwy, wciąż na nowo.

- Bo przecież - powtarzałem sobie - coś takiego mogła napisać tylko kobieta.

Pierwszego dnia nowego miesiąca z Paryża wrócił Dżasim.

Tego samego wieczoru wybrałem się do niego. Wyszczupłał, ale jakby zmężniał. Wyściskał mnie tak, że prawie oderwałem się od ziemi.

Kiedy tylko znaleźliśmy się sam na sam w jego pokoju i usiedliśmy na łóżku, zaczął mówić:

- Nie masz pojęcia, jak ja się o ciebie martwiłem. Na pewno strasznie się tutaj nudziłeś.

Nie mogłem pisnąć mu ani słowem, że prawdę mówiąc, było dokładnie odwrotnie: przeżyłem, i nadal przeżywam, najbardziej fascynującą przygodę w swoim życiu. To było zbyt niebezpieczne. Powiedziałem więc tylko, starając się, żeby to zabrzmiało przekonująco:

- Sporo czytałem.

- Dobrze. To dobrze - mruknął, kładąc stopę na swojej walizce.

- Dlaczego się jeszcze nie rozpakowałeś? - zapytałem.

- A co, nie możesz się doczekać na swój prezent?
- Nie. Po prostu zawsze otwierasz bagaże od razu.
- No cóż, mój drogi, za pięć dni znowu muszę wyjechać - westchnął.
- Dlaczego?

Dżasim wstał, wziął papierosy leżące na telewizorze i wrócił z nimi na łóżko. Zapalił jednego i rzucił mi paczkę. Był na niej napis w jakimś obcym języku; zdaje się, że po francusku.

- Chcesz wiedzieć, dokąd jadę? - zapytał, pochylając się nad walizką i wyjmując z niej bilet lotniczy. - Masz, zobacz sobie. - Położył mi go na kolanach.

- Rzym? - Uniosłem brwi.

- Najpierw Rzym, potem Londyn i Madryt, a skończymy w Waszyngtonie.

- My? Jacy my?

- Co, zazdrosny? - zaśmiał się, ale dodał szybko: - Nie martw się. Jadę z moim kafilem i jego świtą. Tym razem na cały miesiąc. Wracamy pierwszego września, tak przynajmniej jest ustalone, ale znając tego ka-fila, nie zdziwię się, jeśli wrócimy później. Pamiętasz, jak dwa lata temu opowiadałem ci o tej striptizerce z Genewy? Zakochał się i musieliśmy siedzieć z nim na miejscu przez trzy miesiące, dopóki mu nie przeszło.

Zgasił papierosa i wziął mnie za rękę.

- Jeśli tym razem znowu tak się skończy, będę tęsknił za tobą. Szczerze mówiąc, jestem zmęczony i wcale nie chce mi się jechać, ale sam wiesz, że nie mogę odmówić. Kafil lubi moje towarzystwo i pomaga mi w interesach. Dzięki niemu moja ukochana restauracja wciąż działa. Ale na całe szczęście mam zaufanego pomocnika, który dobrze o nią zadba. No i, koniec końców, świta naszego księcia na wyjazdach żyje naprawdę po królewsku.

Pan Cichy powiedział mi kiedyś, że kiedy Dżasim sprowadził się dopiero do Arabii Saudyjskiej, miał innego kafilę - właściciela dwóch restauracji w północnej części Dżiddy. Po jakimś czasie poznał jednak Raszida i zaprzyjaźnił się z nim.

- Raszid jest osobistym pomocnikiem jednego z najbardziej wpływowych ludzi w tym mieście - wyjaśniał mi Pan Cichy. - To właśnie on przedstawił Dżasima jego nowemu kafilowi.

Pomimo to, powiedział mój przyjaciel, nikt nie wie, jak się nazywa kafil Dżasima. W ogóle nic o nim nie wiadomo, oprócz tego, że ma dużą władzę.

- Moim zdaniem - uznał - człowiek tego pokroju nie życzy sobie, aby wiązano jego nazwisko z taką restauracją.

Ale ja, tak czy inaczej, postanowiłem pociągnąć Dżasima za język i dowiedzieć się czegoś o jego protektorze.

- To kiedy mi powiesz, kim jest twój kafil? - zapytałem. Pochylił się do mnie, blisko, jego twarz znalazła się przy mojej twarzy.

- Są rzeczy, które trzeba trzymać w tajemnicy, mój drogi. Ile razy mam ci to powtarzać?

Kiedy wstałem, żeby się z nim pożegnać i wyjść, wręczył mi mój prezent: „Sezon emigracji na północ” Tajjiba Saliha.

Hilal opowiadał mi o tej książce. Podobno była mocno kontrowersyjna i znajdowała się wysoko na zakazanej liście, a to ze względu na treści erotyczne.

- *Ja Allah*, niesamowite - zachłysnąłem się. - Jak ja ci się odwdzięczę?

Dżasim wziął mnie za rękę.

- Może zostaniesz na noc? Mam ci tyle do opowiedzenia.

- Nie mogę. Muszę coś zrobić.

- Tylko dziś. Czuję się taki samotny.

- Nie mogę - powtórzyłem. Puścił moją dłoń.

- Dobrze, w porządku. Idź sobie.

Następny list od dziewczyny w różowych butach zaskoczył, mnie kompletnie; dzięki niemu zbliżyliśmy się do siebie jeszcze bardziej.

Był czwarty dzień sierpnia, przed południem. Czekałem jak zwykle w Ba'da an-Nuzli na nieznajomą, dla zabicia czasu przeglądając sobie „Ukaz”. Większość artykułów, jak to zwykle w tej gazecie, była poświęcona naszemu królowi, Fahdowi ibn Abd al-Azizowi oraz członkom królewskiej rodziny. Można tam było sobie obejrzyć zdjęcia króla otwierającego nowy szpital albo odwiedzającego słynne miejsca w całym kraju. Każdy nowo powstały obiekt otrzymywał jego imię. Hani, mój

przyjaciel i rodowity Saudyjczyk, uświadomił mi kiedyś prawdziwe rozmiary tego problemu:

- Poważnie uważam - powiedział - że król ma straszną obsesję na punkcie własnej osoby. Nie słyszałeś, co podali w wiadomościach wczoraj wieczorem?

- Nie, a co? - zapytałem.

- Liga futbolowa będzie nosić jego imię, a patronem ligi pucharowej ma zostać namiestnik króla, Abd al-Allah ibn Abd al-Aziz. - Hani potrząsnął głową. - Boję się, że pewnego dnia król zażyczy sobie, żeby każdy z nas nazywał się tak samo jak on.

Przechadzałem się w tę i z powrotem, czytając „Ukaz”. Skończywszy, rozłożyłem gazetę na ziemi i usiadłem na niej. Na dachu po drugiej stronie uliczki dostrzegłem jakiegoś chłopaka. Gapił się na mnie, więc odpowiedziałem mu tym samym. Minęło kilka minut - a on dalej stał na skraju dachu, nie spuszczać ze mnie wzroku. Odwróciłem głowę, dopiero kiedy na uliczce zabrzmiał odgłos kroków: zza rogu wyszła dziewczyna w różowych butach. Spojrzałem z powrotem w górę, na chłopaka, potem na kolorowe buty migające spod rąbka czarnej abai i znów na niego.

- Idź stąd, proszę - wymamrotałem pod jego adresem, wstając z ziemi. Chciałem krzyknąć, ostrzec ją, żeby nie rzuciła swojej kartki, ale ona była szybka; zdążyła już mnie minąć i upuścić nowy list tuż obok kosza na śmieci. Zadarłem głowę - na całe szczęście chłopak cofnął się już znad krawędzi dachu, rozłożył sobie dywanik modlitewny i uklęknął na nim.

Podniosłem ukradkiem jej list i uciekłem do domu. Kiedy znalazłem się już w swoim pokoju, odczytałem jej słowa na głos, z wielkim podnieceniem.

Kilka lat temu mieliśmy telewizor, magnetowid i różne anteny, ale pewnego dnia mojego ojca zaczęło gryźć sumienie, więc poszedł do niewidomego imama i zapytał go, czy posiadanie w domu takich rzeczy jest halaf czy haram. Imam wydał wyrok haram I opowiedział mu o karze dla tych, którzy oglądają

*** Halal (arab.) - dosł. czyste; termin oznaczający wszystko to, co jest dozwolone dla wyznawcy islamu.**

telewizję i słuchają muzyki. Ojciec wrócił z meczetu cały roztrzęsiony i natychmiast wszystko zniszczył. Wszedł nawet do mojego pokoju, zerwał ze ścian wszystkie obrazki i podarł mi wszystkie zdjęcia - bo takie rzeczy są haram. Dlatego właśnie nie mogę Ci podrzucić z listami ani jednego swojego zdjęcia, ale, mój habibi umiem malować, i to naprawdę nie najgorzej. Powiem Ci coś w sekrecie: narysowałam Twój portrecik. Jesteś na nim podobny do siebie jak na prawdziwej fotografii. Noszę go w staniku, pomiędzy piersiami. Obiecuję Ci, że pozostanie tam, niczym nieusuwalne znamię na mojej skórze, aż do dnia, kiedy zastąpi go Twoja własna osoba.

Kiedy przeczytałem, że narysowała mój portret, i dowiedziałem się, gdzie go chowa, z wrażenia ledwie mogłem złapać oddech. Czułem się tak, jakbym całym sobą przelał się w ten obrazek spoczywający w ukryciu pomiędzy jej piersiami. Odtąd miałem być pierwszym, który poczuje jej pierwszy poranny oddech, pierwszym, którego obmyją krople jej potu, i pierwszym, któremu dane będzie oglądać, jak jej rzęsy, opadając niczym para migotliwych kotar z Kaszmiru, zwiastują zmierzch kolejnego dnia życia, które przypadło nam wieść w tym smutnym świecie, gdzie rzeczywistość ustępuje marzeniom, a ludzie, gdy chcą mówić, muszą oniemiać, uciekając się do mowy znaków; gdzie kochanek musi stać się zbiegiem i nie ma innego wyjścia, jak tylko schronić się na skórze kobiety, której, być może, nigdy nie będzie dane mu poznać.

W sobotę obudziłem się wczesnym rankiem. Otworzyłem okno na oścież: dzień zalał mój pokój świeżym powietrzem i śpiewem ptaków. Przeciągnąłem się mocno, a słońce położyło jasne plamy na mojej skórze, budząc w głębi ciała wszystkie żądze i nadzieje zeszłej nocy.

Do pracy poszedłem około siódmej. Miałem ustalony plan: pracuję do przedpołudnia, potem wyskakuję do Ba'da an-Nuzli, zabieram list dziewczyny w różowych butach i wracam.

Szef zgodził się mnie puścić, choć niechętnie. - Niech będzie - mruknął - ale tylko ten jeden raz. Cieszę się, że wróciłeś. Wyglądasz tak, jakby rozpierała cię siła i mógłbyś umyć wszystkie samochody w całej An-Nuzli.

O dziesiątej rano wróciłem do domu, żeby wyskoczyć z roboczego kombinezonu i wziąć szybki prysznic. Potem przebrałem się w nowe spodnie, zarzuciłem na grzbiet koszulę i pomaszerowałem do Ba'da an-Nuzli. Wpół do jedenastej byłem już na miejscu, obok kosza na śmieci. U wylotu ślepej uliczki pojawiła się kobieta. Spojrzałem na jej buty: były czarne.

Dziewczyna w różowych butach zaglądała tutaj zawsze mniej więcej o tej samej porze, pomiędzy jedenastą a dwunastą. Ale południe minęło, a jej nie było ani śladu - tylko z nieba polał się jeszcze większy żar. Wszystkie kobiety, które przechodziły uliczką, jedna po drugiej okazywały się zwiastunkami fałszywej nadziei. Około wpół do pierwszej upał zaczął dawać mi się już mocno we znaki. Chętnie poszedłbym po wodę, ale najbliższy sklep był odległy o dziesięć minut drogi piechotą. A gdyby

przyszła i szukała mnie tutaj właśnie wtedy? Wiedziałem, że muszę wracać do pracy, ale najpierw musiałem ją zobaczyć.

Ulice Dżiddy rozmazywały się w upale, ale ja tkwiłem w miejscu, uczepiony jej ostatniego listu niczym kotwicy; tylko on mnie jeszcze tam trzymał. Otarłem twarz z potu, przeciągając zeszywniałe mięśnie nóg - i wtedy nagle rozległ się *azan* na modlitwę południową. Wiedziałem, że muszę wyrwać się z tego letargu. Miałem dziesięć minut, zanim zabrzmiał drugi *azan*, wzywający wiernych do ustawienia się za imamem i rozpoczęcia modłów. Dziesięć minut, zanim policja religijna wyjedzie na ulice i zacznie aresztować niepraktykujących mężczyzn, którzy nie chcą chodzić do meczetu. Tego jeszcze brakowało, żeby mnie złapali, wychłostali i zapisali w swoich księgach jako apostatę. Chociaż żyłem w Arabii Saudyjskiej od dziesięciu lat, to wciąż byłem cudzoziemcem, wołałem więc nie ryzykować deportacji.

Zebrawszy resztkę sił, powlokłem się do domu. Kiedy muezin zaczął obwieszczać drugi *azan*, otwierałem akurat drzwi. Zamknąłem je za sobą - i już ślepy imam zaczął modlitwę.

Potoczyłem się do kuchni, gdzie wlałem w siebie całą szklankę wody, a za nią - dwie następne. Telefon dzwonił bez przerwy. To mógł być tylko mój szef. Nie odbierałem.

Wiedząc, że podczas modlitwy moja nieznajoma raczej nie zajrzy na ślepą uliczkę, nastawiłem budzik na piętnaście po pierwszej.

Na popołudnie postanowiłem przygotować się nieco lepiej. Zabrałem trzy banany, do tego butelkę pełną zimnej wody i tak wyekwipowany ruszyłem z powrotem do Ba'da an-Nuzli. Aby chronić oczy przed słońcem, wcisnąłem na głowę czarną baseballówkę.

Dotarłem na miejsce w pomyślnym nastroju, ale w miarę jak wydłużał się mój popołudniowy cień, znów zacząłem tracić siły. Zbliżał się czas kolejnej modlitwy, *Salat al-asr*, a dziewczyny jak nie było, tak nie było. Klapnąłem ciężko na chodnik obok śmietnika - i właśnie wtedy dobiegło mnie wezwanie muezina. Pozbierałem się i potruchtałem do domu. Nogi plątały mi się z wyczerpania.

Być może postanowiła zmienić plan. Może zaistniała jakaś wyjątkowa sytuacja rodzinna i po południu łatwiej jej było wyrwać się z domu. A może po prostu nie mogła już znieść porannych upałów

i postanowiła, że będzie przychodzić do Ba'da an-Nuzli wieczorem, gdy jest chłodniej.

Pół godziny później wróciłem na ślepą uliczkę po raz trzeci tego dnia. Ale czekałem na próżno. Smród bijący ze śmietników był obrzydliwy. Dzień gasł powoli, żegnając się z odchodzącym słońcem. Na ulicy ubiło kobiet, a czarno-biały film dobiegał już końca. Żywiłem się nadzieją, że dziewczyna w różowych butach znajdzie się wśród tych nielicznych wybranek losu, które wieczorem mogą wracać do domu nieco później, nie ryzykując, że zdenerwują tym mężczyzn ze swojej rodziny. Postanowiłem więc poczekać jeszcze trochę.

Zapadła noc. Latarnia na ślepej uliczce była zepsuta: gasła, zapalała się, znów gasła i tak w kółko. A ja wciąż czekałem.

- Jeszcze chwilę - mruknąłem pod nosem.

Wtem nagle rozległ się miękki głos o kobiecej barwie. Ktoś wołał do mnie. Czyżby to miała być ona? Rozejrzałem się dookoła: nikogo. I wtedy ten sam głos zabrzmiał jeszcze raz:

- Spójrz w górę. Tutaj.

To był ten chłopak z dachu. Stał tam, gdzie poprzednio, trzymając w ręce dywanik modlitewny.

- To znowu ty? - zapytał.

Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem prosto do domu.

Po powrocie uprałem spodnie i koszulę zmęczonymi, roztrzęsionymi łękami. Wywiesiłem pranie w oknie, tak jak poprzednio.

- Musisz wyglądać przyzwoicie - powiedziałem sobie - bo jutro ona na pewno tam będzie.

Następnego dnia, idąc rano do Ba'da an-Nuzli, miałem w nosie chłopaka z dachu i równie głęboko swoją pracę. O wiele bardziej obawiałem się zdrady ze strony mojej nieznajomej dziewczyny niż tego, że wyda mnie chłopaczek z dywanikiem modlitewnym albo że szef myjni wyleje mnie na zbity pysk. Miałem tylko jedno marzenie: znów zobaczyć jej różowe buty.

Ale dziewczyna znów się nie pokazała. To był już drugi dzień z rzędu.

Chodziłem po ulicy w tę i powrotem, przypatrując się stopom wszystkich mijanych kobiet; skutek był taki, że pod koniec dnia białka moich oczu przesiąknęły nieubłaganą czernią ich abaj i butów.

Tej nocy nie wróciłem do domu po zapadnięciu zmroku. Włóczyłem się uliczkami, z całej siły kopiąc ciemność, jakbym mógł ją w ten sposób odstraszyć, odpędzić. Nie udało się. Noc zapadła tak samo jak zawsze, a ja zostałem, zmagając się z odpowiedzią na pytanie: czy dziewczyna w różowych butach istniała naprawdę?

Nagle znów usłyszałem miękki głos chłopaka z dachu:

- Przepraszam.

Tym razem nie uciekłem, ale odwróciłem się, chcąc mu się przyjrzeć. To był właściwie chłopiec, mały i szczupły. Ledwo mógł objąć krótkimi rączkami zrolowany dywanik modlitewny. Zadzierał głowę, taksując mnie spojrzeniem swoich dużych, okrągłych, czarnych oczu, w których błyszczała gotowość do zadania pytania.

Nie mając ochoty na rozmowę, odwróciłem wzrok, przeczesując ulicę w nadziei, że dojrzę jej różowe buty nawet w tej ciemności.

Ale chłopiec zaczął mnie szturchać i ciągnąć za koszulę - wszystko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Czego chcesz?! - krzyknąłem, w dalszym ciągu nie patrząc na niego.

- No już, w imię Allaha, gadaj, o co chodzi, i daj mi spokój.

- Jesteś zakochany? - zapytał chłopiec.

Tym razem spojrzałem na niego, starając się zachowywać jak gdyby nigdy nic.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo ojciec mi mówił - odparł - że w naszej wiosce, w Czadzie, zakochani dniem i nocą snują się bez celu pod gwiazdami, księżycem i słońcem. Wyglądają tak, jakby byli o krok od śmierci, bo nic nie jedzą, a oczy mają rozbiegane, bo ich serca nie mogą zaznać spokoju.

Nie odpowiedziałem chłopcu już ani słowem. Ruszyłem przed siebie chwiejnym krokiem, a brudne ulice Ba'da an-Nuzli zaprowadziły mnie wreszcie do domu.

Następnego dnia znowu nie poszedłem do pracy. Od wczesnego ranka do późnego wieczoru wystawałem w Ba'da an-Nuzli i czekałem, przechadzając się od czasu do czasu zakurzoną ulicą, przysiadając na gorącym piasku lub opierając o spaloną słońcem ścianę domu, gdzie prażyły mnie jego promienie, odbite od jasnej powierzchni. Kiedy indziej po prostu kucałem za węglem, odprowadzając znużonym

wzrokiem każdą kobietę, która przechodziła ulicą. Ale różowe buty nie pokazały się ani razu.

Czułem się idiotycznie. Może dla niej to była tylko zabawa? Może chciała się zemścić na mężczyznach, a ja, na potrzeby demonstracji, miałem pokazać, jak się pada na kolana i błaga, żeby raczyła się jeszcze raz pojawić? A może chciała pochwalić się koleżankom, że potrafi kilkoma romantycznymi liścikami doprowadzić mężczyznę na skraj szaleństwa? *Ja Allah*, przecież nie mogłem nawet wykluczyć, że teraz, kiedy już zrobiłem to, co chciała - wysiadywałem od świtu do nocy pod śmierdzącym śmietnikiem - ona wyrzuciła te swoje różowe buty, zaśmiewając się do rozpuku pod zakrywającym twarz kwefem.

Bezsenne, parne noce wyssały ze mnie tyle energii, że w piątek rano, po czterech dniach bezowocnego wyczekiwania, zacząłem zastanawiać się nad tym, co powiedział chłopiec z dywanikiem. Czy byłem zakochany? Jak mógłbym kochać osobę, której nigdy w życiu nie widziałem i nie znałem nawet brzmienia jej głosu? Byłem zwykłym chłopakiem, jakich tysiące w An--Nuzli, spragnionym rozmowy z dziewczyną, stęsknionym za jej miłością.

Nie, uznałem, nie mogę być zakochany. Z tłumu innych kobiet wyróżniają ją tylko te różowe buty. Czytałem nieraz, że miłość mężczyzny potrafią rozbudzić misterne detale kobiecego ciała: delikatny wykrój ust albo uwodzicielskie rzęsy, podobno są nawet tacy, którzy na widok sugestywnie rozkołysanych bioder z miejsca wyznają gorące uczucie. Ale buty? Byłbym pewnie pierwszym mężczyzną w dziejach ludzkości, który zakochał się w kobiecie, bo nosiła takie, a nie inne buty. Postanowiłem, że muszę porzucić ten urojony świat i zapomnieć o nieznajomej dziewczynie.

- Nie, nie jestem zakochany - powiedziałem sobie twardo. - Po prostu przez tak długi czas marzyłem o tym, żeby kochać kobietę, że teraz zadurzyłem się w samej myśli o miłości.

Wyperswadowałem sobie, że trzeba skończyć z tym wystawianiem na ulicy i po prostu przestać myśleć o dziewczynie w różowych butach.

- Jutro z samego rana wracam do pracy i proszę szefa o wybaczenie - powiedziałem głośno. - Muszę o niej zapomnieć. Wszystko skończone.

Ale w sobotę obudziłem się rano z uśmiechem na twarzy. Miałem piękny sen, który przywrócił mi siły. O niektórych snach można łatwo zapomnieć, ale bywają też takie, które zapuszczają w człowieku korzenie tak mocno, że nawet powrót do rzeczywistości nie zdoła ich usunąć; zawsze znajdzie się inne miejsce, gdzie można je przesadzić i zacząć wszystko od nowa.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Pójdę pod jej dom, postanowiłem. Stanę pod dziewięciopiętrowym blokiem i tam będę na nią czekał. Oprócz tego sam napiszę do niej list. Musi znaleźć się jakiś bezpieczny sposób, aby go jej przekazać.

- Właśnie - przytaknąłem sam sobie ochoczo. - Teraz moja kolej. Niech się dowie, jaki urok na mnie rzuciła, mówiąc mi, że od tyłu już tygodni i miesięcy jestem jedynym kwiatem w ogrodzie jej serca.

Tego dnia, wyruszając na poszukiwania dziewczyny w różowych butach, rozpocząłem nową podróż.

- Tym razem mi się uda - obiecywałem sobie, płuczac brudne ubranie. I właśnie w tej chwili zadzwonił mój szef. Podniosłem słuchawkę, a on zaczął mi wyrzucać, że już od kilku dni nie odbieram telefonu.

- To tak pracują cudzoziemcy? - krzyczał. - Wiesz, ilu za tym morzem jest ludzi, którzy oddaliby życie, żeby móc przyjechać tutaj do pracy? Codziennie ktoś przychodzi do mojej myjni zebrać o posadę, a ty tak mnie szanujesz?

Nie odpowiedziałem ani słowem. Słuchałem w milczeniu, pozwalając mu się wykrzyczeć; myślami byłem zupełnie gdzie indziej. Zacząłem już układać sobie list, który do niej napiszę, i nie mogłem się zdecy-

dować: potępić ją za to nagłe zniknięcie czy raczej poświęcić cały list na wyrażenie swojej bezgranicznej tęsknoty za jej pięknymi słowami i różowymi butami.

- Naser? Naser? - wrzeszczał szef w słuchawkę, aż wreszcie ją rzucił, ale przedtem jeszcze zapowiedział mi: - Znoszę twoje zachowanie tylko dlatego, że przez tyle lat byłeś lojalnym pracownikiem. Ale jeśli jutro nie pokażesz się w myjni, to wylecisz, i to z hukiem.

Podbiegłem do biurka, wyjąłem z szuflady swój pamiętnik i wyrwawszy z tyłu kilka kartek, napisałem swój pierwszy list miłosny. Nie przyszło mi to łatwo, ale chciałem stworzyć coś, z czego prawdziwy poeta mógłby być dumny. Coś na miarę tych wierszy, które przyniosły naszemu obozowemu bardowi wspaniałą sławę wśród rzeszy uchodźców, a może nawet owych wielkich strof, za pomocą których Antara ibn Szaddad, dawny wierszopisarz sprzed ery islamu, syn arabskiego szlachcica i niewolnicy z Abisynii, zdobył serce pięknej Abli. Próbowałem na różne sposoby, zanim ostateczny efekt wydał mi się zadowalający. Antara na pewno by mnie pochwalił, pomyślałem z radosną satysfakcją, i życzyłby mi powodzenia. Złożyłem kartkę kilka razy, tak żeby łatwo zmieścić ją w dłoni, a następnie zacząłem się szykować na wyprawę kochanka pod dom jego jedynej.

Świeciło słońce; dzień rozpoczynał się przepięknie. An-Nuzla kipiała życiem. Ulicę zalewał tłum ludzi, a ich niezliczone głosy krzyżowały się w powietrzu. Pod moją palmę zajechała cysterna. Po drodze minęło mnie małe dziecko, pędzące chodnikiem z arbuzem w rękach.

Dotarłem do celu. Ściskając w dłoni złożony list, stanąłem pod dziewięciopiętrowym blokiem z mocnym postanowieniem, że nie ruszę się stąd, dopóki nie zobaczę dziewczyny w różowych butach.

Uniosłem głowę, omiatając wzrokiem dach bloku i rosnący na nim las wysokich anten. Na każdym piętrze znajdowały się dwa mieszkania; wszystkie miały po jednym balkonie. Obok rzędu balkonów, na zewnętrznej ścianie budynku, wisiały klimatyzatory, każdy z nich położony dokładnie tak samo w stosunku do okien, tak że na całej wysokości elewacji biegła prosta, pionowa linia czarnych skrzynek. Ciekła z nich woda, rozlewając się szerokimi plamami po ceglach.

Wszyscy ludzie wchodzący i wychodzący z tego bloku byli ubrani na modłę saudyjską, a ich stroje były całkowicie kompletne. Nie zauważyłem ani jednej kobiety w różowych butach. Plułem sobie teraz w brodę, że widując ją tyle razy w Ba'da an-Nuzli, zawsze przyglądałem się tylko jej butom, ignorując inne szczegóły wyglądu. Dlaczego nie zanotowałem sobie w głowie jej wzrostu? I czemu, czemu nie spróbowałem zapamiętać dokładniej, jak się porusza albo jakichś innych szczegółów, na przykład szerokości ramion albo charakterystycznego zapachu? Czegokolwiek, co pomogłoby mi ją odnaleźć?

Punktualnie o godzinie trzynastej usłyszałem przez megafony naszego meczetu wezwanie na wczesnopołudniową modlitwę. I nie

ruszyłem się z miejsca nawet na milimetr. Tkwiłem na posterunku, kiedy zabrzmiał drugi *azan*, a ślepy imam rozpoczął modlitwę. Bałem się tylko jednego: że być może gonię za mirażem, że nie ma żadnej dziewczyny, a jej miłość była tylko fatamorganą na tej pustyni serca.

Odwróciłem głowę, słysząc głośnie dudnienie silnika. Do miejsca, gdzie stałem, zbliżał się groźny, olbrzymi czarny džip policji religijnej. Obrzuciłem spojrzeniem okna dziewięciopiętrowego bloku. Na ulicy, przed wejściem, stał zaparkowany jeszcze jeden samochód.

Czarny džip zatrzymał się tuż przed moim nosem, przesłaniając mi wszystko. Przyciemniana szyba zjechała w dół i jakiś mężczyzna zaczął głośno krzyczeć. Słyszałem, co do mnie mówi, ale nie chciało mi się odpowiadać. Wyciągnąłem szyję, żeby przyjrzeć się tamtemu drugiemu samochodowi, z którego wysiadły właśnie dwie kobiety. Zanim zniknęły w wejściu do bloku, jedna z nich odwróciła głowę, mierząc mnie wzrokiem. Stała tak przez kilka długich chwil, a potem szybko ruszyła w swoją stronę.

Czyżby to była ona? Czy powinienem w takiej chwili spróbować przekazać jej mój list?

- Co tutaj robisz? - wrzasnął religijny policjant przez otwarte okno, a do mnie nagle dotarło, że trzymam w dłoni bardzo obciążający dowód - swój list. Zgniotłem go w dłoni i wepchnąłem do ust, żując papier i sącząc w niego jak największą ilość śliny, żeby litery rozpląły się od wilgoci. Potem odwróciłem głowę, wypluwając na chodnik miękką, bezkształtną kulę. Czule słowa ułożone dla mojej *habibati** rozpuściły mi się w ustach.

Religijny policjant wyskoczył z samochodu, podchodząc do mnie. Wziąłem głęboki oddech, widząc w jego dłoni kij: cienki, utoczony ze sprężystego drewna, żeby nie złamał się przy pracy.

- Dlaczego nie jesteś w meczecie? - padło pytanie.

Nie zainteresował się resztkami mojego listu. Ulżyło mi trochę, ale wciąż nie mogłem wykrztusić ani słowa. Spojrzałem na niego. Dźgnął mnie mocno między żebra końcem kija.

- Mówię do ciebie - warknął. - Dlaczego nie jesteś w meczecie? Milczałem.

* *Habibati* (arab.) - najdroższa, ukochana (patrz: *habibi*).

- *Ja Allan*, odpuść nam nasze winy - zawył policjant, unosząc wzrok do nieba, a potem spiorunował mnie wzrokiem. - No, słucham! Czy jest coś ważniejszego niż modlitwa, he? Modlitwa, która jest jedyną rzeczą, jaka odróżnia nas od bydła? Kto się nie modli, ten jest zdrajcą wiary.

Milczałem dalej, nie odrywając oczu od wejścia do bloku.

- Na kolana - szczerknął stróż religijnego prawa. Wykonałem polecenie bez szemrania, ale duchem byłem zupełnie

gdzie indziej. Kiedy na plecy posypały mi się razy wymierzone cienkim kijem, moje myśli krążyły wokół nieznajomej w różowych butach, a wargi drżały, poruszane zgoła inną modlitwą: błagałem, aby choć odsłoniła swoje okno, dała mi jakikolwiek znak, że jest tam, gdzie jej szukam, że naprawdę istnieje.

Zaciągnęli mnie do dżipa i zawieźli pod nasz duży meczet. Policjant, od którego zebrałem chłostę, teraz wypchnął mnie na ulicę, sycząc przy tym:

- Już się zaczęło, idź i pomódl się, ty bydle.

Pomknąłem po grubym dywanie ozdobionym obrazem świętej Kabby. Wierni stali już w równych szeregach, twarzą w stronę Mekki. Kiedy wszyscy, jak jeden mąż, uklękli, zerwałem się, przebiegłem przez cały meczet i wymknąłem się drugim wejściem.

Latem w Dżiddzie rzadko pada, ale tego wieczoru dobiegł mnie z ulicy potoczysty szmer rześistej ulewy. Kiedy otworzyłem okno, mój pokój zaląła fala ciepłego, wilgotnego powietrza. Nagle zachciało mi się wrzasnąć z całej siły, żeby przekrzyczeć jednostajny chlust deszczowych kropel rozpryskujących się na chodnikach i jezdni.

Była pierwsza nad ranem, a sen wciąż nie przychodził. Lecz nie płoszył go bynajmniej ból obitych kijem pleców; po prostu nie mogłem przestać myśleć o swojej nieznajomej.

Usiadłem na łóżku i wziąłem kartkę, żeby napisać nowy list. Słowa, które zamknąłem w tamtym, poprzednim, wciąż były świeże w mojej pamięci, jak gdyby spłynęły z przeżutej kartki, zapuszczając korzenie prosto do głowy. Złożyłem drugi list, ubrałem się i ruszyłem pod jej blok, nie zważając na to, że jest środek nocy.

Biegłem mokrymi ulicami, przebijając wodne kurtyny. Dobiegłszy do celu, stanąłem pod oknami dziewięciopiętrowego bloku, po prze-

ciwnej stronie ulicy i odczytałem swój list na cały głos, przekrzykując zagłuszającą go ulewę:

Habibati,

Czy zechcesz się obudzić i wysłuchać mnie ? Wyjść na balkon z twarzą zakrytą welonem ciemności i wysłuchać moich słów?

O księżniczko nad księżniczkami, czy możesz przedzierzgnąć się w wiatr, który zabierze Cię do mnie? Czy możesz znaleźć jesienny liść, który uniesie Cię wysoko na ciemne, nocne niebo, gdzie nikt nie przeszkodzi nam w spotkaniu? Czy możesz dziś wykąpać się w strugach deszczu?

Moja królewno srebrnego księżyca, gdybym był wędrownym śpiewakiem, objechałbym z lutnią oud cały świat, aby przywieźć Ci najpiękniejsze pieśni.

Czasami wyobrażam sobie, że jestem kaleką i siedzę u Twych stóp, spoglądam w Twoją twarz i widzę, jak Twoje wargi układają moje imię, jak Twoje rzęsy kotłyszają się w rytm moich słów, a Twoja dumna pierś faluje, poruszona biciem serca i moją miłością.

Tak bardzo żałuję, że nie żyjemy w krainie ślepców, gdzie każdy jest jednakowo ukryty przed każdym. Odnalazłbym Cię w takim świecie po zapachu; on wskazałby mi Twoją twarz i usta, które całowałbym z bezszelestną żarliwością.

Widziałem Cię we śnie, habibati Śniło mi się, że spacerujesz po parku, gdzie wszystkie kwiaty, pijane moim smutkiem, opuściły głowy swych pąków aż do samej ziemi. Przyrzekam Ci, że ten ogród wkrótce rozkwitnie na nowo, a dom, w którym mieszkasz, stanie się jak wysoka różowa lilia wyrastająca z białej chmury, której na imię An-Nuzla.

Następnego dnia doczekałem się wreszcie i zobaczyłem ją. Było niedzielne popołudnie. Woda, która poprzedniego dnia spadła z nieba, wyparowała już do ostatniej kropli. Słońce prażyło niemiłosiernie, a na ulicach An-Nuzli nie było żywej duszy. Stałem tam, gdzie w nocy, pod dziewięciopiętrowym blokiem, na chodniku naprzeciwko. Nagle z bloku wyszła jakaś kobieta. Spojrzałem na jej buty i wrosłem w ziemię. Były różowe.

Dziewczyna w różowych butach rozejrzała się w obie strony i skinęła na mnie dłonią w rękawiczce. Kiedy przechodziłem przez ulicę, ruszyła szybkim krokiem przed siebie i w pewnej chwili upuściła na chodnik kartkę papieru.

Habibi

Proszę, wybacz mi, że tak długo się nie pokazywałam. Pamiętaj, ostrzegałam Cię, że nie jestem panią własnego czasu i choć bardzo tego żałuję, taka sytuacja może się powtórzyć. Tym razem zdarzyło się coś, czego nie sposób było przewidzieć - musiałam załatwić pewną osobistą sprawę. Bardzo bym chciała o wszystkim Ci opowiedzieć, ale nie starczy na to miejsca w takim liście, mój kochany.

Tak czy inaczej, wszystko już jest w porządku, a ja nie mogę się na cieszyć, że mogę być tutaj i znów chodzić z Tobą jedną ulicą.

Widziałam przez okno, jak stoisz w tym niemiłosiernym upale. Nigdy bym się nie spodziewała, że jesteś gotowy ponieść dla mnie tak wielką ofiarę. Patrzyłam, jak tamten policjant religijny wyżywa się na Tobie. Nawet nie drgnęła Ci powieka, mój habibi, kiedy okładał Cię kijem. A gdy zeszłej nocy niespodziewanie spadł deszcz, a ja, nie mogąc spać, wyjrzałam przez

okno, Ty stałeś na ulicy z uniesionym czołem. Widziałam, jak poruszasz ustami, i błagałam wiatr, aby przyniósł do mnie Twoje słowa. Wyciągniętą dłonią pragnęłam dotknąć Twojej twarzy, ale ponieważ to było niemożliwe, wzięłam tylko Twój portret i musnęłam ustami Twoje usta.

Kochany, w dalszym ciągu nie mam odwagi przykłęknąć na ulicy, żeby podnieść z ziemi Twój list. Coraz bardziej boję się nawet upuszczać swoje kartki dla Ciebie. Kilka dni temu przyjaciółka opowiadała mi, że policja religijna przyłapała jej znajomą, która rzuciła na ziemię list do chłopca. Stało się to tutaj, na naszej ulicy. Mam jednak pewien pomysł. Spotkajmy się jutro w sklepie Jemeńczyka, o wpół do drugiej, po modlitwach. Wybieram się tam z mamą; wszystko, co powiesz do sprzedawcy, odbije się od ścian i wpadnie prosto w moje czujne uszy.

Salam z głębi serca.

Do samego wieczora - przez całą noc - ćwiczyłem to, co chciałem powiedzieć następnego dnia w sklepie Jemeńczyka. Postanowiłem, że moje słowa muszą poruszyć ziemię w całej Dżiddzie. Ale nie mogłem niczego wymyślić. Ułożone w pamięci frazy rozwiewały się jak dym, kiedy próbowałem wypowiedzieć je na głos. Aż do świtu nie zmrużyłem oka, szukając słów, które chciałem przekazać dziewczynie w różowych butach.

Wszedłem do sklepu. Właściciel stał za ladą i wykładał na półkę paczki papierosów. Obejrzałem się na zegar wiszący w głębi: pierwsza dwadzieścia pięć. W powietrzu jak zwykle wirowały kłęby kadzidlanego dymu, a z głośnika dobiegały puszczone cicho sury z Koranu. Sklepikarz odwrócił głowę, uśmiechając się kpiąco na mój widok.

Nie spiesząc się, wszedłem głębiej, udając, że się rozglądam. Wziąłem do ręki piękne naczynie do kadzidła, wypalone z brązowej gliny. Zajrzawszy pod spód, dowiedziałem się, że pochodzi ono z miasta Marib położonego w Jemenie, kraju królowej Saby.

- Widzisz chyba, że to nie na twoją kieszeń - warknął na mnie sklepikarz. - Odłóż to na miejsce i bierz tę swoją pepsi, raz-dwa.

Stałem przed ladą z puszką w dłoni. Zegar wskazywał pierwszą trzydzieści pięć, a dziewczyny wciąż nie było. Wróciłem do lodówki, wracając z nową puszką.

- A z tamtą coś byto nie tak? - dopytywał się sprzedawca. Puściłem jego pytanie mimo uszu i postawiwszy napój na blacie, rozejrzałem się w milczeniu dookoła. Obok półki z papierosami wisiało malowidło przedstawiające Mekkę. Sąsiednia półka była zastawiona biało-żółtymi puszkami mleka w proszku firmy Nido. Z drugiej strony zwieszał się jakiś kolorowy jemeński strój.

- No, już - popędził mnie sklepikarz. - Nie jesteś w muzeum. Płać i do widzenia.

W tym momencie od drzwi dobiegł mnie odgłos kroków. Odwróciłem głowę. Do sklepu weszły dwie kobiety, a jedna z nich miała na nogach różowe buty.

- Szybciej - zniecierpliwiał się sprzedawca. - Nie będę się z tobą bawił cały dzień.

A ja nie mogłem wykrztusić ani słowa.

Co prawda obejrzałem się przelotnie na faceta za ladą, ale natychmiast odwróciłem wzrok z powrotem ku różowym butom, które były nieskazitelnie czyste, kompletnie nie na miejscu w tym sklepie, obok uświnionych pudeł i skrzynek stłoczonych na podłodze. Ich właścicielka stała za regałem, gdzie sklepikarz nie mógł jej dojrzeć; w pewnym momencie zebrała dłonią w rękawiczce połę swojej abai i podciągnęła ją, pokazując mi prawą kostkę. Po raz pierwszy zobaczyłem centymetr skóry - jej skóry. Zacisnąłem powieki, przełykając ślinę; rzuciła mi się w oczy nieduża blizna, tuż ponad kostką dziewczyny. Ileż to razy dręczyła mnie nieufność, ile razy brakowało pewności, czy przypadkiem nie gonię za mirażem, za widmem. A tymczasem ona istniała naprawdę. Oto miałem dowód, przed samymi oczami, na tej ciemnej, lśniącej i gładkiej skórze. Mój sen o miłości okazał się prawdziwy. Chciało mi się skakać, krzyczeć ze szczęścia. Blizna przypominała nieduży tatuaż: była krótka i zaokrąglona, jak ozdoba z czarnych kamieni zapięta na kostce. Wiele bym dał za to, żeby wiedzieć, czy kiedyś będzie mi dane trzymać tę stopę w dłoniach i muskać ustami ową bliznę, powoli, czule, tak aby wymazać z pamięci wspomnienia związanego z nią bólu.

Nagle, zaskakując sam siebie, przemówiłem.

- Jak się dziś miewasz? - wyjąkałem, spoglądając na sklepikarza.

- Co mówisz, chłopaku? Głośniej! - krzyknął.

- Mówię, że piękny mamy... w imię...

- Czekaj - uciszył mnie, wyłączając radio. - Co mówiłeś?
Wyprostowawszy się, oznajmiłem śmiałym tonem:

- Chcę tylko powiedzieć to, co już od dawna ciśnie mi się na usta.
- A od kiedy ty w ogóle umiesz mówić? Do tej pory miałeś kołek zamiast języka - parsknął sprzedawca.

- Ta mała blizna na twojej kostce natchnęła mnie w tej chwili, abym przemówił.

- Na jakiej kostce? Słuchaj no...

- Skarbie, wszystko ma swój czas. Pozwól, że ci się przedstawię. Czynię to z prawdziwą przyjemnością. Nazywam się Naser i pochodzę z Erytrei.

- Nie pytałem cię o imię i wcale mnie ono nie obchodzi - odparł sklepikarz.

- Mam dwadzieścia lat, a mieszkam w tym kraju od dziesięciu.

- To akurat wiem. Miałem przyjemność cię obsługiwać przez te dziesięć lat.

- A chociaż nie znam twojego imienia, to jeśli pozwolisz, będę cię nazywać Fiore. To słowo pochodzi z włoskiego, a w moim ojczystym języku tigrinia oznacza kwiat.

- Nazywam się Safwan Sa'ad Szakir, chłopaku - zawarczał sprzedawca, pochylając się nad ladą i łapiąc mnie za ramiona. - Wiedziałbyś o tym, gdyby zachciało ci się kiedykolwiek zamienić ze mną chociaż słowo. A teraz wynoś się stąd, bo zaraz będziesz się przedstawiał mojej pięści.

Pchnął mnie z całej siły, aż się potknąłem, wpadając na sklepowy regał, ale w następnej chwili jednym skokiem byłem już z powrotem przy ladzie i trzepałem szybko dalej:

- Mam ci tyle do powiedzenia, tak wiele musimy dowiedzieć się o sobie. Marzę tylko o tym, żeby rozmawiać z tobą i słuchać twojego głosu.

- No cóż, to wspaniale - odparł sklepikarz. - Więc może zrobimy tak: ja wyjdę z za lady i przetrączę ci kręgosłup, a wtedy ty będziesz mógł siedzieć sobie tutaj do końca świata i opowiadać mi historię swojego życia.

Po tych słowach wypchnął mnie na ulicę, rzucając jeszcze w ślad za mną:

- Na przyszłość pokazuj się tutaj, jak będziesz chciał kupić pepsi. Na pogaduszki chodź sobie gdzie indziej.

Habibi

Wczoraj w sklepie Jemeńczyka to było coś niesamowitego. Jakie cudne imię dla mnie wymyśliłeś!

Imię Naser też jest piękne, a Twój głos po prostu mnie oczarował. Kiedy zobaczyłam, jak unosisz lekko podbródek i przymykasz na chwilę oczy, a z czoła spływa Ci kropelka potu, której nie ocierasz - wtedy zrozumiałam, że nie pomyliłam się względem Ciebie.

Mój kochany, wiesz dobrze, że zbliża się wrzesień, brzemienny jesienią, wraz z którą do Dżiddy z powrotem zawitają niespodziewane, gwałtowne wichury. A silny wiatr może porwać moje listy, tak że trafią one w niepowołane ręce. Chciałabym jednak, abyśmy do siebie pisali, i to długie listy, a nie takie pojedyncze kartki jak do tej pory.

Niewidomy imam z meczetu w An-Nuzli wyklada także religię na mojej uczelni. Może nas uczyć, ponieważ nie widzi. Zajęcia zaczynają się we wrześniu, a ja, z racji tego, że sprawuję godność „pierwszej z pierwszych”, z polecenia dyrektora prowadzę imama od bramy do sali wykładowej. Habibi gdybyś postarał się o to, aby być jego przewodnikiem w drodze z domu do mojej uczelni i nosić jego torbę, wtedy on mógłby zostać posłańcem naszej miłości i przekazywać nam listy. Metoda jest zupełnie prosta: przyjdiesz z nim pod bramę, zadzwonisz domofonem i powiesz, że przyprowadziłeś imama. Wtedy ja otworzę i stanę za progiem, ale nie będziesz mnie widział, bo muszę się chować za drzwiami. Ty pomożesz imamowi przejść przez próg i podasz mi jego torbę, w której będzie schowany Twój list. Przejmę od Ciebie nauczyciela, a kiedy wrócisz, żeby go zabrać po wykładzie, w jego torbie znajdziesz moją odpowiedź.

Ale gdy będziesz do mnie pisał po raz pierwszy, niech to będzie tylko krótka wiadomość na potwierdzenie, że Ci się udało, a niewidomy imam od tego dnia pracuje dla nas jako kurier miłości.

Twoja Fiore

Tego samego dnia, po południu, zadzwoniłem do Hilala, aby poinformować go, że rezygnuję z pracy w myjni, i jednocześnie poprosić, żeby sam zawiadomił o tym mojego szefa, ponieważ ja boję się

go zdenerwować. Podjęcie takiej decyzji oznaczało, że będę musiał utrzymywać się z oszczędności, których wciąż jeszcze mi trochę zostało z czasów, kiedy pracowałem u Dżasima. Postanowiłem jednak przeżyć tę fascynującą przygodę w pełni. Hilal usiłował mnie namówić, żebym zmienił zdanie.

- Chcesz rzucić pracę? A z czego będziesz żył? - pytał raz po raz, a ja powtarzałem tylko, że potrzebuję trochę czasu dla siebie i że mam dość odłożonych pieniędzy, żeby starczyło na czynsz za mieszkanie przez kilka miesięcy.

- W porządku, rób, co chcesz - powiedział wreszcie i odłożył słuchawkę.

Cześć piąta

Basil

Bez namysłu przyjąłem propozycję Fiore, błogosławiąc jej rozsądek z żarliwością neofity, którym zresztą od dawna już byłem. Pogodziłem się nawet z tym, że dopóki nie uda mi się wkraść w łaski ślepego imama i uczynić z niego posłańca naszej miłości, będę przez jakiś czas pozbawiony listów od niej. Aż tak wiele miałem jej do powiedzenia.

Wiedziałem dobrze, co muszę zrobić, aby zbliżyć się do imama wielkiego meczetu, bez zwłoki zabrałem się więc do dzieła. Chociaż do szkoły nie chodziłem już dobrych kilka lat, większą część potrzebnej wiedzy miałem opanowaną, bo program nauki religii był poszerzany z roku na rok.

W dniu, kiedy mijal miesiąc, odkąd dostałem pierwszy list od dziewczyny w różowych butach, obudziłem się wczesnym rankiem i zacząłem przygotowania. Wygrzebałem z dna szafy swój dawny szkolny mundurek - czyli przepisowy islamski strój. Zarzuciłem na siebie stary saub, który dostałem od wuja na piętnaste urodziny. Teraz był na mnie za krótki, ale o to mi właśnie chodziło, bo tak nosili się *mutawwa'in*: saub kończący się wysoko nad kostką pokazywał, że jego właściciel podąża śladami proroka Mahometa, pokój niech będzie z nim.

Zabrzmiał *azan* na pierwszą modlitwę. Ucałowałem portret matki, potrząsając głową na wspomnienie dnia, gdy złożyłem przysięgę, że już nigdy moja noga nie postanie w meczecie ślepego imama, przysięgę, którą dziś właśnie miałem złamać. Oto jest siła miłości, uśmiechnąłem się do siebie i z tą myślą wyszedłem z domu, kierując swoje kroki do meczetu.

Ulicę zalał tłum mężczyzn spieszących na modlitwy. Zanurzyłem się w tym morzu białych saubów, odruchowo oglądając się przez ramię w obawie, czy nie zauważy mnie któryś z moich przyjaciół; tego, że zostałem *mutawwa*, nie wybaczyliby mi nigdy w życiu. Szybko jednak ukoilem swoje obawy. Był zaledwie początek miesiąca, a oni mieli wrócić z wakacji dopiero za kilka tygodni.

- Załatwię się z nimi, kiedy wrócą - powiedziałem sobie, maszerując dalej w kierunku meczetu.

Meczet niedawno został odnowiony; jego ściany lśniły oślepiającą bielą. Zdjąłem buty i wszedłem do głównej sali, mogącej pomieścić setki wiernych. Podłogę pokrywał zielony dywan z czarnym wizerunkiem świętej Kabby. Wewnętrzne ściany także były białe, bez choćby jednego znaku albo napisu. Stałem w pobliżu mihrabu, wnęki wskazującej Mekkę; obok niej imam prowadził codzienne nabożeństwa. Sala była pełna ludzi pogrążonych w modlitwie: niektórzy gięli się w pokłonach, inni klęczeli, a kilku kuliło się, dotykając czołami podłogi.

Ktoś wyprowadził ślepego imama przed zgromadzenie wiernych. Duchowny oparł laskę o stopień drewnianych schodów prowadzących na minbar, podwyższenie kaznodziejskie.

Zamknąłem oczy, powtarzając sobie: „Wszystko będzie dobrze”.

Po skończonej modlitwie, kiedy większość mężczyzn rozeszła się już do domów, niewielka grupa ludzi zgromadziła się dookoła ślepego imama. Człowiek, który go prowadził, usiadł po jego prawicy.

- Jak nazywa się przewodnik imama? - zapytałem swojego sąsiada, chociaż z góry znałem odpowiedź.

- Basil - powiedział. - Wielka pobożność. Przypomniałem sobie, co mówił o nim Al-Jamani tamtej nocy

w Pałacu Rozkoszy: „Basil zawsze chętnie werbuje chuliganów, żeby zapewnić sobie jak największą nagrodę w niebie”. Pamiętałem też jednak, że ten człowiek sam nie miał zbyt czystej przeszłości, a jego słabością byli ładni chłopcy. Zobaczymy, pomyślałem, przyglądając mu się, czy czas spędzony u boku imama zdołał wykorzenić z niego dawne upodobania.

Tego ranka trudno mi było zwrócić na siebie jego uwagę, bo wdał się w długą rozmowę z imamem, wstałem więc i wróciłem do domu.

Szczerście uśmiechnęło się do mnie dopiero następnego dnia, po pierwszym porannym nabożeństwie.

Kiedy tylko imam skończył, udając się pod ścianę meczetu, gdzie gromadziła się jego grupa, wstałem, aby wygłosić specjalną modlitwę. Starłem się, tak jak sam imam, wyobrazić sobie Allaha Karzącego, a zaczynając słowami: „*AllahuAkbar*”, wybuchnąłem płaczem. Po skończonej modlitwie powiodłem wzrokiem po kręgu otaczającym ślepego imama: Basil mnie zauważył. Uśmiechał się.

Dołączyłem do grupy. Kilku chłopaków zaczęło mi gratulować łez wylanych przed Allahem, mówiąc: „Cóż to za wiara, *maszą Allah**”.

Zauważyłem, że Basil pochyła się do ucha ślepego imama i coś mu szepcze.

- *Allahu Akbar, Allahu Akbań* - wykrzyknął duchowny kilka sekund później. - Niech ten chłopiec, który ronił łzy przed Allahem, usiądzie obok mnie.

Zostałem zaprowadzony do niego.

Imam miał głos tak donośny, jakby bez przerwy mówił przez mikrofon, szerokie bary i długą brodę przetykaną siwizną. Jeden rąbek okrywającej głowę chusty przerzucił sobie przez ramię. Kiedy usiadłem, położył dłoń na moim ramieniu i odszukał palcami twarz. Zebrawszy mi łzy z policzków, obwieścił:

- Te łzy, moi synowie, to nie są łzy, ale wonne piżmo. Ten, kto płacze przed obliczem Allaha, z pewnością jest jego najbardziej posłusznym niewolnikiem. Ja usłyszałem szloch tego dziecka i poczułem jego uległość wobec Allaha, coś za zaszczyt mnie spotkał!

Poprosił Basila, żeby podał mu torbę. Później któryś z chłopaków z meczetu powiedział mi, co imam w niej nosi; miał tam pełno różnych broszurek. Nie mógł czytać, ale lubił trzymać je pod ręką, żeby mieć się na co powoływać, kiedy głosił kazanie. Podobno stracił wzrok w wyniku poważnej choroby przed ponad ćwierć

*** *Masza Allah* (arab.) - niech się dzieje wola Allaha; zwrot często używany jako wyraz uznania.**

wieczem. Miał wtedy tylko dwadzieścia lat, ale już był uczonym człowiekiem.

Przyjrzałem się uważnie torbie, którą Basil podał imamowi. Była stara, uszyta z czarnej skóry. Imam wyjął z niej dwie nieduże książeczki i wręczył mi je. Pierwsza z nich opisywała nagrody w niebie, druga piekielne kary.

Później, kiedy imam rozmawiał z uczniami, podszedłem do Basila i zagadnąłem go tak:

- Jestem świeżo nawrócony na słuszną drogę. Przez wiele lat byłem złym muzułmaninem. Potrzebuję twojej pomocy, bracie. Wesprzyj mnie, jak tylko możesz, abym zdołał odkupić lata zmarnowane w grzechu.

Podąłem mu rękę, ale po uściśnięciu jego dłoni przytrzymałem ją w swojej. Palce drżały mu lekko.

- Pomogę ci, *insza Allah* - zapewnił mnie, uśmiechając się łagodnie. - Niech Allah błogosławi nas wszystkich.

Gdy zacząłem regularnie chodzić do meczetu, szybko się dowiedziałem, że Basil ma już protegowanego. Chłopak nazywał się Abdu. Zresztą, jak dało się zauważyć, ubiegających się o względy Basila było wielu; ten człowiek był ścieżką wiodącą do ślepego imama, furtką do szczodrych nagród. I widać było, że upodobał sobie tę rolę.

Bycie przewodnikiem imama przez jeden dzień, powiedział nam kiedyś, to zaszczyt, który jest równowartością zasługi całych miesięcy chodzenia do meczetu samemu.

Choć zadanie wydawało się wręcz niemożliwe do wykonania, złożyłem uroczystą przysięgę:

- Zrobię wszystko, co tylko będzie trzeba, aby nasz plan się powiódł, Fiore.

Z Basilem poszło mi łatwiej, niż się spodziewałem. Facet popełnił błąd, a ja wykorzystałem go w pełni.

Był piątek, dwudziesty piąty sierpnia. Upłynęło dziesięć dni, odkąd zawitałem do meczetu, prowadzony jednym celem: zwerbować ślepego imama jako doręczyciela listów miłosnych dla mnie i mojej dziewczyny w różowych butach. Plan dnia miałem zupełnie prosty. Budziłem się przed świtem, czytałem od początku wszystkie listy od Fiore, a potem pozostawało tylko przebrać się w islamski strój i pójść do meczetu. W świątyni stroniłem od ludzi, poświęcając się czytaniu i modlitwie. Potrafiłem tak siedzieć całymi godzinami. Po każdym skończonym nabożeństwie widziałem jak na dłoni, że moja osoba budzi coraz większe zainteresowanie Basila.

- Bracie Naser - powiedział mi któregoś popołudnia - widzę, że rozumiesz, o co nam chodzi. Zaczynasz mi się podobać.

Ponieważ był piątek, musiało się odbyć świąteczne kazanie. Drżałem na całym ciele, patrząc, jak Basil wprowadza ślepego imama na minbar. Potem jednak rzuciła mi się w oczy czarna skórzana torba dyndająca w jego dłoni i od razu moje myśli pobiegły do Fiore. Uśmiechnąłem się, zaciskając powieki, a kiedy je otworzyłem, imam stał już na podwyższeniu. Na saub miał zarzuconą pelerynę obrębioną złotem, a na głowie - czerwoną gutrę. Pochyliłem czoło, z powrotem zamykając oczy i koncentrując się na tym, co napiszę mojej Fiore w pierwszym prawdziwym liście.

Tego samego dnia, po południu, siedzieliśmy kręgiem w samym sercu wielkiego meczetu. Było nas mniej więcej dziesięciu. Ja miałem miejsce po lewej ręce Basila.

Jego czarna broda była tak długa, że prawie leżała na brzuchu. Każde zdanie miał zwyczaj kończyć uśmiechem; jego białe, idealnie równe zęby były, jak się kiedyś wyraził jeden z chłopaków, „świadectwem czystości serca”.

Przed nami leżały książki i zbiory anegdot zebranych przez arabskich mudżahedinów w Afganistanie.

Ponieważ nie było z nami imama (odpoczywał w domu przed lekcją islamu, którą miał jeszcze zaplanowaną na ten dzień), do grupy przemawia! Basil. Nasz krąg rósł, cały czas przybywało ludzi. W pewnym momencie pojawił się też zdyszany Abdu. Nigdy nie miałem okazji dłużej z nim porozmawiać; praktycznie nie spuszczał oczu z Basila.

Abdu wcisnął się jakoś pomiędzy nas, zajmując miejsce po prawej stronie Basila. Był mokry od potu. Basil potrząsnął głową, a Abdu, zajmąwszy miejsce, zawołał:

- Wybacz mi spóźnienie, o czcigodny szajchu*! Mieliśmy egzamin w letniej szkole. Zaczął się później, bo egzaminator w ostatniej chwili się rozchorował i trzeba było znaleźć kogoś na zastępstwo.

- Jesteście przyszłością islamu w tym kraju. Nadejdzie dzień, kiedy cały świat muzułmański będzie was prosić o naukę, a tymczasem wy za nic sobie macie nasze spotkania w meczecie - odparł Basil. - Zapytuję was, niewolnicy Allaha: jakim sposobem możecie nieść sztandar islamu, skoro dbacie tylko i wyłącznie o to bezwartościowe życie? Czyż nie mówiłem wam, co prorok Mahomet...

Kiedy wypowiedział imię posłańca, wszyscy zakrzyknęliśmy zgodnym chórem „Pokój niech będzie z nim”. Basil skinął potakująco głową i mówił dalej:

- Jesteście tak słabi, o bracia moi, że czasami w nocy nie mogę zasnąć, kiedy myślę i martwię się o was. Bracia, zawsze pamiętajcie, że nie ma w tym życiu nic ważniejszego niż Allah i jego nauka.

- Nie zapomnimy, *insza Allah* - odparliśmy. Dostojny Basil nachylił mi się wtedy do ucha i szepnął:

- Ci chłopcy tak niewiele jeszcze umieją. Widzisz, bracie, co staram się im przekazać, tutaj, w An-Nuzli?

* *Szajch* (arab.) - nieoficjalny, potoczny tytuł używany w stosunku do osoby darzonej szczególnym poważaniem, przeważnie starszej.

- Tak, czcigodny szajchu - odszepnąłem, zaglądając mu głęboko w oczy. - Allan wynagrodzi ci twoją cierpliwość, ciężką pracę i przeczorność, *insza Allah*. Na imię Allana, przebywam tutaj tak krótko, a już tyle się od ciebie nauczyłem. Rozkazuj mi, a zrobię wszystko, żeby cię zadowolić, o błogosławiony szajchu.

Basil uśmiechnął się do mnie z nagłym błyskiem w oku.

- Widzicie? - zawołał, tocząc radosnym spojrzeniem po otaczających go kręgiem chłopakach. - Ten uczeń pojawił się wśród nas pełen wrodzonej mądrości, posłuszeństwa i wiedzy. Dniem i nocą siedzi w naszym meczecie. Nie poszedł do letniej szkoły, nie wyjechał na wakacje, nie ugania się za piłką. Poświęcił się swojej sprawie. I otrzyma nagrodę, *insza Allah*.

Większość słuchających zareagowała radosnym mamrotaniem, lecz kilku - a szczególnie Abdu - tylko patrzyło na mnie bez słowa. Kiedy skrzyżowaliśmy spojrzenia, uśmiechnąłem się, ale on niemalże natychmiast odwrócił wzrok.

Potem zaczęły się szepty. Basil klasnął w dłoń.

- Cisza - nakazał. - Cisza.

- Mam plan - oznajmił, gdy się uspokoiło, i błysnął zębami, zawieszając głos dla wywołania dramatycznego efektu. Powoli przesunął oczami po wszystkich twarzach w kręgu, przywołując z powrotem swój uśmiech, jakby chciał nam przypomnieć, że każde słowo, które pada z jego ust, jest w zasadzie kompletnym tekstem, gotowym do publicznego wygłoszenia. - Mój plan - kolejna pauza - jest wielki, lecz początki z konieczności będzie miał skromne. Chodzi o to, że musimy bardzo szybko zwerbować dużo chłopców. W przeciwnym razie nie zdołamy zrealizować wielkiego planu, ale należy pamiętać, że zacząć trzeba skromnie. Wielki plan się nie powiedzie, jeśli nie zaczniemy skromnie.

- Wybacz, że ci przerywam, szajchu - odezwał się chłopak znany pod przydomkiem „weterana z Afganistanu”, choć miał dopiero szesnaście lat. Dowiedziałem się, że jako czternastolatek pojechał na wojnę razem z ojcem, ale kiedy półtora roku później jego ojciec zginął, zatęsknił za matką i dostał pozwolenie na powrót do domu.

- Wolałbym, o szajchu Basilu - mówił dalej weteran z Afganistanu - żebyś od razu dokładnie wyjaśnił, na czym ma polegać twój plan, zamiast kręcić się w kółko jak śmigło od helikoptera.

Zawsze wyrażał się w ten sposób. Podobno - sam o tym opowiadał - zestrzelił kiedyś rosyjski śmigłowiec z granatnika przeciwpancerneho.

Zazwyczaj, kiedy weteran z Afganistanu wspominał choćby słowem o helikopterze, w grupie rozlegały się głośne okrzyki uznania i różne pochlebstwa. Nie tym razem. Widziałem wyraźnie, że kilku chłopaków już miało zawołać „Allah jest wielki!”, ale na widok ściągniętej, czerwonej od gniewu twarzy Basila szybko zmieniło zdanie. Nauczyciel wpatrywał się przez chwilę w oczy arogantowi, który ośmielił się mu przerwać i żądać wyjaśnień, lecz wreszcie przemówił:

- Cierpliwości, panie weteranie. Nie wyjawię całego planu od razu. Wszystko w swoim czasie, *insza Allah*.

Wieczorem, po ostatniej modlitwie w ciągu dnia, znów spotkaliśmy się w kręgu. Basil polecił mi poczekać na siebie, kiedy chłopcy zaczną się rozchodzić. Chciał ze mną porozmawiać na osobności.

- Czy ja też mam zaczekać? - zapytał Abdu, podsłuchawszy jego słowa.

- Nie, niech Allah cię błogosławi - odparł Basil. - Idź do domu i wspomnij na Niego, zanim zaśniesz.

Abdu skinął głową i wyszedł, nie żegnając się ze mną. Zrobiło mi się go szkoda, ale wiedziałem, że dzięki temu jestem już bliżej celu.

Czekałem na Basila tuż obok wejścia, pod ścianą. Część naszej grupy została jeszcze w meczecie; siedzieli i czytali. Pogoda była wietrzna. Wyobraziłem sobie, że opuszczam świątynię na skrzydłach tego wiatru i lecę prosto do domu Fiore. Poszlibyśmy na długi spacer i niepotrzebny byłby nam żaden tajny doręczyciel miłosnych listów. Z tego słodkiego snu na jawie nagle wyrwał mnie głos Basila:

- W porządku, Naser, chodźmy.

Nie wiedziałem, dokąd chce mnie zabrać, ale ponieważ wpojono nam, że z szajchem się nie dyskutuje, o nic nie pytałem.

Kiedy jednak minęliśmy gmach szkoły średniej Al-Kadisijja, a potem budynek Telekomunikacji Saudyjskiej, domyśliłem się, że Basil prowadzi mnie w swoje strony.

Weszliśmy w cień jakiegoś wiaduktu. Tam mój przewodnik obejrzał się i przystanął.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja podałem mu dłoń.

- Jest tutaj niedaleko pewien ustronny park - powiedział.

W parku znaleźliśmy sobie ławkę pod jedyną działającą latarnią, proszącą przyćmionym światłem.

Siedzieliśmy daleko od siebie, w milczeniu; nie pytałem, dlaczego przyprowadził mnie akurat tutaj.

Wreszcie Basil przysunął się do mnie odrobinę i położył dłoń na moim udzie.

- Och, bracie Naser - westchnął. - Kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem od razu, że znakomicie potrafisz słuchać.

- Niech cię Allah błogosławi - skłoniłem głowę.

- Czuję, że mogę się przed tobą otworzyć.

- Dziękuję.

- Wiesz, bracie, jestem *mutawwa* już od czterech lat, *alhamdulillah*.

- *Masza Allah* - odparłem - cudowne cztery lata zbierania nagród, dzień w dzień i noc w noc.

- Tak, to prawda - przyznał Basil i umilkł.

Potem przysunął się jeszcze bliżej. Rozległ się cichy chrzęst kruzonego szkła. Spojrzeliśmy pod nogi: Basil rozdeptał prawym butem potłuczone resztki kilku strzykawek.

Przez chwilę nic nie mówił; głos wrócił mu dopiero, gdy przez park przemknęło z wielkim wyciem kilka motocykli. Zerwał się wtedy z ławki, jakby chciał przeskoczyć przez ogrodzenie i dołączyć do ekipy na dwóch kółkach, ale zatrzymał się w pół kroku, mamrocząc pod nosem:

- Wybacz mi, *ja Allah*. O, Allahu, proszę, wybacz mi. Nie odwracając się, zapytał mnie:

- Jak sądzisz, ile mam lat?

- Nie wiem - odrzekłem. To była jedyna rzecz, której nie udało mi się dowiedzieć od chłopaków z meczetu; żaden tego nie wiedział.

- Dwadzieścia cztery - powiedział Basil.

- *Masza Allah*.

- Tak. Mam już dwadzieścia cztery lata i wciąż jestem kawale-, rem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem, nie ruszając się z ławki.

Zganił mnie za to milczenie:

- Bracie, mówiłem, że dobrze potrafisz słuchać, ale to nie znaczy, że musisz być jak niemowa. Nie znasz się na sztuce konwersacji?

- A co mam powiedzieć?

- Możesz zacząć od tego, że zapytasz mnie, dlaczego wciąż jestem, kawalerem.

- Dlaczego?

- Saudyjskie kobiety są kosztowne, bracie Naser. Czy wiesz, że niektórzy dusigrosze potrafią zawołać sobie za córkę prawie sto tysięcy riali posagu? A nawet zwykły, dobry ojciec nie schodzi poniżej pięćdziesięciu tysięcy.

- Też o tym słyszałem. Basil potrząsnął głową.

- Co oni sobie myślą? Skąd my mamy brać takie pieniądze? Nigdy nie będzie mnie stać na żonę. - Pochylił lekko głowę i splunął na ziemię.

- Więc może ożeń się z muzułmanką z innego kraju? - podsunąłem.

- Dobrze, dobrze, na razie posiedzmy sobie cicho - odparł.

Do tej pory stał przede mną, bez przerwy oglądając się na parkową bramę. W pewnej chwili przyklęknął, podniósł ze ścieżki jakąś pustą puszkę i zaczął się nią bawić. Zabawa szybko mu się znudziła: cisnął puszkę gdzieś daleko i wbił ręce w kieszenie. Zrobił krok w tył i usiadł z powrotem na ławce. Tak blisko, że dotykaliśmy się udami. Położył mi dłoń na kolanach, ale natychmiast ją cofnął, jęcząc: *Ja Allan, wybacz mi. Proszę Cię, o, Allahu*".

Wierci! się na ławce, zacierał nerwowo dłonie, zakładał nogę na nogę, zdejmował, znów zakładał. Wreszcie wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem, aż w którymś momencie zniknął w ciemności po lewej stronie ławki, dokąd nie docierał blask latarni.

Na chwilę zapadła cisza, a potem usłyszałem stłumione pojękiwanie.

- Fiore, moja jedyna - szepnąłem - już niedługo będziesz czytać moje listy.

W środku nocy zadzwonił telefon. Kiedy odebrałem, w słuchawce odezwał się kobiecy głos, mówiący do mnie w jakimś obcym języku. Zrozumiałem tylko jedno słowo: Berlin. Kobieta powtarzała je raz po raz: Berlin... Berlin. Powiedziałem jej, że nie rozumiem, o co chodzi, i już chciałem rzucić słuchawkę, kiedy w tle rozległ się śmiech. Znałem go. Był częścią mojego życia przez długie lata: wysoki chichot punktowany krótkimi, cienkimi piskami.

- Dżasim, to ty? - krzyknąłem do słuchawki. - Dżasim?

- To ja, mój drogi.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Cóż to, zazdrość? - zdziwił się. - To była Rebeka. Poznałem ją dziś wieczorem. - Roześmiał się, a po chwili milczenia dodał: - Tęsknię za tobą, mój drogi. Chciałbym już wrócić, ale mój kafil życzy sobie koniecznie, żebym z nim tutaj został.

Zapadła długa cisza, którą przerwał dopiero donośny wrzask gdzieś w oddali.

- Muszę już kończyć, Naser - powiedział Dżasim. - Kafil jest pijany. *Salam*, mój drogi.

Następnego dnia Basil miał błyszczące oczy. Wieczorem, jak zwykle, zasiadł z nami w kręgu, aby poprowadzić spotkanie. Po dobrych kilku godzinach rozprawiania o religii wstał wreszcie i spojrzał na mnie.

- No dobrze - powiedział. - Naser, pojedziesz ze mną. Mamy coś ważnego do załatwienia. Reszta przed pójściem do domu niech poczyta Koran.

- Szajchu - odezwał się Abdu - obiecałeś podwieźć mnie dziś do domu.

Basil westchnął.

- W porządku. Chodź, tylko szybko.

Poszliśmy z Basilem do jego mazdy. Abdu, jak gdyby nigdy nic, od razu stanął przy drzwiach z przodu.

- Nie, to nie twoje miejsce - ofuknął go Basil. - Od dzisiaj Naser tam siedzi.

Abdu nie ruszył się z miejsca. Kiedy podszedłem do niego, stał jak posąg przy pierwszych drzwiach, z dłonią zaciśniętą na klamce. Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, aż wreszcie cofnął rękę. Przechodząc na tył samochodu, potrącił mnie ramieniem.

Zanim wsiadłem, obejrzałem się na dziewięciopiętrowy blok, górujący nad dachami wszystkich domów przy ulicy An-Nuzla. Myślałem o pogniecionych kartkach od Fiore, których tak mi ostatnio brakowało, o tym, jak rozkładałem je drżącymi dłońmi. Tęskniłem za nią i za widokiem jej różowych butów postukujących o chodnik. Dotknąłem palcami kieszeni koszuli, gdzie spoczywał jeden z jej listów, który zawsze miałem przy sobie:

Habibi,

Ciężko mi, kiedy widzę Cię na ulicy i wszystko we mnie aż się rwie, żeby podejść, dotknąć Cię - a nie mogę tego zrobić. Już sama nie wiem, które z nas ma prawo mówić o szczęściu: Ty, który nie znasz mojej twarzy, czy ja, która widziałam Cię tyle razy, że teraz płonę pragnieniem, aby być z Tobą.

Wsiadłem do samochodu, zamykając za sobą drzwi. Ruszyliśmy. Basil wsunął do magnetofonu taśmę z wersetami z Koranu. Czytał je wielki imam z Mekki.

- Przepiękny głos - westchnął. - Oto najszczęśliwszy człowiek na Ziemi: otrzymał w darze taki głos, a potem został imamem Mekki. Wiecie, co to znaczy? Ze jest imamem wszystkich meczetów na całym świecie. - Podkreślił ostatnie słowa, robiąc palcem kółko w powietrzu. - *Masza Allah. Masza Allah.*

- Szajchu - odezwał się Abdu - kiedy słucham, jak ty czytasz Koran, to wydaje mi się, że piękniejszego głosu nie słyszałem nigdy w życiu. Powinno się go nagrać i rozesłać na cały świat.

Twarz Basila pojaśniała w jednej chwili.

- Niech Allah cię błogosławi - powiedział, zerkając na Abdu w lusterku.

Żeby nie być gorszym, też musiałem wymyślić dla niego jakiś komplement. Po chwili namysłu wykrzyknąłem:

- A ja, szajchu, byłem w Mekce sto tysięcy razy, modliłem się, stojąc za tym właśnie imamem, i powiem jedno: kiedy on odejdzie, nie znajdzie się nikt godniejszy na jego miejsce niż ty. Kto mógłby sobie wymarzyć lepszego imama najświętszego miejsca na całej Ziemi?

Basil skrzywił się i zatrzymał wóz na poboczu. Już się bałem, że powiedziałem coś złego, i patrzyłem z przerażeniem, jak wyciąga do mnie ręce, ale on tylko ujął moją twarz w dłonie i ucałował mnie w czoło.

Przystanęliśmy na szerokiej ulicy łączącej ulicę An-Nuzla z Mekkańską. Mieścił się tutaj dzielnicowy komisariat. Tuż obok niego znajdowało się złomowisko, na które policja odstawiała rozbite samochody.

- No, to jesteśmy - powiedział Basil do Abdu. Było to równoznaczne z poleceniem: „Wysiadaj!”. Odwróciłem głowę; wydawało mi się,

że ten dumny chłopak, który zawsze nosił się tak prosto, teraz zgarbił się smętnie.

- No już, Abdu, ruszaj się! Nie mam czasu! - wrzasnął na niego Basil.

A kiedy tylko Abdu zamknął za sobą drzwi, wcisnął gaz do dechy, aż wbiło mnie w fotel.

W parku było ciemniej niż poprzednim razem. Jedyne działająca latarnia mrugała teraz, gasnąc i zapalając się na przemian.

Spojrzałem na Basila. Jego twarz zniknęła razem ze światłem latarni, a kiedy pojawiała się z powrotem, widziałem wbite we mnie oczy. Żołądek skręcił mi się z obrzydzenia. Odwróciłem wzrok.

Basil wziął mnie za rękę i przytrzymał ją w swojej dłoni. Tym razem nie prosił już o wybaczenie; zamiast się kajać, ścisnął jeszcze mocniej.

- Naser? - Jego oczy powlekły się miękkim poblaskiem, na który napatrzyłem się do syta u tyłu *mężczyzn* w restauracji Dżasima.

- Słucham.

Światło zgasło ponownie, zabierając ze sobą jego twarz, ale głos pozostał, zawieszony w ciemności:

- Coś ci powiem.

Latarnia ożyła z powrotem.

- Wiesz, że już od czterech lat jestem *mutawwa*.

- Wiem.

- Wiesz, co to oznacza dla takiego chuligana, jakim byłem przedtem?

- Cztery lata cnoty.

Na jego twarzy zatańczyły migotliwe rozbłyski.

- Cztery lata rozłąki z moimi chłopcami.

Przypomniałem sobie, co mówił o tym człowieku weteran z Afganistanu: „Niewidomy imam natknął się na Basila, gdy ten był bardzo słaby, tuż po poważnym wypadku motocyklowym, który mógł kosztować go życie. W takiej sytuacji nawrócił go z łatwością. Ale w głębi serca Basil to zwykły ulicznik. Taki był zawsze i taki już zostanie”.

- Otrzymasz nagrodę, *insza Allan*. - Spojrzałem na niego. - Podobno wysłałeś dziesięciu młodych chłopców do Afganistanu.

- *Insza Allah* - zawtórował mi szybko. Zauważyłem, że przestał unosić co chwilę wzrok ku niebu, jak to miał w zwyczaju, i wyprostował

swój zawsze tak pokornie zgięty kark. Nagle wsunął mi dłonie pod saub, a gdy powróciło światło zepsutej latarni, zobaczyłem jego twarz tuż-tuż przed swoją twarzą: głowa lekko przekrzywiona, wzrok obmacujący moje usta. A potem nachylił się jeszcze bliżej.

Wtedy złapałem go obiema rękami za gardło i wysyczałem mu prosto w oczy:

- Myślisz, że to przejdzie? Spróbuj tylko, a przysięgam na Allaha miłościwego, że powybijam ci te białe ząbki. - Sam się zdziwiłem, słysząc w swoich ustach tę brutalną groźbę, ale to była szansa, której nie mogłem przegapić. Tak właśnie przedstawiał się mój plan. - A jutro masz mnie mianować przewodnikiem imama. Oficjalnie, przed całą grupą. Ja też chcę zbierać nagrody. A jak nie, to błogosławiony imam szybko się dowie, co chciałeś dzisiaj zrobić.

Po tych słowach go odepchnąłem. Zepsuta latarnia znowu zgasła. Wyszedłem z parku, nie oglądając się za siebie.

Po powrocie do domu, odtwarzając w myślach zajście z Basilem, nie mogłem uwierzyć, do czego się posunąłem. W pogoni za miłością zapuściłem się na zupełnie nieznaną obszar swojej natury. Ale, jak powtarzałem sobie z ciężkim sercem, to jest bitwa o miłość, a w bitwie zawsze leje się krew. Przeczuwałem jednak, że najgorsze jeszcze przede mną; można było mieć całkowitą pewność, że Basil będzie się mścił. To był ulicznik, a w Dżiddzie ulica jest pamiętliwa.

Następnego dnia, w niedzielę, zaraz po porannej modlitwie, kiedy zasiedliśmy w kręgu, Basil stanął za mną i położywszy mi dłonie na ramionach, ogłosił przed całą grupą:

- Naser, od dziś będziesz przewodnikiem naszego imama. Wbiłem wzrok w podłogę, oszołomiony z wrażenia. Nie mogłem w to uwierzyć. Nareszcie, moja Fiore, pomyślałem. Nareszcie zaczniemy do siebie pisać.

Odwróciłem głowę, chcąc podziękować Basilowi, ale on patrzył na mnie bez cienia uśmiechu na twarzy.

Część szósta

Posłaniec miłości

Punktualnie o szóstej trzydzieści rano, w sobotę, drugiego września, wyszedłem z domu, aby zaprowadzić niewidomego imama na uczelnię dla dziewcząt. Wilgotne powietrze, zalewające Dżiddę przez całe lato, w końcu zaczęło ustępować. Był to znak, że zbliża się już jesień, moja ulubiona pora roku w Arabii Saudyjskiej; chłodna aura zawsze orzeźwiała mi duszę.

Ulice pełne były uczniów w szkolnych mundurkach, powracających do nauki po wakacyjnej przerwie. Niemalże na progu swojego domu spotkałem znajomego kujona; na mój widok stanął jak wryty, mierząc mnie swoim uporczywym spojrzeniem.

- A ty co, zostałeś *mutawwa*"? - zapytał piskliwie, jak to on.

- Zgadza się - skinąłem głową-*Alhamdulillah*.

-Od kiedy to?

- Słuchaj, kujonie jeden...

Kiedy tylko wypowiedziałem to słowo, tamten przerwał mi wrzaskiem:

- Widzisz?! Gdybyś był dobrym *mutawwa*, to nigdy byś mnie nie przezwał.

- Przejęzyczyłem się, niech mi Allah wybaczy.

- Nie jesteś *mutawwa* - powtórzył z uporem.

- A to dlaczego? Może Allah jest tylko dla was?

W tej chwili mignęły mi w oddali różowe buty. Momentalnie zapomniałem o kujonie, odwracając się do niego plecami. Fiore szła ulicą, trzymając się kilka kroków za mężczyzną, który nie mógł być nikim innym jak jej ojcem. Wspominała o nim w jednym ze swoich listów.

Nagle zapało mi dech w piersiach; uświadomiłem sobie, że obserwując rysy jego twarzy, mogę się domyślić, jak ona wygląda. Był to przystojny mężczyzna, średniego wzrostu, o śniadej cerze i krągłej twarzy. Oczy miał brązowe, spojrzenie głębokie, usta pełne, a jego ciemna broda była krótko przystrzyżona. Tę twarz cechowała jakaś budząca podziw wytworność; podobne wrażenie robił na mnie sławny egipski aktor Ahmed Zaki. Jeśli chodzi o karnację, trudno byłoby znaleźć dwóch jednakowych Saudyjczyków. Jedni mieli skórę bardzo jasną, a inni brązową albo nawet jeszcze ciemniejszą. Możliwe, że ten człowiek jest rodowitym Saudyjczykiem, pomyślałem, ale równie dobrze mógłby pochodzić z dowolnego kraju nad Zatoką Perską; Afryka również nie była wykluczona.

Zdjęła mnie wielka ciekawość; czy córka jest do niego podobna, czy nie?

Mężczyzna kroczył ulicą, opierając lewą dłoń na okrągłym jak piłka brzuchu, przytrzymując palcami rąbek chusty, którą miał na głowie. Szedł dumnie wyprostowany, nie patrząc w oczy żadnemu z mijanych ludzi. Być może wybrał się, żeby odprowadzić córkę do szkoły.

Ruszyłem szybkim krokiem w ich stronę, spoglądając na Fiore ponad ramieniem jej ojca. Chwila, kiedy nareszcie będę mógł napisać do niej list, była już bardzo blisko.

Za piętnaście siódma stanąłem pod domem imama. Zanim jednak wszedłem do środka, zmówiłem krótką modlitwę:

- Wybacz mi, Allahu, że wykorzystuję ślepotę czcigodnego szajcha, ale niech moje pragnienie miłości będzie zadośćuczynieniem za nienawiść w jego kazaniach.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedłem, zapukawszy najpierw trzy razy, tak jak pouczył mnie Basil.

- Już idę, Naser! - Głos imama dobiegł mnie gdzieś z kobiecej części domu.

- Dobrze, niech Allah przedłuży twoje dni! - odkrzyknąłem, zdejmując buty i wchodząc do salonu, niedużego i skromnie urządzonego. Do siedzenia służyły tradycyjne arabskie poduszki i maty rozłożone wprost na grubym niebieskim dywanie, jak dyktuje stary zwyczaj *madzlis*,

czyli narad. Na ścianie po lewej stronie wisiała długa półka pełna książek o islamie, dotykając framugi drzwi prowadzących do gabinetu imama. Za gabinetem znajdowała się jego sypialnia, a dalej - kobieca część domu. Na jednej z mat zauważyłem starą czarną skórzaną torbę imama. Obejrzałem się na drzwi, sprawdzając, czy jest bezpiecznie, po czym usiadłem obok torby i otworzyłem ją, szukając miejsca, gdzie mógłbym najłatwiej chować listy do Fiore. Tego dnia miałem przy sobie tylko kilka słów na kartce - to miała być próba, żeby się upewnić, czy nasz sposób zdaje egzamin, a zarazem informacja, że udało mi się zwerbować ślepego imama i od tej pory możemy posyłać sobie tyle kartek, ile dusza zapagnie. W torbie znalazłem cztery islamskie broszurki, flakonik z piżmem, kilka długopisów i nieduży notatnik z adresami.

Wsunąwszy swój liścik do Fiore pomiędzy broszurki, tak żeby nie było go widać od razu po otwarciu torby, przesiadłem się na jedną z dalszych poduszek. Skrzyżowałem nogi i wbiłem wzrok w torbę; mogłem tylko mieć nadzieję, że wszystko pójdzie gładko i bez problemów.

Do salonu wszedł imam. Stąpił powoli, ale pewnie, tak jakby wcale nie był ociemniały. Moją uwagę zwróciły jego stopy wbite w brązowe sandały: paznokcie miał równo przycięte, ale skóra wyglądała na całkiem suchą. Podniósłszy się z poduszki, ucałowałem go na powitanie w czoło, po czym w jedną rękę wziąłem jego torbę, a drugą wsunąłem mu pod ramię, prowadząc do drzwi.

Po wyjściu z jego domu na ulicy An-Nuzla skierowaliśmy się na ulicę Targową, pełną sklepów i kramów. Dziesięć minut później mogłem już dostrzec fasadę uczelni dla dziewcząt, dużego budynku o białych ścianach, otoczonego wysokim murem.

- Już niedaleko - poinformowałem imama.

Kiedy stanęliśmy u bramy, pomogłem imamowi przejść przez furtkę, po czym oznajmiłem donośnym głosem:

- Najdroższy imamie, twój sługa Naser przyjdzie po ciebie dziesięć minut przed końcem zajęć, aby nie musiał oglądać dziewcząt wychodzących do domu.

Głos podniosłem specjalnie, żeby stojąca za drzwiami Fiore mogła usłyszeć, że nareszcie mi się udało; od tej chwili możemy się porozumiewać w nowy sposób.

- Niech Allah przeklnie szatana! Mówże ciszej! - syknął imam. - Nie jestem głuchy, tylko ślepy.

Po południu wróciłem pod bramę uczelni, aby odebrać imama i odprowadzić go do domu. Zgodnie z otrzymaną instrukcją pojawiłem się tam dziesięć minut przed końcem zajęć, żeby nie kręcić się w pobliżu, kiedy uczennice będą wychodzić.

Wcisnąłem dzwonek domofonu obok masywnego skrzydła żelaznej bramy i wyrecytowałem do mikrofonu:

- Nazywam się Naser. Przyszedłem po imama.

Po kilku minutach oczekiwania furtka w bramie uchyliła się lekko. Fiore. Wiedziałem, że to ona, z polecenia dyrektora szkoły, odprowadza imama do wyjścia. Stałem bez ruchu, chwytając się nadziei, że usłyszę jej głos, czekając, że pożegna się z imamem, powie, żeby uważał na siebie, albo zmówi jakąś krótką modlitwę. Nic z tych rzeczy; słyszałem tylko jego, jak gramolił się przez furtkę. Podał mi najpierw swoją laskę, a potem czarną torbę. Wziąłem go pod ramię, a drugą ręką wsunąłem sobie torbę pod pachę, tuż obok piersi.

Przez całą drogę do domu imamowi nie zamykały się usta. Słuchałem jego pytlowania jednym uchem. W głowie miałem zgoła co innego: czy znalazła mój list? Czy zdążyła go przeczytać i odpisać choć parę słów? Uniosłem torbę do nosa, jakby zapach starej skóry mógł mi odpowiedzieć na te pytania.

Kiedy imam, przy mojej pomocy, znalazł się już za drzwiami swojego domu, poprosił mnie, żebym położył jego torbę w salonie.

- Co tylko rozkażesz, szajchu - odparłem.

Poszedłem do salonu, otworzyłem torbę i wyjąłem z niej broszurki. Pomiedzy nimi tkwiła biała koperta. Tak się spieszyłem, żeby ją wyciągnąć, że o mały włos rozdarłbym okładkę jednej z broszur. Schowawszy list do kieszeni, już chciałem dać nogę, ale przypomniało mi się, że trzeba schować materiały imama z powrotem na miejsce i zamknąć torbę.

Czując ciężar koperty bezpiecznie ukrytej w kieszeni, zawołałem do imama, który poszedł do swojego gabinetu i nie stwarzał już dla mnie żadnego zagrożenia:

- Do zobaczenia, *insza Allah*.

- Niech Allah cię błogosławi, synu. Idź powoli i módl się na każdym kroku - nakazał mi.

- Tak uczynię, *insza Allah*.

Kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi, puściłem się pędem do domu. Byłem na miejscu w mgnieniu oka; zerwałem z siebie saub i usiadłem półnagi na łóżku. Dwie całe kartki od Fiore. Po przeczytaniu pierwszego akapitu uniosłem wzrok do sufitu, zasłaniając dłonią usta otwarte szeroko z niedowierzania.

W żyłach Fiore, tak jak w moich własnych, płynęła erytrejska krew; ta dziewczyna była córką człowieka, którego rodzina przed dwoma zaledwie pokoleniami przywędrowała do Arabii z Erytrei. Właśnie z tym mężczyzną widziałem ją rano. Z jednej strony dziw mnie brał, że nie domyśliłem się jego pochodzenia, ale z drugiej nie było w tym nic niemożliwego; w końcu Erytrejczycy od stuleci mieszają się z sąsiadami zza Morza Czerwonego.

Ojciec Fiore uważał się za rodowitego Saudyjczyka, chociaż władze nigdy nie chciały tego uznać i z uporem odmawiały mu obywatelstwa. Mimo to wiodło mu się względnie nieźle: był osobistym asystentem bogatego saudyjskiego przedsiębiorcy. Jego pryncypał pochodził z południowego Jemenu. Większość sklepów należała właśnie do niego. Matka dziewczyny w różowych butach była córką Egipcjanina, ale jej rodzina, w odróżnieniu od rodziny jej męża, otrzymała saudyjskie obywatelstwo.

Obróciłem kartki w dłoniach, przeglądając szybko resztę listu.

Fiore pisała, że nie może mi zdradzić, jak naprawdę się nazywa. Gdyby któryś z naszych listów kiedyś się zagubił, groziłoby jej wielkie niebezpieczeństwo. Dowiedziałem się za to, że imię, które dla niej wymyśliłem, bardzo jej się podoba - prosiła, żebym dalej mówił na nią Fiore. Mam dziewiętnaście lat, napisała, podkreślając tę cyfrę ołówkiem. A dalej opowiedziała mi o tym, jak jej rodzice poznali się i pobrali.

To było przypadkowe spotkanie w kawiarni. Ojciec i mama zaczęli ze sobą rozmawiać i już od pierwszych słów przypadli sobie do gustu.

Zaledwie lalka dni później spotkali się dwaj mężczyźni. Odbyli ze sobą wiele głębokich rozmów. Zaczęło się od zwykłej pogawędki o pogodzie, ale wkrótce obaj zrozumieli, że bardzo wiele ich łączy: myśleli podobnie, tak że kiedy jeden urywał zdanie w połowie, drugi mógł je za niego dokończyć.

I tak nadszedł dzień, gdy obaj zgodnie uznali, że należałoby w jakiś sposób przypieczętować ich znajomość.

- Czy ma pan córkę? - zapytał mój ojciec Saudyjczyka rodem z Egiptu.

- Mam - przytaknął starszy mężczyzna.

- Skoro tak - powiedział mój ojciec - chciałbym poprosić o jej rękę i wziąć ją za żonę.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt - odparł ojciec mojej matki.

Wstał dzień tak upalny, jakiego Dżidda nie pamiętała od lat dziesięciu. Dwaj mężczyźni stanęli przed szajchem. Szajch zwrócił się do ojca mojej matki:

- Ogłaszam tego mężczyznę mężem twojej córki. Niech ich małżeństwo będzie długie i szczęśliwe, insza Allah.

Lecz rodzina ojca mojej matki nie była zadowolona z tego, co uczynił.

- Zmusz go do rozwodu - rozkazał pierwszy z rodu ojcu mojej matki.

- Nigdy - odparł on. - Podaj mi jeden dobry powód. Pierwszy z rodu wstał.

- Jestem dziś w szczodrym nastroju - powiedział - więc podam ci dwa: po pierwsze nie jest Arabem, a po drugie jest czarny.

- Przecież to żadna różnica, czy jest Arabem czy nie - zauważył ojciec mojej matki.

- Tak było kiedyś, za dawnych czasów. Teraz jest różnica. Jeśli nie rozwiedziesz swojej córki z tym Erytrejczykiem, zostaniesz wyrzucony z naszej rodziny.

Ojciec mojej matki wzruszył tylko ramionami. Nie dbał o to. Rodzina mojego ojca także się go wyrzekła - za to, że nie ożenił się z Erytrejką.

A ja przyszłam na świat rok po ślubie moich rodziców.

Przykro mi, że nie mam żadnej dalszej rodziny, ale za to jestem bardzo silnie związana z mamą. To moja najlepsza przyjaciółka i bardzo ważna osoba w moim życiu.

Następnie Fiore opisała, jak wyglądało małżeństwo jej rodziców. Była jedynaczką, ponieważ jej ojciec w pewnym momencie przestał odwiedzać w nocy swoją żonę, a kiedy ona wreszcie zapytała go, dlaczego tak jest, wpadł w nagłą wściekłość.

- Dlatego! - zagrzemiał, wymachując jej przed nosem lekarskim orzeczeniem, w którym było napisane, że cierpi na „chorobę o ostrym przebiegu”.

Z tego, co pisała Fiore, wynikało jednak, że jej matka nie umiała się dopatrzeć w tym stanie rzeczy objawów żadnej choroby, ani o ostrym, ani o łagodnym przebiegu. Według niej winą za to, że jej mąż nie może przywlec opasłego kałduna do jej łóżka, należało obarczyć raczej jego własny tryb życia: za dużo tłustego jedzenia, sziszę i ulubioną rozrywkę - przesiadywanie non stop z bogatymi znajomymi w kawiarniach, gdzie tylko się gada i pije jedną słodką kawę za drugą.

Następnego dnia z samego rana, jeszcze w salonie u imama, ukryłem list do Fiore między broszurami w jego torbie. Wyszliśmy z domu, skręcając w ulicę Targową. Imam mówił znacznie mniej niż poprzedniego dnia, co było mi na rękę, bo myślałem tylko o liście zamkniętym w czarnej torbie, próbując zgadnąć, jak przyjmie go jego adresatka.

Fiore,

Początki zawsze są najtrudniejsze. Przyznam też, że w konfrontacji z tym, zdawałoby się, niewykonalnym zadaniem, jakim jest ułożenie choćby jednego zdania do Ciebie, często, rozgoryczony, odczuwam przemożną chęć, aby poddać się i rzucić broń. Lecz zbolaty poeta, którego kryję w sercu, posłuszny Twym rozkazom, opowie Ci o sobie bez dalszej zwłoki.

Nazywam się Naser, ale o tym już wiesz. Pochodzę z Erytrei i nie znam imienia swojego ojca. Posiadam paszport ONZ wystawiony na nazwisko Naser Suradż. Ten drugi członek wybrał mój wuj, kiedy przyjechał do obozu dla uchodźców w Sudanie, żeby zabrać nas stamtąd - nas, to znaczy mnie i mojego brata - do Dżiddy.

Na samym początku, po przybyciu do obozu, polecono mi znaleźć człowieka z czerwonym krzyżem na koszuli i zgłosić mu siebie i brata do rejestracji. Zaledwie dwa dni wcześniej byłem jeszcze w Erytrei;

dwa dni minęły od pożegnania z matką. Mój młodszy brat Ibrahim, który miał wtedy trzy lata, wędrował na moich plecach, przywiązany sznurem.

Wszedłem do jakiegoś namiotu i stanąłem przed mężczyzną, który miał nas zapisać w obozowym rejestrze. Przywitał mnie miłym uśmiechem. Podałem mu swoje imię, a kiedy zapytał o imię ojca, odpowiedziałem: „Rahima”. Zerknął na mnie zza szkieł okularów i zdziwił się, mówiąc, że Rahima to chyba raczej kobiece imię.

- Prawda - przyznałem - ale dla mnie to jest też imię ojca, bo ona jest moją matką i ojcem.

Rejestrator odłożył długopis i wziął mnie za rękę. Powiedział mi najpierw, że nie mam się czego bać, bo obozu nikt nie zbombarduje, a potem jeszcze raz zapytał o imię ojca.

- Rahima - powtórzyłem. -Ja nie mam ojca. Mam tylko matkę, która, tak jak mówiłem, jest dla nas ojcem, matką i najlepszym przyjacielem.

Ale on się uparł, że może zapisać tylko imię męskie, a moja matka nie mogłaby mnie urodzić, gdyby nie miała żadnego mężczyzny. Odpowiedziałem, że mężczyznę, o którego mnie pyta, widziałem tylko raz w życiu, pewnej nocy, kiedy przyszedł odwiedzić moją matkę. To był mój ojciec, powiedziałem urzędnikowi w obozie dla uchodźców, ale nigdy nie poznałem jego imienia; mówiliśmy na niego „Perfumiarz”.

Kiedy wuj po nas przyjechał, namówił mnie, żebym przyjął jako nazwisko imię jego ojca: Suradz. Tak więc, chociaż imię mojej matki nie pojawiała się w spisie, byłem zadowolony, bo było to także jej nazwisko.

Po tej chwili milczenia powracam do teraźniejszości, habibati aby życzyć Ci wszystkich wspaniałych darów miłości. Twój Naser

Wiedziałem, że kiedyś to nastąpi, dziwiło mnie tylko, że tak długo musiałem czekać. Następnego dnia rano, kiedy wracałem do domu po odprowadzeniu imama na uczelnię, wpadłem na Gamalę.

- Naser? To ty? - zapytał.

- Tak, Gamalu, to ja - odparłem śmiało. Był to jeden z częstych gości u Dżasima. Miał własną restaurację, niedaleko ulicy Targowej.

Był ubrany w biały fartuch, usiany plamkami czerwonych i żółtych przypraw. Jego kuchnia słynęła z flaczków z wątróbką, doprawionych imbirem, limetą i wielką ilością kurkumy, chili i świeżego czosnku.

- Powinieneś powiedzieć „*As-salamu alajkum*” - pouczyłem go, wciągając w nozdrza ostry zapach bijący z jego dłoni i fartucha. Niósł cztery świeże papryczki chili, a do tego jedną limetę.

Podszedł bliżej, przyglądając mi się uważnie.

- Nosisz krótki saub - zauważył. - Jesteś *mutawwa*. Nie mogę uwierzyć. Co się stało?

Wzruszyłem ramionami.

- Idź stąd - powiedział krótko, ucinając rozmowę. - Nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Po południu wyjąłem list od Fiore z torby naszego posłańca miłości. Ale nie mogłem iść do domu i przeczytać go od razu, bo imam chciał, żebym został u niego i zaprowadził go później do meczetu.

- Muszę wygłosić ważne przemówienie - wyjaśnił mi.

Wiedziałem, co go gryzie. Poprzedniego dnia naszego imama odwiedził pewien szajch, urzędnik największego sądu w Dżiddzie, i zwrócił się do niego w te słowa:

- Kobiety, błogosławiony imamie, robią się nieposłuszne. Wynajdują sobie coraz to nowe sposoby, żeby wabić naszych chłopców prosto w swe złowrogie sieci. Niepokoję się o tych młodych mężczyzn. Nie dalej jak kilka dni temu, niech Allah wybaczy mi, że mówię o czymś takim w waszej obecności, błogosławieni bracia moi, kobieta z An--Nuzli odsłoniła na środku ulicy twarz wypacykowaną pudrem, szminką i tuszem i puściła oko do Hamida. Lecz Allah był z nami: ta przekłeta kreatura nie wiedziała, że Hamid pracuje w naszej policji religijnej. Bo chociaż *sunna** nakazuje nosić długą brodę, jemu zarost nie chce rosnąć, ale jest to błogosławieństwo od Allaha. O, imamie, zechciej, proszę, przypomnieć naszym młodzieńcom, jak należy unikać pokus ze strony kobiet. Poucz ich, że kobieta rozwiązała to ścieżka, która wiedzie wprost do piekła.

- Zostaniesz ze mną, ale musisz być cicho - rozkazał imam, sadowiąc się na matach. - Będę układał kazanie.

Spojrzałem na niego. Siedział, pogrążony w głębokim rozmyśleniu. Wiedziałem, że wkrótce młodzieńcy usłyszą w meczecie wykład będący ostrzeżeniem przed niemoralnymi kobietami. Z tym że dla jednego z nich, dla jego chłopca-przewodnika, było już za późno. Gdybyś tylko wiedział, jaki dumny kochanek siedzi tuż obok ciebie, w twoim własnym domu, pomyślałem, uśmiechając się pod nosem.

Imam dyszał ochryple przez całą drogę do meczetu. Czułem się tak, jakbym prowadził wściekłego byka na arenę. Kiedy mijaliśmy blok Fiore, uniosłem głowę. Nie dowiedziałem się jeszcze, na którym piętrze znajduje się jej mieszkanie, ale miałem nadzieję, że jak najwyżej, bo głos imama miał za chwilę przetoczyć się niczym nawałnica przez wszystkie domy. Przypomniałem sobie, co kiedyś mówił o nim Jahja:

- Przed deszczem możesz się schronić pod drzewem, przed burzą możesz zamknąć się w domu, ale ten imam ma głos tak donośny, że nawet własne cztery ściany nie obronią cię przed jego kazaniem.

*** *Sunna* (arab.) - zwyczaj, reguła; dokładne naśladowanie czynów proroka Mahometa.**

Siedziałem w pierwszym rzędzie. Rzuciwszy okiem w prawo, pochwyciłem spojrzenie Basila, który tylko zaciął zęby i odwrócił wzrok. Imam zaczął mowę:

- O, bracia muzułmanie! Moje serce roni dzisiaj rzewne łzy. Moja dusza jęczy, uszy pękają od niewypowiedzianego bólu. Jak to możliwe, zapytuję siebie, że *umma* Proroka duszą i ciałem sięga dna upodlenia? Jak to się stało, zapytuję siebie, że ci sami ludzie, których Allah sprowadził na właściwą drogę, zstąpili w otchłań niewybaczalnego grzechu? Wy śpicie, a wasze żony i córki chodzą po ulicach i odsłaniają twarze, oglądają się za waszymi chłopcami, aby swym występkiem pokalać nadchodzące pokolenie, aby zwabić naszych mężczyzn w potrzask nikczemnego zła. Gdzie jesteście, o mężowie islamu, wy, którzy niegdyś żelazną ręką sprawowaliście rządy od wschodu aż po zachód? Gdzie was szukać, mężowie islamu, którzy byliście okiem i uchem, sercem i duszą waszych domostw?

Słuchając wykładu imama, niejeden raz czułem na sobie wzrok Basila, a kiedy odwracałem się, aby spojrzeć mu w oczy, on tylko uśmiechał się do mnie szyderczo, potrząsając głową.

We wtorek po południu otrzymałem list od Fiore, a w nim - komentarz do poniedziałkowego kazania. Po powrocie z imamem do domu udało mi się pobieżnie przejrzeć ten list u niego w toalecie, ale dopiero wieczorem, kiedy wróciłem do siebie, mogłem przeczytać go z należytą uwagą.

Zagłębiłem się w lekturze, mając jednocześnie świadomość, że nie więcej niż sto metrów dzieli mnie od Fiore, która najprawdopodobniej odrabia właśnie lekcje w swoim pokoju. Z całego serca żałowałem, że nie mogę przywołać czarodziejskiego posłańca, który przeniknąłby do jej bloku, wspiał się po schodach, przekradł przez męską część mieszkania i wczołgał szczeliną pod drzwiami do kobiecej części, a potem, w ten sam sposób, dalej, do pokoju Fiore, gdzie bez pośpiechu wpełzłby na biurko, aby zabrać jej głos i ponieść go co siłą, szybciej niż najszybszy biegacz w tym mieście - prosto do mnie.

Habibi,

Słyszałam wczoraj przemówienie niewidomego imama. To zabawne, że w pojęciu tego człowieka problemy, z którymi boryka się nasze społeczeństwo, biorą się stąd, że kobiety mają za dużo wolności. Gdybym była wolna, poszłabym w tej chwili prosto do Twojego mieszkania i osobiście opowiedziałabym Ci, co myślę, zamiast bawić się w te podchody, pisać listy nocą, a potem jeszcze czekać cały dzień, zanim do Ciebie dotrą.

Czyżby imam zapomniał, że Mahomet, zanim został prorokiem, pracował u Chadidży Bint Chuwajlid, kobiety trudniącej się handlem? Ze to właśnie ona, kiedy miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, wzięła go pod skrzydła i wyuczyła kupieckiego rzemiosła? Jak może mówić,

że kobietom nie wolno pracować ze względu na wrodzoną nieudolność? Czy nie pamięta, że Chadidża była jednym z najlepszych kupców swoich czasów, tamtych dawnych czasów, kiedy w jej własnym plemienu noworodki płci żeńskiej zakopywano żywcem w ziemi? Wiodło jej się w interesach, chociaż szlak handlowy z Mekki do Syrii roił się od bezwzględnych bandytów, a do tego wiodł przez pustynie i inne dzikie tereny, gdzie nawet najwytrzymalsi mężczyźni radzili sobie z wielkim trudem? Jak mógł zapomnieć, że sam prorok Mahomet tyle razy wspominał o pomocy finansowej, którą otrzymywał od Chadidży? Ta kobieta została pierwszą nawróconą, ale nie tylko; na jej fortunie opierała się w tamtych czasach ekspansja islamu. Za jej pieniądze prorok Mahomet uwalniał niewolników i ratował z bankructwa swoich towarzyszy - mężczyzn. Do jej kiesy sięgał, przenosząc się wraz z wyznawcami z Mekki do Medyny. Jak to możliwe, że imam zapomniał o tym wszystkim?

I skąd mu się wziął ten pomysł, że kobieta nie może być władcą i rządzić ludźmi, bo sama jest słaba emocjonalnie i krwawi? Gdyby nie był ociemniały, to z minaretu w swoim meczecie, spojrzawszy za Morze Czerwone, ku wybrzeżu Afryki, dostrzegłby krainy, gdzie kiedyś rozciągały się jedne z najwspanialszych królestw, jakie widział świat. I częstokroć bywało, że na tronie zasiadała tam kobieta. Gdyby ktoś zechciał mu przeczytać kroniki tych państw, imam poznałby imiona Saby, Kleopatry, Nefretete i dowiedziałby się, że starożytną Nubią przez czas po wielekroć dłuższy niż dni jego własnego żywota władał szereg królowych.

Habibi

wybacz mi, proszę, ten gniewny ton, ale mam nadzieję, że zrozumiesz moje rozgoryczenie. Bo nawet Chadidża, niech Allah błogosławi jej duszę, nawet ona, ponad tysiąc lat temu, miała większe prawa niż my, dziewczęta z dwudziestego wieku.

Ale dość tego, wracam już do Ciebie. Mówisz więc o sobie, że jesteś synem kobiety. Od tej pory, myśląc o Tobie lub wypowiadając Twoje nazwisko w zaciszu swojego pokoju, będę mówić: Naser Rahima. Mogę z dumą powiedzieć: „ To lwiątko wydała na świat ta lwica”.

Czy zechciałbyś opowiedzieć mi trochę więcej o swojej matce i o swoim życiu z nią? Jaka to kobieta? Chętnie też dowiedziałabym się czegoś o Twoim ojcu, owym tajemniczym Perfumiarzu.

Jutro, kiedy będziesz odbierał torbę imama, połóż dłoń na jego lasce, nieco dalej niż zwykle; moje palce będą czekać tam na Ciebie. Chcę Cię dotknąć, abyśmy mieli część siebie, której będziemy mogli się trzymać, kiedy już powrócimy do swoich rozdzielonych światów.

*Całuję Cię z głębi serca i rozjątrzonej duszy,
Twoja Fiore*

W środę po południu zbliżyłem się do uchylonej furtki w żelaznej bramie. Dłoń w rękawiczce podała mi laskę imama; sięgnąłem po nią i nasze ręce się zetknęły. Zamarłem.

Palce dziewczyny przywarły do wierzchu mojej prawej dłoni. Trwało to może jedną sekundę. Zamknąłem oczy. Ścisnęła moją dłoń, a potem pogładziła ją kolejno każdym palcem z osobna. Dotyk jej rękawiczki, cieplej i aksamitnej, rozgrzewał skórę. Czułem niemalże, jak wszystkie pory otwierają się, chcąc pochwycić to ciepło. Z całej siły zacisnąłem wargi, tłumiąc rosnące podniecenie.

Wypuściłem z drugiej ręki torbę imama. Rękawiczka oderwała się od mojej skóry i zniknęła, a z furtki wytoczył się czcigodny szajch. Stałem bez słowa, zajęty oględzinami swojej prawej dłoni.

- Wszystko w porządku, Naser? - zapytał imam, ale ja milczałem, odtwarzając w pamięci ślady jej palców na skórze, przeżywając na nowo ich dotyk. - Naser? Odpowiedz mi. Gdzie jesteś? - Spojrzałem na niego; wyciągnął przed siebie ręce, szukając po omacku mojej twarzy. - Aha, mam cię.

Przyklękąłem, aby podnieść z ziemi upuszczoną torbę, a lewą rękę wsunąłem mu pod ramię.

- Dobrze się czujesz? - zapytał imam. Po chwili namysłu odpowiedziałem:

- Tak, szajchu, czuję się dobrze, ale sparzyłem się w prawą dłoń, kiedy ty prowadziłeś zajęcia. Wiem, że nie wolno mi prowadzić cię lewą ręką, ale czy nie mógłbym ten jeden raz? Naprawdę bardzo mnie boli.

- Co się stało, synu? - chciał wiedzieć.
Uniosłem dłoń do ust, całując po cichu miejsce, gdzie jej palce musnęły moją skórę.
- . - Naser? - Imam podniósł głos. - Zadałem ci pytanie.
 - Tak, o, imamie. Wybacz mi, proszę - odparłem posłusznie, nie odrywając wzroku od swojej ręki, jakbym mógł dostrzec na niej ślady jej palców. - Gotowałem wodę i niechcący polałem sobie dłoń wrzątkiem.
 - *Subhan Allah**, podaj mi ją. Odczytam nad nią słowa Koranu i zagoi się, *insza Allah*.
 - Nie, nie.
 - Co ty wygadujesz? Odmawiasz mi, kiedy chcę odczytać słowa Koranu nad twoją dłoń?
 - Nie o to chodzi, ja tylko...
 - Żadnych „ja tylko”. Daj mi tę rękę. Koran to najlepszy lek. Podsunąłem imamowi dłoń pod brodę; rozchylił lekko usta, gotowy splunąć na nią, kiedy skończy recytować surę. Widząc to, cofnąłem rękę.
 - Nie, błogosławiony szajchu, nie chodzi o to, że nie chcę, abys odczytał Koran nad moją ręką. Tylko że tak naprawdę...
 - Co tak naprawdę? - zapytał wyzywająco.
 - Proszę, imamie. Czytaj - uciałem, zamykając oczy.

* *Subhan Allah* (arab.) - pochwalony niech będzie Allah.

W następnym liście opowiedziałem Fiore o swojej matce i o tym, co wydarzyło się w dniu jej ślubu, dodając, że Ibrahim i ja sam byliśmy owocami jej przygodnego romansu z mężczyzną zwanym Per-fumiarzem.

Moja matka prawie wyszła kiedyś za mąż za mężczyznę nazwiskiem Hagouse Idris. Było to dwa lata przed tym, jak poznała mojego ojca. Jej małżeństwo skończyło się jednak już po godzinie.

Zgodnie z tradycją naszej wsi, położonej na północny zachód od Asmary, stolicy Erytrei, konsumpcja związku małżeńskiego mojej matki odbyła się w noc poślubną, w chacie otoczonej przez wszystkich weselników. Wraz z wybiciem północy drużba pana młodego zapalił tam lampę naftową i postawił ją obok łóżka, które zasłał białą, kwadratową chustą.

Po wyjściu oznajmił, że wszystko już gotowe i nadszedł czas, aby nowo poślubieni weszli do środka. Goście przerwali tańce i pogasili wszystkie palące się lampy, a potem zgromadzili się wokół chaty, czekając w milczeniu na główną sensację wieczoru: chustę splamioną dziewiczą krwią mojej matki. Kiedy rozległ się pierwszy jęk, drużba przysunął się do drzwi, aby w odpowiedniej chwili odebrać dowód rzeczowy.

Tymczasem wewnątrz chaty stosunek pary małżeńskiej dobiegł końca, lecz nie było ani kropli krwi. Pan młody wziął do ręki niepokalanie białą tkaninę i zastygł w bezruchu na skraju łóżka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał moją matkę. Nie krzyczał, zapytał bardzo łagodnie; tak mi sama opowiadała.

- A dlaczego musiałam ci o tym mówić? - odparła ona. - Czy ty zdałeś mi relację ze wszystkiego, co robiłeś przed ślubem?

Wzięła go za rękę, ale on ją odepchnął.

- Przecież ja jestem...

- Kim? - Nie pozwoliła mu dokończyć. - Mężczyzną? Tak, jesteś mężczyzną i to daje ci prawo robić, co ci się podoba. Mój drogi mężu, oczywiście, że przed tobą miałam kochanków. I wiem z całą pewnością, że ty też sypiałeś z innymi kobietami. Tyle że na tobie twoja przeszłość nie pozostawiła śladów. Jedyna różnica między nami polega na tym, że ciebie nikt nie potępi za to, co robiłeś przed ślubem.

Pan młody wciągnął na siebie spodnie. Moja matka spojrzała na niego poważnie.

- Mój drogi mężu - powtórzyła - wysłuchaj mnie, proszę. Znam wiele kobiet, które chodziły z mężczyznami do łóżka przed ślubem, a potem pojechały do Asmary, gdzie pewien lekarz operacyjnie przywraca dziewictwo. Ale ja nie chciałam tego zrobić, ponieważ moja przeszłość to moja sprawa. I tak samo nigdy nie poprosiłabym ciebie, żebyś zrobił coś, co sprawiłoby, że po twojej przeszłości nie pozostanie żaden ślad.

- Ostrzegali mnie przed tobą - odparł on, szukając krawata. - I trzeba było posłuchać.

Moja matka pochylała głowę, gestem rozpaczy przyciskając ręce do piersi.

- Przecież sypiałeś z innymi kobietami. Czy tak nakazuje tradycja?

- Źle zrobiłem, że nie posłuchałem tego, co mi mówili inni mężczyźni. Serce zmało mi rozum. Nie chciałem uwierzyć w to, co o tobie opowiadali. I co ja teraz powiem...

- Komu? - Poderwała głowę, odrzucając nakrycie. - To dotyczy tylko mnie i ciebie. Wierzę, że nasze serca są jak ocean. W ich głębi można skryć niezliczone tajemnice, pogrzebać przeszłość, a i tak nic nie ugasi ich szczodrości. Zapomnijmy o przeszłości i obdarzmy się nawzajem miłością.

- Ale co ja powiem naszym gościom? Przecież czekają za drzwiami. Jak ja do nich wyjdę?

Wtedy moja matka zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie ubranie i wyrwawszy mężowi lampę naftową i białą chustę, wypadła z chaty.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał. - Dokąd idziesz?

Ale ona odepchnęła na bok družbę, który wciąż czekał pod drzwiami, i stanęła przed zgromadzonymi weselnikami.

- Proszę, oto chusta - oznajmiła, wymachując nią przed ich oczami. - I owszem, drodzy goście: jest wciąż biała.

Kilka chwil później mąż mojej matki wybiegł z chaty i uciekł z wioski. Nikt go już nigdy tam nie widział. Jej własna rodzina także się od niej odwróciła. Tylko Samira, przyjaciółka z dzieciństwa, mieszkająca na Wzgórzu Kochanków, przysięgła mojej matce dozgonną wierność - tak bardzo zaimponowało jej to, jak postąpiła.

Rok po tym nieudanym ślubie matka mieszkała już razem z Samirą i innymi dziewczętami na Wzgórzu Kochanków. I wtedy zakochała się w mężczyźnie, którego nazywano Perfumiarzem. Problem polegał na tym, że ten człowiek prowadził życie wędrowne, handlując w różnych zakątkach Abisynii perfumami sprowadzanymi morzem z całego świata. On i moja matka bardzo się kochali, ale kiedy ona zaszła w ciążę, z której miałem urodzić się ja, Perfumiarz po kilku miesiącach opuścił ją i zniknął. Matka nigdy tak naprawdę o nim nie zapomniała. Wrócił jeszcze raz do naszej wioski; miałem wtedy sześć lat, a jego wizyta trwała tylko jedną noc - wtedy to został poczęty Ibrahim.

Ani się obejrzałem, jak od początku zajęć na uczelni minął cały tydzień. Żyłem w mieście Dżidda, a pisałem listy do kobiety, zwierając się jej z wszystkich pragnień i sekretów, radości i smutków; to wręcz nie mieściło mi się w głowie. Nigdy w życiu nie czułem się szczęśliwszy. Budziłem się równo ze świtem, rozśpiewany niczym ptaki za moim oknem, nocą zaś, idąc do łóżka, przykrywałem się listami od niej, a każdy z nich był niczym furtka do jej świata.

To była prawdziwa rozkosz, wiedziałem jednak, że taki stan rzeczy długo nie potrwa. Powrót Jahji, Haniego i Dżasima z wakacji był już tylko kwestią czasu. No i pozostawał jeszcze Basil. Za każdym razem, kiedy widziałem ten jego uśmiech, przypominał mi się ciemny park i groźby, którymi wymusiłem na nim, żeby mianował mnie przewodnikiem imama.

W następny poniedziałek, nocą, kiedy ledwie zdążyłem zasnąć, obudziło mnie głośne stukanie do drzwi. Usiadłem na posłaniu. Kto to mógł być?

Po chwili usłyszałem znajomy głos:

- Naser? *Ja Naser?*

To Jahja wydzierał się na całe gardło zza drzwi. Słysząc było, że jest mocno naćpany. Walnąłem pięścią w poduszkę, porwany bezsilną złością. Wydawało mi się, że on i Hani wracają później. Nie miałem zielonego pojęcia, jak z nimi postąpić, a byłem pewien, że kiedy Jahja się dowie, że zostałem *mutawwa*, nie da mi chwili spokoju. Przypomniałem sobie, co mówił, gdy Zib al-Ard wstąpił w szeregi *mutawwa'in*: przysięgał, że dopadnie tego, kto przekabacił jego przyjaciela.

Podkradłem się po cichu do drzwi.

- Jahja - dobiegł mnie głos Haniego - jest pierwsza w nocy. Może on śpi. Chodźmy stąd.

- Spróbuję jeszcze raz - uparł się Jahja i walnął z całej siły w drzwi, krzyząc: - *Ja Naser?* Naser?

Chwila ciszy, potem znów głuchy łomot pięścią. Tutaj jednak Hani już się zniecierpliwiał.

- Musisz być zawsze taki brutalny? - huknął.

- Zamknij się, ty Gandhi - odszczeknął się Jahja.

Wbrew własnej woli uśmiechnąłem się szeroko. Stęskniłem się za kumplami. Bardzo chciałem otworzyć drzwi, ale to było niemożliwe. Wróciłem na palcach do łóżka i położyłem się z powrotem.

Ale tej nocy nie zaznałem już snu. Nie miałem pojęcia, co zrobić, kiedy znajomi zobaczą mnie na ulicy z imamem. O Haniego byłem raczej spokojny: on pracował u ojca, w jego firmie importowo-eksportowej i pojawiał się w An-Nuzli tylko sporadycznie. Był też bardziej wyrozumiały i na pewno dałby mi spokój, gdybym go o to poprosił. Ale Jahja - to był kompletnie inny typ. Żył ze spadku po ojcu. Żartowaliśmy sobie, że jego praca to uganianie się za chłopakami: pełny etat i od cholery nadgodzin. Wcześniej czy później - a raczej wcześniej - musiałem go spotkać na ulicy. Trzeba było zawczasu wymyślić sobie jakieś usprawiedliwienie, żeby się mnie nie czepiał.

We wtorek rano w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co zrobić, żeby skutecznie unikać spotkania z Jahją.

Nadeszło popołudnie. Odebrałem imama z uczelni dla dziewcząt i prowadziłem go do domu, gdy nagle dobiegły mnie odgłosy jakiejś hałaśliwej kłótni. Obejrząwszy się, zobaczyłem Jahję na motorze. To, on się tak wydzierał.

Szybko odwróciłem głowę, śledząc go tylko kątem oka. Motor pomknął w kierunku An-Nuzli. Za kierowcą dostrzegłem sylwetkę młodego chłopaka. Siedział na nowym skórzanym siedzeniu. A zatem mechanik Ismael wykonał zlecenie na czas. Zgarbiłem się, przyspieszając jednocześnie kroku.

- Wolniej, synu - pohamował mnie szajch.

- Przepraszam, błogosławiony imamie - wymamrotałem. Mogłem się już tylko modlić, żeby nie wejść Jahji w drogę.

Ale nic z tego nie wyszło; dopadł mnie niedługo po tamtym zdarzeniu, bo już następnego ranka. Był to ostatni dzień szkolnego tygodnia. Szedłem z imamem do domu. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Słyszając za plecami charkot motocyklowego silnika, rozpoznałem go od razu i odwróciłem głowę. Jahja jechał w naszą stronę. Nie spuszczał ze mnie oczu. Zaparkował motor i podszedł do nas, chwytając mnie za ramię i osadzając w miejscu.

- Naser? - zapytał.

Wyrwałem mu rękę i ruszyłem dalej przed siebie.

- Naser? To naprawdę ty, *ja Allah!* Co ty wyprawiasz? Dlaczego nosisz te ciuchy? - wrzasnął za mną.

- Kto to? - zapytał mnie imam. Nie odpowiedziałem.

Jahja znów złapał mnie za ramię i tym razem pociągnął ku sobie, odrywając od imama, który zatoczył się i prawie upadł. Szarpnięcie było tak mocne, że obróciłem się w miejscu, niemalże uderzając Jahję czołem w twarz.

- Co ty wyprawiasz? - zasyczał.

- Allah Jedyiny sprowadza ludzi na właściwą ścieżkę - oznajmił imam hardym tonem. - Jak się nazywasz, oby cię kara Allaha nie minęła?

- Rozmawiam ze znajomym - odszczeknął Jahja. - Nie wtrącaj się.

- Niech Allah cię przeklnie! Czy ty wiesz, kim ja jestem? Jahja stanął tuż przed imamem i wrzasnął mu prosto w twarz:

- Wiem, kto ty jesteś! Pętasz się tutaj i przerabiasz po swojemu wszystkich moich przyjaciół. - Odwrócił się z powrotem do mnie i krzyczał dalej: - Sam mówiłeś, że nigdy nie dasz się przekabacić! Że twoja noga nigdy nie postanie w meczecie ślepego imama! Bo on jest...

Zamachnąłem się torbą imama i wyrznąłem go nią w twarz tak mocno, że zatoczył się w tył przez cały chodnik i wpadł na ulicznego handlarza stojącego obok czterech olbrzymich worków pełnych daktyli z Medyny.

Odwróciwszy się do imama, wy dyszałem pospiesznie:

- Ten człowiek kłamie. Zazdrości mi, że jestem twoim przewodnikiem. Ale porządnie za to dostał. Sprowadziłem go do parteru.

- Wiem, synu, słyszałem. Niech cię Allah błogosławi.

Odchodząc, obejrzałem się za siebie: Jahja szarpał się ze sprzedawcą daktyli i jego kolegami. Jeszcze daleko, na samym końcu ulicy, słyszałem plugawe przekleństwa, które za mną miotał.

Jahja rozesłał wici. W weekend chodziła za mną już cała banda, a jeszcze tego samego dnia, w środę wieczorem, skrzyknął paru kumpli i przyszedł z nimi pod meczet; stanęli naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, jak demonstranci zebrani na akcję protestacyjną. Zobaczyłem z nim Haniego i dwóch innych chłopaków, których nie znałem.

Jahja był nieustępliwy; nikt nie prześcignął go w zawziętości. Nie odstępował mnie ani na krok, jeździł za mną na motorze, wożąc z tyłu swojego chłopaka, który obejmował go ramionami przez pierś. Śledził mnie, kiedy prowadziłem imama na gościnne kazania do innych meczetów w naszej okolicy, kiedy chodziłem z nim do lekarza i w odwiedzinach do znajomych, a nawet na spotkanie z jakimś urzędnikiem z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Wiedziałem, że wypatruje sposobności, żeby spuścić mi łomot. W sobotę po południu poszedłem z imamem do krawca. Kiedy szajch zniknął na zapleczu, żeby dać zdjęć z siebie miarę, do warsztatu krawieckiego jak burza wpadł Jahja. Złapał mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na ekspedienta, i rzucił plecami na bele tkanin ułożone w stos. Pochylił się nade mną, blisko, do samej twarzy i oznajmił groźnym, poważnym głosem:

- Masz się odczepie od ślepego imama, i to szybko, bo jak nie, to porachuję ci wszystkie kości. Nie oddam mu już żadnego przyjaciela. Słyszysz?

Pchnął mnie na odchodnym w pierś i wymaszerował od krawca, wymachując na ludzi swoimi wielkimi łapskami.

- Na co się gapicie?! - wrzeszczał. - Który chce oberwać, niech tylko coś powie.

Następnej nocy znów miałem odwiedziny: Jahja i Hani. Próbowali mnie namówić, żebym wystąpił z szeregów *mutawwa 'in*. Nic sobie jednak nie robiąc z gróźb Jahji, powtarzałem tylko, że wstąpiłem na właściwą ścieżkę, z której nie ma już odwrotu.

- Każdy może robić, co mu się podoba - oznajmiłem mu.

A Jahja nagle rzucił się na mnie i zaczął okładać mnie pięściami w moim własnym mieszkaniu. Nie próbowałem mu oddawać; przyjmowałem ciosy bez walki.

Jeszcze nigdy nie widziałem w jego oczach tak bezdennego żalu i tak bezgranicznej złości. Im dłużej mnie tłuki, tym lepiej rozumiałem, dlaczego to robi: on myślał, że ślepy imam zabrał mu kolejnego przyjaciela. Najpierw Fajsal, potem Zib al-Ard, a teraz ja. Jego żal bolał mnie mocniej niż bicie, chociaż rękę miał ciężką. Sam też żałowałem, że nie mogę im teraz wyjaśnić, dlaczego tak naprawdę zostałem przewodnikiem imama, że nie mogę podzielić się z nimi swoją radością z odnalezienia Fiore. W pewnym momencie chciałem już wyznać prawdę, żeby tylko Jahja przestał mnie tłuc.

- Posłuchaj - powiedziałbym - ja nigdzie nie wyjeżdżam. Nie zginę w Afganistanie. Żyję. Żyję pełnią życia, żyję tak, jak jeszcze nigdy przedtem. Bo zakochałem się w kobiecie.

A jednak milczałem, zbierając ciosy bez słowa. Nie mogłem powiedzieć mu o Fiore. W moim życiu spełnił się wspaniały sen i wiedziałem, że gdyby Jahja i Hani dowiedzieli się o wszystkim, nie potrafiliby utrzymać w tajemnicy miłości, która połączyła chłopaka i dziewczynę w takim miejscu jak An-Nuzla.

Zwinąłem się na podłodze, ściskając rękami brzuch. Jahja pochylił się nade mną. Myślałem, że na znak ostatecznej zemsty za zdradę dostanę jeszcze raz, prosto w twarz. Ale on powiedział tylko:

- To jest koniec naszej przyjaźni. Nie waż się dzwonić ani odzywać się do mnie na ulicy, słyszysz?

Z tymi słowami wbił mi twardy kułak prosto w żołądek.

- Dosyć! - krzyknął Hani. - On już wybrał. Woli ślepego imama niż nas. Niech idzie do diabła. Chodźmy stąd.

Mijały dni, a my, dzięki posłudze naszego kuriera miłości, dalej wymienialiśmy listy. Imam był dla mnie bezcennym skarbem, choć za służbę u niego zapłaciłem utratą dwóch ostatnich przyjaciół, jakich miałem w tym mieście. Gdyby nie on, nie mógłbym pisać do mojej Fiore ani też oglądać przepięknych, zmysłowych liter kreślonych jej ręką. To były najpiękniejsze dni mojego życia. Miłość zawładnęła mną całkowicie.

W piątek po południu uczelnia dla dziewcząt była zamknięta, więc nie mogłem liczyć na list od Fiore. Po skończonej świątecznej modlitwie odprowadziłem imama do domu, a on zaprosił mnie, żebym został na obiad.

- Mam dziś bardzo ważnego gościa - powiedział - i chcę, żebyś tutaj był.

Musiałem się zgodzić, chociaż w głębi serca pragnąłem tylko wrócić do domu i zostać sam na sam z listami od Fiore. Kiedy wróciliśmy z meczetu, w domu imama unosił się już aromat kabsy, ryżu z kurczakiem.

Kilka minut później odezwał się dzwonek do drzwi, a w progu stanął Basil w towarzystwie mężczyzny, którego widziałem pierwszy raz w życiu.

Basil z wielką skwapliwością uściśnął mi rękę.

- Jak się masz, Naser? - wykrzyknął na powitanie.

Nie mogłem rozgryźć, z czego on się właściwie tak cieszy i co knuje. Kiedy skończył już te powitalne uściski, przedstawił mi swojego towarzysza.

- To jest Szajch Chalil ibn Talal - oznajmił - komendant policji religijnej w całej Dżiddzie, niech go Allah błogosławi.

Strużka zimnego potu spłynęła mi po plecach.

Szef policji religijnej przyjrzał mi się z kamienną twarzą. Wyciągnąłem do niego rękę, a on, nie spiesząc się, podał mi swoją. Przywitaliśmy się, a potem na znak szacunku pocałowałem go w czoło, mówiąc:

- To przyjemność was poznać.

Był wysoki i szczupły, miał jasną skórę, nosił brodę i chodził lekko przygarbiony. Na oko był w tym samym wieku co imam. Przyszedł ubrany w gutrę ozdobioną wzorem biało-czerwonej szachownicy, a jego saub kończył się kilka palców nad kostkami.

Usiedliśmy w salonie, półokręgiem na matach. Szef policji religijnej zajął miejsce pomiędzy imamem a Basilem. Ja siedziałem po lewej ręce imama, niemalże twarzą w twarz z Basilem.

Wciąż nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Wiedziałem, co prawda, że imam utrzymuje znakomite stosunki z komendą policji religijnej, niemniej jednak takie prywatne domowe wizyty należały do rzadkości. Czyżby miało to jakiś związek z moją osobą?

Za każdym razem, kiedy tylko unosiłem głowę, Basil odrywał wzrok od twarzy imama i komendanta, aby spojrzeć na mnie. Nieodmiennie uśmiechał się przy tym szeroko.

Nagle rozległo się donośne klaśnięcie. To żona imama dała znak, że obiad już gotowy.

Imam wyznawał pogląd, że kobieta nie powinna publicznie używać głosu, i często nauczał w swoich kazaniach, że to jest *haram*, kiedy kobieta odezwie się w obecności mężczyzny, który nie jest dla niej *mahram*, czyli nie należy do rodziny. Tak więc, kiedy posiłek był już gotowy, żona imama stanęła za zamkniętymi drzwiami prowadzącymi w głąb domu i zamiast zawołać, klasnęła w dłonie.

- Naser, bądź łaskaw przynieść jedzenie - polecił mi imam. Zanim otworzyłem drzwi, za którymi znajdował się korytarz wiodący do pomieszczeń kobiecych, również klasnąłem w dłonie, oznajmiając głośno:

- Przyszedłem zabrać posiłek.

Usłyszawszy oddalające się pospiesznie kroki, wiedziałem, że zastanę korytarz pusty. Otworzyłem więc drzwi, aby zabrać tacę, na której

stał duży talerz, pełen ryżu ugotowanego z rodzynkami, goździkami i kardamonem. Na posłaniu z ryżu leżały kawałki smażonego mięsa, a do picia były cztery szklanki świeżego soku z owoców mango.

Wróciłem z tym wszystkim do salonu i postawiłem tacę na obrusie, wokół którego zasiedliśmy do posiłku.

Każdy z nas powiedział „*Biismillah**”, po czym niemalże jednocześnie wyciągnęliśmy ręce po jedzenie.

Przez chwilę spożywaliśmy w milczeniu, palcami oblepiając kawałki mięsa ryżem i tak przygotowane kulki wrzucając do ust.

Zastanawiałem się, czy to możliwe, że Basil wreszcie mnie przejrzał i teraz chce wydać obmierzłego grzesznika w ręce policji religijnej. Żeby odpędzić niepokój przed tym człowiekiem, jadłem szybko, aż w pewnym momencie zakrztusiłem się kawałkiem mięsa w ryżowej kulce. Odkaszlnąłem głośno, sięgając po swoją szklankę z sokiem, którą opróżniłem naraz, trzema haustami.

- To ty, Naser? - zapytał imam.

- Tak - sapnąłem.

- Jedz powoli - pouczył mnie. - Czyżbyś nie wiedział, że dobry muzułmanin spożywa bez pośpiechu, a ciało to dar powierzony człowiekowi przez Allaha?

- Wiem, czcigodny imamie - przytaknąłem, patrząc na jego brzuch, twardo nabity olbrzymimi kulami z ryżu i mięsa. - Niech cię Allah błogosławi za dobrą radę.

Jedliśmy dalej w milczeniu.

Jakiś czas później odezwał się komendant policji religijnej:

- Dziękujemy ci, o, imamie, że polecieś nam Basila do pracy w naszej jednostce w An-Nuzli.

Odłożyłem świeżo ulepioną kulkę ryżu i przestałem jeść. Basil, odkąd go poznałem, zawsze opowiadał tylko o tym, że pewnego dnia zostanie jednym z pierwszych imamów w całej Arabii Saudyjskiej. Nigdy nie zamierzał dostać się do nieba po szczeblach kariery w policji religijnej.

- Prawdę mówiąc - odparł imam - wolałem, żeby został w meczecie i pomagał mi w pracy z chłopcami, których trzeba sprowadzić na właściwą ścieżkę. Ale skoro sam się zgłosił, to niech mu Allah błogosławi.

****Bismillah* (arab.) - w imię Allaha.**

To musi być to, pomyślałem. Basil czegoś się dowiedział. Chciałem spojrzeć na niego, żeby sprawdzić, czy znów się do mnie uśmiechnie, ale zamiast tego pochyliłem tylko głowę i słuchałem dalej.

Szef religijnej policji dodał po chwili:

- Stoi przed nim niełatwe zadanie, lecz jednocześnie praca ta jest bardzo ważna i błogosławiona. Ulica An-Nuzla staje się siedliskiem demoralizacji i zepsucia. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu, o, imamie, doniesiono mi o następującym zdarzeniu: kobieta oraz młody chłopak zostali przyłapani - niech Allah mi wybaczy, że ranię wasze uszy takimi słowami, błogosławieni bracia moi - na najcięższym z grzechów. Ta kobieta jest zameżna. Gdy sąd przedstawił jej dowody cudzołóstwa, ona, zamiast okazać skruchę, powiedziała tak: „Nie dostaję miłości od męża, więc muszę jej szukać gdzie indziej”. I ta mężatka zostanie ukamienowana na śmierć, *insza Allah*, ale czy dasz wiarę, imamie, że chłopak, jej współnik w występku, gdy mu powiedzieliśmy, że ze względu na swój bezzenny stan otrzyma tylko karę chłosty, zaczął błagać nas, abyśmy skazali go na ukamienowanie, tak samo jak ją? Głupiec. Jeden z moich kolegów zganił go za to, mówiąc: „Jeśli chcesz zostać męczennikiem, to jedź do Afganistanu i walcz z niewiernymi, zamiast oddawać życie za przeklętą kobietę”. Postanowiliśmy jednak dać mu potrójną liczbę batogów, żeby wybić mu z głowy tę kusicielkę i posiać w jego czarnym sercu bojaźń przed Allahem.

- Niech będą przekłeci - powiedział Basil głośno.

Uniosłem głowę. Teraz z kolei głos zabrał imam, wychwalając pod niebiosa swojego niedawnego podopiecznego. A ja przypomniałem sobie ciemny park, do którego zaprowadził mnie Basil; chciałem powiedzieć obu starszym, że ten człowiek w głębi serca to zwykły ulicznik, chciałem w ich obecności rzucić mu w oczy tamto zdarzenie - ale wiedziałem, że to na nic. Teraz Basil należał do policji religijnej; ludzi krzewiących moralność na ulicach takie oskarżenia się nie mają. Zerknąłem na niego, a on uśmiechnął się szeroko i poprawił gutrę na głowie. Co robić, myślałem gorączkowo. Jak zapanować nad twarzą, zatuszować strach, powstrzymać strugi potu? Tak bardzo żałowałem, że nie mogę się zerwać i pognać co sił w nogach do mojej Fiore, żeby ostrzec ją przed zagrożeniem, które, czułem to wyraźnie, zawisło nad nami. Tymczasem usłyszałem tylko głos Basila:

- Naser? Nie pogratulujesz mi? Nie poprosisz Allaha o błogosławieństwo dla mojej pracy?

Z tymi słowami pochylił głowę, oczekując na gratulacyjny pocałunek. Podniosłem się, choć z wielkim wysiłkiem, i objąwszy dłońmi jego skronie, ucałowałem go w czoło.

- Niech Allah pobłogosławi twoją pracę i pomoże ci tępić dekadencję na naszych ulicach - powiedziałem słabym głosem.

- Amen - odpowiedzieli zgodnym chórem wszyscy trzej, aż się poniosło po całym pokoju.

Wracając tego piątkowego wieczoru do domu, czułem się jak najbardziej poszukiwany przestępca w całej Arabii Saudyjskiej. Ścigany przez wszystkich, niemający chwili wytchnienia. Ten, kto przyłapie go na gorącym uczynku, kiedy będzie plamił ręce wyznaniem miłości, w nagrodę pójdzie do nieba. Wydawało mi się, że imam wie o wszystkim, co robię; na razie bawi się ze mną w kotka i myszkę, ale wcześniej czy później wpadnę mu w ręce, a on będzie asystował przy tym, jak wymierzają mi karę.

Szedłem, co rusz oglądając się przez ramię. Bałem się, że śledzi mnie Basil, że zza najbliższego drzewa albo zza rogu ulicy zaraz wyskoczy na mnie policja religijna. Nawet szeregi białych budynków, przecinających się na baczność w świetle latarni niczym żołnierze na musztrze, wyglądały w moich oczach jak kamuflaż maskujący czułe kamery, które śledzą po cichu każdy mój krok i nasłuchują bicia serca, aby wykryć, czy przypadkiem nie jestem zakochany.

Zycie w jednej chwili kompletnie mi obrzydło. A przecież pragnę tylko być z tą kobietą, myślałem, przyspieszając kroku i wciąż oglądając się za siebie, żeby nie dać się zaskoczyć, w razie gdyby Basil mnie śledził.

Zupełnie bezwiednie zacząłem mówić na głos, a potem krzyczeć jak szalenciec, wyładowując swój gniew na pustej ulicy, wyrzucając na nią wszystko to, co szarpało moją duszę. Pomknąłem przed siebie, a wzburzone myśli rzuciły się za mną. Świat utonął w mrocznej bezbarwności i wypełnił się kształtami ludzkich sylwetek. Widziałem mężczyzn i kobiety: szli ramię w ramię, ale nie patrzyli na siebie, nie dotykali się, nie

szeptali, nawet nie oddychali. Był to ponury świat, gdzie każdy czegoś się bał, gdzie śmiech był grzechem, pocałować kobietę znaczyło tyle co dopuścić się kradzieży, a zobaczyć jej twarz i zachwycić się nią - to już była zbrodnia, za którą powinno się karać w samym piekle.

Zapraǳnęłam opuścić An-Nuzlę na zawsze, zostawić za sobą cały ten ból, który kasał mnie coraz dotkliwiej przez tyle lat. Powróciła na nowo przeraźliwa tęsknota za matką, żal do brata i wuja za to, że zostawili mnie bez słowa pożegnania, przypomniało mi się ze wszystkimi szczegółami, co zrobił mi mój kafil i co działo się w pokoju na zapleczu restauracji Dżasima. Nie mogłam wrócić do domu, usychając z tak wielkiej samotności. Wsiadłem do autobusu i ruszyłem w drogę na Corniche, na swoją samotną skałę.

Dotarłszy na miejsce, zobaczyłem, jak zwykle, saudyjskiego śpiewaka; trzymał w dłoniach swoją lutnię *oud*, ale milczał. Przemknąłem się za jego ławką, schodząc nad morze, na moją skałę. Siedział ze spuszczoną głową, jakby w końcu się złamał, przytłoczony ciężarem wspomnień o ukochanej ponad wszelkie granice wytrzymałości, jakby niezliczone kazania w niezliczonych meczetach Dżiddy dosięgły go wreszcie, przekonując ostatecznie, że czeka go potępienie za życia i po śmierci, że mężczyzna, który tak jak on marnuje czas na wspomnianie kobiety, zasługuje tylko na to, aby dzielić piekło z najgorszymi zbrodniarzami. Że mylił się, gdy śpiewał, że w niebie jest miejsce dla kochanków. Że on i jego wytęskniona nie spotkają się już nigdy.

Wróciłem do domu w nocy. Usiadłem na łóżku, wciąż łamiąc sobie głowę nad zagadką Basila. Dlaczego ni stąd, ni zowąd zachciało mu się wstąpić do policji religijnej? Nie umiałem znaleźć wyjaśnienia. Kiedy po wyjściu gości zagadnąłem imama o powód tej nagłej decyzji jego pomocnika, powiedział mi tylko tyle, że Basil to człowiek błogosławiony i najprawdopodobniej uznał, że może postarać się jeszcze bardziej, aby na ulice naszego miasta powróciły moralność i posłuszeństwo.

Robiłem, co mogłem, żeby się przekonać do wyjaśnienia imama. Przypomniałem sobie, co o Basilu mówił Al-Jamani: jak zachłannie ten dawny chuligan zbiera zasługi, chcąc zrównoważyć grzeszne lata życia na ulicy, kiedy to zdążył obciążyć sumienie wszystkim, co tylko można sobie wyobrazić. Tylko że jakoś zupełnie to do mnie nie trafiało. „Skoro zależy mu tylko na zasługach, to dlaczego nie wprowadzi własnych słów w czyn i nie wyjedzie do Afganistanu, szukać męczeńskiej śmierci?”.

Powróciłem pamięcią do meczetu, analizując każdą spędzoną tam minutę. Może sam dałem Basilowi powód, aby podejrzewać, że mam ukryty cel w rywalizacji o miejsce blisko imama? Myślałem długo, ale ostatecznie nie mogłem wykluczyć, że jednak w jakiś sposób obudziłem jego podejrzania.

Nic już nie było dla mnie jasne.

Nagle przyszła mi do głowy dziwna myśl. A jeśli to Fiore poinformowała go o nas?

Natychmiast skronie zatętniły mi wściekłym bólem. Może to były podchody? Może moja dziewczyna w różowych butach pracowała na normalnym etacie w policji religijnej, wystawiając się na przynętę,

aby łowić mało pobożnych mężczyzn, podatnych na kobiece zaloty? Skąd miałem wiedzieć, że tak nie jest?

Lecz jakkolwiek nie mogłem całkowicie wykluczyć takiej możliwości, w głębi serca byłem jednak przekonany, że Fiore nie ma z tym nic wspólnego, że tak jak ja cierpi mękę powszechnego potępienia tylko za to, że ośmieliła się odpowiedzieć na zew miłości w miejscu takim jak Dżidda. Ufałem jej, choć musiałem przyznać, że moja ufność nie miała zbyt mocnych podstaw.

Zastanawiała mnie natomiast inna rzecz: co się stanie, jeśli Basil przyłapie nas na tym, że wykorzystujemy imama do przesyłania sobie listów.

Ponieważ oboje byliśmy stanu wolnego, zgodnie z prawem czekała nas chłosta na placu Kar. Na tę myśl przypomniałem sobie, jak na plecach płonęły mi żywym ogniem ślady po kiju religijnego policjanta, który zatrzymał mnie pod blokiem Fiore. Nie zauważył, że mam przy sobie list do niej, ale i tak spuścił mi solidne cięgi. Nie dałem rady nawet zliczyć razów, a kij lądował zawsze w jednym i tym samym miejscu, aż zacząłem się bać, że przerąbie mnie na pół.

Poza tym, pomyślałem z biciem serca, jestem przecież cudzoziemcem. Jeśli się dowiedzą, że posłużyłem się imamem jako doręczycielem miłosnych listów, moja kara będzie jeszcze surowsza. Deportują mnie? Co ze mną zrobią?

A co się stanie z Fiore? Przypomniałem sobie, co mówił kiedyś Pan Cichy, tego dnia, gdy widzieliśmy policjantów religijnych w galerii handlowej.

- Jeśli złapią parę kochanków, z których żadne nie wzięło jeszcze ślubu - powiedział - to mężczyzna otrzyma chłostę, ale potem będzie mógł żyć normalnie. Powie: „Żałuję tego, co zrobiłem, Allahu, wybacz mi” - i to będzie jego przepustka do spokojnego, szczęśliwego życia. Ale kobieta... Dla niej ból po razach katowskiego kija to tylko nieśmiały początek cierpienia. Czeka ją wieczna hańba. Żaden mężczyzna nie zechce jej nawet dotknąć, nie mówiąc już o tym, żeby wziąć ją za żonę. Będzie żyć jak wściekły pies: nie zginęła od kuli, więc zabije ją ból samotności i odrzucenia.

Cześć siódma

Czarny dzi p

Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby zakończyć korespondencję z Fiore: napisać jeszcze jeden, ostatni list z wyjaśnieniem, że cała ta sprawa to zbyt wielkie ryzyko dla nas obojga, informując ją jednocześnie o swoich podejrzeniach co do Basila. Ale na to było już za późno. Ta dziewczyna stała się moją obsesją i nie umiałem wyobrazić sobie życia bez tego, co od niej otrzymywałem; nawet jeśli nie była to jeszcze miłość w jakimkolwiek sensie fizycznym, to mnie wystarczyło pomyśleć o tym, że jestem zakochany. Uznałem, że lepiej mieć w życiu taką przewodnią myśl, nawet jeśli jest niebezpieczna; lepiej trzymać się nadziei, że pewnego dnia ta myśl doprowadzi do celu, niż żyć dalej w świecie pozbawionym miłości.

- Przecież życie jest takie krótkie! - zawołałem, chcąc dodać sobie otuchy.

W sobotę rano wyszedłem po imama, niosąc w kieszeni nowy list do Fiore.

Już z daleka zauważyłem jej różowe buty. Prowadził ją ojciec. Szli w moim kierunku. Zwolniłem kroku, żeby być z nią na jednej ulicy tak długo, jak tylko się da. Złowiwszy kątem oka różowy błysk światła odbitego od kawałka stłuczonego szkła, który odsunęła stopą, wyobraziłem sobie niebo nad Dżiddą płonące od fajerwerków - jakby ta para butów była miotaczem barw, rozjaśniającym ów firmament smutku ładunkiem nagłego szczęścia.

Wydało mi się, że w tych różowych stąpaniach słyszę jej szept:

- Dzień dobry, *habibi*. Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

Jakbym zobaczył ją bez zasłony - z szerokim uśmiechem wymalowanym na porannej twarzy.

Przypomniałem sobie swój portret, który mieszkał pomiędzy jej piersiami i zasypywał je pieszczotami na każdym kroku tej drogi na uczelnię. Zapragnąłem, żeby wspiął się wyżej, po szyi, złożył na jej ustach namiętny pocałunek, a potem odpowiedział szeptem na pozdrowienie:

- Dzień dobry, *habibati*.

I szedłem tak dalej, ciesząc się, że nie straciłem zimnej krwi.

Wymyśliłem sobie, że mijając ją, odetchnę pełną piersią, zachłannie, tak żeby pochwycić w nozdrza zapach jej szamponu i płynu do ciała.

Zerknąwszy jeszcze raz na ojca Fiore, zauważyłem, że kroczy tak dumnie, jakby był królem, który raczył zaszczyścić ulicę An-Nuzla. Przyjrzałem się uważniej rysom twarzy tego człowieka, znów próbując zgadnąć, jak może wyglądać jego córka.

Pogrążony w myślach, nie zauważyłem, że do Fiore podjeżdża znajomy czarny dżip. Był ogromny: zajmował prawie całą szerokość jezdni.

Sunął powoli tuż obok dziewczyny, a jego opasłe, brudne opony niemalże dotykały chodnika, po którym stapały błogosławione różowe buty. Fiore odwróciła głowę, chcąc na niego spojrzeć, ale w tym samym momencie postawiła krzywo stopę, wyginając ją w kostce, aż cholewka z miękkiej różowej skóry unurzała się w pyle ulicy. W szepcie jej butów był teraz strach. - Proszę cię, Fiore, panuj nad sobą - modliłem się bezgłośnie. - Zimna krew, tak jak u mnie. Szedłem dalej, przenosząc wzrok z niej na dżipa i z powrotem, ale po chwili wóz minął ją i rozległ się głośny klakson. Ojciec Fiore obejrzał się i skłonił, dotykając piersi prawą dłonią na znak szacunku. W odpowiedzi z okna wysunęła się czyjaś ręka, uniesiona w geście pozdrowienia. A kiedy Fiore i jej ojciec minęli mnie już, usłyszałem, jak ktoś wykrzykuje moje imię: - Naser?

Nie zatrzymując się, skierowałem wzrok w inną stronę, udając, że nie słyszę. - Naser?

To był Basil. Krzyczał zbyt głośno, żeby można było go zlekceważyć. Odwróciłem się więc, aby spojrzeć w twarz nowemu nabytkowi policji religijnej w An-Nuzli.

- Podejdz - skinął na mnie.

Posłuchałem. W oddali różowe buty Fiore mignęły mi po raz ostatni, a potem zniknęły. To właśnie należało teraz zrobić: zniknąć. Musieliśmy zachować najwyższą ostrożność. Błędy - wykluczone, a oglądanie się raz po raz, choćby przelotnie, z całą pewnością mogło nas zdradzić przed policją religijną.

Basil wychylił się z okna i uśmiechnął do mnie.

Podchodząc do czarnego dżipa, znów zacząłem się głowić, dlaczego ten człowiek wstąpił w szeregi policji religijnej. Chęć zemsty czy autentyczne powołanie? Z jednej strony nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że to wszystko tylko poza, że Basil po prostu chce mi zaimponować, tak jak innym ładnym chłopcom, do których się zalecał. To całkiem możliwe, myślałem, wpatrując się w jego twarz ukrytą pod gęstą brodą. Jako religijny policjant posiada władzę i może zmusić mnie do wszystkiego - nawet do tego, czego odmówiłem mu w parku.

W głębi serca żywiłem nadzieję, że tak właśnie jest, że Basil po prostu szaleje z żądzą i nic poza tym. Z tym sobie poradzę, myślałem, zbliżając się do dżipa.

Ale jego słowa rozwiały moje nadzieje.

- Pozdrów naszego imama - polecił mi - i przekaż mu, że Basil nigdy go nie zawiedzie, a z pomocą Allaha rozprawi się z każdym, kto będzie miał czelność splugawić nasze błogosławione obyczaje i zboczyć z właściwej ścieżki.

W liście, który Fiore dostała ode mnie tego ranka, nie było ani słowa o człowieku imieniem Basil ani o tym, że odszedł z meczetu, wstępując do policji religijnej. Zamiast tego postanowiłem wyznać jej swoje najgłębsze pragnienia - być może z powodu nagłego strachu, który podszeptował mi, że mogę ją stracić w każdej chwili. Ubrałem to zwierzenie w najpiękniejsze, najczulsze słowa, ważąc każde zdanie po dziesięć razy, zanim w końcu powierzyłem je papierowi.

Bo jak jeszcze nigdy wcześniej, dotarło do mnie, że zacząłem myśleć o niej w kategoriach cielesnych. Nie mogłem jej zobaczyć, usłyszeć ani dotknąć - a mimo to wiedziałem, że istnieje, bo w sklepie Jemeńczyka pokazała mi skrawek swojej skóry, bo pisała do mnie listy i nosiła różowe

buty. A dojmująca tęsknota, którą obudziło we mnie jej nagłe pojawienie się w moim życiu, sprawiła, że uwielbiałem ją równie skrupulatnie, jak pobożny człowiek czci swojego niewidzialnego Boga.

Fiore,

Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że zachowuję się tak niemądrze, ale dziś postanowiłem nie rozmawiać z Tobą o codziennych sprawach. Dziś chciałbym skupić siły, aby móc wyznać przed Tobą swoje pragnienie. Być może wybrałem nieodpowiedni moment, a to, co powiem, wyda Ci się bezczelne i pożałujesz, że mnie znasz, może nawet uznasz, że należy zerwać znajomość z człowiekiem tak źle wychowanym, który fałszuje czystą miłość, czyniąc z niej pożywkę dla swojego pożądania. Doszedłem jednak do wniosku, że jeśli mam być Ci tak wierny, jak kochanek musi być wierny swojej jedynej, to nie mam innego wyjścia, jak tylko zwierzyć Ci się ze wszystkiego, co czuję.

Zdarza się, bardzo często i niezależnie od miejsca (czy to po prostu idę ulicą, czy to czekam na imama - gdziekolwiek: u niego w domu, w meczecie, pod waszą uczelnią), że myślę tylko i wyłącznie o Tobie.

Czasami w takiej sytuacji wypuszczam się myślami w daleką podróż, na sam środek pustyni, do miejsca, gdzie czekasz na mnie Ty. Czekasz, więc biegnę do Ciebie, jak tylko zdołam najszybciej. Z oddali wydaje się, że od stóp do głów okrywają Cię szaty, ale w miarę, jak się zbliżam, widzę coraz wyraźniej, że ta czarna zasłona to nic innego jak Twoja własna skóra, spieczona słońcem pustyni. Jesteś sama. Trwasz przy życiu o własnych siłach, niczym pustynna roślina. Twoje stopy wpierają się w piasek mocno niczym tysiącletnie korzenie, a Twoja pierś i szyja prężą się ku niebu; bije od nich duma, której nie powstydzilaby się abisyńska królowa. Kiedy staję przed Tobą, brak mi tchu. Jestem jak człowiek, który zwędrował cały świat, gnany jednym marzeniem: odnaleźć kobietę sławioną w opowieściach, kochankę, która od tysięcy lat zbiera hołdy od mężczyzn i budzi postrach wśród kobiet. Legendę, którą ojcowie przekazują synom z tym samym lubieżnym drżeniem członków, które obudziła w nich przed laty, gdy słyszeli ją po raz pierwszy od swoich ojców.

Odnajduję Cię, a Twoje czary sprawiają, że niebo zapełnia się gwiazdami, a pustynia rozkwita niczym kwietny kobierzec, na którym leżymy

nadzy, świętując pierwsze spotkanie naszych ciał. Całujesz mnie, a wraz z pocałunkiem wyznajesz mi prawdę:

- Choć mówią o mnie legendy, to jestem obca w tej krainie miłości, bo żyłam dotąd całkiem samotnie, czekając, aż przyjdiesz do mnie.

- A zatem oboje dopiero zaczynamy - odpowiadam. - Dorównujemy sobie w dziewiczej niewinności. Ale od tej chwili, habibati, mamy przed sobą całe życie, aby wzajemnie się uczyć miłości prawdziwych kochanków.

W poniedziałek po południu jak zwykle odebrałem imama z uczelni dla dziewcząt; w jego torbie czekał już na mnie nowy list od Fio-re. Kiedy szliśmy ulicą, nagle zajechał nam drogę czarny džip policji religijnej. Przystanąłem gwałtownie.

- Co się stało? - zapytał imam.

Puściłem go, chwytając mocniej czarną torbę, którą niosłem pod pachą.

- Naser, mów, czemu się zatrzymaliśmy?

Z samochodu wysiedli dwaj policjanci religijni. Podeszli do nas. Jednym z nich był Basil, który zawołał głośno:

- O, imamie, o, ukochany przez Allaha! *As-salamu alajkum*. Obaj uściskali imama, a Basil z kolei odwrócił się do mnie. Tym razem jednak nie uśmiechał się tak jak zwykle.

- *Masza Allah*, wy, którzy jesteście chlubą oczu i uszu Allaha na tym ulotnym świecie - zaskowyczał imam, uśmiechając się promiennie. Rzadko się uśmiechał, a nigdy nie słyszałem, żeby się śmiał. Dlaczego? Wyjaśnił to w jednym ze swoich kazań: „Kto się zbyt często śmieje, osłabia swe serce, które zawsze musi być mocne, aby kochać Allaha z całych sił”. - Jak się macie, o, niewolnicy Allaha? - zapytał, gdy skończyli się już witać. - W waszych głosach słyszę satysfakcję.

Towarzysz Basila przewyższał go wzrostem. Młody i przystojny, miał potężne ręce i szerokie bary. Nie nosił brody, co oznaczało, że był to właśnie ten tajniak, o którym słyszałem w piątek u imama. Basil mówił mu Hamid.

- *Alhamdulillah* - odparł Basil. - Musimy z tobą porozmawiać.

Wziął imama za rękę. Kiedy prowadził go do dżipa, duchowny zawołał na mnie, kazać mi czekać i nie ruszać się z miejsca.

- A nie potrzebujesz swojej torby? - zapytał go Basil. Cofnąłem się o krok, kątem oka szukając drogi ucieczki; najlepiej

byłoby dać nogę w jakąś wąską uliczkę, gdzie czarny dżip nie mógłby wjechać. Niedaleko zauważyłem piekarnię, a zaraz za nią nieduży zaułek, tylko do połowy wylany asfaltem. Schowałem czarną torbę za plecami, trzymając ją mocno w obu rękach.

- Właściwie - dodał Basil - to jak już skończymy, możemy cię podwieźć do domu.

Imam myślał przez chwilę, przeczesując palcami brodę. Wreszcie przekrzywił głowę i skinął nią na znak, że się zgadza.

- Możesz wziąć od Nasera moją torbę? - zapytał Basila.

Basil wyciągnął rękę w moją stronę. Spojrzałem na jego dłoń, potem uniosłem wzrok, patrząc mu w twarz, ale poza tym - żadnej reakcji. Torbę wciąż trzymałem za plecami.

- Czy on na pewno ma tę torbę, o, imamie? - zapytał z kamienną twarzą Basil. Wyjąłem prawą rękę zza pleców i mocno uścisnąłem jego wyciągniętą dłoń.

Uśmiechnął się do mnie.

- *Jalla*, pospiesz się - polecił Basilowi imam. - Chodźmy. Musiałem oddać torbę temu religijnemu policjantowi, który zniknął w czarnym dżipie, zabierając ze sobą list od Fiore.

Tego dnia Allah był po mojej stronie i pobłogosławił mnie, Fiore i tajemnicy naszej miłości. Czarny dżip ruszył z miejsca, ale zanim zdążyłem choćby kopnąć w ścianę ze złości i frustracji, zahamował i wrócił na wstecznym biegu do miejsca, gdzie stałem.

Imam wysiadł z powrotem; zapomniał, że tego dnia miał go odwiedzić ktoś z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Poleciał mi odprowadzić się do domu.

Nigdy jeszcze nie ucałowałem jego czoła serdeczniej niż tego dnia i chyba mogłem nawet mieć łzy w oczach.

Habibi,

Mój ojciec jest, jak ja to mówię, kawiarnianym mutawwa. Każdy, kto ma śmiałość mówić o sobie: „Jestem mutawwa”, chodzi do meczetu i od rana do nocy się modli. Ale mój ojciec nie jest bynajmniej żarliwym wyznawcą. Podczas gdy prawdziwy mutawwa trwa w modlitwie, a jego usta bez przerwy wspominają Allaha, mój ojciec nie odrywa warg od ust-nika sziszy.

Kilka dni temu zapukałam do drzwi męskiej części naszego domu.

- Czego chcesz? - krzyknął na mnie ojciec. - Jestem zajęty.

- Czym konkretnie? - zapytałam, a on momentalnie mi otworzył, cały wściekły. To jest sposób, żeby go wyciągnąć z pokoju i oderwać od sziszy.

- Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? Co z ciebie za kobieta?

- krzyknął, a potem zawołał mamę. - Widzisz? To wszystko twoja wina

- oskarżył ją, kiedy przyszła. - Robi się - to o mnie - nieposłuszna.

Ale gniew szybko mu przeszedł.

- Czego chcesz? - zapytał, siadając na moim łóżku.
- Chciałabym na ulicy móc przynajmniej odłonić oczy. To nie jest haram dla kobiety. Zobacz, piszą o tym w tej książce.
- Nie, już kiedyś' mnie o to prosiłaś. Mówiłem ci, że poszedłem z tym do niewidomego imama, ale on mi powiedział, że gdybym ci na to pozwolił, to...
- Poszedłbyś do piekła? - przerwałam mu kpiąco.
- Nie czekaj jak pies i okaż szacunek mnie i imamowi.
- Przepraszam, ojczy - powiedziałam. - Klnę się na Allaha, że wolno mi pokazywać oczy, a nawet całą twarz. Spójrz na mnie: nie jestem nawet Saudyjką.

Mama uszczypnęła mnie za takie słowa, a ojciec zwiesił ciężko głowę. Potem wstał i wyszedł bez słowa. Mama poszła za nim i po chwili wrócił, siadając z powrotem na łóżku obok mnie.

Specjalnie przypominałam ojcu, że nie jestem Saudyjką. Kiedy to słyszy, jest dla mnie miłszy. Wziął mnie za rękę i powiedział tak:

- Mam w żyłach erytrejską krew, ale choć od dwóch pokoleń moja rodzina żyje w tym kraju, to wciąż nie chcą przyznać mi obywatelstwa. Prawda jednak jest taka, że urodziłem się na tej ziemi, tak samo jak mój ojciec i dziad. Nie potrzebuję obywatelstwa, żeby czuć się Saudyjczykiem. Jestem nim. A ty masz nie słuchać, kiedy koleżanki z uczelni mówią, że nie jesteś stąd. Jesteś Saudyjką.

Powtórzyłam pytanie, które wcześniej mu zadałam:

- Czy mogę odslaniać oczy, ojczy? Pozwól mi, proszę. Odpowiedział szybko:

- Nie. Możesz nie uważać się za Saudyjkę, ale diabeł nie patrzy, kto jest kim.

I wrócił do swojego pokoju i swojej sziszy.

Wczoraj mama próbowała mnie pocieszyć po tej kłótni z ojcem, mówiąc, że kiedy kobieta ma tak piękne oczy jak ja, lepiej zrobi, kiedy je zasłoni. Ale ja tylko zamknęłam się bez słowa w swoim pokoju.

Myślałam o Tobie.

Wzięłam z szuflady czystą kartkę i pudełko kredek. Położyłam to wszystko na łóżku. Wyjęłam z za stanika Twój portret i ułożyłam obok.

A potem zdjęłam ubranie, stając naga przed dużym lustrem wiszącym na ścianie. Obejrzałam się dokładnie, od stóp do głów. Chcąc narysować

jak najprawdziwszy autoportret, musiałam przeprowadzić szczegółowe oględziny swojego ciała, aby móc potem odtworzyć każde znamię, każdą niezagojoną ranę, zadrapanie paznokciem, każdy pieprzyk i każdą krzywiznę, a do tego precyzyjnie oddać wymiary wszystkich swoich części. Z podobną pieczołowitością chciałam też zlustrować swój rewers; utrudniały mi to włosy, więc je związałam i upięłam.

Ale kiedy już skończyłam portret, postanowiłam, że Ci go nie wyślę; przypomniało mi się, jak przysięgałam, że znajdę drogę, która zaprowadzi mnie w Twoje ramiona. Zatrzymam ten rysunek. Dostaniesz go tylko wtedy, gdybym nie mogła dotrzymać przysięgi.

Powiedz, że Tobie układa się lepiej.

Twoja Fiore

Następnego dnia rano udałem się do domu imama. W liście, który ze sobą niosłem, mówiłem Fiore, że pragnę ją zobaczyć i być blisko niej, że chciałbym kiedyś ujrzeć ją w kąpielu, pod prysznicem, patrzeć, jak woda spływa po jej ciele niczym potężna Niagara i że nie tracę nadziei, że pewnego dnia będzie to możliwe. Pytałem, czy moglibyśmy się jakimś sposobem spotkać albo przynajmniej porozmawiać. Byłem gotowy na wszystko, byle tylko usłyszeć jej głos.

U imama zastałem Basila. Szperał na półce z książkami wiszącej w salonie. W dłoni trzymał długi, cienki kij. Chciałem go zaczepić i zapytać, co robi, ale miałem ściśnięte gardło i nie śmiałem nawet pisnąć.

Usiadłem na macie, obserwując go bez słowa.

Basil znalazł sobie wreszcie jakąś książkę i zaczął ją czytać. Zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie tam nie było.

Chciałem wyjść, uciekać, zanim będzie za późno, ale zamiast tego postanowiłem uważnie go obserwować; być może zrobi coś, co pozwoli mi zinterpretować jego zachowanie. Ale on nie odzywał się, a po chwili zamknął książkę i zawołał do imama, siedzącego w drugim pokoju, że wychodzi i że spotkają się wieczorem.

Basil zabijał mnie powoli. Gdy się uśmiechał, te jego białe zęby były niczym garść kul wystrzelonych prosto we mnie. Z każdego spotkania

z nim wychodziłem coraz mocniej podziurawiony. Wyciekały ze mnie wszystkie siły życiowe, a Basil z nieodłącznym uśmiechem na twarzy przyglądał się, jak znikam.

Tego samego dnia, po południu, kiedy już miałem iść do domu, imam poprosił mnie, żebym znów został dłużej. Chciał się zdrzemnąć, a potem pójść z wizytą do przyjaciela, pewnego szajcha mieszkającego w części miasta przylegającej do starej Dżiddy. Zdążyłem już wyjąć z torby list od Fiore. Wciąż rozmyślałem o swoim porannym spotkaniu z Basilem; marzyłem o tym, żeby wrócić do siebie i zostać sam na sam z listami dziewczyny w różowych butach. Nie miałem jednak wyjścia; musiałem być posłuszny.

Imam wyciągnął się na macie, a kiedy ciche pochrapywanie upewniło mnie, że zasnął już twardo, otworzyłem list.

Habibi,

Ogarnął mnie wielki smutek. Depresja, która od długiego już czasu dobijała się do mnie, ostatniej nocy wreszcie wdarta się do środka i rozgościła jak u siebie. Zazwyczaj siedzę do późna nad Twoimi listami, ale dziś położę się do łóżka i zamknę oczy, zmożona chorobą melancholii i samotności. Chciałabym, żebyś był tutaj, obok mnie. I przepraszam, że ten list jest taki krótki, ale fizycznie nie mam siły w palcach, żeby napisać choćby kilka słów więcej, mój kochany.

Salam z głębi serca.

Przycisnąłem jej list do ust i ucałowałem go, nie wiedząc, co innego mogę zrobić ze smutkiem Fiore, który trzymałem w dłoniach. Naszło mnie nagle pragnienie, aby pomścić moją *habibati*, rzucić na pastwę żarłocznych płomieni wszystko, co odgradza mnie od niej i każdego, kto stoi nam na drodze. Tymczasem byłem całkowicie bezsilny. Czulem się nieprzydatny do niczego i drażniło mnie to niepomierne. *Habibati* cierpiała, a ja nie mogłem nic na to poradzić. Co warte jest pół kartki wyrazów serdecznego współczucia, kiedy dziewczyna potrzebuje tylko, żeby ktoś był przy niej, wysłuchał i przytulił?

We wtorek rano smutek Fiore wciąż zaprzętał moje myśli. Poszedłem po imama, niosąc list, w którym ze wszystkich sił próbowałem

ją pocieszyć. Schowałem go w czarnej skórzanej torbie i jak co dzień wyruszyliśmy w drogę na uczelnię dla dziewcząt.

Pomagając imamowi przejść przez furtkę w bramie, dostrzegłem dłoni Fiore, wyciągniętą po laskę duchownego. Już chciałem jej dotknąć, tak jak kiedyś, ale ona szybko cofnęła rękę. Wsunąłem imamowi torbę pod pachę, ale on nagle potknął się i wpadł na drzwi, upuszczając ją na ziemię.

- Naser, podnieś mi torbę, bardzo proszę - rozkazał. Pochyliłem się, oczekując, że Fiore skorzysta ze sposobności i zrobi to samo. Nie. Pozostała w ukryciu.

Owładnęło mną przemożne pragnienie, żeby wejść do środka, złapać ją za rękę i uciec stąd razem. W mojej głowie odezwał się zachęcający głos:

- Furtka stoi otworem. Nie jest pod napięciem. Nie jest zaminiowana. Nie pilnują jej uzbrojeni żołnierze, którzy tylko czekają, żeby nafaszerować cię ołowiem. Czego się boisz? To tylko zwykła furtka, a twoja smutna Fiore stoi tuż za nią. Weź ją za rękę i uciekajcie.

Ale w tym momencie obejrzałem się na imama. Miałem pewność, że jego oczy, utkwione w jakimś niesprecyzowanym punkcie, są kompletnie bezużyteczne - ale mimo to i tak bałem się, że jeśli naruszę prawo choćby o piędź, on będzie o tym wiedział. A to oznaczało, że gdybym teraz wziął Fiore za rękę, byłby to nasz pierwszy i ostatni raz. Tak więc powstrzymałem się od gwałtownych kroków i położywszy torbę za progiem, uciekłem do domu.

Upłynęły dwa tygodnie, a ja wciąż czekałem na nową kartkę od Fiore. Mój ostatni porządny list był to ten, w którym wyznałem swoje najgłębsze pragnienia; od tego czasu posłałem jej w torbie imama kilka krótkich bilecików miłosnych, każdy z nich zakończony prośbą o szybką odpowiedź. Mogłem mieć tylko nadzieję, że to ona, nikt inny, odbiera wykładowcę religii przy czarnej bramie; o pewności nie było mowy. I chociaż moje listy znikają z czarnej torby, to na próżno szukałem tam odpowiedzi od Fiore.

Nie miałem zielonego pojęcia, co się właściwie dzieje. Brama uczelni dla dziewcząt wydawała się rosnąć wzwyż i wszczepiać się za każdym razem, kiedy przyprowadzałem pod nią imama, a mężczyźni na ulicy sprawiali

wrażenie coraz silniejszych i bardziej agresywnych. Natomiast różowe buty zniknęły z An-Nuzli.

Każdego dnia budziłem się rano z ciężkim sercem. Zacząłem się gniewać na Fiore. Powoli nabierałem przekonania, że to wszystko wcale jej nie obchodzi. Gdyby było inaczej, odpisałyby mi choćby jeden raz, żeby powiedzieć: „U mnie w porządku”. Gdyby naprawdę mnie kochała, wiedziałyby, że martwię się o nią.

Wtorek, siedemnasty dzień października, miesiąc po tym przepelnionym smutkiem liście od Fiore, który rozpoczął nagłą przerwę w naszej korespondencji, okazał się moim ostatnim dniem w meczecie.

Tego wieczoru wiał chłodny wiatr, włócząc śmieci i opadłe liście z jednej strony chodnika na drugą.

Kiedy zjawiłem się w meczecie, imam siedział po turecku pośrodku kręgu i przemawiał do chłopaków. W grupie było już wiele nowych twarzy. Weteran z Afganistanu przeprowadził się do Rijadu, a Abdu powrócił na ulicę, do swoich kumpli. Mówił, że ma dosyć imama i stęsknił się za piłką nożną, muzyką i telewizją - rozrywkami, które zdaniem imama i Basila były *haram*.

Przywitałem się z grupą, po czym ucałowałem imama w czoło, siadając po jego prawicy.

Chwilę później do meczetu wbiegł pewien człowiek. Widywałem go już wcześniej w towarzystwie imama. Był to dawny uczeń naszego szajcha; pracował w pogotowiu w szpitalu imienia króla Fahda. Powitał nas wszystkich i uklękawszy za imamem, zaczął mu coś szeptać do ucha. Imam wstał i położył mu dłoń na ramieniu, pozwalając się odprowadzić w odległy kąt meczetu. Mężczyzna o czymś mu opowiadał, gestykulując przy tym z coraz większym ożywieniem.

Nie trwało to jednak długo. Ratownik odprowadził imama z powrotem na miejsce, przeprosił nas wszystkich i zniknął tak samo błyskawicznie, jak się pojawił. Imam usiadł, skrzyżował nogi i odkaslnął. Zapadła cisza. Po chwili dowiedzieliśmy się o kolejnej tragicznej śmierci.

- Dlaczego tragicznej? - zapytał imam, kołysząc głową. - Dlatego, że znów jeden z naszych ukochanych synów wybrał piekło zamiast nieba. Ten młodzieniec miał wypadek. Jego samochód uderzył w filar wiaduktu i roztrzaskał się na miejscu. Ale niech Allah błogosławi stra-

zaków i ich pracę: udało im się wyciągnąć kierowcę z wraku. Usłyszeli jednak, że magnetofon w samochodzie wciąż gra jakąś piosenkę, więc wyciągnęli ze środka kasetę i połamali ją na drobne kawałki. Opatrzyli młodzieńca, widząc, że jego dusza żegna się już z tym światem. Jeden z ratowników wziął go za rękę i poprosił, żeby wyrecytował szahadę. „Synu”, mówił mu, „ty umierasz. Powiedz, że nie ma Boga prócz Al-laha, a Mahomet jest Jego wysłannikiem”. Ale nie, ten młodzieniec milczał. Ratownik poprosił go jeszcze raz: „Powiedz to. To dla ciebie paszport do nieba”. Ale usta umierającego nie chciały wymówić tych błogosławionych słów: zamiast tego zaczął śpiewać piosenkę, której słuchał w samochodzie.

Imam urwał i zwiesił głowę. Po chwili zaczął mówić dalej:

- Wiecie, dlaczego nie mogłem wyrecytować szahady? Bo słuchanie muzyki jest *haram* i nie wolno zastępować czytania Koranu piosenkami z magnetofonu. Lecz ten młodzieniec, który nie chciał odpowiedzieć na wezwanie Allaha, otrzymał swoją karę: za to, co uczynił, czeka go piekło. Piekło, piekło, piekło - powtórzył po trzykroć, unosząc gromko głos.

Siedziałem, słuchając imama, a głowa zaczęła mi pulsować tęnym bólem, takim samym jak kiedyś, dawno temu, gdy po raz pierwszy wstałem i wyszedłem z jego meczetu; miałem wtedy czternaście lat. Ból narastał, w miarę jak imam ciągnął swoją opowieść. Jego słowa odzywały się głuchym łomotem głęboko pomiędzy moimi oczami, zwielokrotnione tysięcznym echem. Ręce aż mnie świerzbiły, żeby zasłonić uszy, przerwać ten potok słów mówiących tylko o bojaźni i pomście, o piekle i o szatanie.

Zamknąłem oczy.

- Po co ja muszę to znosić? - zadałem sobie pytanie. ;

I wtedy, po raz pierwszy odkąd Fiore przestała do mnie pisać, postawiłem się w obliczu prawdy, której wołałem dotąd unikać: być może, pomyślałem, znalazła sobie innego chłopaka i zaczęła pisać do niego. A jeśli nawet nie, to mogła na przykład się nawrócić i teraz żałuje, że cokolwiek ją łączyło ze złym muzułmaninem imieniem Naser. Albo, trzecia możliwość, po prostu zrozumiała, że nie mamy przed sobą żadnej przyszłości. Wymiana listów miłosnych przez posłańca mimo woli to wszystko, co uda nam się na tym polu osiągnąć.

- Jak długo możemy tak do siebie pisać? - zastanawiałem się. - Te listy tylko rozbudzają w nas chęć, żeby się zobaczyć, a na to nie ma żadnych szans.

Opadły mnie z powrotem dawne wątpliwości, rozterki i wahania, te same, które u zarania naszej miłosnej historii niemalże doprowadziły mnie do szaleństwa. Nie chciałem przeżywać tego jeszcze raz na nowo.

- Trzeba było przewidzieć, że cała ta historia tak się musi skończyć. To wszystko i tak było na nic - powtarzałem sobie, przekonując się siłą, że straciłem ją na zawsze i muszę się z tym pogodzić. - To już koniec, Naser. Nic nie zostało.

Podniosłem się powoli, roniąc krople potu. Wystąpiłem z kręgu chłopaków zgromadzonych wokół imama, przysięgając sobie uroczyście, że moja noga już nigdy więcej nie postanie w tym meczecie.

Co się stało, że Fiore postanowiła mnie opuścić? Nie mogłem tego zrozumieć. Dla niej zostałem *mutawwa*; aby się poznać, oboje ryzykowaliśmy wszystko. A teraz - zniknęła, w jednej chwili, tak jak się pojawiła. Ukryła się z powrotem w swoim niewidocznym świecie. Omar miał rację: byłem niczym więcej jak tylko zabawką bogatej dziewczyny, która teraz znalazła sobie nową ofiarę.

Postanowiłem, że postaram się o niej zapomnieć.

Po odejściu z meczetu przez prawie dwa tygodnie nie wychylałem nosa z domu. W zaciszu czterech ścian swojego pokoju próbowałem opłakiwać Fiore. Było jednak tak mało rzeczy, które mogłyby mi o niej przypominać: nigdy nie widziałem jej twarzy ani nawet oczu. Nie znałem dotyku jej skóry, nigdy nie pogładziłem jej chociażby po głowie. Jej ciało stanowiło dla mnie tajemnicę skrytą za czarną zasłoną.

Dane mi było zobaczyć skrawek jej skóry - i nic poza tym. Kawałek skóry naznaczony blizną na wysokości kostki. Ale tym, co pamięć bez przerwy rzucała mi przed oczy, były jej różowe buty, znak rozpoznawczy naszej wspólnej przygody; to ich przecież wypatrywałem, czekając na Fiore.

Wspominałem tę parę butów tak, jak odtrącony kochanek wspomina twarz swojej jedynej. Skromny rzucik skrzących się perełek na cholewkach był dla mnie tym, czym dla innych kolczyki, naszyjnik lub pasek z migotliwych klejnotów opinający ciemne, pełne biodra utraconej wybranki. Głęboki ciemnoróżowy kolor skóry, z której były uszyte, zastępował mi odcień jej ulubionej szminki, barwę stanika i bielizny. Wróciłem pamięcią do dnia, gdy te buty po raz pierwszy wtargnęły na plan czarno-białego filmu o ulicy An-Nuzla; ich właścicielka przypominała różowego flaminga. Jeszcze długo potem miałem chęć krzyczeć na cały głos, tak żeby wszyscy mężczyźni w okolicy usłyszeli: „Ta w różowych butach to moja dziewczyna!”. Moje serce lgnęło do tych butów, z każdym krokiem coraz mocniej. Bez nich musiało umrzeć.

A może to była moja wina, że Fiore mnie opuściła? Może powinienem być śmielszy w swoich listach? Nie mogłem sobie przypomnieć, czy

kiedykolwiek jej napisałem, jak szaleńczo przepadam za jej różowymi butami - bo jeśli chodzi o ucieczkę we dwoje, to na pewno tego nie proponowałem. A może ona właśnie czekała, żebym wziął ją za rękę i wyrwał z tego czarno-białego filmu?

Pragnąłem poprosić ją o jeszcze jedną szansę. Chciałem biec pod jej blok, pokazać się, dać dowód tego, jak wiele dla mnie znaczy. Ale ulica An-Nuzla była pod ciągłą obserwacją patrolu policji religijnej, w którym jeździł Basil; to położyło kres moim marzeniom.

Uznałem wreszcie, że jestem skazany na samotne życie. Widocznie taki już mój los, że za jedynych towarzyszy mogę mieć wspomnienia o ludziach, których kochałem. Wszystko, co piękne, odeszło w przeszłość: moja matka, mój brat, a teraz Fiore. Nawet utraconą przyjaźń z Jahją i Hanim opłakiwałem gorzkimi łzami.

Cześć ósma

Obrazek z Egiptu

Wyszedłem z mieszkania dopiero na początku listopada. Był późny wieczór. Pojechałem na Corniche. Miałem na sobie wciąż to samo ubranie, w którym chodziłem do meczetu, ten sam saub z głębokimi kieszeniami, w których chowałem listy od i do Fiore.

Corniche była pełna młodych mężczyzn, jakby wszyscy zagubieni kochankowie przybyli tego wieczoru nad Morze Czerwone z pielgrzymką, niczym do Mekki.

Stali zapatrzeni w morskie fale, które w milczeniu wysłuchiwały każdego, kto szukał pociechy w swojej samotności.

Schodząc na moją sekretną skałę, zauważyłem saudyjskiego śpiewaka. Grał na swojej *oud*. Podziwiałem go za to, że potrafi zachować nienaganny wygląd w momencie, kiedy wszystko, co służyło mu do wyrażania miłości, popada w ruinę: jego lutnia brzmiała tak, jakby struny zardzewiały, a głęboki głos co chwilę się załamywał. Słowa, które z siebie wyrzucał, nie miały ładu ani składu; z wielkim trudem udawało mu się narzucić tekstowi swojej pieśni jakąkolwiek spójność. Słysząc było wyraźnie, że śpiewa ją człowiek, któremu pęka serce. Słuchając go, poczułem, że łzy kręcą mi się w oczach:

Najdroższa, dni moje są policzone, a mój głos zawodzi.

Nigdy już nie spojrzę na morze w milczeniu.

Cóż mi po życiu, kiedy nie mogę wyśpiewać ci tego,
co czuję w głębi serca.

O, *habibati*, zbliża się mój koniec.

Kilka dni później przeprosiłem się ze zwykłym ubraniem, czyli koszulką i spodniami, definitywnie rozstając się z saubem i gutrą. To był dla mnie początek powrotu do normalnego życia. Zadzwoiłem do Hilala, żeby zapytać go, czy mógłbym wrócić do swojej starej pracy w myjni.

- To miejsce już jest zajęte - odparł. - Sam jesteś sobie winny, że rzuciłeś pracę. Do tego kraju codziennie przyjeżdżają tłumy cudzoziemców, a każdy z nich z pocałowaniem w rękę zgodzi się pracować za psie pieniądze.

Obiecał jednak, że pomoże mi szukać nowego zajęcia, i oddzwonił w ciągu godziny, proponując zastępstwo za jakiegoś młodego Hindusa w innej myjni, raptem piętnaście minut piechotą od tej, gdzie przedtem pracowałem.

- Rozchorował im się jeden z pracowników - poinformował mnie Hilal - ale bądź przygotowany, że nie zagrzejiesz tam miejsca.

Dżasim wrócił w końcu z dalekich wojaży ze swoim kafiłem.

Poszedłem go odwiedzić w restauracji. Na wystawionych przed lokal stolikach (z widokiem na małe rondo i sklep z obuwiem po przeciwnej jego stronie) leżały nowe obrusy z żółtego plastiku. Wszystkie krzesła były zajęte; podchodząc, minąłem dwóch gości grających w domino.

Kelner uśmiechnął się do mnie, wskazując oczami Fawwaza siedzącego przy jednym ze skrajnych stolików. Zrozumiałem, co ma znaczyć ten gest: Fawwaz jeszcze się nie ożenił. Wciąż byli kochankami.

Dżasim także siedział na zewnątrz, otulony chmurą dymu z sziszy, który wylewał mu się z ust, spowijając także jego sąsiadów.

Uściskał mnie na powitanie, a ja niemalże rzuciłem mu się na szyję. Wręcz zawisłem na nim i nie mogłem puścić, chociaż wiedziałem, że nie jestem w tym momencie sobą.

- *Ja Allah*, Naser - wyszeptał Dżasim - nigdy mnie jeszcze tak nie ścisnąłeś. Nigdy. Czy to ma znaczyć, że nareszcie...

Oderwałem się od niego.

- Po prostu bardzo się cieszę, że cię widzę.

- Może chodźmy gdzieś na obiad? Opowiem ci o swoich wakacjach.

Dużo się działo.

- Chętnie - skinąłem głową. - To idziemy.

- Idziemy.

Wziął mnie za rękę i ścisnął mocno, ale szybko ją cofnąłem.

Zadzwoiłem do Haniego i do Jahji, żeby im powiedzieć, że już nie chodzę do meczetu, ale ani jeden, ani drugi nie chciał ze mną gadać, a Jahja wręcz zaczął mi grozić barwnymi opisami tego, co mi zrobi, jeśli ośmielę się jeszcze raz do niego odezwać.

Tym większe było moje zaskoczenie, kiedy pewnego wieczoru, usłyszawszy stukanie do drzwi, zobaczyłem na progu moich przyjaciół w komplecie, czyli w liczbie dwóch.

- Bardzo się cieszę, że przyszliście - powiedziałem.

- Idziemy do Pałacu Rozkoszy - zakomenderował Jahja. - Będziesz się długo tłumaczył.

Kiedy dotarliśmy do pałacu, obaj zasypali mnie pytaniami. Chcieli się dowiedzieć, co mnie podkusiło, żeby zostać przewodnikiem ślepego imama-radykała, ale zamiast konkretnych wyjaśnień słyszeli ode mnie wciąż tylko jedną i tę samą śpiewkę: nie ja pierwszy i z całą pewnością nie ostatni przyłączyłem się do *mutawwa'in*, aby potem opuścić ich szeregi.

- Tak po prostu? - dopytywał się Jahja.

- Tak po prostu - odparłem. - Abdu zrobił to samo.

- Kto to jest Abdu?

Opowiedziałem im o chłopaku, który bardzo chciał prowadzić imama, ale potem poszedł po rozum do głowy i zamiast tego zapisał się do klubu piłkarskiego. Hani skinął potakująco głową:

- A Al-Jamani? Cały czas tak robi: przyłącza się do *mutawwa 'in* z ulicy Mekkańskiej, potem od nich odchodzi i znów wraca.

- Tak czy inaczej - podsumował Jahja - cieszę się, że wróciłeś do normalności. Ale żebyś już nigdy nie dał się przekabacić temu imamowi. Słyszysz?

Żebyś tylko wiedział, o co tak naprawdę mi chodziło, odpowiedziałem mu w myślach.

Nawąchaliśmy się kleju, a potem Jahja i Hani zaczęli opowiadać o naszych kumplach: Fajsalu i Zib al-Ardzie, którzy cały czas walczyli w Afganistanie. Nikt nie słyszał, żeby zginęli, więc zakładaliśmy, że jeszcze żyją.

- Brakuje mi ich - powiedział Jahja.

- Chciałbym, żeby nie było żadnej wojny - dodał Hani. - Bylibyśmy tutaj wszyscy razem: my i nasi przyjaciele.

Ileż to razy marzyłem o tym, żeby w moim kraju nie było wojny. Nie musiałbym wtedy rozstawać się z matką i z Samirą. Na myśl o tym, jak bardzo za nimi tęsknię, łzy zakręciły mi się w oczach.

Fiore towarzyszyła mi na każdym kroku. Ściany mojego pokoju przesiąkły jej zapachem, bijącym z kartek, które mi przesłała. Wspomnienia o niej opanowały mój umysł. Nie mogłem spać. Nie mogłem jeść. Bałem się, że popadam w obłęd. Żeby ratować się przed szaleństwem, musiałem się komuś zwierzyć. Wtedy przyszedł mi na myśl Hilal. Ufałem, że mnie nie wyda. Był to jedyny znany mi człowiek, który poświęcił swoje życie jednej i tylko jednej osobie - żonie.

A kiedy wreszcie się zebrałem, żeby opowiedzieć mu o Fiore, otworzył szeroko usta i przyglądał mi się przez chwilę, a potem objął mnie i ucałował serdecznie w oba policzki.

- Od dziś wierzę w cuda - oznajmił. - Miłość to siła nadprzyrodzona, tak jak księżyc, słońce i grawitacja. Nie powstrzyma jej żaden człowiek, nawet najpotężniejszy i najbardziej bezwzględny.

Ja próbowałem poskładać na nowo swoje życie, a tymczasem Basil nieustannie mnie podchodził.

Trzy tygodnie po odejściu z meczetu byłem w pracy. Myłem właśnie samochód jednego z właścicieli okolicznych sklepów spożywczych, kiedy w uszach zabrzmiał mi znajomy warkot silnika. Przerwałem robotę, oglądając się przez ramię. Dosłownie kilka metrów za mną stał czarny džip, dygocząc na jałowym biegu.

Wróciłem do szorowania zderzaków, ale mogłem tylko udawać, że pracuję, tak mocno trzęsły mi się ręce. Obejrzałem się znów: wóz zaczął migać na mnie światłami. Postanowiłem to zignorować i wziąć się z powrotem do pracy.

Cały czas rzucałem spojrzenia za siebie, jednak nic się nie działo, oprócz tego, że silnik džipa powoli zwiększał obroty. Tarłem zawzięcie wciąż to samo miejsce na zderzaku, aż wreszcie musiałem przerwać, słysząc, że samochód policji religijnej podjeżdża i zatrzymuje się tuż za mną. Zapadła cisza; nie wiedziałem, co mam robić, więc po prostu stałem w miejscu, spoglądając na to wielkie auto. Mogłem się tylko domyślać, co się dzieje za jego przyciemnianymi oknami.

Wreszcie Basil otworzył drzwi i kazał mi umyć przednią szybę.

- Spiesz się - ostrzegł, zatraskując drzwi z powrotem. Nie patrząc na džipa, zmoczyłem szmatę w mydlanej wodzie i przetarłem nią szeroką, ciemną szybę, wyciągając rękę na całą długość.

Kiedy chciałem wypłukać szmatę, okno džipa otworzyło się powoli. Basil wychylił się z samochodu, przyglądając się bez słowa, jak wykonuję jego polecenie. Gdy wreszcie skończyłem, zapytał:

- Dlaczego odszedłeś z meczetu i porzuciłeś błogosławionego imama, odszczepieńcu?

Nie odpowiedziałem.

- Nikt bezkarnie nie będzie sprzeciwiał się imamowi - zakomunikował mi i odjechał, nie płacąc.

Wróciłem do dawnego życia, a „ona” przestała czuwać nade mną. Mogła być wszędzie: na ulicy, przy swoim oknie, w autobusie albo w samochodzie ojca - a ja musiałem pogodzić się z tym, że już mnie nie szuka, nie rozgląda się za mną. Jeśli wciąż mnie kochała, mogła przecież - gdyby tylko chciała - pójść za mną gdziekolwiek: na ulicę An-Nuzla, do któregoś z niezliczonych sklepów w okolicy, na herbatę do Blue Cafe, zaraz za dużym supermarketem przy rondzie. Mogła

mnie zobaczyć, kiedy grałem ze znajomymi w piłkę na dużym placu przed fabryką w An-Nuzli albo kiedy wysiadywałem pod moim drzewem - tam, gdzie upuściła swój pierwszy list do mnie. Gdyby tylko tego chciała, zobaczyłaby, jak szwendam się po ulicach ze zwieszoną głową, jak wodzę wzrokiem za kobiecymi stopami, wypatrując jej różowych butów - tak na wszelki wypadek.

Kiedy Hindus z myjni wyzdrowiał, straciłem swoją tymczasową pracę i znów musiałem błagać Hilala, żeby znalazł dla mnie jakieś zajęcie. Chciałem zapomnieć o tym, co działo się w lecie, a żeby to się udało, nie mogłem siedzieć beczynn timer. Hilal obiecał, że będzie o mnie pamiętał, jeśli usłyszy o pracy do wzięcia.

Pewnego wieczoru pojechaliśmy razem na Corniche, tak po prostu, żeby się czegoś napić. Usiedliśmy nad szklaneczką świeżo wyciskanego soku w kawiarence z widokiem na Morze Czerwone. Dowiedziałem się, że Hilal myślał o mnie i o Fiore. Szkoda - sam tak powiedział - że nie przyszedłem z tym do niego wcześniej, zanim Fiore zniknęła.

- Naser - mówił - gdybym tylko o tym wiedział, zabrałbym was w jedno specjalne miejsce. Moglibyście być tam sami, siedzieć razem i rozmawiać, nie obawiając się ani jej ojca, ani policji religijnej.

Urwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- To jest taka plaża, o której nikt nie wie. Na drugim końcu Corniche. Przejdźmy się teraz. Opowiem ci o niej, ale nie chcę, żeby ktoś nas podsłuchał.

Pewnego wieczoru stałem z Hanim przed swoim domem, po przeciwnej stronie ulicy. Trzymałem puszkę po pepsi, a on lał do niej klej. Był ubrany tak jak zwykle: w dres i T-shirt. Nie znosił saubów, chociaż był rodowitym Saudyjczykiem.

Zaciągnąłem się oparami kleju, taksując spojrzeniem chłopaka, który siedział na bagażniku samochodu Haniego. Poznałem go przed chwilą: to był jego kuzyn. Miał na imię Fahd i mieszkał na stałe w Rijadzie. Przyjrzałem się jego ubraniu: zielona koszula i czarne spodnie w żółte paski, na nogach białe adidas, a na nosie okulary przeciwsłoneczne.

- Co jest? Z czego się śmiejesz? - Hani zauważył, na co patrzę. -Z jego ciuchów, tak? - Wskazał palcem kuzyna.

Skinąłem głową.

- Mówiłem ci, żebyś się nie stroił jak nie wiadomo kto? - krzyknął Hani na Fahda. - Zdejmij przynajmniej te okulary. Jest wieczór. Allahu, ty to widzisz i nie grzmisz?

- Nie będzie mi byle chłopaczek z Dżiddy mówił, jak mam się ubierać - wzruszył ramionami Fahd. - Ja, przyjacielu, jestem ze stolicy.

Hani aż zgiął się wpół ze śmiechu.

- Uważasz, że wy, Beduini, ubieracie się lepiej niż my tutaj, w Dżid-dzie? Naser, słuchasz tego?

Słuchałem, ale z nieco innych powodów. Skoro Fahd był z Rijadu... Zapytałem go, czy nie zna przypadkiem chłopca imieniem Ibrahim, który mieszka razem ze swoim wujem Abdu-Nurem.

Ale Hani nie dał kuzynowi odpowiedzi:

- Przykro mi, Naser. Już go o to pytałem. Nie zna nikogo takiego. Ten świat czasami nie jest aż taki mały, jak to się mówi.

- Nieważne - mruknąłem. - Jedziemy do pałacu czy nie? Czekamy na kogoś?

- Na Jahję - odparł Hani.

- A gdzie on jest? - zapytałem.

Zamiast odpowiedzieć, Hani niemalże zapiszczał:

- Chłopaki, patrzcie, patrzcie!

Kilka domów dalej zobaczyliśmy jakąś kobietę. Zniknęła za drzwiami, ale po chwili wróciła na ulicę. Podeszła do furgonetki zaparkowanej niedaleko i wyjęła z niej kilka sztuk bagażu i parę niedużych pudełek. Wiatr rozwiewał jej długie włosy. Spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem: w An-Nuzli wolne, roztrzepotane włosy można zobaczyć tylko na męskich policzkach.

Kobieta miała na sobie obcisłe džinsy, a obcasy jej szpilek dźgały chodnik niczym ostre noże.

Podeszliśmy do niej, ramię przy ramieniu.

- Posieka mnie na kawałki tymi sztyletami - szepnął Hani.

- Tylko bez poezji, bardzo proszę - rozkazałem, odwracając się do niego.

- No i co, panowie? Teraz chcielibyście mieć lepsze ciuchy. - Fahd zdjął okulary, a właściwie tylko je zmienił; miał przy sobie drugą parę, ozdobioną złotymi wzorkami. - Kto nie przewiduje, ten potem żałuje.

Trzeba być zawsze gotowym, nawet jeśli okazja ma się trafić raz w życiu. I kto teraz jest głupi?

Hani rozmarzył się na głos:

- Chciałbym być ulicą, która nigdy się nie kończy, żeby ona mogła sobie po mnie spacerować od rana do wieczora.

W tym momencie kobieta nas zauważyła. Oddała torby i pudełka mężczyźnie, który wyszedł z domu, a kiedy on z powrotem zniknął w środku, ruszyła prosto w naszą stronę.

Spojrzałem na kuzyna Haniego, który z twarzą mokrą od potu przyglądał się nieznajomej. Po chwili Fahd złapał mnie za rękę i ścisnął ją mocno.

- Co robisz? - zapytałem.

- Ona tu idzie. Patrz, jak powoli. Nie spieszy się, nic a nic.

- Możesz mówić ciszej? A w ogóle, to co w tym dziwnego? Niektóre kobiety tak właśnie chodzą. Krok za kroczkiem.

- A ty skąd wiesz? - odciął się.

- Wychowałem się wśród kobiet.

- Dobry wieczór panom - przemówiła kobieta. - Nazywam się Nahid. Właśnie się wprowadzamy, ja i mój mąż. - Wskazała gestem budynek za swoimi plecami.

Rozpoznałem akcent od razu. Egipcjanka.

- Kobieta do nas mówi? *Ja Allah!* - wykrzyknął Hani, padając przed nią na kolana. - Błagam, nigdy nie zakładaj abai.

- Spójrz na siebie! - warknął Fahd, potrząsając głową. - Nigdy w życiu nie widziałem, żebyś się modlił. Choćby jeden raz. Nie wiesz, że kłaniać się i płaścić można tylko przed Allahem? Wstawaj!

Nahid się roześmiała.

- Do zobaczenia, chłopaki. Wkrótce, mam nadzieję. Fahd i Hani spojrzeli tylko po sobie.

- Ty nas może zobaczysz - powiedział Hani - ale my ciebie na pewno nie. Następnym razem będziesz zakryta od stóp do głów.

I obaj potrząsnęli głowami.

Kobieta odeszła w kierunku swojego nowego domu, odprowadzana trzema parami naszych oczu, Ignących do krągłości jej kształtów. Po chwili drzwi zamknęły się z trzaskiem i nie dane nam było już dłużej oglądać jej rozpuszczonych włosów, obcisłych džinsów, rozkołysanych

bioder ani smukłej szyi. Znaleźliśmy się z powrotem w ślepych światłach mężczyzn.

Wsiadliśmy do samochodu Haniego: ja z przodu, Fahd z tyłu.

- Potrzyмай. - Hani podał mi puszkę po pepsi, a sam wsunął do magnetofonu kasetę z egipskimi piosenkami. - Proszę o chwilę ciszy. Ten kawałek dedykuję naszej nowo poznanej Egipcjance - oznajmił - którą wciąż widzę oczyma duszy, jak sunie ulicą na szpilkach, a wiatr porывa jej cudowne biodra.

- Jedź, nie gadaj - roześmiał się Fahd. - Ta frustracja cię wykończy. Więcej cudów nie będzie.

Hani już miał ruszyć, kiedy nagle zauważyłem w lusterku parę butów. Dłoń zadrżała mi silnie, aż upuściłem puszkę na podłogę.

Otworzyłem drzwi, przyglądając się jeszcze raz. To były te buty. Różowe. Wskoczyłem z samochodu tak szybko, że o mały włos upadłbym na ulicę.

- Co się stało, Naser? - zapytał Hani.

- Nic - wyjąkałem. - Spotkamy się w pałacu. Czekać tam na mnie.

- Daj spokój, gdzie cię niesie? - chciał wiedzieć Hani.

- Jedźcie, niedługo do was dojdę - uciałem stanowczym tonem. Odjechali. Stałem, nie odrywając oczu od różowych butów. Czy to naprawdę była Fiore? Czy może to tylko jakaś sztuczka? Uniosłem wzrok: dłoń w rękawiczce skinęła na mnie. Ruszyłem szybkim krokiem za dziewczyną, która skręciła w boczną uliczkę. Potem długo szliśmy ulicą Heim Street. Minęliśmy sklep spożywczy, restaurację, afgańską piekarnię i sklep ze sprzętem elektrycznym, prowadzony przez Pakistańczyka. W pewnym momencie moja przewodniczka przeszła na drugą stronę ulicy, żeby ominąć niedużą kawiarnię, przed którą gromadzili się mężczyźni, a potem skręciła prosto w jakiś ciasny zaułek. Kiedy wszedłem tam za nią, nie mogłem powstrzymać okrzyku zaskoczenia. Znaleźliśmy się znów w Ba'da an-Nuzla. Przypro-wadziła mnie tam zupełnie inną drogą niż ta, którą chodziłem za czasów, gdy mieliśmy tylko rzucane na ziemię listy. Ale tak czy inaczej to przecież musiała być ona, Fiore?

W zaułku kilku chłopaków grało w piłkę. Dziewczyna odwróciła głowę i machnęła na mnie dłonią, pokazując, że bym ją wyprzedził.

Ulica zaczynała się zwężać; byliśmy już blisko jej ślepego końca. Kątem oka złowiłem kolejny znak: skręć w lewo. Uskoczyłem za jakieś stare drzwi, daleko od ulicy. Dziewczyna zrównała się ze mną. Potoczyła wzrokiem dookoła.

Było pusto. Musiałem coś powiedzieć.

- *Habibatil* To ty, prawda? Jak się czujesz? Gdzie się podziewa-łaś?

Stała bez ruchu, rozglądając się tylko.

- Fiore, bardzo za tobą tęskniłem - wyszeptalem. - Chcę tylko raz cię dotknąć, przez jedną chwilę. Wystarczy, że na mnie wpadniesz, kiedy będziesz mnie mijać, niby przypadkiem, przez pomyłkę. Jesteśmy ludźmi, a pomyłka to ludzka rzecz. Chcę poczuć twój zapach, dotknąć cię. Chcę usłyszeć twój głos. Chcę wiedzieć, że jesteś prawdziwa.

Dziewczyna przysunęła się bliżej.

- Dalej jesteś smutna?

Nagle, bez ostrzeżenia, zostawiła mnie w tych drzwiach, wychodząc na ulicę.

- Dlaczego nic mi nie wyjaśniłaś? - Podniosłem głos. - Wystarczyłby jeden list.

Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, niknąc wśród cieni zalegających w zaułku. Stałem bez ruchu, odprowadzając ją wzrokiem. Nie mogłem nawet drgnąć. U moich stóp leżała zmięta kartka papieru.

Pochyliłem się, podniosłem ją, rozłożyłem.

A potem ukryłem twarz w dłoniach, a z oczu pociekły mi łzy.

H abibi,

W zeszłym roku nauczycielka literatury arabskiej poprosiła nas, abyśmy spisały historię swojego życia. Na pięć stron. Napisałam tak: „Rodzina mojego ojca pochodzi z Erytrei, a w Arabii Saudyjskiej mieszka od dwóch pokoleń. Rodzina mojej matki pochodzi z Egiptu i mieszka tutaj od pięciu pokoleń”.

Nauczycielka wezwała mnie do siebie.

- Moja droga - powiedziała - jesteś naszą najlepszą uczennicą. Spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Miało być pięć stron, a nie dwadzieścia słów. Może coś ci dolega?

- Wszystko w porządku - odparłam - ale tak właśnie wygląda historia mojego życia. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała nauczycielka.

- Nie spiszę historii swojego życia, dopóki nie zacznę żyć na własną rękę - odpowiedziałam.

Tego dnia, kiedy zebrałam się wreszcie na odwagę, aby podejść do Ciebie, poczułam właśnie to: biorę życie we własne ręce. Ale zanim jeszcze ten dzień dobiegł końca, wszystko nagle zaczęło walić się w gruzy. Ojciec przyprowadził do domu swojego znajomego; zostałam mu przedstawiona jako jego przyszła żona. O tym, co się działo później, długo by opowiadać. Od dnia, kiedy posłałam Ci ostatni Ust w torbie imama, toczę nieustającą walkę z ojcem, broniąc się jak tylko mogę przed tym ukartowanym małżeństwem. Przez ostatnich kilka tygodni non stop się głodzę i na wszelkie sposoby staram się uprzykrzać ojcu życie. W obecności mojego narzuc-

nego narzeczonego i jego rodziny specjalnie zachowuję się tak, jak nie przystoi układowej kobiecie; chcę, żeby się mnie bali. Opowiadam im, że mam duże ambicje, chcę iść na uniwersytet, pracować i sama zarabiać na siebie. Ojciec chodzi wściekły, ale chyba wygrywam. Przysięgam Ci, że nigdy żaden mężczyzna mnie nie dotknie - tylko Ty. Ślubowałam to już dawno temu i zapewniam Cię, że nie jestem z tych, które łamią dane słowo. I chcę być blisko Ciebie. Sprawy zaszły tak daleko, że nie ma już dla mnie odwrotu, a kolejny krok na tej drodze Ty musisz zrobić razem ze mną. Jestem gotowa poznać następstwa miłości. A Ty?

Cześć dziewiata

Następstwa miłości

Habibi, bądź ubrany w kompletny tradycyjny strój saudyjski. Spotkamy się w galerii handlowej w śródmieściu, przy fontannie na parterze. Stamtąd, udając męża i żonę, wyruszymy do Twojego dyskretnego miejsca. Wiesz, mam nadzieję, jak ma się zachowywać para małżeńska na ulicy. Nie wolno nam popełnić ani jednego błędu. Najmniejsze potknięcie oznacza koniec wszystkiego. Tak więc pozwolę sobie przypomnieć: zawsze idziesz około metra przede mną. Nie próbuj mnie dotknąć, nawet o tym nie myśl. Bądź spokojny, pewny siebie i miej w dłoni islamski różaniec. Ja przyjdę w moich różowych butach. Wybacz mi, że piszę drżącą ręką.

Wysiadłem z autobusu na ostatnim przystanku, pięć minut drogi od galerii handlowej.

Było to wczesnym wieczorem. Wiał lekki wiatr. Przede mną, w oddali, majaczyła gigantyczna bryła centrum handlowego, ustrojona długimi łańcuchami rozmigotanych żarówek. Jeźdźnią ciągnął sznur samochodów sunących zderzak w zderzak. Ponieważ po mojej stronie auta akurat stały, wskoczyłem pomiędzy dwa białe mercedesy, ale w tym momencie ożył ruch w przeciwną stronę; zobaczyłem, że pędzi na mnie jakiś dziup. Cofnąłem się odruchowo, potrącając przechodnia idącego za mną.

- Nic nie szkodzi, synu - mruknął facet, poprawiając na głowie przekrzywiony *ikal*.

Za drugim razem udało mi się przejść przez ulicę.

Na placu Kar, choć starałem się nie patrzeć, oczy same uciekały w kierunku miejsca wyłożonego lśniącymi płytkami, tam, gdzie odby-

wały się egzekucje. Przypomniałem sobie, co kiedyś opowiadał mi Madżid, kumpel ze szkoły, Saudyjczyk. Podszedł do nas przed lekcjami i zniżając głos do szeptu, zaproponował, że może opowiedzieć o Abu Fajsalu i niewinnym skazańcu. Na przerwie obiadowej otoczyliśmy go wszyscy, nie wyłączając samego Fajśala. Madżid ostrzegł go, że to, co ma do powiedzenia, źle świadczy o jego ojcu. Fajśal uspokoił go i tak dowiedzieliśmy się, że w ostatni piątek Madżid razem z grupą swoich znajomych widział, jak ich sąsiad, z pochodzenia Pakistańczyk, oddaje katu głowę za morderstwo, którego nie popełnił. Podobno kiedy Abu Faj sal wykonał wyrok, a strażnicy wzięli z j ego rąk miecz, krew ściekaj ąca z ostrza wypisała na białych płytkach dwa słowa: *Jestem niewinny*. Na ten widok brat Madżida i wszyscy znajomi zaczęli krzyczeć: „Patrzcie! Ten człowiek jest niewinny!”, a zgromadzony tłum wybuchł wielką wrzawą: „yAllahuAkbar\AllahuAkbar\”. Madżid, jego brat i wszyscy ich kumple z tej samej ulicy, aby upamiętnić to, co zobaczyli, od tej pory zaczęli mówić, że mieszkają na Ulicy Niewinnego.

Taką historię opowiedział nam Madżid, a ja znalazłem potem w jakimś kącie Fajśala, całego we łzach. Płakał, bo jego ojciec zabił niewinnego człowieka. Przeplakał całą przerwę i nie przestał nawet wtedy, gdy zaczęła się już lekcja. Miał szczęście, że trafiło akurat na literaturę arabską, bo nauczyciel tego przedmiotu był najfajniejszy w całej szkole. Kiedy mu wyjaśniliśmy, dlaczego Fajśal płacze i nie może przestać, wziął go za rękę i powiedział: to bardzo dobrze, że jesteś innym człowiekiem niż twój ojciec.

Maszerowałem przed siebie, nie zatrzymując się, aż dotarłem do galerii handlowej. Wszedłem do środka. Wszystko tam lśniło. Światło odbite od złota wystawionego w witrynach jubilerskich sklepów kładło się jaskrawym poblaskiem na ścianach i podłodze korytarza. Zewsząd bił też gwar zmieszanych głosów, choć w środku było znacznie mniej ludzi niż na zewnątrz.

Zatrzymałem się przy fontannie w centralnym punkcie galerii, usiadłem i zacząłem czekać.

Zauważywszy zbliżającą się do mnie kobietę, zerwałem się natychmiast, tylko po to, żeby równie szybko usiąść: ona szła za jakimś mężczyzną w saubie, ale bez chusty na głowie. Czekałem dalej, obserwując

chłopaków trzymających się za ręce; spacerowali roześmiani, żując gumę, otoczeni aurą pewności siebie.

Mężczyźni i kobiety pojawiali się, szybko znikając mi z oczu. Po mojej lewej stronie stała jakaś kobieta, po prawej - druga, a ja tylko zastanawiałem się gorączkowo, która z nich to Fiore.

W galerii było mnóstwo luster. W miarę jak korytarze wypełniały się tłumem, czarnych abaj przybywało, a każda miała dodatkowo swoje odbicie.

Po pewnym czasie zjawiała się jakaś kobieta i usiadła obok mnie, przy fontannie. Krople potu wystąpiły mi na czoło. Nie mogłem ani drgnąć. Palce przykleiły mi się do paciorków różańca. Już chciałem odwrócić do niej głowę, ale zawahałem się nagle. Czy to ona powinna wykonać pierwszy ruch? A może to ja? Nie mogłem sobie przypomnieć. W tej chwili jednak ze sklepu naprzeciwko wyszedł jakiś mężczyzna i zaczął mi wymyślać:

- A ty co sobie wyobrażasz? Siedzisz obok mojej żony! Wstydu nie masz? Nie nauczyli cię, że trzeba wstać, kiedy kobieta usiądzie obok ciebie? Odejdź stąd i niech Allah skieruje twe kroki na swą prostą ścieżkę.

Wstałem i odszedłem, zatrzymując się przed witryną salonu jubilerskiego. Po chwili zerknąłem przez ramię, sprawdzając, czy przy fontannie nie zrobiło się już może nieco luźniej. Nic z tych rzeczy. Wróciłem do oglądania złotych kolia i diamentowych kolczyków na wystawie, ale nagle złowiłem w szybie odbicie patrolu policji religijnej: dwaj mężczyźni szli pierś w pierś, z rękoma założonymi za plecy. Każdy z nich niósł pod pachą kij i automatycznym ruchem obracał głowę na boki, wodząc wzrokiem po ludziach.

Kiedy odwróciłem się od wystawy jubilera, na ławkach przy fontannie zwolniło się już kilka miejsc. Podeszedłem szybko, siadając tam, gdzie przedtem - twarzą do wejścia. I wtedy zobaczyłem różowe buty. Fiore szła swobodnym krokiem, powoli, tak powoli, że aż zaczęło mi się wydawać, że każdy jej krok, zamiast zbliżać, oddala nas od siebie. Obrzuciłem ją długim spojrzeniem, od stóp aż po czubek głowy. Po raz pierwszy poczułem wtedy, że to naprawdę moja dziewczyna, a ja naprawdę jestem jej chłopakiem.

- *Ja Allah* - szepnąłem, kiedy usiadła przy mnie, z prawej strony.

Ale nie mogłem się odwrócić i spojrzeć na nią. Oczy, utkwione uparcie w jakimś odległym punkcie na wprost przede mną, nie chciały mnie posłuchać.

- Naser?

Nie, pomyślałem, to nieprawda. Wydawało ci się tylko, że to usłyszałeś.

- Naser?

Przeżyłem w tym kraju dziesięć lat - i za nic nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszałem swoje imię wypowiedziane przez kobietę. Głos Fiore był łagodny i niski, każda sylaba brzmiała w jej ustach niezwykle wyraźnie i melodyjnie.

- *Habibi*, proszę, uspokój się. To ja. Musisz się skupić. Cisza.

- Naser, *habibi*, przestań się trząść. Przyszłam. Jestem tam, gdzie chcę być. Tam, gdzie ty chcesz mnie mieć. Przy twoim boku.

Odetchnęła głęboko. Słyszałem, jak wciąga powietrze, a potem wypuszcza je z płuc; poczułem na twarzy jej oddech i natychmiast, chcąc go zatrzymać, sam nabrałem powietrza, tyle, ile tylko mogłem.

- Naser, otrzyj twarz, bo ktoś cię zauważy i to wszystko się skończy, jeszcze zanim się zaczęło.

Na moich kolanach wylądowała chusteczka.

- *Habibi*, pospiesz się, proszę. Chcę być z tobą zawsze, nie przez kilka sekund. Otrzyj pot z twarzy. *Jalla*, pospiesz się.

Wziąłem chusteczkę w palce; po raz pierwszy poczułem wtedy zapach Fiore.

- *Habibi* - powtórzyła, a potem znów, już mniej cierpliwie: - *Habibi*.

Złożyłem chusteczkę, chowając ją do kieszeni. Twarz otarłem rękawem saubu.

- Posłuchaj mnie, *habibi*: nic nam się nie stanie, jeśli tylko się uspokoisz. Chodźmy, kochany. Nie zapomnij, że musimy udawać małżeństwo.

Dalej siedziałem sztywno jak kołek. Fiore szybkim ruchem wyciągnęła dłoń i uszczypnęła mnie w udo.

- Widzisz? Jestem prawdziwa. Teraz wstawaj i chodźmy. Na którym przystanku wsiadamy do autobusu?

Podniosłem się z ławki, ale ona nie ruszyła się z miejsca. Usiadłem z powrotem.

- Co ty robisz? - syknęła.

- Czekam na ciebie.

- Najmilszy, jeszcze tego nie wiesz? Tutaj jest pełno policji religijnej, więc muszę iść za tobą. Uważasz, że mnie się to podoba? Obok siebie będziemy mogli spacerować dopiero na Corniche. Idź, idź już, a ja pójdę za tobą.

Otwierając drzwi wyjściowe, wpadłem na kolejny dwuosobowy patrol policji religijnej. Ustąpiłem im z drogi.

Szedłem kilka metrów przed Fiore. Dwukrotnie obejrzałem się przez ramię, ale ona za każdym razem machała rozpaczliwie dłonią, aż w końcu dotarło do mnie, że nie powinienem tego robić. Przeszliśmy przez plac Kar. Dalej znajdował się szereg sklepów sportowych; wpadliśmy tam w gromadę młodych mężczyzn, za którymi podążał równie liczny tłumek czarno odzianych kobiet. Fiore zgubiła mi się pomiędzy nimi w jednej chwili. Spuściłem głowę, wypatrując różowych butów. Znalazłem.

Tak dotarliśmy na przystanek. Ja poszedłem na czoło kolejki, Fiore została w tyle. Kilka minut później przyjechał autobus. Wsiadłem do części dla mężczyzn, ona zniknęła w drzwiach dla kobiet.

Wybrałem sobie miejsce jak najbliżej przegrody szczelnie oddzielającej obie części pojazdu. Zajrzawszy przez małe okienko, zobaczyłem tam cztery stojące kobiety; niestety nie mogłem dojrzeć ich butów. Opadłem z powrotem na siedzenie i przykryłem twarz chusteczką, którą dostałem od Fiore.

Jak to możliwe, że życie nagle nabrało tak niezwykłego piękna? Miałem teraz Fiore tuż obok siebie. Kroczyła przede mną, zdobiąc dziddyjską promenadę szlaczkiem różowych śladów.

- Gdy kobieta idzie - powiedział raz nasz obozowy poeta w Sudanie - cała ziemia kroczy wraz z nią.

Dopiero tego dnia zrozumiałem, co miał wtedy na myśli. Kiedy zabrakło Fiore, poczułem się tak, jakby kula ziemską nagle zniknęła, jakbym zawisł w pustce pozbawionej grawitacji. Obserwowałem każdy jej krok, żeby potem postawić stopę dokładnie na tym samym kamieniu co ona.

Corniche kipiała życiem. Minęliśmy wesołe miasteczko, które, podobnie jak autobus, miało osobno wydzielone części dla mężczyzn i dla kobiet. Wszędzie było pełno piknikowych stolików, biegających dzieci, a na skraju chodnika, tuż obok długiej ławki, siedziała kręgiem na ziemi grupa karciarzy. Zszedłem po schodkach prowadzących na plażę. Na dole musiałem cofnąć się nieco, żeby przepuścić chłopca na kucyku, który przemknął obok mnie. Fiore dopiero teraz dotarła do zejścia. Minęły nas trzy wielbłądy niosące na grzbietach dzieci.

Kiedy dotarliśmy do mojej skały, zaczęło już robić się ciemno. Nie mogliśmy tam jednak usiąść, bo to wyglądałoby stanowczo zbyt podejrzanie. Fiore zatrzymała się i rozejrzała błyskawicznie, po czym wspięła się z powrotem po schodkach na poziom chodnika.

Ja zostałem nieco z tyłu. Omiotłem spojrzeniem horyzont, posyłając całusa mojej matce, a potem ruszyłem za Fiore.

Na górze obejrzałem się najpierw w jedną stronę, potem w drugą i dopiero wtedy dostrzegłem różowe buty. Fiore siedziała na ławce, całkiem

sama. Ruszyłem do niej, lecz nagle przystanąłem. Inna ławka, ta, na której zawsze siadał śpiewak z lutnią *oud*, była pusta. Przyklęknąłem obok niej, kładąc dłoń na drewnianych żerdkach, łudząc się, że może będą jeszcze ciepłe. Spojrzawszy w stronę morza, szepnąłem, wylewając ciche łzy:

- Drogi śpiewaku, przyszedłem tutaj z moją ukochaną. Będzie mi cię brakowało, ale mam nadzieję, że twoje serce nigdy nie przestanie bić, nawet jeśli spoczywasz już na kolorowym łożu dna morskiego, głęboko pod falami.

Habibi, spójrz: siedzimy sobie razem, jak stare małżeństwo. Szkoda tylko, że nie mogę wziąć cię w ramiona.

Urwała. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Fiore zapytała:

- Powiedz mi, najdroższy, dlaczego właściwie zakochałeś się we mnie? Z mojej strony to była miłość od pierwszego wejrzenia, ale dziwię się, że ty też odpowiedziałeś takim samym uczuciem.

Milczałem, przeżywając zderzenie z rzeczywistością, jakby to wszystko, co wydarzyło się do tej pory, było tylko snem. Siedziałem obok... kobiety. Kiedy skończyła zadawać swoje pytanie i między nami zapadła cisza, jej cichy, miękki głos dalej rozbrzmiewał cudownym echem w moich uszach.

Wybiegłem wzrokiem w morze. Fale przemawiały rozkołysanymi głosami, zupełnie jakby śpiewały; ich pieśń przerywało wycie grzywaczy załamujących się jeden na drugim. Na latarni stojącej przed nami przysiadł kos, rozkładając skrzydła, podobny do samolotu gotowego do startu, do wzbicia się w niebo, ponad chmury.

Jeden z różowych butów Fiore dotknął mojego prawego sandała. Zsunąłem go i zamknąwszy oczy, bosą stopą musnąłem miękko, wyprawioną cholewkę, jakbym obsypywał ją pocałunkami.

- Naser?

Nie doczekawszy się reakcji, przyzwała mnie znów:

- *Habibi!*

Tym razem odpowiedziałem:

- Słucham, kochanie.

- Proszę, powiedz mi, jak to się stało, że zakochałeś się we mnie, nie mogąc mnie zobaczyć?

Zapatrzywszy się w morze, które miałem przed oczami, wyobraziłem sobie, że mówię tak:

- Fiore, czytałem o miłości od pierwszego wejrzenia, takiej, którą masz teraz na myśli. Domyślam się, że rodzi ją spojrzenie w twarz ukochanej osoby, w jej oczy, zachwyt kształtem jej ciała, czułymi słowami usłyszanymi z jej ust. Wtedy serce decyduje: to jest to, kocham. Ale moja miłość jest inna. To miłość sprzed pierwszego wejrzenia. Czasami sam się zastanawiałem, dlaczego tak się dzieje, jak to możliwe, że krok po kroku zakochuję się w dziewczynie o nieznanym mi twarzy, głosie, z którą nigdy nie miałem okazji nawet iść pod ramię. W jaki sposób, pytałem się, prosty odręczny list tak zawładnął moimi myślami? Nie wiem przecież, bo nie mogę wiedzieć, czy ty, Fiore, jesteś piękna taką pięknnością, o jakiej czytałem w romansach z kontrabandy, czy masz tę urodę, na widok której serce krwawi z pragnienia, zanim usta zdążą znaleźć właściwe słowa, aby to pragnienie zdefiniować. Nie umiem powiedzieć, czy kształty twojego ciała, ukryte pod abają, są takie, że największy nawet malarz mógłby strawić całą wieczność, próbując je oddać swoją sztuką. A jeśli chodzi o twój głos, to z początku nie słyszałem od ciebie ani słowa, więc żadne nie mogło zapaść w moje myśli. To prawda: czasami wydawało mi się już, że jesteś złudzeniem, dziełem wygłodniałego serca, które zmusiło mnie, abym pokochał urojoną kobietę. Lecz kiedy tylko nachodziły mnie te wątpliwości, przeglądałem listy od ciebie, a przepiękne litery, które wyszły spod twojej ręki, dodawały mi odwagi.

Ale nie powiedziałem tego. Nie mogłem się zdecydować, czy to jest odpowiedni moment, żeby mówić o tym, co się kryje pod jej abają. Zacząłem więc inaczej: - Fiore, moja miłość do ciebie wyrosła na glebie, którą jest wiara. Taka sama wiara, jaką wyznawca okazuje swemu Stwórcy, jakiej prorocy żądają dla naszego Boga. Przecież kiedy prorok Mahomet przyniósł nam Koran, mogliśmy tylko wierzyć jego słowom. I uwierzyliśmy. Rzucaliś mi list za listem, a ja czytałem słowo po słowie - tak to już jest. Słowa, najdroższa, mają wielką moc. Odpowiedziałem na twoje wezwanie i zostałem twoim kochankiem.

Odwróciłem się, spoglądając na nią. Widziałem tylko zarys kobiety, cień spoczywający obok mnie na ławce. Wytężając słuch, mogłem złowić jej oddech.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Fiore?

- Słucham, *habibi*.

A po chwili powtórzyła jeszcze raz:

- Słucham, *habibi*.

- Zawsze robiłem to, o co prosiłaś. Podążałem za tobą jak wierny apostoł. Oddałem ci najcenniejszą rzecz, jaką posiada człowiek, który jest sam na tym świecie: powierzyłem ci swoje serce.

- *Habibi*, przysięgam, że spełnię wszystko, o co mnie poprosisz, bezwarunkowo - odparła.

- Chcę zobaczyć twoją twarz.

- Tutaj?

- Nie. Tutaj jest za dużo ludzi. Słyszałem o miejscu, gdzie moglibyśmy patrzeć na siebie, ile dusza zapragnie, i nikt by nam nie przeszkadzał.

- Gdzie to jest? Chyba za morzem - zadrwiła.

Chciałem zabrać ją w miejsce, o którym opowiedział mi Hilal. Był to jeden z wielu doskonale ukrytych, a odosobnionych zakątków, których Dżidda jest pełna. Podobnie jak w przypadku Pałacu Rozkoszy, nie sięgał tam wzrok ani ramię policji religijnej; można tam było bezkarnie zrobić każdą rzecz oficjalnie uznaną za *haram*. To miejsce znajdowało się na najdalszym krańcu długiej Corniche, już prawie za miastem. Nikt z miejscowych nigdy by się tam nie zapuścił.

- Nie, to jest tutaj, w tym mieście - zapewniłem Fiore. - Możesz wyrwać się z domu na całe popołudnie?

Jeszcze tego samego wieczoru wybrałem się do Hilala. Powiedziałem mu, że chcę zabrać Fiore na randkę w to odosobnione miejsce na drugim końcu Corniche, o którym mi opowiadał. Hilal zgodził się pomóc, ale kazał mi przysiąc, że nie wygamam się przed żadnym znajomym; gdyby ni stąd, ni zowąd miejscowi zaczęli tam jeździć, to na pewno władze zamknęłyby drogę.

Hilal miał sztywną nogę, więc nie mógł prowadzić samochodu, ale obiecał, że skontaktuje się z zaufanym przyjacielem: ulicznym handlarzem, który pracuje w okolicy Corniche.

- To on zawsze mnie tam wozi - wyjaśnił. - Mógłbym znaleźć mu lepszą pracę, ale on trzyma się ulicznego handlu, bo chce sam być sobie panem i pracować blisko Morza Czerwonego.

Następnego dnia polecony handlarz czekał już na nas. Stał obok wózka. Przywitałem się, a on odstawił wózek na bok i zaprowadził nas do swojej taksówki. Samochód był grubo pokryty kurzem. Handlarz przetarł przednią szybę gutrą i zaprosił nas do środka. Ja usiadłem obok niego, Fiore - z tyłu.

Długo jechaliśmy starą, wyboistą drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Aż trudno było uwierzyć, że to cały czas ta sama Dżidda. Po lewej stronie mieliśmy Morze Czerwone, po prawej ciągnęły się suche chaszczce i czasami tylko nad pustynią śmignął jakiś ptak. Dziury w jezdni były pełne piasku nawianego przez wiatr, spiętrzonego w miniaturowe diuny.

Po jakimś czasie nasz kierowca skręcił na drogę, która okazała się w jeszcze gorszym stanie. Samochód zaczął podskakiwać, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Nagle wpadliśmy prosto w jakąś dziurę, a od strony podwozia dobiegł nas przeraźliwy zgrzyt. Kierowca zatrzymał wóz i wysiadł, mamrocząc pod nosem modlitwę do Allaha. Zamknąłem oczy, odetchnąłem głęboko i otworzyłem je z powrotem. Chmura kurzu, w której staliśmy, opadła. Zerknąłem w lusterko; Fiore patrzyła na mnie, ale widać było tylko trójkątne wybrzuszenie na tkaninie zakrywającego twarz kwefu - zarys długiego nosa.

Staliśmy tak przez długi czas. Wreszcie kierowca wrócił za kółko i ruszył dalej, starannie unikając wybojów i dziur ogromnych jak kraterzy na Księżycu. I w sumie równie dobrze ta droga mogłaby się znajdować właśnie tam - bo ze świecą by szukać w Dżiddzie człowieka, który mógłby pojechać naszym śladem.

Znajomy Hilala szarpnął za drążek zmiany biegów, walcząc z zaciętą przekładnią. Samochód zwolnił, ale już po chwili znów zaczął nabierać

\

prędkości. Minęliśmy dwupiętrową letnią willę. Stał przed nią zaparkowany land rover, a kiedy przejeżdżaliśmy, na balkonie pojawiła się cudzoziemka o białej skórze, ubrana w bikini i z biodrami owiniętymi ręcznikiem. Na drodze przed rezydencją grupka białych dzieci - dwie dziewczynki i jeden chłopiec - biegała za piłką. Kierowca zatrąbił, po czym opuścił okno i podziękował im skinieniem dłoni, patrząc przy tym prosto przed siebie. Odwróciłem głowę, zerkając na Fiore: ona też patrzyła tylko przed siebie.

Po lewej stronie dostrzegłem młodą kobietę, która właśnie podnosiła się z ręcznika rozłożonego na ziemi. Czarnoskóry mężczyzna w kusych kąpielówkach pomagał jej wstać. Kobieta pochyliła się, otrzepała uda i łydki z piasku, po czym oboje pobiegli w kierunku morza.

Nasz samochód zwolnił. Kierowca znów zatrąbił: tym razem minęły nas trzy dziewczyny w kostiumach kąpielowych i okularach przeciwsłonecznych. Znajomy Hilala zahamował, po czym spojrział na mnie, uśmiechając się szeroko. Byliśmy na miejscu.

Przed maską wyrastał długi, zdewastowany płot z desek, jednym końcem sięgający morskiego brzegu, a drugim - niedużego drewnianego domku widocznego w oddali.

- Wrócę po was wieczorem - powiedział nasz kierowca.

Skinąłem mu głowę, odwracając się do Fiore, która zdążyła już wyskoczyć z samochodu i popędzić w kierunku zrujnowanego płotu, na którym wisiała tablica z napisem WSTĘP TYLKO DLA LUDZI Z ZACHODU. Pobiegłem za nią.

Przystanąła na chwilę, żeby zebrać poły swojej długiej abai; uniósłszy je powyżej kolan, rzuciła się dalej przed siebie, w stronę linii przybo-ju, gdzie fale dotykały białego piasku. Nad samą wodą potknęła się i upadła na kolana.

Zatrzymałem się, żeby na nią popatrzeć.

Przez chwilę klęczała w wodzie, z twarzą zwróconą w stronę morza. Potem wstała i zdjęła buty, układając je porządnie na piasku, z dala od fal chlaszczących brzeg.

W oddali dostrzegłem, jak jakiś biały mężczyzna w kąpielówkach wskakuje do wody. Na ten widok jego towarzyszka, odziana w żółte bikini, klasnęła w dłonie i pobiegła za nim, rzucając się w szeroko otwartą paszczę morza.

\

Fiore, wciąż odwrócona do mnie plecami, ściągnęła z głowy swój kwef. Wstrzymałem oddech. Wyjęła z włosów srebrną spinkę, potrząsnęła głową; jej grube, czarne loki rozsypały się na plecach i ramionach. Drgnąłem, ruszając chwiejnym krokiem w jej kierunku.

Fiore wstała, zdejmując drugą część abai.

Stałem jak wryty. Z mojej piersi, rozrywanej galopującym sercem, wydarło się ciężkie westchnienie.

- *Ja Allah*, o wielki Stwórco - wymamrotałem.

Fiore była ubrana w sukienkę z różowego lnu. Sukienka miała krótkie rękawy i ledwie sięgała jej kolan. Dopasowana w torsie, od pasa opadała luźno rozkloszowana, nie maskując jednak bynajmniej obłych zarysów bioder. To była najcudowniejsza sukienka, jaką w życiu widziałem, a wyobraźnia podpowiadała mi, że pod spodem kryje się najwspanialsze ciało na świecie.

Dziewczyna odwróciła się, stając twarzą do mnie.

Ja Allah, o, wielki Stwórco. Ja Allah, o wielki Stwórco. Wciąż dzieliło nas kilka metrów. Fiore powoli zapadała się pod wodę, mnie wciągał suchy piach. Bujne, czarne sploty jej długich włosów łopotały na wietrze.

- Fiore - wyszeptałem.

Delikatnym ruchem dotknęła mojej twarzy, suchych warg. Otarła mi palcem łyzy z policzków i zwilżyła nimi moje usta.

- *Habibi*, nareszcie jestem przy tobie, dla ciebie. Nie pozwól, aby łyzy odebrały ci wzrok. Nie płacz. Patrz na mnie. Teraz twoja kolej.

Najpierw musiałem pokonać wszystkie przeszkody, które broniły mi dostępu do niej: oślepiający blask słońca, mokry piach oraz wiatr, który tarł jej włosy, zasłaniając twarz.

Rozłożyłem jej welon na plaży i usiedliśmy na nim razem. Ustawiłem się tak, żeby osłonić ją przed słońcem, a potem ostrożnie odgarnąłem jej włosy z twarzy, zbierając je powoli, po jednym kosmyku. Wtedy mogłem ją wreszcie zobaczyć tak, jak należy.

Po raz pierwszy w życiu otworzyłem oczy na piękno tego świata.

Nie miała na twarzy ani śladu makijażu, bo, jak sama mówiła, chciała mi się pokazać taką, jaka jest, bez dodatkowej charakterystyki. „Bez kwefu i bez makijażu”, zaśmiała się nerwowo. Jej skóra była ciemna, ale jaśniejsza niż moja. Jedno oko odrobinę mniejsze od drugiego. Nos zarysowany zgrabnym łukiem. Usta miała lekko rozchylone - pod ciężarem pełnej dolnej wargi - ale nie uroniła ani słowa.

\

Zapraǳnłem przywoac na t twarz umiech, wic zrobiem tak min, jakbym upi si jej urod: idiotycznie wykrzywiajc gb, zakoysaem bezwadnie gow i pooyem j na jej kolanach. Po chwili spojrzem w gor. Udao si: pene usta zakwity szerokim, sowitym, przepiknym umiechem.

Jej sukienk zamyka od przodu dugi szereg guzikw obcignitych tym samym rozowym lnem. Pierwsze trzy byy odpite, a pomidzy poami tkaniny ciemnia pas delikatnej skory nacignitej koci obojczyka. Musnaem palcami kolejne trzy, odsaniajc biay, baweniany stanik. Moja don powdrowaa dalej, za kadym rozpitym guzikiem spoczywajc na nagiej skorce. Naliczyem sto takich drobnych kroczkw - od pepka po podbrodek. Przytrzymujc sukienk, eby nie rozsunaa si do konca, uoyem gow na piersi Fiore. Jej wosy, przerzucone przez rami, leay tu przy mojej twarzy. Otulia mnie ramionami, splatajc nogi z moimi.

- Fiore?

- Sucham, *habibi*.

- Pamitasz, jak mi opowiadaas o moim portrecie, który nosisz za stanikiem?

- Pamitam.

- Chyba ju czas, ebym zaja jego miejsce.

Kiedy nabraa powietrza, jej piersi uniosy si do samego nieba, a ich dotyk by jak łagoda morskich fal: musny moj twarz i opady z powrotem. Fiore odetchna jeszcze raz, głebiej, i znw jej pier zafalowaa, unoszc moj gow niczym łodk koysan przyplywem. Zajaem miejsce tamtego niezbornego rysunku, kadc na łou jej bujnych krągoci swoj wasną twarz.

Leelimy tak caymi godzinami.

Zanim zaszo sonce, a morze zmienio kolor, zanim turyci z Zachodu odjechali swoimi land roverami i jeszcze zanim powroci uliczny handlarz, aby zabra nas z powrotem do An-Nuzli, Fiore wstaa, proszc mnie, ebym poszed za ni.

Wciagnaem głęboko powietrze, sycc si odurzajc woni jasminu, któr roztaaczaa woko siebie. Sza, rozrzucajc stopami sypki piasek. Tak

dotarliśmy pod stromą wydnię, skąd roztaczała się szeroka panorama morskiej gładzi. Fiore zaczęła się wspinać. Ruszyłem za nią, posapując z wysiłku. Na szczycie zwróciła twarz w stronę morza.

Powiał wiatr. Grube czarne loki na jej głowie poderwały się ku niebu, niczym tysiąc tancerek brzucha kołysanych niespiesznym rytmem.

Wtedy odwróciła się do mnie. Zapadliśmy się w chrzęstliwym piasku, nasze dłonie przywarły do siebie, na jej ustach rozbłysnął uśmiech. A kiedy wiatr smagnął wierzch wydmy, obsypując nam głowy piaszczystą ulewą, wznieśliśmy ręce, wykrzykując słowa powtarzane echem w ustach drugiej osoby:

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Nadszedł już czas, żeby przyjaciel Hilala zawiózł nas z powrotem do An-Nuzli. Fiore zabrała się do wkładania swojej abai, ale powstrzymałem ją, prosząc:

- Zaczekaj jeszcze chwilę. Kierowcy na razie nie widać.

Wciąż staliśmy nad brzegiem morza, patrząc sobie w oczy i nie ważąc się ich zamykać choćby po to, żeby mrugnąć. Wyznałem Fiore, że chciałbym już codziennie kłaść głowę na jej piersi - i oby jak najmniej było takich dni, kiedy nie będę mógł tego zrobić. Mój portrecik podarliśmy na kawałki. I wtedy ona powiedziała:

- Naser, mam pewien plan.

- *Habibi*, kiedy zobaczyłam cię po raz drugi w życiu - to było na ulicy An-Nuzla - szłam właśnie do koleżanki, która mieszka w An-Nuzli-asz-Szarkijja. Byłeś w džinsach i białej koszulce. Przyznaję, że obejrzałam się za tobą z uśmiechem, ale bynajmniej nie dlatego, że miałaś szerokie bary. Uśmiechnęłam się, widząc twoje delikatne rysy. Podziało to na mnie w ułamku sekundy. - Urwała. Staliśmy zwróceni do morza, trzymając się za ręce.

- Powiedz mi, Fiore, jaki masz plan?

- Chcę cię przyjąć u siebie w domu. Chcę, żebyś był w moim pokoju i żeby nikt nam nie przeszkadzał, tak jak nie przeszkadza się kochankom. A plan jest taki: przebierzesz się za kobietę, a ja zaprowadzę cię do swojego bloku. Będiesz udawał moją najlepszą przyjaciółkę

ze szkoły, która przyszła się ze mną pouczyć. Potrzebna ci abaja, długie rękawiczki i kwef na twarz. O resztę sama zadbam.

- *JaAllah*, jesteś szalona. A twój ojciec?

- Spotkamy się w kobiecych pokojach. Ostatecznie to był jego własny pomysł, żeby odgrodzić litą ścianą obie części mieszkania. A o moją mamę się nie martw. Zrozumie. Ona wciąż wierzy w miłość.

Kiedy zasłaniała twarz kwefem, odwróciłem się, wybiegając wzrokiem daleko w morze. Chwilę później objęła mnie, przytulając twarz do moich pleców.

- Nie smuć się, Naser - poprosiła. - Niedługo znów mnie zobaczysz. W porządku?

Odwróciłem się z powrotem i chociaż dziwnie jest całować kobietę w abai, przycisnąłem usta do jej ust zakrytych czarną tkaniną.

- W porządku - powiedziałem. - Naszego kierowcy już tylko patrzeć.

Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, przeszedłem się po sklepach w pobliżu ronda na ulicy An-Nuzla i sprawiłem sobie czarną szatę, długi szal, kwef, czarne rękawiczki, podkolanówki i czarne półbuty.

A wychodząc ze sklepu z obuwem, wpadłem na Basila, który stał nieruchomy i milczący jak posąg, przyglądając się temu kramowi, który niosłem ze sobą w licznych torbach.

Serce zamarło mi w piersi.

Cofnąłem się o krok, niemalże upuszczając zakupy na ziemię. Szybko jednak odzyskałem panowanie nad sobą. Musiałem zachowywać się naturalnie. Ostatnią rzeczą, o jakiej w tej chwili marzyłem, było to, żeby Basil, uśmiechnięty po swojemu, zawiózł mnie i Fiore czarnym dżipem na plac Kar.

Przyglądaliśmy się sobie w milczeniu.

Żeby wrócić do domu, musiałem go minąć. Kiedy przechodziłem obok niego, chwycił mnie za ramię i nawet nie patrząc w moim kierunku, zapytał:

- A cóż to kombinujesz, Naser, mój drogi? Żałuję, że mu odpowiedziałem, ale stało się:

- Nie przemęczaj się knuciem, jak tu się na mnie odegrać. Daj sobie spokój i przestań się mnie czepiać. Nie wrócę do meczetu twojego imama.

Puścił mnie i odwrócił się powoli.

- Jeszcze zobaczymy - prychnął szyderczo.

Wróciłem do domu, w kółko rozmyślając o spotkaniu z Basilem. Nie mogłem przestać. „Co on teraz zrobi?“, głowiłem się gorączkowo. „Czy widział, co mam w torbie? Nie. Na pewno nie“.

Przywołałem wtedy z pamięci te same słowa, które kiedyś pomogły mi pokonać strach i przyjąć miłość, którą wyznała mi Fiore: życie jest krótkie. Jeśli nawet spotka mnie teraz coś złego, to cieszę się, że przynajmniej poznałem smak miłości.

Wyciągnąłem się na łóżku, z nerwową niecierpliwością wyczekując jutra, które miało mi przynieść spotkanie z najpiękniejszym kwiatem na całej ziemi.

Był czwartkowy poranek, mniej więcej w połowie listopada. Upły-
nęły już prawie cztery miesiące od dnia, gdy pierwszy list od Fiore
pojawił się w moim życiu. Siedziałem na łóżku; obok mnie leżał roz-
łożony kobiecy kwef.

Poprzedniego dnia, kiedy znów wybraliśmy się na Corniche, Fiore
pokazała mi, jak się go wkłada. Ale kiedy stanąłem przed lustrem,
odczułem bardzo wyraźnie brak jej pomocnych dłoni. Z czarną szatą
poradziłem sobie bez trudu, bo była podobna do męskiej peleryny ze
złotym obszyciem, którą zarzuca się na saub. Problemy zaczęły się
dopiero przy wkładaniu hidżabu, czyli właśnie kwefu. Upinanie
warstw materiału za pomocą agrafek, tak żeby trzymały się tuż nad
uszami -to była ciężka walka. Potrzebowałem więcej praktyki.
Ciekawe, pomyślałem, co się stanie, jeśli coś się rozepnie na ulicy.
Pociągnąłem hidżab z drugiej strony, chcąc sprawdzić, czy wszystko
trzyma się na miejscu. Na razie wydawało się, że jest w porządku.

Wciągnąłem podkolanówki, zawiązałem praktyczne czarne półbuty
na płaskim obcasie, a na dłonie włożyłem rękawiczki. Wreszcie przy-
piąłem fragment kwefu zasłaniający twarz. W pierwszej chwili zaczęło
brakować mi tlenu. Przy każdym wdechu tkanina oblepiała mi nos,
blokując dopływ powietrza. Jeśli nie chciałem się udusić, trzeba było
oddychać lżej i wolniej. I proszę: od razu lepiej.

Przejrzałem się w lustrze. Naser zniknął już całkowicie; nawet
nogawki się schowały. Poprzedniego dnia, przed samym powrotem z
Corniche, Fiore powiedziała mi tak:

- Naser, wychowałeś się wśród kobiet. Słyszałeś, jak mówią, i jestem

pewna, że nie zapomniałeś, jak się poruszają i jak się ubierają. *Habibi*, w takim przebraniu bardzo łatwo wziąć cię za prawdziwą dziewczynę.

Z tym że kobiety ze Wzgórza Kochanków, pomyślałem, patrząc w lustro, wyglądały zupełnie inaczej.

Wyrzależem przez wizjer na korytarz, sprawdzając, czy nikogo tam nie ma. Zgodnie z umową, wyszedłem z domu o drugiej po południu, w kompletnej burce. Tego dnia miałem znaleźć się w domu Fiore. Ulica była pusta. Przypomniałem sobie, ile razy siedziałem pod swoją palmą, oglądając czarno-biały film przesuwający przede mną swoje kadry. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że pewnego dnia sam pojawię się w roli jednego z tajemniczych kobiecych cieni. „Jakie to dziwne”, myślałem, idąc ulicą An-Nuzla, „że jestem teraz w świecie kobiet, a jeszcze godzinę temu byłem w świecie mężczyzn”. Wychodziło na to, że mogę grać różne role, występować zarówno w bieli, jak i w czerni.

Przyspieszyłem kroku, dostrzegając przed sobą kobietę w różowych butach. Musiałem się powstrzymać, żeby nie rzucić się do niej biegiem; ogarnęło mnie rozpaczliwe pragnienie, żeby porwać ją w ramiona i zakręcić dookoła.

- To ja, Naser - powiedziałem, kiedy byliśmy już blisko siebie.

- Tęskniłam za tobą - odpowiedziała spokojnym tonem, odwracając się i biorąc mnie pod ramię.

- Nie cmokniesz mnie w policzek? - zażartowałem. - Nie uważasz, że wyglądam wypisz, wymaluj jak kobieta?

Połąskotałem ją. Zachichotała.

- Naser, przestań. Dostyc. Naser! - Już. - Cofnąłem rękę.

- Chodźmy - powiedziała.

Otworzyła drzwi wejściowe prowadzące do bloku.

Parter był klimatyzowany i przestronny. Wszędzie ciągnęły się rozległe lśniące powierzchnie. Naprzeciwko wejścia zainstalowano trzy windy. Ściany i podłogi wyłożone były pięknymi marokańskimi kafelkami.

- Dobrze się czujesz? - Fiore ścisnęła moją dłoń, gdy staliśmy, czekając na windę.

- Jak nigdy w życiu - odszepnąłem.

- Pojedziemy windą. - Słyszałem, że się uśmiecha. W drzwiach ukazała się mama z dwójką dzieci.

- *As-salamu alajkum* - pozdrowiła ją Fiore.

- *Wa alajkum as-salam* - odparła kobieta.

Weszliśmy do windy. Fiore nacisnęła guzik z numerem trzy. Potrząsnąłem głową.

- Z trzeciego piętra widzisz wszystko, co dzieje się tutaj, na dole? Roześmiała się głośno, stając przede mną. Położyłem dłonie w rękawiczkach na jej biodrach i przyciągnąłem ją do siebie.

- Tutaj mieszkamy. To jest wejście dla kobiet, a to - wskazała drugie drzwi, nieco dalej - dla mężczyzn. Tak zarządził mój ojciec, tego samego dnia, kiedy wyrzucił telewizor.

Nacisnęła klamkę. W moje nozdrza uderzył zapach kadzidła. Przed nami otworzył się długi korytarz.

- Chodź za mną - powiedziała Fiore.

W korytarzu nie było prawie nic - tylko syryjska waza stojąca na czarnym marmurowym stoliku i buty ustawione rządkiem pod jedną ścianą.

Przedpokój kończył się trzema schodkami prowadzącymi w dół, na coś w rodzaju łukowatego półpięterka.

- Tutaj jest mój pokój. - Fiore otworzyła białe drzwi. - Wejdz i poczekaj na mnie, *habibi* - poprosiła. - Muszę najpierw porozmawiać z mamą, ale za chwilę wrócę.

W jej pokoju poczułem ten sam zapach, co w mieszkaniach kobiet ze Wzgórza Kochanków: tak pachną ręczniki schnące na sznurze obok szafy, bielizna i ubrania wiszące na oparciu krzesła, skropione jaśminem. Najchętniej zdjąłbym z głowy kwef, ale bałem się, że mogą wejść jej rodzice.

Pokój był duży. Naprzeciwko drzwi, na samym środku ściany, stało biurko. W kącie po jego lewej stronie stał kolejny czarny stolik, a na nim kolejna dekoracyjna waza. Obok stolika, na podłodze - radiomagnetofon. Łóżko Fiore stało też po lewej stronie pokoju, w drugim kącie.

Na prawo od biurka zaczynała się biblioteczka; wysokie regały, sięgające niemalże do samego sufitu, biegły wzdłuż dwóch stycznych ścian, tworząc duże L. Wszystkie półki były pełne książek. Przejrzałem

szybko tytuły: sama literatura islamska. Podeszedłszy bliżej, poszperałem na jednej z górnych półek, wyjmując na chybił trafił książkę jakiegoś radykalnego szajcha z Rijadu. Po co Fiore coś takiego, zdziwiłem się w duchu. Tytuł brzmiał: „Rola muzułmańskiej kobiety we współczesnym społeczeństwie”. Ale przerzuciwszy kilka stron, musiałem się roześmiać. Zawartość książki w znaczący sposób odbiegała od tytułu i okładki. Znalazłem tam erotyczne rysunki; każdy z nich był opatrzony figuratywnymi objaśnieniami dotyczącymi techniki wykonania. Więc to stąd się wzięła ta jej biegłość w rysunku, pomyślałem, z szerokim uśmiechem odstawiając książkę na miejsce. Spryciara!

Szperając dalej po półkach, odkryłem wiele pozycji o przeróżnej tematyce: sztuka, kultura Afryki, historia Bliskiego Wschodu. Znalazłem tam też powieści Nawwal as-Sa'adawi, a na jednej z dolnych półek natknąłem się na książkę, o której opowiadał mi Dżasim, a której nigdy nie udało mi się przeczytać: „Dzieci Gabalawiego” Nadżiba Mahfuza. Dżasim mówił, że uznano ją za bluźnierczą, ponieważ rzekomo opisuje relację pomiędzy Bogiem a Jego prorokami, skutkiem czego trafiła na indeks ksiąg zakazanych.

Przypomniałem sobie, jak w jednym ze swoich listów Fiore opowiadała mi, że dostaje takie książki od swojej nauczycielki literatury arabskiej, która sama przemycza je do Arabii Saudyjskiej. „Dla niej to nic trudnego”, pisała, „bo zawsze podróżuje ze swoją przyjaciółką, która jest żoną jednego z książąt, a celnicy nigdy nie kontrolują członków rodziny królewskiej”.

Fiore wróciła, wciąż w abai i chuście, ale już bez kwefu zasłaniającego twarz.

Zamknęła za sobą drzwi i uniosła oczy, patrząc prosto na mnie. *Ja Allan*, pomyślałem. Udało się. Nareszcie jesteśmy sami.

- *Habibi*, dlaczego jeszcze tego nie zdjęłeś? Pozwól, pomogę ci.
-Poczułem na głowie jej roztrzęsione ręce. - Denerwuję się - dodała szeptem.

- Ja też - odszepnąłem.

Odkąd uwierzyłem, że to właśnie ta jedyna, rozmyślałem o niej tyle, że starczyłoby tych myśli na długie lata życia. Wyobrażałem sobie, jak dotykam jej na tysiąc sposobów. Samotne noce w swoim pokoju zappełnia-

niem marzeniami o tym, że leży naga w moich ramionach, a świat wiruje dookoła, rozkołysany jej obecnością. Ale teraz, kiedy ów sen się spełnił, oboje nas nagle przytłoczył ciężar tej długo wyczekiwanej chwili.

Lecz wszystkie obawy, w których nasze ciała uwięzły niczym pod lawiną lodowych brył, wkrótce stopniały w żarze pożądania.

Wyciągnąłem ręce, kładąc dłonie na jej kibici, a potem na biodrach. Ścisnąłem je lekko, przyciągając Fiore do siebie. Nie miała już czasu zdjąć chusty z głowy, bo kiedy tylko upuściła mój kwef na podłogę, całą jej uwagę zajęły moje usta. Mnie natomiast oszołomił widok jej twarzy. Patrzyłem na nią długo, w milczącym zachwycie, napawając się głębią brązowych oczu, cudowną wonią perfum i pysznym blaskiem gładkiej skóry.

Staliśmy tak przed sobą przez długą chwilę.

Upłynęła chyba cała wieczność, zanim nasze wargi wreszcie się spotkały, ale gdy to już nastąpiło, zamknęliśmy oczy, tłumiąc pragnienie dotykania się dłońmi; pełną swobodę daliśmy za to naszym językom.

- *Habibi*, zdejmę resztę tej zasłony - szepnęła, odwracając się ode mnie.

Zrobiłem krok w tył, aby móc nasycić się każdą chwilą tego, co miało teraz nastąpić. Fiore zsunęła chustę z głowy. Położyłem dłoń na piersi, patrząc, jak uwalnia włosy ze spinki, a one rozsypują się na jej ramionach, z których w tym samym momencie czarna szata spływa na podłogę. Stała przede mną bez ruchu, postawą podobna do kobiet ze Wzgórza Kochanków: wyprostowana, wysoka, o ciele krągłym i proporcjonalnym. I to już nie był sen, pogoń za kobietą na skrzydłach wyobraźni, podróż w przeszłość do mojej wioski i do pięknej Samiry. To działało się naprawdę. Byłem w Dżiddzie, w pokoju należącym do dziewczyny, która stała przede mną olśniewająca i całkowicie pewna siebie. Przypomniałem sobie różową sukienkę, którą Fiore miała na sobie ostatnim razem, luźno opływającą jej kształty. Dziś to było już zupełnie co innego: czarna bawełniana spódnica do kolan, dopasowana, mocno opięta na pośladkach, a do tego czarna koszula z takiego samego materiału.

- Na dworze jest strasznie gorąco - powiedziała Fiore i nie odwracając się, poprosiła: - Naser, możesz zamknąć oczy?

Domyśliłem się, dlaczego chce mnie oślepić na tych kilka sekund, więc odparłem:

- Dobrze, obiecuję ci.

Ale warto było złamać tę obietnicę.

Fiore chwyciła ręcznik i przyklękła na podłodze, żeby otrzeć pot z łydek; potem wstała, odłożyła ręcznik na bok i pochyliwszy się lekko, wsunęła dłoń pod spódnicę. Różowe paznokcie wyciągnęły stamtąd skrawek lśniąco czerwonego materiału, który zsunął się po jej ciemnych, długich nogach, a gdy się wyprostowała, opadł do samych kostek: karminowe figi ozdobione kwiecistym rysunkiem spoczęły na różowych butach. Kwiaty Edenu u stóp mojej Fiore.

Widząc, że się odwraca, szybko zacisnąłem powieki.

Usłyszałem cichy śmiech. Owiał mnie zapach jej oddechu. Miękką dłoń dotknęła mojej twarzy. Dreszcz podniecenia spłynął mi aż do brzucha, kiedy jej wilgotne wargi otarły się szeptem o moje ucho:

- A więc dotrzymałeś słowa? Możesz już otworzyć oczy. Posłuchałem w jednej chwili, jednocześnie oplatając ramionami jej talię. Pocałowałem ją. Znieruchomiałem dopiero wtedy, gdy palce znalazły rozpięcie spódnicy. Ukląknęłem przed Fiore, pociągając za sobą fałd czarnej bawełny, ostatnią zaporę dzielącą nas od siebie.

Zamknąłem oczy, pragnąc nasycić się jej zapachem, zanim ją zobaczę. Uniosłem się lekko na kolanach, z twarzą tuż przy jej udach. Nabrałem głęboko powietrza, wstrzymując oddech, aby ten niepowtarzalny aromat przesiąknął do najgłębszych zakamarków płuc. Znałem zapach, a nawet smak najdroższych i najlepszych perfum, jakie stworzyli Francuzi; tak mówił o nich Dżasim. Ale to było coś innego; powiew egzotyki, woń tajemnicy.

- *Habibi!*- Fiore pogładziła mnie po głowie. Jej palce zawędrowały na mój kark, przesunęły się za uszami, a potem wzdłuż krawędzi szczęki.

- *Habibi!* - Wyciągnęła do mnie dłoń. Podałem jej swoją, splatając palce z jej palcami.

I tak zaprowadziła mnie za rękę do swojego łóżka.

Ni stąd, ni zowąd ogarnęło mnie poczucie zniechęcenia. Było inaczej niż nad morzem, na plaży „tylko dla ludzi z Zachodu”. Zupełnie inaczej.

Jej łóżko wydało mi się obcą krainą, nieznaną i przerażającą. Mógł to być ciężar podniecenia lub też trema debutantów, którzy nie wiedzą, jak i kiedy się dotykać. Ale faktem jest, że nigdy w życiu nie drżałem tak jak tego dnia, gdy po raz pierwszy położyłem się obok Fiore w jej łóżku. I nigdy przedtem nie widziałem też u nikogo takiego napięcia jak u niej. Miałem wrażenie, że całe łóżko trzęsie się pod nami.

Wreszcie odtajałem, palce odnalazły jej pierś, zacisnęły się na niej - i natychmiast cofnąłem rękę, spłoszony cichym krzykiem. To było miłe czy niemile? Może ją bolało? Może powinienem przestać?

Spróbowałem ustami; tylko delikatnie, przestrzegłem się, obejmując wargami stwardniały sutek. I znów ten sam zduszony okrzyk. Tym razem dałem za wygraną.

Wyciągnąłem się u boku Fiore, twarzą do niej.

Teraz dotyk jej skóry sparaliżował mnie jeszcze mocniej. Nie spodziewałem się, że kiedy wreszcie znajdziemy się obok siebie, ogarnie nas taka drętwota, że nie będziemy mogli wykrztusić ani słowa.

Nagle wybiegłem myślami do tego, co miało nastąpić potem, po pocałunkach i po pieszczotach. Przypomniało mi się, co Omar opowiadał kiedyś Dżasimowi i mnie w restauracji:

- Kiedy para kochanków, chłopak i dziewczyna, zdoła dokonać niemożliwego i spotkać się w jakimś ustronnym miejscu, żeby uprawiać seks, robi to, jak to się mówi, „jak mężczyzna z mężczyzną”. Dziewczyna musi zachować dziewictwo. Wyobrażacie sobie, co by się stało, gdyby je straciła?

Spojrzałem na Fiore, a ona wzięła mnie za rękę i wyszeptała:

- Przepraszam. To jest trudniejsze, niż myślałam.

I umilkła. W nikłym blasku świec, którymi oświetlony był pokój, na jej twarzy, szyi i piersi zabłyśły drobne kropelki potu. Leżeliśmy, patrząc na siebie bez słowa.

Wreszcie Fiore sięgnęła dłonią do mojej nogi i wsunęła ją sobie pomiędzy uda. Poczulem na skórze ciepłą wilgoć. W tej pozycji spędziliśmy resztę popołudnia: moje udo pomiędzy jej udami, moje ręce przyklejone do jej ciała.

Przez kolejne trzy dni nie rozmawialiśmy wcale o naszym pierwszym spotkaniu w pokoju Fiore. Całowaliśmy się, ale nic poza tym.

W rozmowie poruszaliśmy tylko bezpieczne tematy, jak książka, którą ostatnio czytała Fiore, albo moi przyjaciele, których pewnego dnia miałem nadzieję jej przedstawić.

Aż wreszcie trzeciego dnia - był to piątek - dotarło do nas, że strach przed fizyczną miłością nie może już dłużej nas dzielić. Nie mieliśmy ani chwili do stracenia.

Tego popołudnia, po wejściu do mieszkania, Fiore poprosiła mnie, żebym nie zdejmował kwefu i zamknął oczy.

- Mam dla ciebie niespodziankę - szepnęła.

W jej pokoju unosiły się aromaty jedzenia. Zaprowadziła mnie do łóżka. Przysiadłem na jego skraju i czekałem, nasłuchując jej kroków, krążących po mieszkaniu.

- Jeszcze nie otwieraj oczu - mówiła za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju.

Po jakimś czasie poczułem jej oddech przez cienką tkaninę zasłaniającą mi twarz.

- Możesz już zdjąć kwef - powiedziała cicho.

Otworzyłem oczy. Fiore stała nade mną, górując ponad pościelą niczym wieża. Opuściłem wzrok, przyglądając się jej czarnym szpilkom. Kręcone włosy upięła na karku. Miała na sobie obcisłe dżinsy i czarną koszulę z podwiniętymi rękawami; górne guziki były rozpięte, a pomiędzy piersiami zwieszał się długi srebrny naszyjnik.

- Przyjrzałeś mi się już - oznajmiła po chwili, śmiejąc się cicho.
- Teraz spójrz na to.

Stół, na którym zazwyczaj leżały książki i wypracowania, teraz był posprzątanym. Zobaczyłem na nim butelkę soku owocowego, a do tego dwa nakrycia: talerze, szklanki, sztucce, no i świece.

Zrzuciłem z siebie abaję. Fiore wyłączyła światło. Spotykaliśmy się w dzień, ale dla bezpieczeństwa trzeba było zaciągać grube zasłony, więc w jej pokoju panowały ciemności nocy. Wodziłem za nią wzrokiem, kiedy chodziła od świecy do świecy, zapalając je po kolei. Aureole żółtego światła otoczyły ją ze wszystkich stron; pływała dookoła mnie, uniesiona tym blaskiem.

Wyciągnąłem dłoń. Fiore zaprowadziła mnie do stołu, ale pociągnąłem ją do tyłu, przywierając do jej pleców, zamykając dzielącą nas przestrzeń.

Delikatnie, jakbym dotykał jedynej róży, która zakwitła na pustyni, pogładziłem jej ramię. Zasypałem pocałunkami jej szyję, spragnionym wiernym muzułmanin, który wyrzekł się alkoholu na tej ziemi w imię rzek czerwonego i białego wina, które biegną obok siebie w niebieskim królestwie Allaha. Ale Fiore, nie odrywając pleców od mojej piersi, odwróciła głowę i cmoknęła mnie przelotnie, po czym odepchnęła się ode mnie pośladkami, ruszając w kierunku stołu.

Miałem przed sobą talerz pełen wspaniałego jedzenia: ryż i smażony kurczak, a do tego kilka liści sałaty w charakterze przybrania.

Lecz moje oczy były zgłodniałe o wiele bardziej niż żołądek. Podziękowałem Fiore za poczęstunek, nie mogłem jednak oderwać od niej wzroku. Pragnąłem jej powiedzieć, jak pięknie wygląda: że na jej szyi zmieściłyby się wszystkie naszyjniki Nefretete, a i tak nie zabrakłoby miejsca na moje pocałunki; że uwielbiam w niej tę mieszankę elegancji i wewnętrznej głębi, miłości i siły, egipskiej krwi i erytrejskiej.

Ale nie mogłem wykrztusić ani słowa. Zupełnie jakbym uczył się nowego języka: jej języka. A szczerze oddany kochanek musi mówić płynnie, nie może się zacinać i dukać.

Na ustach miała tego dnia różową szminkę, mocno kontrastującą z ciemnobrązową skórą, która w mdłym blasku świec wyglądała na jeszcze ciemniejszą niż w rzeczywistości. Chcąc widzieć wyraźniej jej twarz, przesunąłem wszystkie świece na drugą stronę blatu, aż Fiore zaczęła przypominać posąg bogini w jakimś sanktuarium.

Nagle czar przysł: zabrzmiał azan wzywający wiernych na piątkową modlitwę.

Fiore odezwała się pierwsza:

- Za mniej więcej pół godziny imam zjawi się w meczecie. Miejmy nadzieję, że nie popsuje nam randki swoim kazaniem.

- Przekonamy się, i to już niedługo - jęknąłem. Fiore pochyliła się, napełniając nasze szklanki sokiem, po czym podała mi jedną, mówiąc:

- To dla ciebie, kochany.

Zaczęliśmy jeść. To był nasz pierwszy wspólny posiłek; ta nowa sytuacja fascynowała nas oboje. Zamknąłem oczy, przysłuchując się, jak Fiore przeżuwa kolejne kęsy, popijając je sokiem. Kiedy ostatnie

krople z butelki znalazły się już w naszych szklankach, spojrzała na mnie, a potem z uśmiechem odwróciła głowę.

- Co się stało? - zapytałem cicho.

- To jest aż dziwne - odparła - jak dobrze się czuję w tej chwili. Cieszę się, że w życiu istnieją takie proste, a zarazem piękne rzeczy. I wystarczy ich tylko poszukać, a zawsze się znajdują. - Chwilę później dodała, jakby po namyśle: - Cierpliwość i odwaga to klucz do wszystkiego.

Po skończonym posiłku skomplementowałem kucharskie umiejętności Fiore. Położyłem dłoń na jej dłoni, spoglądając na nią w milczeniu.

- Naser? - zapytała.

- Słucham.

- Czy masz o mnie złe zdanie ze względu na to, co zrobiłam, żeby cię poznać i zaprosić tutaj, do swojego pokoju?

Odpowiedziałem pytaniem:

- A czy ja straciłem w twoich oczach jako mężczyzna, ponieważ odpowiedziałem na twoje wezwanie i zrobiłem wszystko to, o co mnie prosiłaś?

Potrząsnęła stanowczo głową.

- A więc ja też nie - odparłem.

W milczeniu spojrzeliśmy sobie w oczy; poruszały się tylko nasze splecione palce.

Wreszcie Fiore przerwała ciszę:

- Tyle wysiłku nas kosztowało, żeby unicestwić dystans, który nas dzielił, żebyśmy mogli znaleźć się razem w tym pokoju... A okazuje się, że wciąż jeszcze są przeszkody do pokonania - dokończyła niespodziewanie.

- Przepraszam za to, wtedy... Kiedy pierwszy raz tutaj przyszedłem - powiedziałem.

- Ja też cię przepraszam - odparła. - Jeśli mam być szczerą, to spodziewałam się, że to będzie łatwiejsze. Myślałam, że moje pożądanie wypali cały strach.

- Nie uważasz, że to mogło być za wcześnie? - zapytałem. - Może powinniśmy poczekać...

- Kochany, pragnę cię już od bardzo dawna, a codziennie boję się,

że to mógł być nasz ostatni wspólny dzień. Czy nie powinniśmy brać tego, co nam przyniesie?

- Ale... - Urwałem, bo zabrakło mi słów.

- Chcesz mi coś powiedzieć? *Habibi*, proszę, powiedz, o czym myślisz.

Milczałem, wciąż się wahając. -*Habibi*?

Wziąłem Fiore za rękę, drapiąc palcem jej kciuk.

- No dobrze. - Odetchnąłem i opowiedziałem jej to, co kiedyś mówił nam Omar: w jaki sposób dochodzi do intymnego zbliżenia panny i kawalera w Arabii Saudyjskiej. Kiedy skończyłem, Fiore zaśmiała się cicho.

- Czemu się śmiejesz? - zapytałem.

- Bo to zabawne. Twój kolega Omar jest tak absolutnie pewien tego, co mówi, jakby znał osobiście wszystkich młodych ludzi z całego kraju. *Habibi*, być może niektóre dziewczyny faktycznie robią tak, jak powiedział ci Omar, bo chcą się tylko zabawić z kochankiem, zanim poślubią narzeczonego, którego wybrali im rodzice. Ale ja cię kocham.

- Umilkła na chwilę, jakby nie mogła się zdecydować, co ma mówić dalej. Wreszcie dokończyła: -*Habibi*, chcę się z tobą kochać jak kobieta z mężczyzną.

Czekała na moją odpowiedź, przygryzając palec, aleja nie mogłem dobyć z siebie głosu.

Przekrzywiła głowę, wzięła mnie za rękę.

- Fiore, ja po prostu... - wyjąkałem - ...boję się o ciebie. Gdyby spotkało nas coś złego... Pomyśl tylko, co się stanie, kiedy ojciec w końcu zmusi cię do małżeństwa, a mąż odkryje, że nie był twoim pierwszym?

- Jesteś jedynym mężczyzną, o którym marzę. Chcę być z tobą i jestem, więc chcę podzielić się z tobą wszystkim, co mam. Moje ciało należy do mnie, nie do mojego ojca. Sama wybieram, z kim będę sypiać. Wybrałam ciebie.

Skrzyżowałem ramiona na piersi, chcąc uspokoić głuchy łomot serca. W tym samym momencie zabrzmiał drugi azan, oznaczający początek piątkowego kazania. Odwróciliśmy głowy w stronę okna, jakbyśmy spodziewali się zobaczyć w nim ślepego imama, i zebraliśmy

siły, aby stawić czoło jego donośnemu głosowi, który już za chwilę miał zagrznieć przez megafony.

Wyciągnąłem rękę i pogładziłem Fiore po twarzy. Imam rozpoczął swoją mowę, a my pogrążyliśmy się w milczącym zamyśleniu. W ciszy słychać było tylko głos kaznodziei rozprawiającego o dżihadzie.

- *Ja Allah!* - wykrzyknęła nagle Fiore, niespodziewanie podnosząc głos. Po raz pierwszy zobaczyłem jej wzburzenie. - On i te jego dziewczęce! Kiedy wreszcie przestanie podtykać mężczyznom pod nos kobiety, żeby podkusić ich do wojny?

Chciałem jej powiedzieć, że kiedy imam mówi kazanie, najlepiej się skupić na jakimś pięknym wspomnieniu, ale milczałem, bo wyszłoby, że sam prawie morały.

Fiore wstała z krzesła i zbliżyła się do mnie. Pochyliła się, kładąc mi dłonie na kolanach. Jej naszyjnik zawisł tuż przed moimi oczami; widok jej piersi w rozpięciu czarnej koszuli zahipnotyzował mnie w jednej chwili.

Pocałowałam mnie w policzek, wyprostowała się z powrotem. Powoli zdjęła z siebie ubranie, po czym ruszyła dookoła pokoju, gasząc po kolei wszystkie świece, począwszy od tych najdalej od łóżka. Wyglądała jak lwica krążąca po klatce, objająca się z grzechotem o kraty, to z jednej, to z drugiej strony. Wstałem od stołu i wzięwszy w dłoń świecę, poszedłem za nią, przyświecając jej od tyłu.

Fiore wyciągnęła rękę, chcąc zgasić ten ostatni płomyk w całym pokoju.

- Nie - powiedziałem. - Nic nie może zasłaniać bogini, nawet ciemność.

Spotykaliśmy się codziennie, po zajęciach na uczelni; w dni wolne od pracy najczęściej zresztą też. Fiore załatwiała wszystkie swoje domowe obowiązki wczesnym rankiem, aby resztę dnia móc spędzić ze mną. Byliśmy tak pochłonięci swoim szczęściem, że wcale nie myśleliśmy o tym, co nas czeka, jeśli popełnimy choćby najmniejszy błąd. Czasami jednak zastanawiałem się, co by się stało, gdybyśmy kiedyś zapomnieli zamknąć pokój na klucz i ojciec mojej ukochanej nakryłby nas, bezszelestnie zatraconych w sobie nawzajem. Fiore uspokoiła mnie jednak, mówiąc, że on nigdy nie pokaże się w kobiecej części domu, kiedy wie, że przyszły z wizytą jakieś znajome.

I faktycznie, jej ojciec nigdy niczego nie podejrzewał. Kiedy mijaliśmy go w holu na parterze, pochylał tylko głowę. Podobnie matka Fiore ani razu nie zajrzała do pokoju córki. Pytałem ją o to, ale w odpowiedzi usłyszałem tylko jeszcze raz to samo, co kiedyś na plaży: „Moja matka rozumie, czym jest miłość, ponieważ nigdy w życiu jej nie zaznała”.

Odkrywanie swoich ciał stało się naszą obsesją; w pokoju Fiore, za oknem zasłoniętym przed światłem dnia był to, zdawało się nam, jedyny cel naszego życia. Poza nim nic się nie liczyło. To była nasza zemsta na straconym czasie. W swoich oczach byliśmy dla siebie nawzajem niczym niekończąca się książka z obrazkami, w czarodziejski sposób inna za każdym razem, kiedy się do niej zaglądało. Słyszac azan lub kazanie ślepego imama, widząc na ulicy Basila, czarnego dżipa albo patrol policji religijnej, uświadamiałem sobie wciąż na nowo, że ten nasz świat, który stworzyliśmy razem, w każdej chwili może zostać unice-

stwiony. A mimo to poprzysięgliśmy sobie, że nic nas nie powstrzyma, nawet strach przed niepewną przyszłością; że jeśli odkryją nasz romans i położą mu kres, to nasze ciała nie rozdzielią się nienasycone, a każde pragnienie zostanie zaspokojone.

Przez bardzo długi czas Fiore była ukryta przed moimi oczami; być może dlatego wolałem oglądać ją nagą, kiedy byliśmy razem w jej pokoju. A gdy droczyła się ze mną, żartobliwie się skarżąc, że nie chcę docenić jej starań w wyborze strojów, przekornie odpowiadałem, że w moich oczach jej niczym nieokryta skóra wygrywa z każdą kolekcją mody.

Tylko w jej pokoju mogliśmy cieszyć się swobodą i wyrażaliśmy tę radość poprzez swoje ciała. Jak się okazało, mieliśmy pełen arsenał pomysłów na to, jak nawzajem rozbudzić w sobie inwencję.

Pewnego popołudnia, gdy z nieba lał się żar, jak zwykle odcięliśmy się od całego świata w pokoju Fiore. Powiedziałem wtedy, że wpadłem na pomysł, jak sprawić, aby każdy skrawek jej skóry rozbłysnął jak u Szeherezady.

- Masz w domu hennę?

- Jest w kuchni. Przyniosę - szepnęła i oddaliła się na palcach, obleczona w migotanie świec.

- Naser, gdzie się tego nauczyłeś?

- Już zapomniałaś? Moja matka robiła kobietom rysunki z henny. Linie na twoich dłoniach są bardzo delikatne, a ich rozgałęzienia bardzo wąskie, a mimo to chciałbym dotrzeć aż do miejsca, gdzie każda z nich się kończy.

- To może potrwać bardzo długo.

- Więc szybciej będzie, jeśli rzucę tu i ówdzie jakiś rysunek - odparłem, gładząc ją po nogach i stopach.

Kilka godzin później, leżąc z głową opartą na poduszce, Fiore przyglądała się, jak szkicuję henną kontury kwiatów na jej udach. Potem powoli obszedłem ją na czworakach, wdychając głęboko aromat jej ciała pomieszany z korzennym zapachem henny, a w zamian ogrzewając jej skórę ciepłymi oddechami, aby osuszyć wilgotne drobinki barwnika.

Pomogłem Fiore wstać z łóżka, a sam usiadłem na krześle, ciągnąc ją za sobą, aż spoczęła mi na kolanach, przodem do mnie. Objęła mnie ramionami, a ja, czując, jak moje kolana wbijają się w jej pośladki, wypisałem na wewnętrznej stronie jej ud swoje imię, każdą literę osobno: „N.A.S.E.R.”.

Trochę to trwało, zanim henna wyschła. Leżeliśmy na łóżku Fiore, czekając cierpliwie, lecz kiedy wszystko było już gotowe, kochaliśmy się, a jej uda, dłonie i stopy zalśniły blaskiem prawdziwego kwiatu, rozkwitającego w wieczności.

Niektóre dni mijały nam od początku do końca na zabawie; figlowaliśmy jak para niemądrych kochanków. Fiore najbardziej lubiła, kiedy udawałem detektywa szukającego jakiegoś tajemniczego obiektu.

- Wdzięczna jestem, że zjawił się pan tak szybko - dziękowała mi skinieniem głowy.

- Zawsze do usług - odpowiadałem. - Z udzielonych nam przez ciebie, o pani, informacji wiemy, że na terenie twego królestwa znajduje się nieznan, tajemniczy obiekt, który należy odszukać. Ja natomiast jestem najlepszym detektywem na świecie, lepszym niż Brytyjczyk Holmes. Odnajdę tę rzecz, królowo moja.

- Pozwól - mówiła wtedy Fiore, prowadząc mnie do swojego imperium.

Szedłem za nią, a stanąwszy nad jej łóżkiem, oznajmiałem:

- O pani, tajemniczy obiekt może być wszędzie. Muszę przeszukać całe twoje królestwo. Może mi to zająć wiele czasu, więc proszę o cierpliwość. Połóż się na swym łożu i poczekaj.

I tak rozpoczynałem poszukiwania: od pocałunków składanych na palcach jej stóp. A gdy unosiłem głowę, żeby zobaczyć, co mnie dalej czeka, całe jej królestwo rozpościerało się przede mną.

Te błogosławione tygodnie upłynęły mi pod znakiem popołudni u Fiore i wieczorów spędzanych w Pałacu Rozkoszy z Hanim, Fahdem, Jahją i różnymi kumplami, których przyprowadzali ze sobą. Nie chcąc, aby Dżasim zaczął podejrzewać, że coś kombinuję, odwiedzałem go od czasu do czasu, ale on za każdym razem tylko narzekał, że się zmieniłem.

- To ja wciągnąłem cię w te książki - uśmiechał się smutno - i teraz żałuję. Przeze mnie mój najdroższy stał się pustelnikiem.

Ponieważ Fiore nie miała w domu telefonu, opracowaliśmy nową metodę porozumiewania się: przebrany w abaję, wychodziłem na ulicę An-Nuzla przed wieczorem w normalne szkolne dni, a w czwartki i piątki - kiedy w Arabii Saudyjskiej nie ma szkoły - wczesnym popołudniem. Wypatrywałem różowych butów; miałem podejść, kiedy je zobaczę.

Ale w grudniu o mały włos wszystko się nie wydało.

Tego popołudnia wyszedłem z mieszkania, wyrzawszy najpierw przez judasza. Zawsze tak robiłem, wybierając się w kobiecym stroju do Fiore. Na korytarzu nie było żywej duszy. Otworzyłem drzwi i zbiegłem po schodach. A przed samym wejściem do bloku, ledwie zdążyłem postawić nogę na chodniku, wpadłem na Jahję. Odrzuciło mnie w tył, tak że musiałem przytrzymać się ściany.

- Przepraszam. - Jahja pochylił głowę.

Patrzyłem za nim, kiedy wchodził łukowatymi schodami na pierwsze piętro. Widziałem, jak staje przed moimi drzwiami, i słyszałem, jak

stuka. Stałem bez ruchu, obserwując go pomiędzy prętami balustrady, ale kiedy odwrócił głowę, chcąc na mnie spojrzeć, wypadłem pędem na ulicę, zlany potem o wiele obficie niż zwykle.

Tego samego wieczoru, kiedy pojawiłem się w Pałacu Rozkoszy, z twarzy Jahji biło ogromne zadowolenie; siedział i grał na bębnie. Hani wtórował mu, klaszcząc w dłonie, a Fahd, jak zwykle jaskrawo ubrany, tańczył: podskakiwał i wirował, siekając dłońmi powietrze.

Przyłączyłem się do niego. Stanęliśmy naprzeciwko siebie, chowając lewą dłoń za plecami, a prawą wywijając przed sobą.

- Szkoda, że nie mamy szabel - roześmiał się. - Moglibyśmy zatańczyć taniec z szablami.

- Wkrótce odnajdę miłość. Wkrótce odnajdę miłość - zaintonował Jahja swoim gardłowym głosem.

Po chwili przerwał pieśń i przestał strzelać palcami. Zamiast tego otworzył usta, zwinął język i wydał z siebie długie, głośne zawodzenie, ochoczy, piskliwy okrzyk czystego szczęścia.

Po kilku piosenkach i odtańczeniu paru tańców Hani i Fahd zaczęli się ganiać po chodniku przed pałacem, a Jahja i ja przysiedliśmy na krawężniku.

- Niedługo się zakocham - powiedział nagle.

- Kim jest ten szczęściarz? - zapytałem.

- Szczęściara - poprawił mnie.

- To będzie dziewczyna?

- Czemu się dziwisz?

- Bo ze mnie zawsze się śmiałeś, kiedy ci mówiłem, że znajdę sobie w tym kraju dziewczynę - przypomniałem mu.

- Wiem, ale dziś dotarło do mnie, że cuda się zdarzają - odparł.

Opowiedział mi o kobiecie, która wpadła na niego po południu przed moim blokiem. W chwili, gdy dotknęła jego piersi (tak mówił), serce obudziło się w nim na nowo. Uśmiechnął się, dodając, że dziewczyna była tak przejęta, że stanęła w miejscu jak wryta; podobno też śledziła Jahję wzrokiem. Denerwowała się - opowiadał - bo trzęsły się jej ręce.

- Naser, przysięgam ci - mówił - nosiła kwef, ale ja wiedziałem, że się pod nim uśmiecha.

Wziął mnie za rękę i dodał poważnym tonem:

- Od dziś zaczynam koczować pod twoim domem. Może rzuci mi jakiś liścik i tak coś się zacznie między nami?

Wymyśl coś, szybko, rozkazałem sobie, czując, że ogarnia mnie panika. Przecież nie chcesz, żeby ten facet dniem i nocą wysiadywał pod twoim oknem.

- Jahja - bąknąłem - w moim bloku nie ma niezamężnych dziewczyn.

- Skąd wiesz? - zapytał. - Jesteś zazdrosny i tyle.

- Skąd! - zaprzeczyłem. - Ale to jest mój blok. Mieszkają u nas dwie kobiety, obie mężatki. Chcesz wdać się w romans z mężatką?

- A czemu nie? Potrzebuję miłości, tak jak każdy.

- Ale pomyśl, jakie to może mieć następstwa. Jeśli policja religijna się dowie...

- To co? - przerwał szczekliwie. - Co mi mogą zrobić?

- Wychłostać na placu Kar. Może nawet deportować.

- Nigdy w życiu. Najwyżej dostanę chłostę. Deportacja mi nie grozi. Mam dobre znajomości.

Zrozumiałem, że nadszedł czas na zmianę strategii.

- Jahja, czy to nie ty kiedyś mi powiedziałeś, że prawdziwa miłość nie zna egoizmu?

- Ja, i co z tego? O co ci chodzi?

- O to, że jeśli nakryją was razem, a ta kobieta naprawdę okaże się mężatką, to wiesz, co jej zrobią? Ukamienują. *Ja Allah!* Skują jej ręce kajdankami, zakopią po samą szyję w ziemi i zaczną rzucać kamieniami prosto w głowę. Twoja ukochana umrze, ale powoli, a zanim to się stanie, twarz, którą pokochałeś, zostanie zgruchotana na miazgę. Jest w tym mieście pod dostatkiem mężczyzn, którzy pałają żądzą mordy. Kręcą się w okolicy placu Kar i tylko czekają, żeby obrzucić kamieniami twoją jedyną - właśnie za to, że jest mężatką. Jeśli to nie egoizm, to sam już nie wiem, co nim jest. Uważam, że nie wolno ci niczego zaczynać.

Jahja wstał, nie mówiąc ani słowa, wsiadł na swój motor i odjechał.

Wiedziałem, że się udało; wybiłem mu z głowy ten szalony pomysł: czatowanie pod moim blokiem na dziewczynę, która, jak sobie ubzdurał, uśmiechnęła się do niego. Lecz z drugiej strony uświadomiło mi to również, na jak wiele pozwoliłem sobie w stosunku do Fiore.

Ogarnął mnie nagły niepokój. Znow zacząłem myśleć, na jak wielkie ryzyko się wystawiamy, ja i moja *habibati*. W kraju, gdzie mężczyźni i kobiety żyją w totalnej izolacji od siebie, nam udało się wywieść wszystkich w pole i zbliżyć wbrew wszelkim przeciwnościom. Czasami, gdy leżeliśmy nadzy w jej łóżku, przez megafony meczetu dobiegał nas głos ślepego imama, przeklinającego dziewczęta, które rzucają chłopakom liściki pod nogi.

- Pójdą za to do piekła - grzmiał kaznodzieja.

Ale ja o wiele bardziej martwiłem się karą doczesną, która mogła nas spotkać. Dręczyły mnie niekończące się pytania: a jeśli nas złapią? Czy mogą nas złapać? Co się wtedy stanie z Fiore? A ze mną? Co nam zrobią na placu Kar? Jak ukarze ją ojciec, kiedy się dowie, że jego córka się zakochała, a jej miłość przyniosła mu hańbę?

Aresztowanie przez policję religijną nie było jednak bynajmniej naszym jedynym zmartwieniem. Ojciec Fiore wciąż zamierzał wydać ją za mąż.

Habibati powiedziała mi, że jej mama na ogół siedzi cicho i nie sprzeciwia się mężowi, ale kiedy trzeba bronić przyszłości córki, to nie ma takiej rzeczy na świecie, która mogłaby ją powstrzymać. W domu wybucha awantura, która zawsze kończy się tak samo: matka oznajmia ojcu, że nigdy w życiu nie dopuści, aby Fiore wyszła za mąż wbrew swojej woli.

Jego odpowiedź również była za każdym razem podobna:

- To się jeszcze zobaczy. Twojej córce przybywa lat. Jeśli będzie dłużej zwlekać z wyborem kandydata, to wkrótce żaden jej nie zechce, bo zrobi się za stara, a wtedy resztę swojego życia spędzi na rencie w moim domu. Uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby tak się nie stało.

Upłynął już ponad miesiąc, odkąd przestałem pracować w myjni. Przeliczyłem resztki swoich oszczędności. Z rachunków wyszło mi, że wystarczy tego jeszcze może na dwa miesiące: do końca lutego.

Tego ranka spotkałem się z Dżasimem na herbacie w jego restauracji. Był w świetnym humorze.

- Dlaczego? - uśmiechnął się, gdy go o to zagadnąłem. - A dlatego, że każdy nowy klient, który do mnie zajrzy i zobaczy mojego nowego kelnera, od razu połyka haczyk i zawsze wraca. Nie wytrzyma nawet jednego dnia bez widoku tego czarusia.

Odkąd przestałem u niego pracować, Dżasim zatrudniał wielu chłopaków, rozmaitej karnacji i pochodzenia. Jego najnowszym nabytkiem był młody Palestyńczyk, który przyjechał do Dżiddy z obozu dla uchodźców w Libanie.

Dżasim lubił się chełpić swoją restauracją i usługami, które oferuje tego rodzaju lokal w społeczeństwie rządzonym według takich zasad, jakie panują w Arabii Saudyjskiej.

- Skąd mam tyle przywilejów? - mawiał. - Stąd, że mężczyźni, którzy zjawiają się tutaj przytłoczeni pożądaniem, wychodzą pełni ulgi i uśmiechnięci, jakby spędzili dzień w raju.

Już bardzo dawno temu przestałem wierzyć w te bzdury, które Dżasim opowiadał o sobie: że niby to jest prorokiem posłanym przez boga pożądania do mężczyzn w rozpaczliwej potrzebie. Jak powiedział mi kiedyś Pan Cichy, ten człowiek po prostu znał się na interesach. Znalazł sobie dochodową lukę w rynku i eksploatował ją w stu procentach, wykorzystując młodych chłopców i uprawiając szmugiel.

Ale nie mogłem powiedzieć Dżasimowi, co tak naprawdę o nim myślałem. Zawsze lepiej było mieć go po swojej stronie. Jako wróg był niebezpieczny, bo miał mnóstwo koneksji z bardzo wpływowymi ludźmi.

- Nigdy nie wiadomo - powtarzałem sobie. - Taki ktoś też się może kiedyś przydać.

Tego samego dnia, po południu, miałem spotkać się z Fiore na ulicy An-Nuzla. Poprzedniego dnia obiecałem jej przynieść „Sezon emigracji na północ” Tajjiba Saliha, książkę, którą dostałem od Dżasima wieki temu. Już wkładałem kwef na twarz, kiedy nagle ktoś zapukał do moich drzwi. To pewnie Jahja, pomyślałem, chowając szybko abaję i resztę swojego przebrania pod łóżkiem.

Otworzyłem drzwi. Na korytarzu stał Basil, oparty o ścianę, z dłońmi w kieszeniach saubu. Zaparło mi dech w piersiach. Ledwie zdążyłem go odzyskać, gdy zza pleców Basila wychynął bezbrody Hamid.

- Przeszukaj jego mieszkanie - rozkazał mi Basil. - Jestem pewien, że ten chłopak, jak każdy młody wykolejeniec w An-Nuzli, trzyma u siebie całą górę pornografii.

- Nie mam w domu żadnej pornografii. - Stałem Hamidowi na drodze.

Odepchnął mnie na bok.

- Z drogi, odszczepieńcu - zasyczał.

Ale ja nie dałem się przestawić. Wstąpił we mnie nieustraszony duch. Nie miałem wyboru: w pokoju było kobiece ubranie i zakazana książka Saliha. Odepchnąłem Hamida i chciałem zamknąć intruzom drzwi przed nosem, ale złapali mnie obaj i wdarli się siłą do środka. Basil błyskawicznie przyparł mnie do ściany.

- *Ja Hamid*, biegnij do dżipa po kij! - zawołał do swojego pomocnika, zatrząskując nogą drzwi.

- Przysięgam na Allaha, nie mam żadnej pornografii! - wrzasnąłem.

Basil tylko przycisnął mnie mocniej do ściany, aż przejechałem policzkiem po szorstkim tynku.

- Łzesz - warknął. - Sam kiedyś byłem chuliganem i stąd wiem, że tacy jak ty trzymają w domu plugawe porno. Albo nam powiesz, gdzie to chowasz, albo sami znajdziemy. No, gdzie? W kuchni? W szafie? A może pod łóżkiem?

Nie miałem wyjścia: zacząłem go błagać.

- Basil, przepraszam cię. Przepraszam za to, co wtedy zrobiłem. Nie wiem, co mnie naszło. Proszę, wybacz mi. Obiecuję ci, że wrócę do meczetu, jeśli tylko sobie życzysz.

- Obrzydły odstępczo - zacharczał. - Jak mogłeś odejść od imama i tak go wystawić na pośmiewisko?

Tymczasem wrócił Hamid.

- Basil, wszystko w porządku? - zawołał, waląc pięścią w drzwi.
-Basil? Odpowiedz!

- Nic mi nie jest! - odkrzyknął Basil.

- Wpuść mnie, to damy nauczkę temu przekłętemu łotrowi - domagał się Hamid.

- Zaczekaj - powiedział Basil. - Zmuszam go, żeby wyznał swoje winy.

- Zostaw mnie już - błagałem. - Przecież cię przeprosiłem.

- Zamknij się - zgrzytnął, przyciskając moją głowę jeszcze mocniej do ściany. -**1** mów cicho.

- Czego ty chcesz ode mnie?

Zamiast odpowiedzieć, oparł się o mnie łędźwiami i zaczął obmacywać mi tyłek.

- Idź do diabła - wycharczałem, próbując go odepchnąć. - Jak ty możesz służyć w policji religijnej? Wiesz, kim jesteś? Niewyżytym zbokiem.

- *Ja Hamid*, uważaj, otwieram! - huknął Basil w kierunku drzwi.

- Czekaaj. Czekaaj! - powiedziałem szybko. - Wygrałeś. Puść mnie teraz, to przyjdę do parku.

Na to zareagował od razu.

- Wszystko w porządku, Hamidzie! - zawołał. - Sprawdziłem. Ten chłopak nie trzyma w domu żadnej pornografii.

Zacisnął palce z całej siły na moim pośladku i tak sobie macając, powiedział:

- Dziś w nocy, w parku, o jedenastej. A jak nie przyjdiesz, wrócę' tutaj i już mi się nie wywiniesz.

Z tymi siowami mnie puścii, a wychodząc, uśmiechnął się szeroko.

Tego dnia, zanim wybrałem się do Fiore, przeszedłem ulicą An--Nuzla, sprawdzając, czy dżip Basila nie kręci się gdzieś w pobliżu.

Ulica była czysta, więc wróciłem do mieszkania, żeby się przebrać, a potem udałem się już prosto do dziewięciopiętrowego bloku.

Nie miałem pojęcia, co począć z tym Basilem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że moje zaczarowane dni z Fiore nie mogą trwać wiecznie. Miałem dwa wyjścia: porozmawiać z nią albo załatwić to na własną rękę.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w jej pokoju, zerwałem z siebie przebra- nie i popchnąłem Fiore w stronę łóżka, szorstkim ruchem ściągając jej kwef z głowy; tak wyszło, chociaż wcale tego nie chciałem. Tego dnia miała na sobie biały T-shirt, a jej stanik lśnił pod cienkim materiałem niczym podwodne lilie.

Cały czas lał się ze mnie pot; droga z mojego mieszkania do jej bloku w pełnej abai była męczarnią. Wciąż w żaden sposób nie mogłem się do tego przyzwyczaić. Usiadłem obok Fiore na posłaniu, a ona otarła mi twarz rąbkiem swojej białej koszulki. Posunęła się trochę, żeby zrobić mi miejsce, po czym zebrała włosy na jedną stronę twarzy i zaczęła je zaplatać w długi, gruby warkocz.

Przesunąłem pieścotliwie dłonią po prostych, zgrabnych plecach i szerokich biodrach mojej ukochanej.

Potem wręczyłem jej powieść Tajjiba Sałiha. Podziękowała mi z ożywieniem, ucieszona jak dziecko, które dostało wspañały, długo wyczekiwany prezent. Przekartkowała książkę, po czym zwróciła na mnie skoncentrowane, poważne spojrzenie; nie odezwała się przy tym ani słowem. Nagle zerwała się i rzuciła mi na szyję, przewracając na posłanie i obsypując gorącymi pocałunkami. Za każdym razem, kiedy zdarzyło jej się ugryźć mnie w wargę, delikatnie koła ból językiem.

- Dziękuję, *habibi* - powiedziała jakiś czas później, odrywając się od moich rozpalonych ust. - Zaczekaj chwilę - poprosiła, wstając z łóżka. - Chcę ci pokazać pewną książkę.

Przyniosła z biurka potężne, ciężkie tomisko.

- Obejrzyj to sobie, a zrozumiesz, kim chciałam zostać.

Rzuciła mi tę cegłę na kolana. Okładka i tytuł znów mówiły o islamie; zdążyłem się już dowiedzieć, że wszystkie książki Fiore były oprawiane za granicą.

Poprawiła sobie poduszkę i wyciągnęła się na plecach. Prostując nogi, zepchnęła mi książkę z kolan. Nie tracąc ani chwili, sama zajęła jej miejsce.

Chciała potem ją podnieść, ale ja byłem pierwszy. Otworzyłem okładkę. Okazało się, że jest to album z dużymi zdjęciami. Marzyła o karierze fotografa? Przyjrzałem się kolorowemu portretowi Japonki w białej sukience. Kobieta siedziała na ławce, krzyżując nogi i wpatrując się w nieruchome, błękitne morze. Jakie to piękne, pomyślałem.

Okiem duszy sięgnąłem w odległą przyszłość, dostrzegając w niej Fiore jako pierwszego fotografa swoich czasów.

Po twarzy przemknął mi błysk radości, ale po chwili pomyślałem: a co ze mną? *Ja Allan*, kompletnie pogubiłem się we własnych marzeniach. Przez chwilę zwyczajnie nie potrafiłem sobie przypomnieć, kim chciałem zostać, kiedy byłem młodszy, zanim poszedłem do szkoły, gdzie tak mocno wbijano nam do głowy wizję życia wiecznego, że wszelkie doczesne plany szły w niepamięć. Kim chciałem zostać? Z kim chciałem być?

Humor zwarzył mi się w jednej chwili.

Zacząłem przerzucać od nowa kartki albumu ze zdjęciami.

Fiore odetchnęła głęboko; odwróciłem się bez słowa, aby na nią spojrzeć. Zachowywaliśmy się jak zwyczajna para w zwyczajnej sypialni w dowolnym miejscu na świecie. Ale znajdowaliśmy się w bardzo konkretnym miejscu. To była Dżidda - a ja przebywałem w pokoju należącym do kobiety. To była Arabia Saudyjska, gdzie pojęcie miłości usunięto ze słownika, a gdzie mimo to udało mi się znaleźć sposób na wyrażenie mojej namiętności do innej istoty.

Nie umiałem odpędzić natarczywej myśli, mówiącej, że to wszystko jest tylko snem na jawie. Granice pomiędzy złudzeniem a rzeczywistością zatarły się całkowicie i nie wiedziałem już sam, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Czy w takim kraju Fiore i ja naprawdę mogliśmy liczyć na jakąkolwiek wspólną przyszłość? Co mieliśmy ze sobą począć? Jak żyć - i gdzie?

Zsunąłem z kolan jej nogi i ścisnąłem głowę dłońmi.

- Naser, dobrze się czujesz? - zapytała. Przytaknąłem, nie mówiąc ani słowa.

Fiore zmieniła pozycję, opierając skroń na moim udzie. Opuściłem wzrok, spoglądając na nią, a ona, zauważywszy to, puściła do mnie oko. Zgiąłem się wpół, żeby ją pocałować, i nawijając na palec kosmyk jej włosów, szepnąłem:

- Myślałem sobie teraz o naszej wspólnej przyszłości. Ze pięknie by było, gdybyś została świetnym fotografem, a ja...

- *Habibi*, nie mówmy o tym - przerwała mi, siadając prosto na posłaniu.

- Dlaczego? Sama dałaś mi ten album. Wydawało mi się, że chcesz...

- Chciałam tylko pokazać ci, o czym kiedyś marzyłam.

- Kiedyś? Masz dopiero dziewiętnaście lat, a mówisz, jakbyś już dawno pogrzebała swoje marzenia.

- *Habibi*, to moje życie jest pogrzebane, i to nie w marzeniach, ale na jawie. Chodź, poczytajmy coś sobie - zaproponowała.

Milczałem, przeglądając dalej album, ale ze strony na stronę narastało we mnie wzburzenie. Zdjęcia, które jeszcze przed chwilą dały mi tyle radości, teraz budziły we mnie wyłącznie palącą zazdrość. Odszukawszy wzrokiem nazwisko ich autorki, pomyślałem zawistnie: „Skoro ta kobieta może się tym zajmować, to dlaczego nie moja *habibati*”. Odłożyłem album. Nie chciałem patrzeć na tę pamiątkę po umarłym marzeniu. Przebiegłem oczami po półkach biblioteczki, pełnych książek z całego świata. Fiore, podobnie jak ja, dzięki tej lekturze żyła cudzym życiem, posilając się tym, co znalazła na kartach zapisanych w odległych krainach, oddychając powiewem ich powietrza. Takie było nasze życie; życie z importu. Dlaczego znaleźliśmy się akurat tutaj? Wydało mi się, że wszystkie książki Fiore pochylają się nad nami, jakby chciały wypchnąć nas z pokoju, mówiąc: tam czeka na was życie. Dzięki książkom mogliśmy wyrwać się stąd; łopocząc okładkami, czekały, aby unieść nas daleko, do miejsca, gdzie naprawdę chcieliśmy być, gdzie czekało na nas wspólne życie i spełnianie marzeń dzień po dniu.

Fiore przekręciła się na posłaniu, zrzucając na podłogę mój kwef. Podniosłem go, myśląc tak: *Ja Allah*. Muszę być niewidzialny i kryć się

pod abają tylko po to, żeby móc się z nią spotkać, zobaczyć jej twarz, dotknąć choćby koniuszków jej palców. Piersi mojej ukochanej mogą pieścić tylko wtedy, gdy jej ojciec idzie modlić się do meczetu albo bawić się ze znajomymi; nawet jej jęki rozkoszy muszą być dostosowane do kalendarza jakiegoś mężczyzny".

Zrozumiałem, że uczucie, które mną targa, to gniew. W tym momencie najchętniej zerwałbym te grube zasłony i wybił okno; potem zrzuciłbym z Fiore wszystko, co na sobie miała, obsypał jej ciało pocałunkami i kochalibyśmy się otwarcie, jawnie, na oczach całego świata, a cały świat słyszałby naszą rozkosz, wszyscy mężczyźni w Dżiddzie dowiedzieliby się, że moja kobieta nie jest niema.

Otworzyłem z powrotem album ze zdjęciami, próbując skupić się na tyle, żeby przeczytać wstęp do niego, ale moje rozszalałe myśli nie pozwoliły się uciszyć; wszelkie wysiłki podburzały je tylko do tym za-cieklejszego buntu. Zerknąłem z ukosa na Fiore, zaczytaną w „Sezonie emigracji na północ” Saliha. Dotarło do mnie, że po prostu nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie prawdy.

I w tym cała tragedia, pomyślałem. Kiedy Fiore wychodzi na ulicę, jej urodę skrywa kawał tkaniny, a w domu jej wiedza i inteligencja zamykają się w czterech ścianach pokoju. Jej olbrzymie zalety są przez cały czas niewidoczne.

Wiedziałem, że jesteśmy sami w domu, bo jej ojciec wybrał się na zakupy do galerii handlowej, więc krzyknąłem na cały głos:

- Jaki jest sens twojego życia?!

- Słucham? - Usiadła na łóżku, patrząc na mnie z zaskoczeniem.

Odwróciłem wzrok bez słowa.

- Przepraszam - powiedziałem po chwili. Fiore wstała.

- Idź już - poprosiła cichym głosem. - Chcę zostać sama. Podeszła do okna i odchyliła nieco zasłonę, wpuszczając do pokoju odrobinę światła.

- Dlaczego? - zapytałem. - Przecież cię przeprosiłem. To mi się tylko tak wyrwało.

- Źle się czuję.

- Chcę być z tobą. Nie chcę wychodzić - upierałem się. - Dlaczego tak cię zdenerwowało to, co powiedziałem?

- Jesteś czasem strasznie naiwny - odparła spokojnym głosem, ale takiego tonu jeszcze nigdy u niej nie słyszałem; pobrzmiwała w nim lekka nuta złości. - Proszę, zostaw mnie teraz samą.

Ale ja byłem niewzruszony.

- Dlaczego mówisz, że jestem naiwny?

Zamiast mi to wyjaśnić, potrząsnęła tylko głową, jakby chciała powiedzieć, że i tak tego nie zrozumie. Przez chwilę już chciałem odejść i zostawić ją samą w jej zamkniętym świecie, ale potem zrobiłem coś całkiem odwrotnego.

- A co ze mną? - rzuciłem jej w oczy pytanie, chociaż nie miałem wcale pewności, czy jest naprawdę skierowane do niej. Zresztą i tak nie czekałem na odpowiedź. - Dość mam już życia w tym kraju - oznajmiłem. - Jestem zmęczony. Zmęczony, bo czuję, że wszyscy siedzimy tutaj jak w więzieniu.

A przy kolejnym pytaniu opuściłem głowę, jakbym bał się je zadać:

- Fiore, a ty? Nie jesteś zmęczona tym życiem?

Cisza. Odwróciłem głowę. Fiore nadal stała przy oknie, wyglądając na ulicę. Miała zmarszczone czoło i lekko komiczną minę, jakby szukała w myśli odpowiedzi na zagadkę ze zgadywanki, ale za nic nie mogła jej znaleźć.

W końcu drgnęła i znów podeszła do biurka stojącego naprzeciwko łóżka. Zamarła przy nim w kompletnej ciszy. Po raz pierwszy od czasu naszych wczesnych spotkań poczułem między nami tego rodzaju napięcie. Czyżbym posunął się za daleko? A może pomyliłem się, sądząc, że możemy rozmawiać o wszystkim i że wszystko jest dla nas osiągalne? Może pewne sprawy Fiore wolała załatwiać na własną rękę; może trzeba było posłuchać, kiedy prosiła, żebym zostawił ją samą.

Ale zamiast wyjść jak najszybciej, usiadłem z powrotem na skraju jej łóżka i oznajmiłem dobitnie:

- Fiore, muszę wiedzieć, co myślisz. Bo ostatecznie w tej chwili jesteśmy razem, nawet jeśli całe życie podążaliśmy odrębnymi ścieżkami. Teraz, gdy się przecięły i zdołaliśmy się odnaleźć, musimy ze sobą rozmawiać. Jesteś moją miłością i to, co myślisz, jest dla mnie bardzo ważne.

Spojrzała mi przenikliwie w oczy, po czym usiadła obok biurka, na krześle. Naciskałem dalej, usiłując przerwać jej milczenie.

- Przecież nie może być tak, że nie masz nic do powiedzenia. Cisza.

Ten uporczywy brak odpowiedzi przekonał mnie ostatecznie, że czas się pożegnać. Zakryłem twarz kwefem. Wstając z łóżka, pochwyciłem spojrzenie Fiore. Przyglądała mi się bez śladu emocji. Jej piękne rzęsy nie opadły choćby o milimetr, niczym nie zdradzały smutku, który -byłem o tym przekonany - ścisnął w tej chwili jej serce. Jej usta nawet nie drgnęły pod naporem rozszalałej burzy moich uczuć. Nie zwiesiła nawet ramion; przeciwnie, siedziała sztywno wyprostowana.

Potrząsnąłem głową z irytacją.

- Co się z tobą dzieje, Fiore? Nawet się nie rozplaczesz?

- A czy łzy mi pomogą? - zapytała spokojnym głosem. - Wylałam ich już tyle, że powinnam się dawno utopić. Łzy nigdy niczego nie zmieniły.

Spojrzałem na nią i znów potrząsnąłem głową. Gdybym tylko umiał wyrazić, co o niej myślę! Mógłbym żyć tysiąc lat, a nie spotkałbym drugiej takiej osoby. To ona dała mi odwagę, żebym ośmielił się posmakować życia, które zawsze wydawało mi się całkowicie niedostępne. Przeląła we mnie swoją siłę; każdy z jej listów był jak jedna kropla.

Postanowiłem odpowiedzieć prowokacją na prowokację.

- Dość już twojego milczenia - powiedziałem. - Nie masz głosu na ulicy, to prawda, ale teraz nawet w domu jesteś jak cień samej siebie. Jak długo jeszcze?

Nagle w jej oczach wezbrały łzy, ale z czystego uporu nie pozwoliła im płynąć. Poza tym nie doczekałem się żadnej innej reakcji, podszedłem więc do krzesła i sięgnąłem po jej dłoń.

Wtedy zerwała się na równe nogi i wykrzyknęła wściekłym głosem:

- Chcesz mnie wyzwolić, tak? Otworzyć klatkę i wypuścić jak karnarka?

- Nie. Chcę, żebyś chodziła po ulicach, bo nasze ulice bez ciebie tracą cały swój kolor. Bo nasze dni bez ciebie tracą wszelkie znaczenie. Ale skoro już pytasz o wyzwolenie, to powiem ci, co myślę. Jesteś całym moim szczęściem na tym świecie, więc owszem, kochana: twoja wolność to moja wolność.

Umilkłem. Fiore odsunęła się ode mnie i wróciła do okna.

Odezwała się dopiero po długiej chwili milczenia.

- To jest moje okno na świat - powiedziała. - Kiedy byłam młodsza, z całą pewnością marzyłam o tym samym co ty. I trudno się dziwić: przecież do pewnego wieku byliśmy równi we wszystkim. Potem jednak pokierowano mną w inną stronę, ku innemu życiu. Z tym że ja nie chciałam rozstawać się z dzieciństwem. Wyciągnęłam ręce, zakrzywiając palce niczym szpony, aby trzymać się kurczowo tej dawnej swobody. Zaczęłam już marzyć, zdążyłam nawet wymyślić sobie, co bym chciała robić, aby być w życiu szczęśliwą. Ale musiałam porzucić te plany; moje zdanie nikogo nie obchodziło. Czułam, że jakaś siła ciągnie mnie za nogi, ale zakrwawionymi palcami trzymałam się, jak mogłam, strzępów przeszłości. Zmuszono mnie, żebym wkroczyła w ten nowy świat, gdzie muszę chodzić cała na czarno, jak wdowa opłakująca własne życie, które utraciła na zawsze.

Opadłam na skraj łóżka.

- Naser - zapytała Fiore - co ja mam w sobie takiego, że mężczyzna na mój widok musi zapłonąć występłą żądzą? Z jakiej racji mam się przejmować, czy on skończy w niebie czy w piekle, dlaczego muszę cierpieć przez jego słabość? Jestem tylko kobietą, kobietą, która chce być wolna.

Urwała. Wstałam z łóżka i podszedłam do niej. Oparła się o framugę okna. - *Habibi*, kiedy kłócę się z ojcem o to, w jaki sposób kieruje moim życiem, on odpowiada mi tylko, że muszę być posłuszna, bo tego właśnie chce ode mnie Allah i że otrzymam za to nagrodę w niebie. Dawno temu wierzyłam w to, nawet kiedy co do pewnych spraw, o których mówił mi ojciec, nachodziły mnie wątpliwości. Ale później te wątpliwości urosły do takich rozmiarów, że musiałam poszukać odpowiedzi. Wszystkie książki, które mieliśmy w szkole, przyznawały rację mojemu ojcu, postanowiłam więc zapytać jedną z nauczycielek o to, jak ma wyglądać moja rola w życiu. Dostałam od niej taśmę z naukami niewidomego imama. Jej tytuł brzmiał: „Rola dobrej muzułmanki w naszym społeczeństwie”. Po przesłuchaniu przestraszyłam się własnej śmiałości. Miałam czelność zadać pytanie, a przecież imam obiecał zemstę Allaha wszystkim tym, którzy kwestionują określone przez Niego reguły! Ale następnego dnia rano obudziłam się dręczona tymi samymi wątpliwościami. Nie powstrzymało mnie to, co usłyszałam.

Fiore zawiesiła głos, uśmiechając się łagodnie na wspomnienie tamtej chwili.

- Potem - podjęła - na naszej uczelni pojawiła się nowa nauczycielka literatury arabskiej, ta, o której ci opowiadałam. Przyjechała z Mekki i dobiegała czterdziestki. Ciągnęło mnie do niej, ponieważ w jej twarzy wyczytałam życzliwość, odwagę i inteligencję. I tak pewnego dnia po lekcji ośmieliłam się zapytać ją o to, co chodziło mi po głowie. Wtedy ona wzięła mnie na stronę i szepnęła: „Dociekliwość to wspaniała rzecz”. A następnego dnia przyniosła mi trzy książki. To był pierwszy z wielu prezentów, jakie od niej dostałam: zbiory poezji i opowiadań różnych egipskich autorów. Ale najbardziej lubię powieść, którą dała mi prawie rok temu, zaledwie kilka dni przed tym, jak przeniesiono ją na inną uczelnię, z powrotem do Mekki. To były „Dzieci Gabalawiego” Nadżiba Mahfuz.

Fiore znów zawiesiła głos, po czym otarła łzy i dodała, zaciskając zęby:

- W książce znalazłam kartkę od swojej nauczycielki. Napisała na niej: „Życie jest piękne. Nie oddawaj go nikomu”. Z tego okna, zza tej zasłony, codziennie widzę życie, o którym marzę. Nie raz i nie dwa próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda życie mężczyzny. Musi ono być pełne wyzwania. Wystarczy mi pomyśleć o tym, że możecie ścigać swoje marzenia, a już wam zazdroszczę.

Odwróciła się do mnie.

- Naser, przekonałam się już, że życie, jakiego pragnę, czeka na mnie w innym kraju. Chcę wyjechać do Egiptu albo do Libanu. Życie jest za krótkie, aby spędzać je wśród książek; poświęciłam im już dość czasu. Nie wiem, niestety, jak można stąd uciec, ale wyjechałabym nawet do ojczyzny mojego ojca, chociaż wciąż szaleje tam wojna.

Słuchałem cichego, łagodnego oddechu Fiore, patrząc, jak jej oczy znów wypełniają się łzami.

Chodźmy na spacer - zaproponowałem kilka godzin później, sadzając sobie Fiore na kolanach. - Przedstawię ci swoich przyjaciół.

Objęła mnie rękami za szyję.

- Naser - westchnęła - wiesz, jak bardzo bym chciała poznać twoich znajomych, podać im rękę, porozmawiać, pośmiać się razem. Tylko że...

- Przecież to najnormalniejsza rzecz pod słońcem, że przedstawiam przyjaciołom kobietę, którą kocham i szanuję. Tak czy nie? - zapytałem.

- Dobrze wiesz, że to niemożliwe.

- Nie przejmuj się. Założę kwef i pójdziemy razem. Pokażę ci ich z daleka. Przynajmniej będziesz wiedziała, z kim się kumpluję. Na Al-laha, w końcu przecież jesteś miłością mojego życia.

- Naser, kompletnie ci odbiło. - Na jej ponurej twarzy zajaśniał uśmiech.

- Najpierw poznasz Jahję - poinformowałem Fiore po wyjściu na ulicę An-Nuzla. Szliśmy pod rękę, okryci abajami.

- Dlaczego? - zapytała, chwytając mnie za dłoń w rękawiczce.

- Bo jego wszędzie jest pełno. Obwozi swoich chłopców po całej okolicy, żeby się nimi pochwalić.

Fiore roześmiała się; nie mogłem zobaczyć jej twarzy, ale znałem ją na tyle, żeby się domyślić łagodnego uśmiechu, który towarzyszył temu dźwiękowi.

Doszliśmy aż do supermarketu na ulicy An-Nuzla, tuż obok restauracji Džasima, ale Jahja jakby zapadł się pod ziemię.

Dostrzegłem go dopiero w drodze powrotnej. Wychodził z piekarni.

- To on, tam. - Pokazałem palcem.

- Opuść rękę, *habibi*, proszę cię.

Obok Jahji szedł chłopak, którego nigdy jeszcze z nim nie widziałem; trzymali się za ręce. Drugą dłonią Jahja przyciskał do piersi dwie torby pełne libańskiego pieczywa. Był ubrany w T-shirt i maszerował z wypiętą klata, przeżąc mięśnie na każdym kroku.

- Miło cię poznać, Jahja - szepnęła Fiore, kiedy nas mijał.

Stanęliśmy przed sklepem naprzeciwko restauracji Dżasima. Już dawno temu opowiedziałem Fiore, jak Dżasim pomógł mi w potrzebie i wziął do siebie na kelnera, ale o tym, co się działo na zapleczu, w pokoju z lustrem na suficie, nie pisałem ani słowem. Za bardzo się bałem, co Fiore sobie o mnie pomyśli. Żywiłem jednak nadzieję, że pewnego dnia będę mógł jej wyznać całą prawdę; może wtedy, gdy oboje odnajdziemy już spokój w życiu i nie będziemy musieli bez przerwy oglądać się przez ramię, żeby chronić naszą tajemnicę.

Pokazałem jej Dżasima; siedział ze swoim przyjacielem Omarem przy stoliku wystawionym na ulicę. Fiore powiedziała, że marzy o tym, aby podejść i podziękować mu za to, że mnie przygarnął, kiedy musiałem wyprowadzić się od wuja.

Zachichotała, zauważywszy, jak Omar, swoim zwyczajem, nawija bez przerwy.

Ścisnąłem ją delikatnie za rękę.

- Poszukajmy Haniego.

- Nie mogę się doczekać, aż go zobaczę - przyznała się. - Czy to naprawdę najsilniejszy facet w całej An-Nuzli?

- Nie, najsilniejszy jest Jahja. Ale Hani to największy romantyk. Poeta. Gdyby trochę poćwiczył, zakasowałby samego Antarę ibn Szaddada. Ale najlepsze w nim jest to, że... - Urwałem, unosząc szybko rękę. - Patrz, tam jest! Po drugiej stronie ulicy, przed libańską jadłodajnią. Je szawarmę.

- Nie pokazuj palcem, Naser, bo będzie z nami źle - szepnęła.

- Wygląda w porządku - powiedziała, przyjrzawszy się Haniemu - ale kto to jest ten obok niego, ten tak jaskrawo ubrany?

- To Fahd, jego kuzyn. Przyjechał z Rijadu. Będzie tu tylko kilka miesięcy. Zaczekaj, mam pomysł.

- Naser, nie szalej. Co chcesz zrobić?

- Zaraz zobaczysz. To tylko żart. Znalazłem w kieszeni kartkę papieru. Masz coś do pisania?

Podawała mi długopis. Rozejrzałem się, a kiedy byłem już absolutnie pewny, że nikt nas nie obserwuje, wyjąłem kartkę z kieszeni i szybko wypisałem na niej jedno zdanie do Fahda: „Jak pięknie, kolorowo się ubierasz, mój przystojny chłopcze”.

Zmiałem papier w dłoni i ruszyliśmy w stronę moich znajomych.

- Oszalałeś - szepnęła Fiore. - Przecież ten biedak pomyśli, że naprawdę wpadł w oko jakiejś dziewczynie.

Kiedy byliśmy już całkiem blisko, zwolniliśmy nieco. Fahd wycierał swoje ciemne okulary z kurzu.

W momencie, gdy upuściłem kartkę na ziemię, Hani i jego kuzyn błyskawicznie rzucili się, żeby ją podnieść, jak dwa głodne gołębie za ziarenkiem kukurydzy. Ja ganiałem tak samo za listami od Fiore. Widząc to, moja dziewczyna w różowych butach uszczypnęła mnie mocno.

- Zobacz, co narobiłeś - syknęła.

Bitwę o liścik wygrał Hani, ale szybko oddał kartkę kuzynowi.

- Fahd ma ładny uśmiech, przyjrzyj się - powiedziałem do Fiore. Twarz chłopaka z Rijadu pojaśniała w jednej chwili. Zaśmiał się, potrząsając z niedowierzaniem głową. Spojrzeli po sobie razem z Hanim i obaj klasnęli w dłonie, śmiejąc się w głos.

- A teraz pójdziemy poszukać mojego najdroższego przyjaciela Hilala - oznajmiłem, promieniejąc ze szczęścia.

Opowiadałem jej o nim nieraz; w końcu to on załatwił nam wyjazd na plażę dla cudzoziemców. Gdyby nie Hilal, być może nigdy nie spotkalibyśmy się twarzą w twarz.

Fiore zaśmiała się, widząc Hilala komenderującego grupą ludzi wyładowujących meble z furgonetki, zajadle wymachującego rękami i kuśtykającego dookoła nich.

- Co on robi? Przeprowadza się? - zapytała.

- Nie. Za kilka tygodni z Port Sudan przyjeżdża jego żona.

- Mam nadzieję, że ją kiedyś poznam - westchnęła.

A po chwili poprosiła:

- *Habibi*, chodźmy już. Chyba zbiera się na deszcz. Co ta pogoda wyprawia w tym roku?

- Lubię spacerować w deszczu - odparłem. - Pójdziemy na ulicę Mekkańską? Proszę.

Pociągnąłem Fiore za rękę i pomknęliśmy, zostawiając za sobą Hilala i ludzi od przeprowadzki.

Kiedy szliśmy w kierunku ulicy Mekkańskiej, nagle gdzieś za nami zaryczał silnik pędzącego samochodu. Ten dźwięk brzmiał znajomo. Obejrzałem się: czarny džip właśnie zaczął hamować. Spojrzałem na Fiore. Chwyciliśmy się za rękę.

- Chodźmy szybciej - powiedziałem.

- Nie - odszepnęła. - Zachowujemy się spokojnie. I nie odzywaj się, bo usłyszą twój głos.

Zacisnęliśmy kurczowo palce w mokrych od potu rękawiczkach.

Dżip był coraz bliżej; jego silnik pracował już na wolniejszych obrotach i nie robił aż tyle hałasu. Dlaczego zwalniają akurat obok nas? Czyżby Basil mnie poznał w kobiecym przebraniu? Takie pytania przemknęły mi przez głowę. Przypomniałem sobie, że przecież widział, jak wychodziłem ze sklepu, niosąc w torbach nowe nabytki: kwef i damskie buty. Ale nie, nie mógł zobaczyć, co w nich mam. Tego byłem pewien. Więc może złapali już kiedyś faceta w abai? Może policja religijna dostała rozkaz zatrzymywania dziewcząt trzymających się za rękę i sprawdzania, czy któraś z nich nie jest przypadkiem przebrany mężczyzną? Puściłem dłoń Fiore, ale ona natychmiast złapała moją z powrotem i ścisnęła mocno. Puść mnie, chciałem powiedzieć, ale bałem się odezwać. Mogli mnie usłyszeć. Wyrwałem rękę z jej dłoni; tym razem dała za wygraną.

Pod moim kwefem zaległa gęsta ciemność. Było mi gorąco i duszno, jakby ktoś mnie zamknął w windzie, nieoświetlonej i bez dostępu powietrza. Chciałem krzyczeć, wzywać pomocy, zerwać z twarzy kwef i uciekać, uciekać tam, gdzie jest czym oddychać.

Nagle uszy przeszyło mi głośnie trzaśnięcie. Odruchowo odwróciłem głowę w stronę czarnego džipa, który przed chwilą rozjechał butelkę, miażdżąc ją na tysiąc kawałków. Obok kierowcy dostrzegłem Basila -

i w tym momencie o maty włos nie wyciągnąłem się jak długi, trafiwszy nogą na jakiś mokry śmieć.

- Naser, w imię Allana, uważaj - syknęła Fiore.

Odzyskałem równowagę, a dżip nagle przyspieszył, minął nas i zaparkował kilka metrów dalej. Jego silnik zgasł. Dlaczego się zatrzymali? Czekają na nas? Z samochodu wysiadł Basil. Stał obok drzwi. Pod pachą miał kij.

- Zawróćmy - powiedziałem do Fiore.

- Nie. Jeśli czegoś się domyślają, to w ten sposób tylko potwierdzimy ich podejrzenia. Idziemy dalej.

- *JaAllah*, błagam, pomóż nam - wymamrotałem pod nosem modlitwę.

I tak szliśmy powoli, niczym para jeleni maszerująca prosto w pułapkę zastawioną przez wytrawnych myśliwych. Droga powrotna była odcięta - za nami mogły czaić się inni, lwy jeszcze bardziej zajadłe niż policja religijna. Nie było dla nas żadnej drogi ucieczki.

Przyszło mi gorzko żałować, że wtedy w parku nie dałem Basilowi tego, czego chciał. Gdybym to zrobił, mogłoby przecież skończyć się nawet tak, że wróciłby do ulicznego życia, uznawszy, że po czymś takim nie może dłużej kręcić się wokół imama. A wtedy nie miałbym na karku policji religijnej. Przyszło mi jednak do głowy, że teraz - być może - dostanę drugą szansę na to, żeby się go pozbyć; przypomniałem sobie, że mamy się spotkać nocą w parku.

Obok Basila stanął Hamid. Obaj zagrodzili nam drogę. Czy zauważą różowe buty Fiore? Uznają je za niedopuszczalne na planie tego czarno-białego filmu i zabiorą mi moją *habibati* na zawsze?

Doszliśmy do miejsca, gdzie stali Hamid i Basil. Rozstąpili się, żeby nas przepuścić. Mijając Basila, wstrzymałem oddech, a on, kiedy się odwracał, upuścił swój kij na chodnik, tuż przede mną. Bardzo żałowałem, że nie mogę na niego nadepnąć i połamać; musiałem zatrzymać się w miejscu, żeby nie wpaść na Basila, który przyklęknął, żeby podnieść zgubę. Fiore była już dalej. Wpadłem w pułapkę.

Po mojej lewej ręce stał Hamid. Tymczasem Basil grzebał się z podnoszeniem tego swojego kija jak mucha w smole. Myślałem, że już nigdy nie wstanie. Może zagląda! mi pod abaję, żeby sprawdzić, czy słusznie podejrzewał, że ma przed sobą mężczyznę? Za nic nie mogłem sobie przypomnieć, czy moja szata jest na tyle długa, żeby zasłonić dresy, które miałem pod spodem.

Opuściłem głowę, spoglądając w dół.

Basil wyprostował się i, wciąż w tym samym ślimaczym tempie, odwrócił się, schodząc mi z drogi.

Kwef przylgnął do moich gwałtownie łapiących powietrze ust, oblepiając mokrą od potu twarz.

Dogoniłem Fiore, zrównałem się z nią.

Skręciliśmy bez przeszkód w ulicę Mekkańską.

Czułem, że dłużej tego nie zniosę. Basil bez przerwy kręcił się po okolicy. Ile jeszcze potrzeba takich bliskich spotkań, żeby wreszcie wywęszył, co się święci, i odebrał mi moją jedyną miłość? Do tej pory szczęście mi dopisywało, ale to przecież nie mogło trwać wiecznie. Należało działać, zanim zostanę zmuszony do konfrontacji twarzą w twarz z tym człowiekiem.

Ulica An-Nuzla była za ciasna dla nas dwóch. Musiałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby ostatecznie rozstrzygnąć ten konflikt.

Najlepszym wyjściem byłoby wyjechać z Dżiddy. Rozmawiałem już o tym z Fiore, kiedy spacerowaliśmy po Corniche i siedzieliśmy na ławce z widokiem na morze.

Nawet gdyby nie zagrażał mi Basil, to jak mogła wyglądać nasza przyszłość w tym mieście? Wszystkim zarządzili mężczyźni. Mężczyźni posiadali i prowadzili sklepy, jeździli samochodami, obsługiwali biura, urzędy i banki; mężczyzną był każdy minister. Zapytałem Fiore, czy widzi dla siebie miejsce w takim systemie. Dla mnie zresztą też go nie było. Wszystko co najlepsze było zarezerwowane dla Saudyjczyków. Uniwersytety - zamknięte przed cudzoziemcami. Dochodowe posady - dla Saudyjczyków. Nawet godność była ich wyłącznym przywilejem.

Fiore powiedziała kiedyś, że chciałaby zamieszkać w Egipcie albo w Libanie. I teraz, gdy tak szliśmy wzdłuż wiaduktu prowadzącego na ulicę Mekkańską, powiedziałem jej, że trzeba skończyć z mrzonkami i zamiast marzyć o wyjeździe, wziąć się w garść i wyjechać na serio. Opowiedziałem jej też wszystko o Basilu, o tym, co się stało w parku, i o tym, co musiałem przejść, żeby zwerbować ślepego imama, aby służył naszej sprawie jako posłaniec miłości. Zrobiłem to, żeby ukazać jej powagę sytuacji.

- Dziś w nocy mam się z nim spotkać w parku. On przyjdzie po seks, Fiore - powiedziałem bez ogródek.

- Co takiego? *Ja Allan...*

- Wiem, że życie kobiety w tym kraju jest ciężkie. Mogę cię jednak zapewnić, że dla chłopaka o odpowiednim wyglądzie...

-Ja wcale...

- Nie chcę rozmawiać o tym, co mnie spotkało. Opowiedziałem ci o Basilu, bo chcę, żebyś mi pomogła wymyślić, jak mam się go pozbyć. Sam nie dam już rady. A chcę, żebyśmy mogli stąd uciec.

- *Habibi*, nigdy cię za to nie potępię. *JaAllah*, Naser... Żal mi ciebie... Bardzo ci współczuję.

- Oboje zostaliśmy skrzywdzeni, w różny sposób. Pomóżmy sobie teraz nawzajem i uciekajmy stąd. Kiedy znajdziemy się w jakimś bezpiecznym miejscu, będziemy mieli całe życie na gojenie ran. Fiore, ja już nie mogę dłużej tak żyć. Zobacz sama: za każdym razem, kiedy widzimy patrol policji religijnej, umieramy ze strachu. Musimy podjąć decyzję, i to szybko. Bo w przeciwnym razie Basil zadecyduje za nas.

Fiore umilkła i przez jakiś czas nie odzywała się ani słowem.

A ja zastanawiałem się, dlaczego milczy. Być może nie kochała mnie aż tak, żeby naprawdę wyjechać z Dżiddy i zacząć realizować nasze marzenia. A może uważała mnie za zwykłego młodego buntownika, takiego, jakich wielu, albo po prostu nie była gotowa na tak poważny życiowy krok. Ale ja nie mogłem teraz się jej wyrzec. Za bardzo ją kochałem.

Szliśmy ręką w rękę ulicą Mekkańską, pełną wysokich palm i jasnych latarni.

- Fiore - przerwałem ciszę - spójrz na nas. Mamy dopiero po dwadzieścia lat, a już praktycznie zdążyliśmy wycofać się z życia, które w innych krajach, jak mówią, zaczyna się właśnie w tym wieku. Kiedy stąd wyjedziemy, znikną bariery dla naszej miłości, a my będziemy mogli skoncentrować się na życiu, zamiast marnować czas i siły na wymyślanie forteli pozwalających uniknąć aresztowania za to, że chcieliśmy spędzić razem trochę czasu.

Wreszcie Fiore się odezwała:

- Naser, mówiłam ci już wiele razy, że chcę wyjechać, ale to jest najzwyczajniej na świecie niemożliwe. Nie mam żadnych własnych pieniędzy. Nie mam paszportu. W jaki sposób miałabym stąd uciec?

Wziąłem ją za rękę. - Wiem, w jaki sposób.

Szliśmy dalej, a ja przedstawiłem jej swój plan. Moglibyśmy pojechać do Europy, tak jak Harun, służący mojego kafilu, o którym opowiadał mi Hilal; Haruna wywiózł do Niemiec jakiś biznesmen, a ja wiedziałem, gdzie można dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Ale Fiore nie martwiła się tym, że ma opuścić Dżiddę; ona chciała jechać do Kairu, nie do Europy. Niezależnie jednak od celu podróży musiałyby ją odbyć na czarno, ponieważ nie miała paszportu, a żeby go wyrobić, potrzebna była zgoda jej ojca.

Nagle wyszeptała:

- Boję się, Naser. Jak ja zostawię mamę samą? - Uścisnąłem jej dłoń w rękawiczce.

- Nie bój się, kochana. Pożegnania zawsze wiążą się ze smutkiem, ale przecież ja będę z tobą. Razem będzie nam łatwiej.

I opowiedziałem jej o tym, jak kiedyś przez długi czas mocowałem się w myślach z pytaniem: jak to możliwe, żeby matka z własnej woli rozstała się z dziećmi, którym wyznaje bezgraniczną miłość? Powoli, bardzo powoli uzmysłowiłem sobie, że sedno rodzicielskiej odpowiedzialności tkwi w tym, aby zapewnić swoim dzieciom jak najlepsze warunki do życia, zrobić to, co będzie dla nich najlepsze. Zrozumiałem, że to właśnie z miłości do mnie i Ibrahima moja matka oddała przemytnikom wszystko, co miała, w zamian za to, aby wywieźli nas na swoich wielbłądach z Erytrei - a sama została w wiosce dzień i noc zagrożonej bombardowaniem. Chciała, żebyśmy znaleźli sobie inne miejsce do życia, bojąc się, że jeśli zostaniemy w domu, nasze życie może szybko się skończyć. Jak mógłbym nie podziwiać matki za to, że zgodziła się ponieść tę najwyższą ofiarę? Matka Fiore, byłem tego całkowicie pewien, również by to zrozumiała, wiedząc, że córka opuściła ją w poszukiwaniu lepszego życia dla siebie.

Wróciliśmy do jej domu. Nasze abaje i kwefy ociekały deszczówką, która sączyła się nam do ust przez czarną tkaninę, niczym herbata z zaparzaczką.

Gdy znaleźliśmy się w pokoju, uścisnąłem Fiore szybko, chwyciłem za rękę, przyciągnąłem do siebie. Wiedziałem doskonale, jak się teraz czuje moja dziewczyna w różowych butach. Ale nadszedł czas, aby odsunąć od siebie uczucia. Najpierw należało rozprawić się z Basilem. Nasz plan był niemożliwy do zrealizowania, gdyby ten człowiek dalej bez przerwy węszył wokół mnie. Bo co bym zrobił w razie kolejnego nalotu na moje mieszkanie? W jaki sposób wyłgałbym się z zakazanych książek, kwefu, kobiecych butów, skarpetek i rękawiczek? A z drugiej strony - jak miałem dostać się do domu Fiore bez abai?

Wyruszyłem na ulicę An-Nuzła, wypatrując czarnego dżipa. Znalazłem go bez wielkiego trudu: parkował kilka przecznic od wielkiego meczetu.

Rozejrzałem się w obie strony, daleko w perspektywie ulicy dostrzegając ślepego imama. Nowy chłopak-przewodnik prowadził go do domu; było już po ostatniej przedwieczornej modlitwie. Zaciekało mnie, kim jest ten chłopak: autentycznym *mutawwa*, a może, tak jak ja, kochankiem w rozpaczliwej potrzebie, nieszczęśnikiem, który zapalał miłością do jakiejś dziewczyny z uczelni, gdzie wykłada imam? To wcale niewykluczone, pomyślałem. Ulica An-Nuzła musi być pełna niespełnionych kochanków.

Odetchnąwszy głęboko, zrobiłem kilkanaście kroków, stając pod swoją palmą, rosnącą naprzeciwko domu, gdzie kiedyś mieszkałem z wujem i bratem. Ostatnimi czasy zapominałem o niej i przestałem ją podlewać; w moim sercu nie było miejsca dla nikogo oprócz Fiore. Pyszna liściasta korona drzewa była teraz sucha i bez życia. Położyłem dłoń na pniu, wspominając, jak kiedyś przyprowadzałem tutaj Ibrahima. Siadaliśmy sobie w cieniu tej palmy, a ja opowiadałem mu o naszej matce. To było miejsce, gdzie mogłem ją wspominać bez obawy, że rozgniewam wuja, który w domu zabraniał nawet wymawiać imienia swojej siostry.

Minęło już pięć lat, odkąd wuj wywiózł mojego brata do Rijadu. Ciekawe, czy poznałbym dziś Ibrahima na ulicy. Czy został *mutawwa*, tak jak życzył sobie nasz opiekun? Czy wciąż jeszcze uważał mnie za brata, pomimo że w oczach wuja byłem odszczepieńcem?

Wyprostowałem się, wsuwając dłonie do kieszeni i spoglądając w stronę czarnego dżipa. Obok niego stał Basil, a Hamid właśnie wysiadł z samochodu i zniknął za drzwiami sklepu Jemeńczyka. Przeciąłem jezdnię, podchodząc do Basila.

- Co jest? Mów, tylko szybko - powiedział, zauważywszy mnie. - Nie chcę, żeby Hamid się zastanawiał, po co rozmawiam ze zdrajcą wiary.

Ja zdrajcą wiary. Najchętniej powiedziałbym mu prosto w oczy, jak bardzo brzydzi mnie jego hipokryzja, a tymczasem nie mogłem tego okazać w żaden sposób.

- Jeśli chcesz, żebym przyszedł w nocy do parku - oznajmiłem - będziesz się musiał trochę bardziej postarać.

- Jak to?

- Masz zgolić brodę. - Co?

- Pamiętasz, jak wyglądało twoje życie, zanim nawróciłeś się na właściwą ścieżkę? Przypomnij sobie swoich ślicznych chłopców. Wtedy nie nosiłeś żadnej brody.

- Niczego nie zgolę, a jak nie przyjdiesz, to cię zgarnę i koniec.

- Basil - syknąłem zuchwałym tonem, w rozpaczliwej nadziei, że się nie pomyliłem w swoich rachubach - nic na mnie nie masz. Oskarżysz mnie - a gdzie dowody? Nie boję się ciebie. Nie mam nic do stracenia.

- Przecież wiesz, że nie mogę zgolić brody. Co mam powiedzieć szefowi policji religijnej?

- Wybieraj.

- No dobrze, w porządku - zgodził się. - Zgolę. Bądź w pobliżu parku o jedenastej. Brama będzie już zamknięta. Przeskoczmy przez ogrodzenie.

O umówionej godzinie czekałem pod latarnią po prawej stronie parkowej bramy. Ulicą przemknęły dwa ścigające się samochody. Jechały zderzak w zderzak, a po chwili zniknęły w oddali. Była dokładnie dwudziesta trzecia. Nagle dobiegł mnie warkot motocyklowego silnika. Odwróciłem głowę, ale dostrzegłem tylko ostre światło pojedynczego reflektora, rosnące w oczach.

Hałaśliwa maszyna przepędziła ciszę. Motor zatrzymał się przede mną, zgrzytając hamulcami. Odskoczyłem w tył. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, były stopy obute w sandały. Ponad nimi nie zwisał już rąbek saubu; Basil miał na sobie żółte dresy i biały T-shirt. Twarz -gładka, bez jednego włoska. Patrzyłem na niego w osłupieniu.

- Dobrze, że przyszedłeś - powiedział.

Teraz, kiedy pozbył się brody, widać było wyraźnie pamiątki z poprzedniego życia, których wcześniej nie zauważyłem: potężna blizna po nożu biegnąca w poprzek prawego policzka, podłużne skaleczenie na podbródku. Nic jednak nie zdołało ukryć wygłodniałej żądy, która odbiła się na tej twarzy.

Basil zsiadł z motoru i zaparkował go obok parkowej bramy, po czym odwrócił się, stając przede mną. Patrząc na tego wysokiego chłopaka, który, rozdygotany podnieceniem, wyciągnął do mnie dłoń, zapomniałem na chwilę, że to policjant religijny, mój prześladowca z czarnego dżipa. Pociągnął mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę parku. W oddali zawarczał kolejny nadjeżdżający motocykl.

Dwie godziny później wróciłem do domu. Wziąłem prysznic i położyłem się do łóżka. Usnąłem dopiero nad ranem, przez całą noc obmyślając plan ucieczki z Dżiddy.

Następny dzień - był to czwartek - wstał ciepły i pogodny. Wyszedłem z domu, kierując się do jedynej erytrejskiej restauracji w mieście. Można tam było zasięgnąć najświeższych wiadomości na temat wojny, a także spotkać się z przemytnikiem, bo tam właśnie robili oni swoje interesy.

Niebieskie stoliki były obleżone przez Erytrejczyków. Podeszedłem do kelnera i zagadnąłem go w tigrinia, a on wskazał mi mężczyznę siedzącego w głębi sali, ubranego w dwuczęściowy garnitur ozdobiony erytrejską gabi, białą bawełnianą chustą udrapowaną na prawym ramieniu. Jego włosy i wąsy były równie białe jak ta gabi. Zauważył, że kelner pokazał mi go, a kiedy podeszedłem do jego stolika, wyciągnął rękę na powitanie. Razem z nim siedział jeszcze jeden mężczyzna.

- *As-salamu alajkum* - przywitałem się.

- *Wa alajkum as-salam* - odpowiedzieli jednym głosem.

- Usiądź, synu - zaprosił mnie ten noszący gabi. - Jak się nazywasz?

- Naser.

- Ja jestem Hadżdż Jusuf, a to Mosa - przedstawił mi swojego łysiejącego towarzysza z czarnym sumiastym wąsem.

Przysunąłem sobie krzesło.

- Jak się miewasz? - zapytał Hadżdż Jusuf, zanim jeszcze usiadłem.

- *Alhamdulillah.*

- Czas się stąd zbierać, co? , Skinąłem twierdząco głową.

- Nie martw się, synu. Jak rzecze Allah: jest czas kłopotów, a po nim nadchodzi czas beztroski. Dokąd chcesz jechać?

- Wszystko jedno -wzruszyłem ramionami. - Chcę się stąd wyrwać. Nie mogę wrócić do Erytrei, więc odpowiada mi każdy bezpieczny kraj, byle daleko.

- Coś wymyślimy. Będzie dobrze - zapewnił mnie, poprawiając chustę na ramieniu. Zauważyłem siateczkę zmarszczek na jego twarzy i gazetę w języku tigrinia, leżącą obok niego. - Proszę, pamiętaj o tym młodzieńcu w swoich modlitwach - zwróci! się do Mosy. - Zawsze mnie boli, gdy widzę człowieka, który musiał porzucić swój kraj, a potem przedłużyć to wygnanie i uciec jeszcze dalej. Ale cóż, wola Allaha! Taki los On wyznaczy! naszemu synowi Naserowi.

- To nie była wola Allaha - zaprzeczył Mosa stanowczym tonem. - Wybacz mi to, co teraz powiem Ja *Hadżdż*, ale odpowiedzialność ponoszą tutaj ludzie, którzy rządzą tym krajem. - Zawiesił głos na chwilę, po czym mówił dalej: - Znałem dwóch młodych chłopaków. W zeszłym miesiącu złapali ich bez papierów i wsadzili do aresztu. Czekają teraz na deportację, a przecież to jeszcze dzieci JA *Hadżdż*, dzieci uciekające przed wojną. Jak można odsyłać ludzi z powrotem tam, gdzie szaleje wojna, zwłaszcza nieletnich?

- Przecież nie wyślą ich do Erytrei, tylko pewnie do Sudanu - sprzeciwił się Hadżdż Jusuf.

Mosa potrząsnął głową.

- Gdyby mieli paszport ONZ-owski wystawiony w Sudanie, to owszem. Ale oni wyjechali z Erytrei na czarno i przyplłynęli do Dżizanu. Takich ludzi władza odsyła z powrotem tam, skąd przybyli, i to dokładnie w ten sam sposób: na łodzi rybackiej.

Zacisnąłem zęby. Nie pozwolę się nikomu nigdzie wywieźć na żadnej łodzi, postanowiłem.

- Jedź do Europy, synu - poradził mi Mosa. - Ja wysłałem swoje dzieci do Szwecji. Traktują je tam z szacunkiem i rozumieją, jak bardzo cierpią tacy ludzie jak my. Dopóki tutaj coś się nie zmieni na lepsze, możemy liczyć na ich wsparcie i pomoc. W Dżiddzie tylko Saudyjczycy mogą się kształcić, ale w Szwecji wszystkich, w tym moje dzieci, zachęca się do nauki i studiów. *Ja Allah*, sam zobacz, jaka to wielka różnica. Wiem, że tam jest zimno, że doskwiera im samotność, ale przynajmniej nie muszą patrzeć, jak ich ojciec dzień w dzień znosi poniżenia ze strony swojego kafila, który go bije i opluwa, nie muszą drżeć razem z nim ze strachu przed grożącą im na każdym kroku deportacją.

- Możesz nam zaufać, synu - powiedział Hadżdż Jusuf. - Jestem już stary i wiem bardzo dużo. Chcę pomagać rodakom. W tym jest moja radość. Doradzam im i kontaktuję z ludźmi, którzy znajdą dla nich miejsce, gdzie żyje się lepiej.

Każda zmarszczka na twarzy tego człowieka wyglądała tak, jakby mogła opowiedzieć własną historię, a jego życzliwość sprawiła, że poczułem się bezpiecznie i swobodnie. Poinformowałem go więc, nie mówiąc zbyt wiele na temat Fiore, że jest nas dwie osoby i że musimy jak najszybciej wyjechać z Arabii Saudyjskiej.

- Rozumiem, że macie paszporty ONZ - odparł Hadżdż Jusuf.

- Ja tak, ale ona nie ma żadnego paszportu.

Uniósł lekko brew, zrozumiał, że chodzi o kobietę.

- Jak to? - Uśmiechnął się pod nosem. - Bo urodziła się tutaj.

- To nawet lepiej. I taniej - powiedział. - Z saudyjskim paszportem wyjedzie bez żadnego problemu.

Wyjaśniłem, że Fiore jeszcze nigdy nie podróżowała za granicę, a jej ojciec, chociaż urodził się w Arabii Saudyjskiej, bezskutecznie stara się o obywatelstwo.

- Jak oni tak mogą?! - wykrzyknął Mosa. - Jak mogli zapomnieć, że kiedyś sami potrzebowali pomocy innych narodów? A pierwsza hidż-ra, kiedy prorok Mahomet polecił swoim towarzyszom wyemigrować do naszego kraju, uciekać przed prześladowaniem ze strony Kurajszytów, jego własnego plemienia? I czy nasz król, władca Abisynii, nie udzielił

im wtedy azylu, nie dał ziemi, by mieli gdzie pobudować domy, czy nie zapewnił im wszystkiego, czego mogli potrzebować? Przecież nawet żenili się z naszymi córkami, a teraz tak nas traktują.

- Uspokój się - przerwał mu Hadżdż Jusuf. - Nie podsycaj w sercu nienawiści, bo ona jest niczym ogień, który strawi je na popiół. No dobrze, Naser - odwrócił się do mnie - porozmawiajmy o interesach.

- Ile musimy zapłacić, żeby dojechać do Europy? - zapytałem.

- Wszystko zależy od tego, czy dopisze wam szczęście - odparł. - Jeśli w drodze nie napotkacie żadnych trudności, czyli konkretnie: jeśli wykonawca będzie dobry, jeśli załatwi porządnie podrobiony paszport i wizę, która nie wzbudzi niczyich wątpliwości, no i jeśli jego wspólnicy po drugiej stronie nie będą zbyt zachłanni, to koszty zamkną się w granicach dwóch do czterech tysięcy dolarów. Ale czasem się zdarzy, że fałszerz zapomni o jednym maleńkim detalu na stemplu wizowym i wtedy mogą was złapać, zatrzymać albo odesłać na kontrolę do ambasady. Przemysł jako branża jest nieprzewidywalny, a niekiedy wręcz niebezpieczny. Tak więc powinniście być przygotowani, że przyjdzie zapłacić po siedem tysięcy dolarów na głowę.

- Czternaście tysięcy, *jaAllah* - jęknąłem, kryjąc twarz w dłoniach.

- A nie możemy jechać do Egiptu? Tam chyba będzie taniej, co?

Tutaj znów wtrącił się Mosa:

- Synu, Egipt to piękny kraj, ale nie ma możliwości, żeby zadbać o własnych obywateli, nie mówiąc już o emigracji. Egipt otrzymuje pomoc od Ameryki. Do tego wcale nie byłbym taki pewien, że dostaniesz tam azyl.

- Jeśli zdobędę pieniądze, to czy jesteście pewni, że wykonawca mi pomoże? - zapytałem Hadżdża Jusufa, biorąc go za rękę.

- W życiu nic nie jest pewne, synu - odparł - ale jeśli zdobędziesz pieniądze, załatwię z nim wszystko. Bądź jednak gotowy na podróż z przeszkodami. Europa już nie jest taka łatwa jak kiedyś.

- Dziękuję - powiedziałem, całując go w rękę.

Po wyjściu z erytrejskiej restauracji długo krążyłem po okolicy, targany czarną rozpaczą. Spodziewałem się, że będzie taniej, i to znacznie

- kilkaset dolarów, tysiąc kilkaset, ale nie kilka tysięcy! Skąd miałem wziąć tak niebotyczną sumę? Z całych funduszy zostało mi raptem czterysta riali.

Nie znałem nikogo, kto mógłby nam pomóc. Hilal wydał wszystkie oszczędności na sprowadzenie żony z Sudanu i urządzenie nowego domu na jej przyjazd. Fiore nie mogła liczyć na pomoc finansową ze strony matki, bo w ich domu to ojciec zarabiał pieniądze i trzymał na nich rękę.

Najwidoczniej nosiło mnie tak całkiem długo, bo nagle uświadomiłem sobie, że stoję pod galerią handlową, czyli bardzo daleko od erytrejskiej knajpy. Wszedłem do środka i usiadłem obok fontanny, przyglądając się w milczeniu pluskającej wodzie.

Dookoła panowała cisza, tak głęboka, że słychać było wyraźnie szum klimatyzacji. W wyłożonej kafelkami podłodze przeglądał się duży żyrandol wiszący pod sufitem. Potem mój wzrok spoczął na witrynie sklepu z biżuterią i tam już się zatrzymał. Wstałem i powoli, krok za krokiem, podszedłem do szyby. Dłonie wsunąłem do kieszeni. To będzie proste, pomyślałem. Umiem szybko biegać. Znam w okolicy każdą, najmniejszą nawet alejkę. Zniknę, zanim policjanci zdążą w ogóle wsiąść do radiowozów.

Obiecałem Fiore, że mi się uda. To jest jedyna szansa, aby z nią uciec i połączyć się na zawsze. To będzie proste. Bardzo proste.

Ja Allah, błagam, pomóż mi.

Ekspedient stał za przeszkloną ladą i rozmawiał przez telefon. Wszystko dookoła mieniło się złotym blaskiem. Podszedłem do gabloty z zegarkami, wziąłem jeden do ręki. Dwadzieścia tysięcy riali. Dwa wystarczą w zupełności.

- W czym mogę pomóc? - dobiegło mnie z tyłu pytanie.

Przygryzłem wargę, ale ani drgnąłem. Patrzyłem prosto przed siebie. Może lepiej zgarnąć trzy, tak na wszelki wypadek, w razie gdyby wykonawca zrobił się zachłanny.

- Chłopcze, pomoc ci w czymś? - powtórzył sprzedawca. Odwróciłem się powoli, spoglądając mu w oczy. Stał za ladą, przyciskając słuchawkę do ramienia, tak jak podtrzymuje się główkę dziecka.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, bracie - powiedziałem. - Rozglądam się jeszcze. Możesz spokojnie dokończyć rozmowę.

- Oczywiście, proszę bardzo. - Poprawił nakrycie głowy i usiadł, odsłaniając lustro, które znajdowało się za jego plecami.

- Lustro? - wykrzyknąłem.

Oczywiście! Jak mogłem zapomnieć, kto jest moim najlepszym przyjacielem w całej Dżiddzie?

- Dziękuję ci, bracie, że pozwoliłeś mi się rozejrzeć - uśmiechnąłem się do ekspedienta. - Bardzo ci dziękuję.

I wybiegłem z galerii handlowej, żeby złapać autobus, który zawiezie mnie do restauracji Dżasima.

Dżasim był moją ostatnią deską ratunku, a zarazem pierwszą i w ogóle jedyną. Bez pieniędzy od niego nie miałem co marzyć o ucieczce z Dżiddy. Przysiągłem sobie, że nie cofnę się przed niczym, żeby je zdobyć.

Zastałem swojego byłego szefa przy stoliku niedaleko drzwi do kuchni; liczył utarg. Bez słowa chwyciłem go za ramię i pociągnąłem do pokoiku na zapleczu.

- A cóż ci się tak spieszy, mój drogi? - uniósł brwi, zdziwiony. Zamknąłem drzwi.

- Musisz mi pomóc - oznajmiłem, patrząc mu prosto w oczy, ledwie widoczne wśród kłębow papierosowego dymu, który zasłaniał jego twarz.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, ocierając podbródek wierzchem dłoni.

- Dżasim, jeśli ty mi nie pomożesz, to nie mam już nikogo.

- W imię Allaha, Naser, co się stało? - Wyjął z ust papierosa i rzucił go, nie gasząc, prosto na dywan.

- Kiedyś puścisz z dymem cały ten lokal - mruknąłem, przydeptując żarzący się niedopałek.

- Ach, więc jednak się przejmujesz, co ze mną będzie - uśmiechnął się żartobliwie.

Puściłem tę uwagę mimo uszu.

- Dżasim - wziąłem go za rękę - mam nadzieję, że okażesz mi życzliwość i będziesz pamiętał, że nigdy nie usłyszałeś ode mnie słowa skargi na to, co mnie przez ciebie spotkało. W zamian za to proszę cię o pomoc.

- Dla ciebie wszystko, mój drogi - odparł, całując moją dłoń.

- Potrzebuję czterestu tysięcy dolarów - wyrzuciłem z siebie.

- *Ja Allah*, to strasznie dużo. Co ci chodzi po głowie? Chcesz otworzyć własną restaurację i robić mi konkurencję?

- Nie - uspokoiłem go i nie namyślając się dłużej, wyznałem prawdę: - Jadę do Europy.

- To ma być żart, prawda?

- Przysięgam ci, że mówię poważnie - zapewniłem, czując przy tym, jak oczy same otwierają mi się szeroko.

- *Ja Allah*, widzę, widzę. - Dżasim podszedł do łóżka, usiadł. Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego dał mi tylko znak, żebym usiadł obok niego.

- Dżasim?

- Cicho - syknął, opierając się plecami o ścianę. - Dokąd chcesz jechać? - zapytał wreszcie.

- Mówiłem ci, do Europy.

- Tak, ale dokąd konkretnie? Europa to nie jest taki jeden duży kraj. Wzruszyłem ramionami.

- To już zależy od przemytników - odpowiedziałem po chwili milczenia. - Oni będą wiedzieli, który kraj jest najlepszy.

Dżasim westchnął.

- I zażyczyli sobie aż tyle? Czternaście tysięcy dolarów za wywiezienie cię stąd?

- Nie jadę sam.

- Co? - zerwał się z łóżka. - Odnalazłeś brata? - Uściskał mnie wy-lewnie. - Tak się cieszę! Co, miał już dosyć tego waszego wuja, tak?

- Dżasim - szepnąłem - nie jadę z bratem.

- A z kim?

Spojrzałem na niego, zastanawiając się przez chwilę, czy na pewno dobrze robię, mówiąc mu całą prawdę. Wreszcie dokończyłem:

- Z kimś, kogo kocham.

Dżasim splunął w moim kierunku i odwrócił się plecami, siadając z powrotem na łóżku. Potem podniósł na mnie wzrok i zapytał:

- Kto to jest?

Otarłem z koszulki kroplę jego śliny.

- Kto to jest?! - powtórzył, podnosząc głos.

- Zamknij się, na Allaha - zawołałem - i wysłuchaj mnie, Dżasim.

Dlaczego nie dałeś mi czasu, żebym ci wszystko wytłumaczył? Nic nie mów, tylko posłuchaj.

Umilkłem, dysząc ciężko. Dżasim podniósł się z łóżka, stanął ze mną pierś w pierś i zapytał po raz trzeci:

- Gadaj, szybko, kto to jest? Znam go?

- To jest kobieta, Dżasim. Kocham ją i chcę ją zabrać do Europy. Roześmiał się głośno, ale po chwili śmiech nagle zamarł mu w gardle.

Potrząsnął głową i odwrócił wzrok, wydymając wargi. Oczekałem chwilę, po czym znów ująłem go za rękę.

- Dżasim, proszę, pomóż nam. Odepchnął mnie.

- A co z twoim bratem? - wykrzyknął. - Zostawisz go? Przecież nie możesz być aż takim egoistą!

- Mój brat już bardzo dawno temu wybrał wuja i życie z nim. O ile mi wiadomo, są razem szczęśliwi. Nie mam za to pojęcia, gdzie ich szukać, bo ani jeden, ani drugi nie uznał za stosowne mnie o tym powiadomić. Nie pojedę przecież do Rijadu i nie będę chodzić od drzwi do drzwi. Wuj uwielbia Ibrahima. Jestem pewien, że się nim dobrze zaopiekuje.

Dżasim spojrzał na mnie, powoli kręcąc głową. Przygryzł dolną wargę i znowu usiadł na łóżku. Był już trochę spokojniejszy.

- Co to za dziewczyna? *Ja Allah*, skąd ją wytrzasnąłeś? - zagadnął, zakładając nogę na nogę i odpychając na bok poduszkę.

- Przykro mi, ale nie mogę ci tego powiedzieć.

- A to niby dlaczego? - wrzasnął, zrywając się z powrotem i kopiąc pudło stojące obok łóżka.

Patrzyłem spokojnie, jak podchodzi do telewizora i jednym szerokim zamachem zrzuca na podłogę wszystkie kasety wideo, które na nim , leżały. Odwrócił się do mnie, sapiąc ciężko jak zgoniony koń.

- Ach, mój drogi, tak bardzo cię kochałem, ale ty nigdy nie chciałeś tego widzieć. A teraz do tego mnie ranisz. - Poglądził mnie po twarzy, ale szybko odepchnąłem jego dłoń. - Gdzie ją znalazłeś? - powtórzył.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- W takim razie zapomnij o forsie. Idź, myj samochody. Za pięćdziesiąt lat oszczędzisz, ile ci trzeba. Wynoś się stąd. No już, wynoś się i nigdy więcej się nie pokazuj.

Popchnął mnie w stronę drzwi.

- Zostaw, sam pójdę - powiedziałem, zbierając się do wyjścia.

I wtedy wpadł mi w oko jeden z niemieckich świerszczyków Dżasi-ma. Leżał na samym wierzchu pudła stojącego obok łóżka. Uniosłem wzrok, patrząc na lustrzany sufit. A kiedy zamknąłem oczy, momentalnie opadła mnie moja przeszłość, to, co przeżyłem w tym pokoju, a co przez tak długi czas usiłowałem wypchnąć z pamięci. *Ja Allah*, pomyślałem, stając jak wryty.

- Co znowu? - wrzasnął Dżasim.

- Nie - oznajmiłem twardo. - Nie wyjdę stąd. Albo dasz mi pieniądze, albo...

- Albo co, mój drogi? No, co?

- Pójdę na policję religijną i doniosę im, że jesteś przemytnikiem. Zrobię to, przysięgam na Allaha. I jeszcze opowiem, do czego mnie zmuszałeś. Dowiedzą się o wszystkim, co się dzieje w tym pokoju.

- Co takiego? Masz czelność? A ja...

- Zrobię to - przerwałem mu stanowczym tonem. - Ale wiem, że jesteś człowiekiem rozsądnym, Dżasim. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty. Po prostu muszę mieć te pieniądze. A poza tym...

- Co poza tym?

- Często jeździsz do Europy. Możesz nas odwiedzić.

Zaśmiał się zgryźliwie, ale niemalże natychmiast odwrócił się do mnie plecami i pochylił głowę, jakby się namyślał.

Trwało to parę chwil. Wreszcie Dżasim odwrócił się z powrotem. Oczy miał zaczerwienione.

- W porządku - rzucił.

- Co w porządku?

- Dam ci te pieniądze - odpowiedział. - A teraz zostaw mnie, proszę. Muszę się zastanowić, skąd mam wziąć taką sumę. Zadzwoń do ciebie, jak już sobie wszystko obmyślę. Pasuje?

Nie mogłem w to uwierzyć. Chciałem się zerwać i lecieć z tą wspaniałą wiadomością prosto do domu Fiore - a tymczasem trzeba było czekać do jutra, kiedy jak zwykle miałem stanąć na ulicy An-Nuzla i wypatrywać różowych butów. Zamiast biec do ukochanej, poszedłem więc do Hilala. Wiedziałem dobrze, gdzie mam go szukać wieczorną porą.

Tak jak się tego spodziewałem, Hilal siedział przed swoim domem.

Rozmawiał ze znajomym sprzedawcą smażonych kulek z ciasta, a przy tym pomagał mu, układając kawałeczki ciasta na olbrzymiej patelni. Kiedy mnie zauważył, wstał i pokuśtykał mi na spotkanie, wymachując swoją laską. Przywitaliśmy się uściskiem, po czym Hilal wyciągnął do mnie rękę, białą od mąki. Uśmiechnąłem się, kręcąc odmownie głową.

- Przyszedłem prosić cię o wielką przysługę - zacząłem.

- Szukasz nowej pracy? W tej chwili nic ci nie znajdę - odparł.

- Hilal, nie chodzi o pracę.

- A o co? Znów chcesz zabrać swoją ślicznotkę nad morze? Często tak sobie myślę: może by wpaść do ciebie i popytać trochę o nią, ale miłość to sprawa osobista, mieszka głęboko w sercu. - Tknął mnie palcem w pierś.

- Chodźmy stąd. Znam jedno ustronne miejsce.

Zaprowadziłem Hilala do Pałacu Rozkoszy. Kiedy tam dotarliśmy, rozglądał się dookoła zupełnie jak mały chłopiec, którego ktoś zabrał do tajemniczego lasu i zostawił samego: rozdziawił szeroko usta, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Ubawił mnie ten widok. Zachichotałem, siadając na chodniku i nie spuszczać wzroku z Hilala, który przyglądał się ścianie za moimi plecami.

- *Ja Allah* - wykrzyknął - takie ustronie wszystkiego dziesięć minut na piechotę od ulicy An-Nuzla!

Zaśmiał się i podszedł do mnie swoim chwiejnym krokiem.

- Jak to, mówisz, nazywacie ten przybytek? - zapytał, siadając obok.

- Pałac Rozkoszy.

Wyciągnąłem z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Hilal cisnął swoją laską za przebiegającym szczurem.

- Gryzonie jeszcze zniosę - powiedział - ale czy tutaj nie ma duchów?

- Mówią, że król uwielbiał kobiety i miał ich bardzo dużo. Nie czujesz, że w powietrzu wciąż wisi zapach ich perfum?

- Ach, rzeczywiście. Masz rację, przyznaję. Zapach kobiety jest wieczny. - Objął mnie ramieniem i roześmiał się serdecznie. - Miejmy nadzieję, że krążą dookoła i słuchają nas.

I od razu spadł na nas urok milczenia, jak zawsze, kiedy w rozmowie pojawiała się kobieta. Rozmarzyliśmy się, każdy po swojemu. Ja wyobraziłem sobie, że mam przed sobą dziewięciopiętrowy blok, stojący w ciemności. Odszukałem okno Fiore i skupiwszy na nim wzrok, zobaczyłem ją. Siedziała na łóżku. Opowiadała mi, że tak wyglądają jej noce: siedzi samotna i nie może się doczekać, aż nadejdzie dzień, bo wtedy po południu znów będziemy leżeć razem, ogrzewając sobie nawzajem twarze oddechami i ciesząc się swoją bliskością.

Wyrwałem się całym sobą do tego bloku, a przodem, niczym lawiec niesiony podmuchem wiatru, leciało moje serce. Wyobraziłem sobie, jak Fiore kładzie się spać, ale ten jeden, jedyny raz otwiera swoje okno na oścież; zdejmuje ubranie, czesze włosy i naciera kark oliwą, a potem wilgotnymi palcami dotyka piersi.

- Co ci jest? - Hilal trącił mnie w bok. -Nic.

Mój przyjaciel wyją! z kieszeni pudełeczko z tytoniem do żucia, wyjął szczyptę, położył ją sobie na dłoni i niespiesznymi ruchami uformował z niej kulkę. Tę ułożył starannie wewnątrz policzka, a następnie przesunął językiem pod dolną wargę, która obsunęła się w dół, odsłaniając jego pożółkłe zęby.

Przez długą chwilę przyglądałem mu się, nie zamykając oczu nawet na moment.

- Hilal - odezwałem się wreszcie - bardzo się cieszę, że twoja żona przyjeżdża do Arabii Saudyjskiej. Już się zaczynałem zastanawiać, jak ty bez niej wytrzymujesz tyle czasu. Chodzi mi o to, że musisz za nią strasznie tęsknić.

- Oczywiście - odparł - ale jej listy podtrzymują mnie na duchu.

- Ona pisze do ciebie?

- I to jak pięknie - przytaknął. - Owszem, tęsknię za nią, ale listy dają nam nadzieję. Gdyby nie one, troski opłotłyby moje serce równie ściśle co turban moją głowę.

Zaśmiałem się; rozbawiło mnie to porównanie.

- Ale faktycznie, mam szczęście - rozpromieni! się nagle. - Niedługo będziemy już razem. Zorganizowałem wszystko podczas ostatniej wizyty w Port Sudan. Teraz to już tylko kwestia drobnych szczegółów. Mam nadzieję, że nie potrwa to dłużej niż miesiąc, góra dwa. Wszystko pójdzie gładko, jestem tego pewny.

Pochylił się, wyciągając rękę, aby pomasować zdrowe kolano.

- Tak czy inaczej - powiedział - coś mi mówi, że nie przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby ucieszyć moje oczy widokiem tego Pałacu Rozkoszy. Chyba wiem, o co chodzi, ale może sam chcesz mi wszystko wyjaśnić, drogi przyjacielu?

- W porządku - odparłem. - Posłuchaj mnie uważnie.

Następnego popołudnia, kiedy już się naśmialiśmy i nagadaliśmy do syta o naszej planowanej ucieczce - powtarzając sobie raz po raz, że to wszystko jest po prostu nie do wiary - Fiore nagle umilkła.

- A jeśli plan nie wypali? - zapytała, a jej ciepły głos opadł aż do szeptu. - Jeśli Dżasim nie dotrzyma słowa? Co wtedy zrobimy?

Czułem wyraźnie jej niepokój. Żałowałem tylko, że nie mogę go ukoić uściskiem, a żaden pocałunek nie przekona jej, że wszystko będzie dobrze.

Pomoc Dżasima była dla nas jedynym wyjściem z tej sytuacji. Próbowaliśmy wymyślić coś innego, ale tak właśnie to wyglądało: on był jedyną osobą, do której mogliśmy się zwrócić. Oprócz tego pozostało nam tylko tkwić dalej w Dżiddzie i żyć tak jak do tej pory. Z tym że to, co działo się między nami, w takich okolicznościach musiało się kiedyś skończyć; oboje byliśmy tego pewni. W Dżiddzie byliśmy niczym dwoje zbiegów. Mieliśmy dla siebie jedynie pokój Fiore, gdzie za ścianą mieszkał jej ojciec, pod oknem jeździły patrole policji religijnej, a ślepy imam grzmiał przez megafony meczetu, potępiając ciężkie grzechy. Małe królestwo, które stworzyliśmy sobie w tym pięknym pokoju, było równie nietrwałe co zamek z piasku.

- Będzie dobrze - próbowałem pocieszyć zasmuconą ukochaną. Fiore ukryła twarz w dłoniach. Ująłem ją za podbródek i delikatnie uniosłem jej głowę.

Bąłem się powrotu do swojej samotni. Nie chciałem rozstawać się z Fiore. Pragnąłem, abyśmy byli razem, na zawsze. Mógłbym patrzeć bez końca na jej paznokcie pociągnięte różowym lakierem, na jej lek-

ko rozchylone usta. Uwielbiałem spoglądać jej w oczy; dzięki temu, że jedno było nieco mniejsze, twarz mojej jedynej zyskiwała wyraz wiecznego zamyślenia, poszukiwania własnej ścieżki w życiu. Muskając palcem jej wrażliwe wargi i błędząc wzrokiem w dzikiej plątaniu włosów, czułem niepohamowaną radość z tego, że to jest moja kobieta, a ja jestem jej mężczyzną. Tak było dobrze. Byliśmy dla siebie stworzeni. Zasłużyliśmy sobie na to, żeby żyć i starzeć się razem, ponieważ razem dokonaliśmy niemożliwego. Żywiłem się nadzieją, że los okaże się dla nas łaskawy.

Wieczorem pojechałem na Corniche, żeby pożegnać się z matką.

Długo siedziałem na swojej skale, wpatrując się w morze, aż ostatecznie zniknęło w tej samej ciemności, która spowiła niebo.

Wtedy podniosłem się, rozebrałem i w samej bieliźnie wstąpiłem w lodowate wody Morza Czerwonego. Już od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze.

Przede mną słały się smugi ciemności - i nic więcej. Ale obejrzawszy się za siebie, dostrzegłem migoczące latarnie; ten widok przypomniał mi lampy naftowe zwisające z wielbłądzich boków i karawanę, z którą matka wyprawiła mnie do Sudanu.

A teraz przyszła moja kolej: miałem się pożegnać, mając dookoła taką samą ciemność.

- Mamo. Samiro. Przepraszam, że nie umiałem sprawić, żeby brat kochał mnie tak samo mocno jak naszego wuja. Teraz, gdy postanowiłem szukać dla siebie innego miejsca do życia, przykro mi, gdy pomyślę, że będziemy tak rozrzućeni po świecie. Wyjeżdżam bardzo daleko, ale jeśli to prawda, że wszystkie morza się łączą, będę się modlił, aby kraj, który mnie przyjmie, był otoczony morzem ze wszystkich stron, tak abym zawsze mógł mówić do was i żebyście wy słyszały mnie wyraźnie bez względu na odległość. Tak więc to nie jest prawdziwe pożegnanie. Kocham was. Proszę, uciekajcie przed bombami i niebezpieczeństwem, a kiedyś na pewno się spotkamy.

Grudzień dobiegał już końca; styczeń, miesiąc nowych początków, miał zacząć się za dwa dni. Upłynęły już prawie trzy tygodnie, odkąd Dżasim obiecał, że da mi pieniądze dla przemytnika. Tego dnia zadzwonił wreszcie, aby powiedzieć, że wieczorem mogę się po nie zgłosić.

Przed spotkaniem z Fiore poszedłem pod swoją palmę. Miałem ze sobą wiadro wody. Zacząłem znów dbać o to drzewo - podlewałem je, ale także odnowiłem dawny zwyczaj przesiadywania pod nim. Palma stopniowo wracała do życia; odniosłem wrażenie, że oprócz wody brakowało jej też przyjaciela. Żał mi było, że nie mogę powiedzieć Jahji i Haniemu, że niedługo wyjeżdżam; poprosiłbym ich na pożegnanie, żeby zaopiekowali się moim drzewem.

Pod wielkim meczetem zobaczyłem czarnego dżipa. Przed nim stał Hamid, a obok niego - jakiś nieznany mi, niewysoki mężczyzna. Miał siwą brodę, gutrę w biało-czerwonej szachownicy oraz biały saub, kończący się tuż ponad kostkami. W ręce trzymał kij.

Po raz pierwszy poczułem ulgę na widok nowego funkcjonariusza policji religijnej; przyszedł pewnie na zastępstwo za Basila.

Tamtej nocy, po tym jak Basil zaprowadził mnie w głąb parku, pod bramę podjechał Jahja na swoim motorze. Przeskoczył przez ogrodzenie i rzucił się prosto na niego.

To Fiore wpadła na pomysł, jak rozprawić się z Basilem. Powiedziała, że najlepiej będzie pozbawić go brody, ponieważ to właśnie ona dawała mu religijny autorytet i władzę nad innymi. Następnie zaś trzeba było

napędzić mu strachu za pomocą zwykłej, ziemskiej, nie nadprzyrodzonej siły - tak aby już do końca życia nosił go w sercu.

Jahja złapał Basila za kark i zaczął wrzeszczeć na niego:

- Nie wystarczy ci, że zwerbowałeś dwóch moich najlepszych kumpli i wysiałeś ich do Afganistanu? A tak, tak! Wiesz, o kogo chodzi? O Fajsała i Zib al-Arda! Posłuchaj mnie teraz: obiecuję ci uroczyście, że jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Nasera, to już jesteś trupem. Zginiesz, ale nie w Afganistanie, tylko tutaj, na ulicy An-Nuzla.

Po południu wybrałem się do Fiore i razem świętowaliśmy radosną nowinę: telefon od Dżasima z obietnicą pomocy. Leżąc w jej łóżku, snuliśmy marzenia o życiu, które czeka na nas w Europie. Od strony meczetu dobiegał głos ślepego imama wygłaszającego kazanie, a my leżeliśmy razem, nadzy, błędząc wzrokiem po suficie; Fiore trzymała nogę pomiędzy moimi udami. Pokój jaśniał od płonących świec. Zamknęliśmy oczy, myśląc o tym, co będzie już niedługo. Na jakiś czas zapadła cisza.

- Szybko, zasłoń sobie uszy - powiedziała nagle Fiore, siadając na posłaniu i zatykając swoje palcami.

Imam kończył właśnie swoją mowę zwyczajowym błaganiem:

- *Ja Allan*, spustoszą krainy niewiernych, tak jak i oni pustoszą nasz kraj. *Ja Allah*, zrównaj z ziemią ich wieże i ich domy.

Cała ulica zatrzęsała się od gromkich okrzyków „Amen!”. Fiore opadła z powrotem na łóżko i syknęła tylko:

- On prosi Allaha, żeby zniszczył nasz przyszły dom.

- Jedziemy do Europy - powiedziałem, patrząc w oczy Fiore. -Ale...

- Ale co, kochana?

- Cały czas się boję - szepnęła.

Oderwawszy dłoń od mojej piersi, pogładziła mnie po twarzy. Obróciła się na bok, żeby na mnie spojrzeć. Jej różowe wargi musnęły zagłębienie w mojej szyi, delikatnie niczym różane płatki. Przesunąłem dłoń po jej talii, zatrzymując ją na biodrze, naciskając kość widniejącą pod skórą. Czułem, jak jej ciało się rozgrzewa, czułem jej ciepło, kiedy oparła mi podbródek na piersi. Tuż przed sobą miałem jej rozchylone usta, półprzymknięte oczy.

- Czy Europejczycy nas zaakceptują? - zapytała.

- Mam nadzieję, że tak - odpowiedziałem. - Fiore, na tym świecie nigdzie nie jest idealnie, ale przynajmniej jedziemy w takie miejsce, gdzie możemy walczyć o spełnienie swoich ambicji. Mosa uprzedzał, że nie będzie nam łatwo, a życie emigranta bywa ciężkie, ale ty, z twoją odwagą, na pewno podbijesz to nowe miejsce.

Zaśmiała się, owiewając mnie ciepłym oddechem. Zebrała swoje długie włosy i przerzuciła mi je przez pierś niczym szal.

- Nie mogłem uwierzyć - dodałem - kiedy Hadżdż Jusuf powiedział mi, że kilku ludzi, którym pięć lat temu pomógł uciec do Szwecji, przyjechało niedawno z pielgrzymką do Mekki, ale już na szwedzkich paszportach. Dostali obywatelstwo po zaledwie pięciu latach.

Fiore odwróciła się na plecy i zapatrzyła w sufit. Potem zamknęła oczy.

- Fiore?

- Słucham cię.

- Wiem, że to będzie zależeć od przemytnika, ale dokąd ty chciałabyś pojechać?

Odpowiedziała bez chwili zastanowienia:

- Wszystko jedno, bylebym mogła tam być sobą. Ale jeśli będziemy mieli wybór, to chciałabym jechać do Paryża.

- Dlaczego?

- Bo tam studiował mój ulubiony egipski fotograf. A oprócz tego chcę zobaczyć Sekwanę. Czytałam, że to jest Mekka dla zakochanych. Fale tej rzeki to ich śmiech. Nawet jeśli ostatecznie nie trafimy do Paryża, to musimy tam kiedyś pojechać, chociaż raz. Och, *habibi*, czuję się tak, jakbym szła do nieba. Bo przecież niebo jest dla ludzi zbudzonych ze śmierci, a w mojej duszy płonie iskra, czuję ją wyraźnie. - Wstała z łóżka, przechodząc na drugą stronę pokoju.

Usiadła na krześle, twarzą do mnie. Założyła nogę na nogę, opierając lewe przedramię na prawym udzie. Lakierowane paznokcie zawisły tuż obok ciemnego pośladka niczym kiść obsypana różowymi pąkami. Po chwili wyprostowała się, aby związać włosy w koński ogon. Cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku, ale nie mógłbym powiedzieć, że mi się przyglądała; jej spojrzenie mówiło o tym, że myśli błędą

gdzieś daleko. Skończywszy wiązać włosy, wzięła w palce długi kolczyk zwisający z płatka ucha i zaczęła się nim bawić. Obmywał ją blask świec, wymalowując na skórze złote plamy.

Podszedłem do niej, siadając na podłodze u jej stóp.

- *Habibatil* - zagadnąłem, ale ona tylko pogładziła mnie po policzku, nie mówiąc ani słowa. - O czym myślisz?

- Próbuję przewidzieć każdą ewentualność, wszystko, co mogłoby pokrzyżować nam plany. Zawsze trzeba mieć gotowy plan awaryjny. Uwierz mi, *habibi*, ktoś taki jak ja, czyli kobieta w świecie mężczyzn, niełatwo obdarza kogoś zaufaniem.

- Fiore - szepnąłem, gładząc ją po dłoniach. - Nie martw się, dobrze? Mówiłem ci: wszystko już załatwione. Zaufaj mi. Dobrze?

Skinęła głową. - Dobrze.

Tego wieczoru czekałem na telefon od Dżasima, leżąc na swoim łóżku. Łagodny wiatr kołyszący koronami drzew wrzucił mi przez okno drobny liść, może dwa, prosto na kolana. Spojrzałem na zegarek; wpół do ósmej.

Zadzwoił telefon. Rzuciłem się pędem, żeby go odebrać. Dżasim. Zaprosił mnie do siebie, do restauracji, po odbiór, jak się wyraził, „najlepszemu prezentu w moim życiu”.

Ulica An-Nuzla lśniła od rześzystych świateł. Wszędzie było pełno chłopaków ganiających za piłką, śmigających na rowerach, mężczyzn spacerujących niespiesznie, jak na Corniche. Przed sklepem Jemeńczyka siedziała grupka starców; kilku z nich przesuwano w palcach paciorki islamskich różańców.

Nagle ulicę smagnął potężny podmuch wiatru, który, zdawało się, porwie ze sobą wszystkich i wszystko: mężczyźni, odrzuceni naporem niewidzialnej masy, przystanęli, chowając głowy w ramiona, załopotwały białe szaty, kilka gutr pofrunęło w powietrze niczym latawce płynące ponad ulicą - nawet mocne drzewa rosnące po obu stronach jezdni kłoniły się bardziej niż zazwyczaj.

Skrzyżowałem ramiona na piersi i szedłem dalej, pod wiatr: na każde dwa kroki on odpychał mnie krok w tył. Po chwili zacząłem młócić

przed sobą rękami, rozgarniając chmury pyłu unoszące się w powietrzu. Zawróciłem, chroniąc się pod swoją palmę. Trzeba było przeczekać tę wicherę.

Gdy już się uspokoiło, ruszyłem dalej, do restauracji Dżasima.

W pewnym momencie doleciała mnie znajoma woń piżma; niedaleko przede mną jakiś młody chłopak prowadził ślepego imama. Duchowny mówił, jego przewodnik słuchał w skupieniu. Nie musiałem widzieć jego twarzy, żeby odczytać słowa z ruchu warg, nie trzeba mi było wyteżać słuchu, żeby pochwycić jego głos niesiony wiatrem. Imam mówił to samo, co powtórzył już tyle razy, że cała ulica An-Nuzla o każdej porze rozbrzmiewała echem jego mów. Zasłoniłem uszy dłońmi, żeby odciąć się od przeszłości. Czekala mnie nowa przyszłość u boku mojej *habibati*.

Kiedy wszedłem do restauracji, przyłgnęły do mnie oczy wszystkich mężczyzn; śledzili każdy mój krok, ale kiedy z zaplecza wyszedł chłopak z dzbankiem herbaty i kilkoma szklankami, ich uwaga skupiła się na nim. Jeden z gości wsunął mu jakiś banknot do tylnej kieszeni spodni. Rozejrzawszy się, w głębi sali dostrzegłem Hilala, siedzącego przy wyjątkowym stoliku z jednym tylko krzesłem. Palił papierosa, a jego twarz kryła się niemalże całkowicie w kłębach dymu. Skinął mi głową, a ja odpowiedziałem mu uśmiechem.

I ruszyłem przed siebie.

- Tutaj jestem, Naser - zawołał Dżasim. Siedział pod przeciwległą ścianą i machał na mnie. Kiedy podszedłem do jego stolika, wstał i ująwszy mnie za rękę, zaprowadził do pokoiku na zapleczu. Ale jeszcze przed drzwiami, w korytarzyku, zatrzymał się i chciał mnie pocałować.

- Przestań. - Odepchnąłem go.

- Pozwól mi, mój drogi. Od lat czekam na ten pocałunek. Tylko ten jeden raz.

Wciągnąłem go do pokoiku i zamknąłem drzwi.

- Będę za tobą tęsknił, *habibi* - mruknął.

- Wszystko gotowe? - zapytałem.

Dżasim odstąpił na bok, odkaszlnął. Spojrzeliśmy na siebie. Ja przygryzłem policzek od środka. On pogładził się po brodzie, zaciskając mocno wargi.

- Dżasim, czy wszystko gotowe? - powtórzyłem.

- Tak.

I tylko to jedno słowo. Nic więcej. Nie znosiłem, kiedy tak świdrował oczami, jakby chciał mnie stopić samym spojrzeniem. Miałem już tego serdecznie dość. Męczyły mnie te jego czułości, głaskanie, dotykane, te miłosne banały, którymi sypał jak z rękawa. Zrobił sobie ze mnie zabaweczkę dla swoich klientów. W dniu mojej hańby, kilka minut przed tym, jak przysłał Raszida do pokoiku z lustrem na suficie, sam siedział ze mną na łóżku i gładził mnie po udach, tłumacząc, że muszę się oswoić z męskimi dłońmi. Jednocześnie powtarzał, że strasznie mu przykro, a w ogóle to wszystko przez imama, bo gdybyśmy mogli cieszyć się towarzystwem kobiet, to chłopcy tacy jak ja nigdy nie musieliby znosić wyposzczonych mężczyzn z An-Nuzli.

- Skoro ci mężczyźni naprawdę kochają kobiety, to dlaczego ich nie uwolnią, nie otworzą swoich domów na oścież? - zapytałem go wtedy.

- Dlaczego nie każą imamowi, aby przestał mówić im, co mają robić?

- Nic nie rozumiesz - odparł Dżasim, próbując rozpiąć mi spodnie. - Imam ma wielką władzę. Potężne wpływy. Za nim stoi i Allah, i rząd.

Odepchnąłem od siebie jego ręce, wsuwające się już za pasek.

- Spokojnie - powiedziałem. - Jestem już oswojony z męskimi dłońmi. Chcę zostać sam.

Od tamtej chwili minęły cztery lata, ale dziś znów trafiłem do tego samego pokoju; miałem tylko nadzieję, że oglądam go po raz ostatni. Na suficie wciąż wisiało to samo pęknięte lustro, a poza tym wszystko, wyglądało dokładnie tak samo, nic się nie zmieniło. Dżasim wciąż pewnie powtarzał każdemu nowemu kelnerowi tę samą śpiewkę: „Chłopiec taki jak ty potrafi idealnie wypełnić brak kobiety...”.

Spojrzałem na Dżasima.

- Gdzie pieniądze? - zapytałem jeszcze raz.

Odwrócił się ode mnie i zapatrzył gdzieś daleko. Wreszcie, po kilku długich minutach, wskazał palcem łóżko. Na pościeli leżała biała koperta. Uśmiechnąłem się, czując, jak niepokój, który mnie kąsał, cichnie. Z piersi wyrwało mi się westchnienie ulgi.

Dżasim usiadł na łóżku, zakładając nogę na nogę.

- W środku jest czek. - Pomachał mi kopertą przed oczami. - Mam nadzieję, że mnie za to pokochasz, nawet jeśli to ma być miłość na odległość.

Milczałem.

Dżasim chciał, żebym usiadł obok niego, ale ja nie ruszyłem się z miejsca. Stałem twardo, spoglądając na zegarek i tupiąc z lekkim zniecierpliwieniem.

- Musisz już iść - domyślił się.

- Tak.

- Możesz mnie przynajmniej uściskać na pożegnanie? Ani drgnąłem.

- Proszę cię, Naser. Przyjacielski uścisk, o nic więcej nie proszę. Patrzyłem, jak wstaje i podchodzi. Gdy był już blisko, rzucił się na mnie i błyskawicznie oplótł ramionami.

- Och, Naser - wyszeptał mi do ucha, wzdychając ciężko. - Tak bardzo żałuję.

- Czego żałujesz?

Nie odpowiedział. Policzek miałem mokry od jego łez. Przejechał mi dłonią jak nożem po plecach, zatrzymując ją w pasie. Zacisnął palce, chwytając mnie mocno.

Chciałem się uwolnić, ale przytrzymał mnie jeszcze silniej. Po chwili przestałem się opierać, a wtedy on mnie odepchnął. Zatoczyłem się, ale utrzymałem równowagę. Dżasim usiadł na łóżku, z powrotem biorąc kopertę w dłoń.

- Naprawdę zakochałeś się w tej dziewczynie, Naser?

- Naprawdę - odparłem stanowczo, z przekonaniem.

- Możesz mi podać zapalniczkę? Leży na telewizorze. Spojrzałem na niego, potem na telewizor. Jego czarna zapalniczka faktycznie leżała obok stosiku wideokaset z filmami porno. Zgarnąłem ją i chciałem mu przynieść, ale mnie zatrzymał:

- Rzuć mi ją i stój tam, gdzie stoisz.

Złapał zapalniczkę lewą ręką, nie odwracając nawet głowy.

- Dlaczego nawet nie starałeś się mnie pokochać? - zapytał łamiącym się głosem.

Nie odpowiedziałem.

- Naprawdę chciałeś iść na policję religijną i powiedzieć, co się tutaj dzieje?

Zacisnąłem zęby. Spojrzałem na niego, potem na kopertę w jego dłoni.

- To nie jest pierwszy raz, kiedy tak mnie zdradziłeś - oznajmił Dżasim.

- O czym ty mówisz? Proszę, daj mi już tę kopertę. Muszę iść.

- Do tej pory powinieneś się już zorientować, że ja wiem o wszystkim, co się dzieje w moim lokalu. - Dżasim splunął na podłogę. - Jak on mógł mi to zrobić? Jak mógł być takim zdrajcą? Przecież wiedział, że cię kochałem. Myślałem, że jest moim przyjacielem.

- O kim ty mówisz? Kto był twoim przyjacielem?

- Mówię o niejakim Abu Imadzie, którego ty nazywałeś „Pan Cichy”. Pomogłem temu nielegalnemu imigrantowi, a on tak mi się odwdzieczył, że za moimi plecami przychodził tutaj do ciebie po pierwszej porannej modlitwie. Sypia! z tobą.

- Dżasim, nie bądź śmieszny. Przyjaźniliśmy się, to wszystko.

- Kto mu da! pieniądze, jak pierwszy raz tutaj przyjechał, nie znał nikogo i nie mógł liczyć na niczyją pomoc? Ja. Niewdzięczny pies.

-*Ja Allah!* Jesteś zły, bo ubzdurałeś sobie, że sypiałem z Panem Cichym, ale... *Ja Allah,* nie masz żadnych wyrzutów sumienia za to, że sprzedałeś mnie Raszidowi?

- Milcz! - Dżasim zerwał się z łóżka. - Nie chcę o tym nawet słyszeć! Dobijasz mnie. Dlaczego jesteś taki okrutny?

- Okrutny? Ja? Bo powiedziałem, że sprzedałeś młodego chłopaka jako maszynkę do uprawiania seksu? A uważasz, że mnie jest z tym przyjemnie?

Opadł z powrotem na łóżko i chwycił w palce kopertę.

- Dziwne, że teraz ty zupełnie bez trudu wymieniłeś mnie na jakąś dziewczynę.

- Sprzedałeś mnie Raszidowi. Proszę cię, Dżasim. Znalazłem kogoś, kto kocha mnie tak, jak tego pragnę. Skończmy z tym. Nie chcę już myśleć o przeszłości. Mam przyszłość, którą chcę przeżyć razem z nią, u jej boku. Daj mi tę kopertę, proszę cię.

- Och, Naser, mój ukochany. Dlaczego zacząłeś mi grozić? Jesteś naiwny. Żyjesz w tym kraju od dziesięciu lat i jeszcze się nie połapałeś,

jak wszystko jest urządzone? - Rozciął kopertę i wyjąwszy czek, zaczął się nią wachlować, zarzucając głową w rytm poruszeń dłoni. Podszedłem powoli, jakbym się podkradał.

- W tym kraju, mój drogi - ciągnął dalej Dżasim - liczy się tylko to, kogo znasz. Czy słyszałeś kiedyś, żeby ścięli albo wychłostali jakiegoś księcia? Nie, chociaż wszyscy wiemy, że księżę może być takim samym przestępcą jak każdy z nas. Owszem, obcięli głowę jednej księżniczce. Ale to była pierwsza i ostatnia egzekucja w rodzinie królewskiej, a chodziło tylko o to, że biedaczka pokochała saudyjskiego plebejusza.

- Dżasim, ja naprawdę potrzebuję pieniędzy. Daj mi ten czek, proszę cię.

- Mam bardzo dobre stosunki z moim kafilem. Wiesz, kto to jest? Komendant policji w naszym mieście, Błogosławiony Badr ibn Abd Allah - oznajmił, przysuwając sobie popielniczkę.

Dżasim miał tego samego kafila co ja. Czy to możliwe, że wiedział o tym, co zrobił mi ten człowiek?

- Na pewno go znasz, prawda? - zapytał.

Od dawna podejrzewałem, że to kafil Dżasima pomaga mu szmuglować zakazane książki, pornografię i rozmaite produkty, których posiadanie było w Arabii Saudyjskiej zakazane. Domyśliłem się, że musi to być ktoś z rodziny królewskiej, bo tylko oni są wyłączeni z kontroli celnej - w ten sposób Dżasim mógł wynieść z lotniska wszystko, co tylko mu się podobało.

Ale dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego policja religijna przymykała oko na to, co się dzieje w jego restauracji.

- Jestem człowiekiem z koneksjami! - wywrzeszczał Dżasim chętnie, na cały głos. - Dzięki nim pozbyłem się tego twojego Pana Cichego.

- Deportowałeś własnego przyjaciela? - wyjąkałem, z całych sił walcząc z łzami.

Dżasim wrzucił czek do popielniczki i podpałił go. Rzuciłem się, chcąc gasić płomień, ale on zdzielił mnie pięścią i odepchnął nogą. Wylądowałem na podłodze, waląc bokiem głowy o telewizor. Natychmiast krew rzuciła mi się z nosa i rozciętego czoła. Odwróciłem się, szukając wzrokiem Dżasima. Płonący w popielniczce czek buchnął żółtym ogniem.

- Dżasim, nie rób tego - wyskamlałem błagalnie. - Nie mogę cię pokochać, ale oprócz tego zrobię wszystko, co zechcesz, tylko powiedz. Potrzebne mi te pieniądze. Proszę cię.

Spokojnie, nie spiesząc się, Dżasim wyjął z pudełka pod łóżkiem wysmukły flakonik z perfumami. Z czeku pozostała już tylko kupka szarego popiołu. Dżasim roztrzaskał tę cienką, podłużną buteleczkę, utracając jej górną połowę. Na dywanie rozlała się aromatyczna plama.

- Podejdz tylko tutaj, to zobaczysz, co jeszcze zrobię - warknął groźnie, po czym podniósł rozbity flakonik do ust i upił trochę czerwonego płynu. - Nie trzeba było ze mną zadzierać. Wiedziałeś, że mam mnóstwo kontaktów. Napuściłem na ciebie policję religijną, mój drogi. I wiesz co? Powiedziałem im, że popełniłeś cudzołóstwo. Zostaniesz ukamienowany na placu Kar, nawet jeśli nie znajdą żadnych dowodów. A ja przyjdę na twoją egzekucję i dorzucę swój kamień. Niech zginie twoje plugawe ciało i twoje czarne serce.

Zaśmiał się głośno, szyderczo.

- No, na co czekasz? Będą tutaj lada moment.

Wybiegłem z pokoiku na zapleczu. Wypadłem na ulicę, ale dobrze mi znany czarny džip z ciemnymi szybami już dojeżdżał do restauracji. Rzuciłem się w lewo, słysząc za plecami pisk opon. Nie oglądając się za siebie, pomknąłem ulicą An-Nuzla w kierunku Charentiny, zostawiając za plecami dom Fiore. Ale džip był szybszy ode mnie. Dopadli mnie przy supermarkecie na An-Nuzla. Zatrzymałem się. To był koniec.

Stałem na chodniku, zdyszany i zrezygnowany. Z džipa wyskoczyło trzech mężczyzn. Złapali mnie za ręce. Poznałem Hamida i tego niskiego, z białą brodą, który przyszedł na zastępstwo po Basilu.

Hamid wyciągnął kajdanki i skuł mi ręce za plecami, po czym wepchnął na tył samochodu, wsiadając za mną. Tamci dwaj usiedli z przodu. Siedzenia z tyłu wyglądały tak samo jak w karetce: dwie długie ławki naprzeciwko siebie. Przed sobą miałem Hamida. Dżip ruszył. „Skąd ten spokój?“, pomyślałem. „Dlaczego nie krzyczę, nie błagam ich na kolanach o litość?“

Zamiast tego wyszeptałem tylko:

- Dlaczego, ja Allah!

- Nie wymawiaj czcigodnego imienia Allaha! - zawołał Hamid.
- Fiore! - wrzasnąłem, waląc głową o szybę w oknie. Hamid wpakował mi pięść pod żebra.

- Masz, przekłety odszczepieńcu. Nie waż się wypowiadać imienia kobiety - zagroził mi. - Zapłacisz teraz za to, że wystawiłeś imama na pośmiewisko.

Spojrzałem mu w oczy.

- Wybacz mi - wymamrotałem.

- Za późno prosisz Allaha o zmiłowanie, pójdziesz prosto do piekła, *insza Allah*.

- Błagam, wybacz mi, *habibati*.

- *Ja Allah*, zamiast przeproszać Allaha, szukasz jeszcze wybaczenia u kobiety?! - zawył przeraźliwie. - Szajchu Abd al-Aziz, w imię Allaha, podajcie mi kij!

- No, dalej! - wrzasnąłem na niego. - Bij mnie, to też zasłużysz na godność szajcha. Ale powiem ci jedno: nie jestem przestępcą, Allah mi świadkiem. Ja tylko kochałem, a miłość to dar z nieba.

- Nie waż się tak mówić, psie. Gadaj, kim jest ta kobieta. -**1** przeklął mnie znowu.

- Nigdy! Nie pozwolę wam jej tknąć.

- Nie zgrywaj bohatera - powiedział. - Mów, kim jest ta grzesznica, albo klnę się na Allaha, połamię ten kij na twojej głowie.

- Nigdy! Ona jest świętsza od ciebie.

Szajch Abd al-Aziz, ten, który przyszedł na stanowisko po Basilu, odwrócił się na przednim siedzeniu i wymierzył mi siarczysty policzek.

- Zamknij jadaczkę! - wrzasnął. - Ty przekłety grzeszniku bez serca!

- Och, moja Fiore, będę za tobą tęsknił.

Hamid wziął mocny zamach i zaczął bić mnie kijem. Za każdym smagnięciem ogniste strugi bólu lały się po moich ramionach. Mój oprawca w swoim świętym wzburzeniu zgubił gutrę, którą miał na głowie, ale mimo to nie przestał mnie okładać.

Wreszcie opadł na ławkę, zmordowany do utraty tchu. Zwiesiłem nisko głowę. Po twarzy ciekły mi łzy.

- Nie mamy czasu. - Hamid trzepnął mnie w głowę. - Gdzie mieszka ta zdrajczyni wiary?

- Nazywasz ją tak, bo mnie pokochała? A po co człowiek ma serce? Hamid rzucił kij na podłogę i zaczął mnie tłuc gołą pięścią.

- Przestań! - zawyłem. - Powiem wam, kto to jest.

Przez długą chwilę mierzył mnie spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Potem pochylił się, żeby podnieść gutrę, którą założył sobie z powrotem na głowę.

- Szajchu Abd al-Aziz, zatrzymajcie samochód. On będzie mówił. Wiemy, że ta dziewczyna jest z An-Nuzli. Ją też możemy zabrać, skoro już tu jesteśmy.

Za ciemną szybą zamajaczył mi kontur dziewięciopiętrowego bloku Fiore. Jak jeszcze nigdy wcześniej, zapragnąłem, żeby nie było jej w domu. Żeby nie wyglądała przez okno, jak tego dnia, gdy tańczyłem na ulicy (opowiadała, że bardzo ją to rozbawiło), albo jak wtedy, gdy prowadziłem po mieście ślepego imama, jeszcze zanim został naszym posłańcem miłości. Ale wbrew tej nadziei, czułem w głębi serca, że Fiore tam jest.

Pochyliłem głowę i nie powstrzymując łez lejących się po policzkach, zacząłem tak:

- Opiszę wam ją dokładnie, bo jestem dumny z jej urody, z jej słów i jej myśli. Ukażę wam ją w każdym szczególe, a wy potem idźcie i szukajcie. Będziecie musieli pukać do każdych drzwi w całej An-Nuzli i przedzierać się siłą przez pokoje mężczyzn, walcząc o wstęp do kobiecych kwater. Będziecie musieli zatrzymać po kolei każdą kobietę na ulicy i odsłonić jej twarz. Kto wie, może trzeba też będzie wcisnąć się do kobiecych klitek w autobusach, wesołych miasteczkach i sklepach. A potem przejść się po meczetach i zburzyć ściany oddzielające kobiety od mężczyzn. Jeżeli zrobicie to wszystko, to gwarantuję wam, że ją znajdziecie, bo jest wyjątkowa. Jej błyskotliwa inteligencja lśni niczym pałacowe marmury, a takich oczu jak jej oczy nie ma nikt inny na świecie, bo ich zniewalający urok i blask płyną z siły i stanowczości. Ta kobieta to miłość wcielona.

Siarczysty policzek strącił mnie z siedzenia na podłogę. Hamid podwinął rękawy, a potem zdjął z głowy gutrę i białą myckę robioną na drutach, kładąc je pod ręką. Chwycił z powrotem swój kij i pchnięciem zwałił mnie na kolana.

Czarny džip pomknął ulicami An-Nuzla i Mekkańską, a potem skręcił w lewo, w kierunku śródmieścia. Jeszcze kilka zakrętów i zajechaliśmy przed największe więzienie w Dżiddzie, to samo, w którym kiedyś siedział mój przyjaciel, Pan Cichy.

Za bramą przejęli mnie trzej policjanci. Rozejrzałem się dookoła. Mijaliśmy jedne drzwi za drugimi: większość z nich była zamknięta, ale niektóre stały otworem. Widziałem mężczyzn wyglądających przez kraty, zagapionych tępo przed siebie. Zwiesiwszy głowę, zauważyłem, że wiele płytek, którymi wyłożono podłogę, jest popękanych. W tym miejscu było zresztą znacznie więcej zniszczonych rzeczy.

Na samym końcu długiego korytarza obejrzałem się jeszcze. Wydało mi się, że spoglądam w bezdenną studnię, dokąd nie dochodzi ani światło, ani powietrze.

Hamid rozpiął moje kajdanki, po czym wepchnął mnie do ciasnej celi, a zanim zatrzasnął obite żelazem drzwi, rzucił jeszcze na od-chodne:

- Mam nadzieję, że cię ukamienują, i to szybko, *insza Allah*.

W głębi tej klatki siedział jakiś mężczyzna, sądząc z wyglądu - Afrykańczyk. Kiedy zobaczył, w jakim jestem stanie, podniósł się, wyjął chusteczkę do nosa i otarł mi nią krew z twarzy.

- Cierpliwości, synu - powiedział. - Masz, napij się wody. Wyglądasz na człowieka, który ma dużo do opowiedzenia, a ja mam czasu, ile dusza zapragnie, żeby cię wysłuchać. Ale najpierw musisz odpocząć.

Cela była bardzo ciasna. Oświetlały ją jarzeniówki i nieduże okienko - jedno i drugie pod samym sufitem. Lampy były włączone przez cały dzień i większą część nocy. W celi panował niemiłosierny skwar, jakbyśmy siedzieli na środku pustyni. Na podłodze ostało się bardzo niewiele płytek, a po gołym betonie biegały pająki. Smród wymiocin lepił się do ścian niczym zapleśniała tapeta. Leżały tam też dwa cienkie sienniki zalatujące uryną; śmiertelnie przerażeni mężczyźni przeżywali na nich powrót do szczeniących lat, kiedy nocą moczy się łóżko.

Następnego dnia, kiedy już opowiedziałem o wszystkim, co mnie spotkało, swojemu współwięźniowi (który, jak się okazało, miał na imię Mustafa i był muzułmaninem z Nigerii), ten wykrzyknął:

- Masz wspaniałą kobietę, Naser! Z jakim cudownym natchnieniem wyreżyserowała wasz romans! To musi być prawdziwa prorokini miłości. Masz teraz być dumny. Związek z kobietą o takiej sile ducha to wielkie szczęście i wyróżnienie. I nie rozpaczaj, Naser. Życie jest krótkie. Ciesz się, że ktoś taki jak twoja Fiore poświęcił ci bez mała sześć miesięcy ze swoich dni.

Policja religijna złapała mnie i zamknęła w tym więzieniu dokładnie pięć dni temu. Dochodzi piąta rano. Upływający czas stał się moją obsesją: liczę sekundy, minuty, godziny i doby, bo układam właśnie swój osobisty kalendarz. Jego początek przypada na lipiec, pierwszego dnia mojego wspólnego życia z Fiore.

Siedzę na cienkim sienniku rozłożonym wprost na podłodze. Naprzeciwko mnie, twarzą do ściany, leży Mustafa i śpi, śpi pod bezlitosną świetlówką.

Siedzę skulony, oplatając ramionami kolana. Kołyszę się powoli w przód i w tył. Bezustannie biję się z myślami, starając się odpędzić wizję sądu i kary, które mnie czekają. Mustafa powiedział, że rozmyślanie o tym dniu nie ma najmniejszego sensu.

- Osądzą cię zaocznie - wyjaśnił. - Nie dostaniesz adwokata, nie będziesz nawet mógł sam się bronić. Nie powiedzą ci, kiedy zostaniesz ukarany. Przyjdą po ciebie, kiedy sami uznają, że już czas, wyprowadzą i zawiozą na plac Kar.

Próbuję więc myśleć o czym innym: o Fiore. Niedługo zjawi się strażnik, żeby zabrać nas do więziennego meczetu na modlitwę. Za pierwszym razem powiedziałem, że nigdzie nie pójdę, ale wywlekli mnie z celi i doprowadzili siłą; meczet znajdował się w innym skrzydle kompleksu. Mustafa poradził mi jednak, żebym tak nie robił, bo mój opór nie jest wart kijów, które za niego dostanę.

- Pamiętaj, że Allah nie jest tylko dla nich. Zresztą, nie warto tracić okazji, żeby wyjść z celi.

Meczet jest piękny i przestronny, większy od naszej wielkiej świątyni w An-Nuzli. Wszystkie ściany lśnią bielą, a łagodne światło koi oczy.

W powietrzu unosi się woń piżma. Mustafa ma rację: czuję się tam jak na przepustce. Wdycham miły zapach, uciekam z celi, gdzie ściany z każdą chwilą miażdżą mnie coraz mocniej.

Pewnego razu jakiś więzień zawołał podczas modlitwy:

- Dlaczego u was meczet jest taki piękny, a cele, w których nas zamykacie, parszywe jak ośła stajnia? Po co tyle trudu, żeby przypochlebić się Bogu, nie mając żadnej pewności, czy On jest czy Go nie ma, gdy jednocześnie lekceważycie nas, swoich braci w człowieczeństwie? Czy my dla was jesteśmy niczym?

Nikt go już więcej nie widział.

- Paradoks polega na tym - mawiał Mustafa - że zmuszają nas do modłów, ponieważ tak pojmują obowiązek, jaki nałożył na nich Allah, a nie wiedzą, że On, Wszechmogący, sam ostatecznie odpowie na modlitwy wszystkich tych, którzy cierpią.

Ale ja nie mam czasu na rozmyślanie o pilnujących nas strażnikach.

Kiedy stoję za imamem więziennego meczetu i zwracam twarz ku Mekce, moje serce wyrywa się do Fiore, wzbierając nadzieją, która każe mi wierzyć, że Allah wysłucha płynącej zeń modlitwy, tak jak wysłuchuje wołań wszystkich swoich wiernych.

Mustafa nie powiedział mi, jak tutaj trafił. Gdy go o to pytam, mówi tylko, że kiedyś wszystko mi wyjaśni i że teraz jest jeszcze dla mnie za wcześnie na wysłuchiwanie cudzych opowieści.

- Naser, wciąż jeszcze jesteś pełen uczucia do swojej Fiore. Nie chcę być tym, który zatrze w twoim sercu wizerunek ukochanej.

Kiedy o jedenastej w nocy na kilka krótkich godzin gasną świetlówki, opieram się o ścianę i wsłuchany w puls głębokich oddechów Mustafy, odmawiam listy Fiore; wszystkie umiem na pamięć. A gdy wspomnienie jej oczu, ust, ud i piersi staje się nie do zniesienia, kładę się na plecach i wyobrażam sobie, że na suficie celi pojawia się jej twarz i rozjaśnia mrok mojej samotności.

Jest piątek. Minął już tydzień, odkąd tutaj jestem. Dochodzi ósma rano. Do mojej celi wkracza krępy, brodaty strażnik.

Widocznie nadszedł już czas. Spoglądam na niego i pytam:

- Zabieracie mnie na plac Kar?

Zamiast odpowiedzieć, strażnik chwyta mnie za rękę i wyciąga za drzwi. Wykręcam szyję, chcąc pożegnać się z Mustafą, ale mój towarzysz śpi mocno na swoim sienniku.

Długi korytarz jest całkiem pusty. Dłonie nagle zaczynają mi drżeć; wyobrażam sobie, że wsadzają mnie do dziury w ziemi, a na twarz sypią mi się kamienie.

Przyprowadzili mnie do jakiegoś pokoiku, małego jak moja cela i kompletnie pustego, bez choćby jednego mebla. Ściany pokrywa jasna farba, niegdyś biała, teraz żółknąca. Jediną godną uwagi rzeczą w całym tym pomieszczeniu jest duże, przeszklone okno. Nie mogę jednak przez nie wyjrzeć. Mam przed sobą trzech policjantów. Ten krępy stoi w środku, pomiędzy dwoma dryblasami. To on zadaje mi pierwsze pytanie.

- Gdzie mieszka ta zdrajczyni wiary, psie? - Głos ma ostry, zaczepny.

- O kogo wam chodzi?

- Nie marnuj naszego czasu. Policja religijna przekazała nam imię, którego użyłeś. Fiore. Sprawdziliśmy w komputerowym rejestrze mieszkańców, ale w całej Dżiddzie nie ma nikogo takiego.

Wbrew własnej woli uśmiecham się. Słyszając imię Fiore, przypominam sobie, jak bardzo jest wyjątkowa.

- To dlatego - wyjaśniam policjantowi - że jej imię jest bardzo proste. Bardzo eleganckie. Jedyne w swoim rodzaju.

- Zapytam cię jeszcze raz! - wydziera się tamten, opryskując mi całą twarz kropelkami śliny. - Gdzie ona mieszka? Na An-Nuzli? Na Mekkańskiej? Jak naprawdę ma na imię? Nazwisko jej męża!

Dwóch dryblasów podchodzi. Stają tuż obok mnie. Obaj noszą starannie przystrzyżone czarne wąsy i obaj mają duże uszy.

I znów mam na twarzy ślinę. Krępy policjant drze się już na całego.

- Nie dowiedcie się niczego o *habibati* - mówię. - Róbcie ze mną, co chcecie, a ja i tak przysięgam, że nigdy nie powiem wam o niej ani słowa.

Dryblasy łapią mnie jak na komendę i jednocześnie każdy z nich ładuje mi pięść pod zebra. Zginam się wpół i powoli osuwam coraz niżej. Po chwili jestem już na podłodze. Kiedy widzę, że każdy z dryblasów bierze zamach jedną nogą, zamykam oczy.

Plecy, pierś i brzuch płoną żywym ogniem. Ciężko mi oddychać, bo krwawię z nosa. Nie mogę otworzyć ust, tak są obite. Widzę tylko jednym okiem, i to ledwie ledwie; na drugie chyba oślepiłem. Dwóch dryblasów na wpół wynosi, na wpół wyciąga mnie na korytarz. Jednym okiem zauważam, że znaczę podłogę kroplami krwi. Serce wali mi jak młotem. Dokąd teraz?

Dryblasy otwierają moją celę i wrzucają mnie do środka. Udaje mi się dostrzec podbiegającą Mustafę.

- *JaAllah*, coście z nim zrobili?

- Zamknij pysk - rozlega się ostry głos, ten sam, który obrzucał mnie klątwami, gdy zbierałem cięgi od dryblasów. Głos krępego policjanta.

Czuję dłonie Mustafy na policzkach.

- Panowie, proszę - skamle mój towarzysz błagalnym głosem. -On ma ranę na czole, krew się z niej leje. Proszę, pomóżcie mu. Nie widzicie, że jest ranny w głowę?

- Nie przejmuj się, niedługo przyjdzie czas na niego, *insza Allah*.

- Co ten człowiek wam zrobił? On się tylko zakochał. Czy aż tak was to zabolalo, że musicie odpłacić mu takimi męczarniami? Niech pan spojrzy, panie policjancie, on jest poważnie ranny. Proszę, zabierzcie go do szpitala.

- W szpitalu go podlecza, a potem na placu znów rozwalą mu łeb? Nie bądź śmieszny. Niech się cieszy, że tak mocno oberwał. Teraz jest już jedną nogą po tamtej stronie.

I zanoszą się głośnym, ryczącym śmiechem.

Kolejny piątek. Mój trzeci tydzień w więzieniu. Już prawie się wykurowałem po drugim biciu, które zebrałem, tak jak tamto pierwsze, w piątek, tydzień temu. Dziś znów spodziewam się wizyty krępego policjanta i jego dryblasów.

- Mustafa - pytam - jak myślisz, wezmą mnie dziś na plac Kar? Nie odpowiada.

- Mustafa, oby okazali mi łaskę. Niech mnie zetną, byle tylko nie kamienowali.

Mój towarzysz pochyła głowę.

Szczełka klucz w zamku. Na progu celi stają dwaj policjanci z czarnymi opaskami na rękawach i każą mi się podnieść. W oczach mają to samo bierne spojrzenie, które widziałem u Abu Fajsala.

- A więc to już - mamroczę.

Kiedy ruszam w ich kierunku, Mustafa łapie mnie za rękę, podwija mi rękawy koszuli. Obejmuje, ściska mocno. Ale ja się gdzieś zatraciłem. Nie reaguję w żaden sposób. Nie wiem, co miałbym powiedzieć. Trzęsę się na całym ciele, ale nie potrafię wykrztusić ani słowa. Po prostu stoję i patrzę na Mustafę, który z całej siły ściska mi dłoń i utkwivszy we mnie twarde, nieruchome spojrzenie, każe przysiąc, że nigdy nie będę żałował tego, co zrobiłem, bo, jak mi mówi: „Zycie jest krótkie, a cierpieć w następstwie miłości to żaden wstyd”.

Potem odwraca się i szlocha głośno.

Policjanci zakładają mi kajdanki. Ostatni raz próbuję ich przebłagać:

- Dżasim was oszukał. Nie jestem żonaty. Pokochałem dziewczynę. Nie była mężatką. Przysięgam przed Allahem, że i dla mnie, i dla niej to była pierwsza miłość. Zasłużyłem na chłostę, ale nie na ukamienowanie. A świadkowie? Przecież prawo nakazuje przedstawić świadków. Gdzie oni są?

Zamykam oczy i widzę, jak mnie zakopują po pas w ziemi, a stłoczeni dookoła mężczyźni obrzucają mnie kamieniami, tak długo, aż nie umrę. Zaczynam krzyczeć.

- Zaprowadźcie mnie do sędziego - błagam policjantów. - Mam mu wiele do powiedzenia. Przysięgam na Koran, że pokochałem niezamężną dziewczynę i że sam też nie mam żony.

Wpychają mnie z celi na korytarz. Nie przestaję jęczeć:

- Jeśli koniecznie chcecie mojej śmierci, to poproście, żeby mnie ścięli. Allah wam to wynagrodzi. Miejcie litość, zabijcie mnie szybko.

Za bramą więzienia rzuca mi się w oczy rzeźba-model samolotu, który tkwi nieruchomo, chociaż jego przednie koła wiszą już w powietrzu, gotowe do startu prosto w niebo, do krainy, która nie zna władzy człowieka. Żałuję, że nie może się zdarzyć cud, że ten samolot nigdy nie odleci ze mną na pokładzie.

Opuszczam głowę i widzę, jak jeden z policjantów klęka przede mną, żeby skrępować mi nogi w kostkach. Z oczu leją mi się łzy, spadając na ziemię tuż przed nim. Unosi wzrok, spogląda do góry. Zaciskam powieki, odrzucam głowę do tyłu. Mocny wydech. Myślę o Fiore, o tym, jak bardzo za nią tęsknię i jak bardzo pragnę, żeby była teraz tutaj, uściskała mnie po raz ostatni na tym świecie.

Dwaj policjanci wpychają mnie do furgonetki; pojedą ze mną. Siedzają przede mną na metalowym siedzeniu. Oczy mam zawiązane przepaską, ale i tak wiem, dokąd jedziemy, więc odchylam głowę w tył, opierając się potylicą o ścianę kabiny. Myślę o Fiore. Ciekawe, co teraz robi, czy siedzi w swoim pokoju i pisze list, którego nigdy nie otrzymam, czy marzy o naszym wspólnym życiu, czy wciąż snuje tę fantazję, która wkrótce umrze wraz ze mną.

Stoję bosy na gładkich, rozgrzanych płytkach. Ktoś zdejmuję mi z oczu przepaskę i już wiem, gdzie jestem. W dobrze znanym miejscu: na placu Kar. Przed sobą mam galerię handlową, gdzie po raz pierwszy spotkałem się z Fiore. Spoglądam pod nogi; przypomina mi się opowieść, którą słyszałem od kolegi w szkole, o straconym Pakistańczyku z Ulicy Niewinnego. Ja też jestem niewinny, myślę sobie. Czy moja krew znów wypisze te błogosławione słowa na gładkich, rozgrzanych płytkach?

Dookoła gęstnieje tłum, mężczyźni otaczają mnie kręgiem. Wodzę oczami po ich dłoniach, sprawdzając, czy przynieśli kamienie. Nie przynieśli.

Głębokie westchnienie ulgi więźnie mi w gardle, gdy dostrzegam, jak pomiędzy zgromadzonych mężczyzn wkracza Abu Fajsal. Nogi uginają się pode mną i osuwam się na ziemię.

Przepenia mnie wielki ból. Marzę o kimś, kto mnie przygarnie, pocieszy, powie, że tak będzie lepiej, że ścięcie, czyli szybka śmierć, to w takiej sytuacji akt miłosierdzia. Rozglądam się po otaczającym mnie kręgu, szukając tego kogoś. Tak wiele mam do powiedzenia. Chcę, żeby się dowiedzieli, co czuję w tej chwili.

Ale tłum nie zważa na mój smutek. Tu dwóch trzyma się za ręce i szepcze coś do siebie, tam kilku innych, zgiętych w pół, zaśmiewa się z czyjegoś żartu, a jeszcze ktoś zerka na zegarek, jakby chciał powiedzieć: „Szybciej z tym, zaraz musimy wracać”.

Pochylam głowę, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Nie chcę, żeby je zobaczyli, i tak samo nie chcę, żeby usłyszeli ode mnie szloch,

bo nigdy nie rozumieją, o co naprawdę chodzi. Na tym placu miłość jest jak cudzoziemiec. Unoszę wzrok i spoglądam na Abu Fajsala, który niemalże ociera się o mnie, ale stoi odwrócony i wypinając pierś, wodzi oczami po zgromadzeniu. Wreszcie powoli zwraca ku mnie głowę, a nasze spojrzenia się krzyżują. Myślę o jego synu, którego znałem. Najwidoczniej Abu Fajsal czeka, aż przyniosą mu miecz. Rozglądam się wśród tłumu, szukając w nim kobiet. Dostrzegam cztery, daleko po prawej stronie, zakryte od stóp do głów kwefami. Patrę na ich buty. Nie ma z nimi Fiore.

Nagle rozlega się donośny głos, wzmocniony megafonem. Oglądam się przez ramię. To zapowiadacz. Spinam się, zbierając siły.

- Bracia, zgromadziliśmy się tutaj, aby swoją obecnością poświadczyć, że temu oto odstępcy od wiary wymierzono sprawiedliwość - niesie się po placu. - Popelniał on najcięższy z możliwych grzechów: cudzołóstwo. Kto dopuszcza się tak skandalicznej nieprawości w kraju proroka Mahometa - pokój niech będzie z nim - musi być człowiekiem bez serca i bez duszy. Mężczyzna, który klęczy teraz przed nami na tej nędznej ziemi, jest nikim innym jak zdrajcą, który sprzedał swoją religię za nieczystą żądzę, który zamienił modlitwę na objęcia istoty przeklętej, który, zamiast czytać Koran, oddał cenne chwile doczesnego życia kobiecie, oby zaprowadziła go prosto do piekła, *insza Allah*. I ten człowiek nie chce prosić Allaha o wybaczenie za swą zbrodnię, nie chce paść na kolana przed Wszechmocnym i błagać Go o łaskę. Żyje niczym Szatan, tak samo jak on sądzi, że nie zrobił nic złego, a wyrzuty sumienia są mu obce. Jakże ktoś taki może stawać przed Allahem bez żalu w duszy? Jak może oddychać powietrzem Wszechmogącego, gdy nie ma w nim choćby cienia skruchy? Zszedł z właściwej ścieżki, lecz nasz sędzia orzekł, że taki pies nie jest godzien łaski. Miejmy nadzieję, że kara stu dziewięćdziesięciu dziewięciu kijów zasieje w sercu tego odszczepieńca bojaźń Allaha. Coś we mnie pęka. Zalewam się łzami radości. Będę żył. Nie zostanę ścięty. Podnoszę się z ziemi. Najchętniej wyrwałbym zapowiadaczowi ten megafon z ręki. Chcę wołać do Fiore, mając nadzieję, że mnie usłyszy, gdziekolwiek teraz jest: „*Habibati* Ja żyję!”.

Nagle czuję na sobie czyjeś dłonie. Ktoś zrywa mi z ramion koszulę. Odwracam głowę. To Abu Fajsal. W dłoni ma trzcinę, która świszczę

w powietrzu, lądując na moich' plecach. Tłum zanosi się radosnym wyciem. Ktoś zaczyna głośno odliczać, inni krzyczą:

- Mocniej bijcie tego odszczepieńca! Niech Allah spali go w piekle!

Ciepła krew leje mi się po plecach. Trzcina tnie skórę i ciało, ale to wszystko już nieważne, nic się nie liczy, gdy ja myślę o swojej ukochanej, o swoim życiu. Co ze mną będzie? Jakie dalsze kary jeszcze wymyślą? Deportują mnie? Czy Fiore nie przestanie mnie kochać, nawet na odległość? Co ją teraz czeka?

Przewracam się na ziemię.

I już jestem z powrotem w mojej celi, w tym samym więzieniu co przedtem. Ledwo trzymam się na nogach, więc nie ruszam się z siennika, gdzie leżę na brzuchu. Przed chwilą wrzucili mnie tutaj i zostawili samego jak palec. Poranione plecy i pośladki bolą tak, jakby ktoś nieustannie zalewa! je wrzółkami. Mogę tylko mieć nadzieję, że ten ból stopniowo ucichnie. Na razie jedynym lekarstwem na niego jest gryzienie przetruszczonej poszwy siennika.

Od mojej chłosty na placu Kar minął już tydzień. Rany się goją, ale blizny na plecach zostaną mi na zawsze. Śpię mało, bo kiedy już uda mi się zasnąć, zaraz nawiedza mnie koszmar, w którym wracam na plac, do Abu Fajsala.

Wciąż nie mam pojęcia, co dalej mnie czeka, co ze mną zrobią i czy to wszystko w ogóle będzie miało jakiś koniec. Nawet Allah jakby tego nie wiedział. Moje modlitwy przechodzą bez echa. Mój los leży bez reszty w rękach tamtych ludzi.

Siedzę w tej celi sam. Mustafy już tutaj nie ma. Zabrali go w zeszły piątek, kiedy ja byłem na placu Kar. Tak więc ostatecznie nie dowiedziałem się, za co trafił do więzienia. Nie wiem, czy deportowali go do Nigerii, czy też zawieźli na plac. Opłakuję jego nieobecność. Opłakuję swoją miłość.

Nie przyjmuję dwóch posiłków dziennie, które mi tutaj dają. Jem i piję tylko raz na dobę, bo muszę mieć trochę siły, żeby myśleć o Fiore i czekać na to, co ze mną zrobią. A jedynym zajęciem, jakiemu się od-

dają w tej samotnej celi, jest rozpamiętywanie, wciąż na nowo, chwili, kiedy po raz ostatni wyznałem jej miłość.

W drzwiach staje policjant i każe mi wstać z siennika.

- Chodź tutaj - mówi, po czym sam podchodzi, górując nade mną. Poprawia swój czarny pas z bronią i splata dłonie na brzuchu. Podnoszę się z posłania.

Policjant wskazuje mi drzwi, a następnie, cofnąwszy się o krok, chwyta mnie za ramię i wypycha na korytarz.

Nagle uświadamiam sobie, że dziś jest piątek. Łapią mnie dreszcze. Mój opiekun prowadzi mnie zygzakiem pomiędzy innymi policjantami stojącymi tu i tam na korytarzu. Idę za nim, zupełnie jakbym go śledził.

Wchodzimy do gabinetu, gdzie stoją trzy biurka, a na każdym z nich piętrzy się stosik papierów i aktówek. Policjant wskazuje mi drewniane krzesło i każe usiąść, po czym obchodzi biurko dookoła i podsuwa aparat telefoniczny.

- Odbierz - mówi - ktoś chce z tobą rozmawiać. Wstaje ze swojego krzesła i wychodzi z pokoju.

Podnoszę słuchawkę i przez chwilę tylko gapię się na nią bez słowa, nie mogąc zrozumieć, o co chodzi. -Halo?

W słuchawce rozlega się znajomy głos. To Hilal.

- Hilal, jak się cieszę, że cię słyszę. Co...?

- Naser, posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie uważnie, przyjacielu. Mogę rozmawiać tylko przez kilka minut. Nie masz pojęcia, co przeżyłem, widząc, jak wybiegasz takim pędem z tamtej restauracji. Od razu wiedziałem, że twój plan się nie powiodł.

- Zabrali mnie na plac Kar. Dostałem chłostę, ale już myślałem, że mnie zabiją. Co teraz ze mną będzie?

- W imię Allaha Miłościwego, posłuchaj mnie. Miałeś wyrok śmierci, ale mój kafil załatwił, żeby zamieniono ci go na chłostę.

Trę oczy jak oszalały, raz po raz dziękując na przemian Hilalowi i jego kafilowi.

- Już dobrze, Naser - mówi mój przyjaciel. - Nie ma za co.

- Jak ja ci się odwdzięczę?

- Wystarczy, że będziesz silny. Przykro mi, że nie udało ci się z Fiore
- zawiesza na chwilę głos, aby to mogło do mnie dotrzeć - ale będziesz miał dość czasu na żale. Posłuchaj mnie teraz, dobrze? Deportują cię do Sudanu, a konkretnie do Port Sudan. Policja religijna zrobiła ci nalot na mieszkanie, ale ja byłem tam przed nimi i sprzątnąłem wszystkie listy i portret twojej matki. Są teraz u mnie w domu. Dzięki niech będą Panu, że ani razu nie użyliście jej prawdziwego imienia.

- Dlaczego oni to robią? Hilalu, powiedz mi, dlaczego? Bardzo tęsknię za Fiore. Co u niej, powiedz mi?

- Naser, bądź silny. Wiele ryzykowałeś, prosząc o pomoc Dżasima. Wiem, że nie miałeś innego wyjścia, ale teraz, kiedy zostałeś aresztowany, odeślą cię i nie ma na to rady. To nie jest pora, żeby rozczulać się nad sobą. Moja żona mieszka już ze mną w Dżiddzie. Poprosiłem ją, żeby rozejrzała się za Fiore na ulicy An-Nuzla. Wiedziała ode mnie, że ma szukać różowych butów. Poinformowała swoją ukochaną, co się z tobą stało.

- To znaczy, że jej różowe buty wciąż rozjaśniają chodniki An--Nuzli?

- Fiore powiedziała mojej żonie, że nie będzie już ich nosić, bo przestały być potrzebne.

Zginam się wpół, wbijając dłonie w brzuch, aby powstrzymać nagły ból.

Pytam Hilala o swój pamiętnik, który nagle mi się przypomniał.

- Owszem, znalazłem go. Na moją prośbę żona przekazała go Fiore razem z listami.

Ogarnia mnie rozpacz; zwieszam nisko głowę, zażenowany na myśl o sekretach mojej przeszłości, opisanych w pamiętniku, który trafił w ręce Fiore. Lecz Hilal nie zważa na moje rozterki.

- Teraz uważaj - mówi. - W Port Sudan będzie na ciebie czekał mój brat. Zabierze cię do naszego domu. To będzie odtąd twój zwrotny adres dla Fiore. Listy do niej będziesz pisać na mój adres, moja żona je przekaże. Pamiętaj, proszę, że spędziłem w Dżiddzie wiele lat, rozdzielony z żoną. Łączyły nas tylko listy. Ale czasami kochankom nie potrzeba nic więcej. Mur, który oddziela cię od Fiore, runie w odmęty Morza Czerwonego. Zburzą go wasze słowa, bo żadna, największa nawet przeszkoda nie położy tamy uczuciom dwojga zakochanych. A gdy

będziesz chciał porozmawiać z Fiore, idź na plażę w Port Sudan. Fale Morza Czerwonego zanoszą jej wszystko, co chcesz powiedzieć. Naser? Naser? Słuchasz mnie?

- Tak. Słucham.

- To, co za chwilę dostaniesz od policjanta, musisz bardzo dobrze ukryć. Nikt w żadnym wypadku nie może ci tego zabrać. Niech Allah będzie z tobą, przyjacielu. Już niedługo zobaczymy się w Port Sudan.

Hilal kończy rozmowę, a słuchawka wyslizguje mi się z palców, lądując na blacie biurka. Moja głowa opada jej śladem, a dłonie z całej siły ściskają żołądek.

Do gabinetu wchodzi policjant i zamyka za sobą drzwi. Wsuwa rękę do kieszeni, wydając złożoną na pół kopertę.

- Masz. - Wyciąga do mnie dłoń.

Patrzę na niego, osłupiały, a potem wyrywam mu kopertę z palców. Wiem, że to list od Fiore. Poznałem zapach perfum. Policjant stuka mnie w ramię.

- Schowaj to, szybko - mówi. - Musimy się spieszyć.

Wsuwam kopertę głęboko do kieszeni koszuli, tuż przy samym sercu, a on łapie mnie za rękę i wyprowadza z gabinetu.

Kiedy docieramy do długiego korytarza, dołączają do nas trzej inni funkcjonariusze, w spodniach khaki i zielonych koszulach. Potem otwiera się brama więzienia, a słońce wita mnie swym dotkliwym żarem. Nie mogę otworzyć oczu, porażonych jego białymi promieniami. Za bramą czeka policyjna furgonetka. Wpychają mnie do środka.

Myślę o liście, klejącym się przez koszulę do mojej spoconej skóry. Bardzo, bardzo chcę rozerwać kopertę i przeczytać go na miejscu.

Siedzę w furgonetce pędzącej szeroką, wysadzaną drzewami aleją. Wyglądam przez okno. Widzę, że wjechaliśmy na wiadukt, ale nie umiem dokładnie określić, gdzie jesteśmy, bo wóz mknie tak szybko, że mijane budynki rozmazują się w pędzie; połyka je zawrotna prędkość.

Wiem jednak, dokąd jadę. Opieram głowę o zagłówek i nie odrywając oczu od okna, myślę o Fiore.

Furgonetka przejeżdża przez most. Niebo nad wybrzeżem przecinają dłuższyje dźwigi.

Samochód napęła się powietrzem przesyconym zapachem morza. Mam ochotę zrobić to samo, co dziesięć lat temu, po przyjeździe do Dżiddy, gdy miałem jeszcze tyle przepięknych marzeń: wystawić głowę przez okno i odetchnąć morską bryzą. Ale nie robię tego. Zamykam oczy, ściskam kolana mocno razem i zwieszam głowę na piersi.

A więc to jest port, o którym tyle słyszałem? Jak to możliwe, że nie odczuwam najlżejszego drżenia łydek? Biorę głęboki wdech. Powietrze pachnie mułem. Chcę się rozejrzeć, ale jakiś policjant ciągnie mnie szybko do gabinetu, gdzie za biurkiem zarzuconym papierami i paszportami, na skórzanym fotelu zasiada oficer z piersią pełną odznaczeń.

- Zabrać go do terminalu siódmego - mówi.

I tak wracam do furgonetki. Mijamy stacje przeładunku zwierząt hodowlanych i terminale kontenerowe, aż wreszcie dojeżdżamy do terminali pasażerskich. Wóz hamuje. Kiedy z niego wysiadam, rzuca mi się

w oczy duży statek pasażerski. Zaledwie kilkanaście metrów dalej kotwiczny prom pod egipską banderą. Ładują na niego samochody, a na pokład całymi setkami wchodzą pasażerowie.

- Bądź przeklęty, *insza Allah* - syczy mi do ucha jeden z celników. Dopiero wtedy dociera do mnie, że z całej siły zapieram się nogami o ziemię. Ciągną mnie za kołnierz i wpychają do długiej kolejki czekających na wejście na tamten duży statek z dwoma pokładami. Ląduję za jakimś facetem w szarym garniturze.

Po prawej stronie, równoległe do naszej, ciągnie się druga kolejka - dla kobiet. Przebiegam ją wzrokiem w dzikiej nadziei, że wydarzy się cud, ale nie: Fiore nie ma wśród nich. Nie wszystkie kobiety mają zasłonięte twarze. Większość po prostu zwiesza nisko głowy, kilka przygląda się Izom, kapiącym do stóp. W powietrzu krzyżują się krzyki dzieci, ale mężczyźni milczą, spoglądają tylko na morze.

Wszyscy zostaliśmy skazani na deportację.

Moja kolejka rusza. Wciąż nie mogę jeszcze normalnie chodzić; ślady po chłóście na plecach, ramionach i nogach płoną żywym ogniem. Statek kołysze się, pręży mięśnie, jakby rzucał nam wyzwanie: no, dalej, spróbujcie na mnie wejść i ruszyć ze mną w drogę.

Obie kolejki, kobiety i mężczyźni, bez ustanku wzywają Allaha; również saudyjscy urzędnicy co chwilę wykrzykują jedno z Jego dziećdziesięciu dziewięciu imion, w każdym zdaniu, nawet wtedy, gdy kogoś przeklinają albo biją.

- Szybciej - mamrocę pod nosem. - No, już.

Chcę wejść na górny pokład, żeby mieć widok na nadbrzeże. Hilal obiecał mi, że przyjdzie pomachać na pożegnanie.

Otwierają się bramki i zaczynają nas okrętować. Wszędzie pełno straży, która śledzi każdy nasz ruch, ale pomiędzy pokładami możemy przemieszczać się swobodnie. Wchodzę na ten drugi, wyższy; stamtąd lepiej widać. Spoglądam na Dżiddę. Oblubienica Morza Czerwonego wydaje się tańczyć jakiś niespieszny taniec, rozkołysana łagodnie w rytm wahań poruszanego falami statku. Ktoś krzyczy:

- Panowie i panie, posłuchajcie!

Odwracam głowę. Na jedną z ławek wszedł jakiś mężczyzna w su-dańskim turbanie. Nasze spojrzenia krzyżują się, a on błyska zębami w uśmiechu i ciągnie dalej:

- Drodzy moi, nie dajmy im satysfakcji. Jesteśmy dumnym ludem o dumnej historii.

W grupie kilka osób intonuje pieśni o ziemi rodzinnej. Odwracam się z powrotem w stronę nadbrzeża.

Silnik statku ożywa z donośnym rykiem, a ja, wychylony za poręcz, wypatruję oczy, zmagając się z łzami. Statek trwa w bezruchu. Nakrywam dłonią kieszeń koszuli, przyciskając do piersi schowany tam list. Chciałbym go przeczytać, teraz, natychmiast, ale boję się tego, co w nim znajdę. Postanawiam poczekać jeszcze trochę, aż będziemy daleko od brzegu.

Spoglądam na morze, ku horyzontowi. Fale ni stąd, ni zowąd cichną, ogarnięte osobliwym spokojem. Woda zaczyna wyglądać jak gładki niebieski dywan, bez jednej zmarszczki. Na chwilę przed tym, jak statek ruszy w drogę, nad naszymi głowami przelatuje gromada czarnych ptaków.

Na kilka sekund zawisają nad keją, trzepocząc szaleńczo skrzydłami, jakby się wahały: lądować czy nie? Potem jednak rozdzielają się niczym poły kurtyny: jedna część stada pierzcha w prawo, druga w lewo. Pomiędzy tymi dwoma pierzastymi obłokami dostrzegam grupkę kobiet stojących na nadbrzeżu, a wśród nich - parę różowych butów.

- *Habibati*. Fiore.

Jej abaja trzepocze niczym ptasie skrzydła. Uniósłszy ręce, aby zebrać fałdy tkaniny i uciszyć ten łopot, moja ukochana przypomina czarnego flaminga zrywającego się do lotu.

- Kocham cię, *habibati* - szepczę.

Różowe buty odcinają się wyraźnie na tle nadbrzeża, wyłożonego białymi kamieniami. Fiore przyklęka: głowa pochyla się pierwsza, po niej ramiona, a następnie smukły, zgrabny tułów zgina się w pół. Ptaki, powróciwszy nad keję, krzyczą dookoła niej. Fiore zdejmuje swoje różowe buty i prostując plecy, staje nieruchomo, opierając się ' podmuchom wiatru. Unosi buty na wysokość piersi, tuląc je mocno do siebie. Statek daje znak syreną i rusza w drogę. A Fiore pochyla się i ciska buty do morza.

Grupka Sudańczyków wciąż śpiewa, ale ja płaczę, cicho, jak najciszej. Zawołałem Fiore tylko raz, szeptem, ale Morze Czerwone, karbowane szpalerami drobnych fal, powtórzyło jej imię tysięcznym echem.

- Fiore - macham dłonią. - Dostałem twój list. Spójrz... - Wyciągam kopertę z kieszeni i unoszę ją w powietrzu. - Nigdy nie przestanę cię kochać.

Widzę jeszcze, jak dłonią w rękawiczce przesyła mi pocałunek, a potem odwraca się plecami do morza.

Odchodzi od brzegu kei, dołączając do szeregów kobiet żegnających tych, którzy dziś odpływają; tylko jej abaja, łopocząc na wietrze, przekazuje mi słowa smutnego pożegnania. W miarę jak statek oddala się od nadbrzeża, moja Fiore niknie mi z oczu, zlewa się z tłumem. Wciąż jednak widzę dobrze jej buty na tle błękitnej wody. One także opuszczają dziś Dżiddę, rozkołysane miasto, tańcząc na falach Morza Czerwonego niczym dwie różowe iskry. Przyptyw porywa je w górę, wyżej, coraz wyżej, a potem, załamując się, grzebie głęboko pod powierzchnią. Dżidda powraca do czerni i bieli - swoich odwiecznych kolorów.

Habibi,

Tę chwilę wyobrażałam sobie setki razy. Jeszcze na długo zanim wyznałam Ci miłość, kiedy dopiero zaczęłam marzyć o tym, że kiedyś się zakocham, często zastanawiałam się, co by było, gdyby rozdzielono mnie z ukochanym.

Czasami, w chwilach słabości, żałuję, że zakłóciłam Twój odpoczynek w cieniu palmy. Zanim wreszcie do Ciebie podeszłam po raz pierwszy, wiele razy w ostatniej chwili zmieniałam zdanie. Mijałam drzewo, pod którym spoczywałeś jak opadłe jabłko, a serce, podrażnione iskrą miłości, nakazywało mi zbliżyć się, lecz ja go nie słuchałam.

Przez wiele miesięcy wczytywałam się w rysy Twojej twarzy. Robiłam to za każdym razem, gdy tylko miałam okazję Cię zobaczyć i kiedy ostatecznie udało mi się przemóc swoją ostrożność, byłam już przekonana, że na moją miłość Ty odpowiesz równą jej solidarnością. Pocieszam się teraz myślą, że miałam wtedy rację. Postąpiłam słusznie, okazując Ci miłość bez oglądania się na jej następstwa. Żadna dziewczyna na świecie nie miała takiego szczęścia jak ja.

Habibi, Hilal powiedział mi, że ten list przekaże Ci strażnik z Twojej obstawy. Nie wiem, gdzie będziesz, czytając moje słowa: w swojej celi czy na środku Morza Czerwonego, ale z całą pewnością daleko ode mnie.

Kiedy wracam do swojego pustego pokoju, szukam wszędzie wspomnień po Tobie. Kładę się na łóżku i zamykam oczy, chwytając zapach

naszego kochania, który wciąż jeszcze trzyma się pościeli. Wtulam twarz w jedną z poduszek wyobrażając sobie, że na poszwie, obok wyszywanych jednorożców, widnieje także Twoja twarz, i karmiąc się nadzieją, że Twoje usta nagle pojawią się obok moich i złożą na nich pocałunek. A potem biorę drugą poduszkę, jakby to była Twoja dłoń, i kładę ją sobie na sercu, bo tam najbardziej boli.

Zamykam oczy, nasłuchując Twojego śmiechu i Twoich słów, które wciąż brzmią echem wśród ścian mojego pokoju. Potrafię cały dzień stać przed lustrem i marzyć o tym, żeby cofnął się czas. Czuję wtedy Ciebie, jak stoisz tuż za mną, przytulony piersią do moich pleców i sięgam za siebie, żeby przygarnąć Cię jeszcze bliżej. Słyszę, jak sączysz mi do ucha słowa, które zakochani potrafią powtarzać bez końca, nie znając znużenia, ale kiedy odwracam się, żeby odpowiedzieć, że też Cię kocham., okazuje się, że mój sen przysł.

I płaczę nad tą pustką. Krzyczę, żeby odpędzić samotność. Przychodzi wtedy do mnie mama i chce mnie przytulić, ale nie pozwalam jej na to, mówiąc, że moje ciało wciąż jest pełne tkliwej pamięci Twojego ostatniego dotyku. Próbuję odnaleźć ostatnie miejsce, gdzie stałeś, ostatnią przestrzeń, którą zajmowała Twoja postać. Wreszcie mama wychodzi, zabierając ze sobą swój smutek, a ja przysiadam na łóżku. Potem zapada noc, a gdy wstaje świt, powtarzam wszystko od samego początku. Czuję, jak oplatają mnie żelazne pręty, zatraskując moją duszę i serce w więzieniu, któremu na imię: przeszłość.

Kiedy ból staje się już nie do zniesienia, wychodzę z domu. Spaceruję ulicą An-Nuzla. To jest miejsce, gdzie kiedyś czułam się jak królowa, bo Ty patrzyłeś na moje buty jak na największy cud świata. Ale teraz, kiedy Ciebie nie ma, wszystko odeszło. Moje buty stały się zwyczajne, dla nikogo nic już nie znaczą.

Idę przed siebie, coraz dalej i dalej, moje różowe buty zostawiają za sobą kolejnych ślepych przechodniów, a potem autobus zabiera mnie nad Morze Czerwone.

Siedzę teraz na ławce śpiewaka-lutnisty i piszę ten list do Ciebie. Minął już miesiąc, odkąd zostałeś aresztowany.

Przyszłam tutaj, bo chciałam Ci powiedzieć, że podjęłam w końcu decyzję, przed którą tak długo się broniłam. Straciłam już nadzieję

na cud, który zbliżył mnie z powrotem do Ciebie, jak również na to, że ktoś nam pomoże połączyć się na nowo. Wiem od Hilala, że wywiozą Cię do Sudanu. Prosiłam swoje przyjaciółki o pożyczkę na zakup biletu i fałszywego paszportu, ale wszystkie mówiły to samo: nic nie mogę dla Ciebie zrobić, bo pieniądze w domu trzyma ojciec albo mąż. Próbowałam nawet rozejrzeć się za jakąś pracą, ale tutaj z kolei mój własny ojciec zatrzasnął mi drzwi przed samym nosem, oznajmiwszy, że żadna kobieta z jego domu pracować nie będzie. Zaczęłam już nawet tracić nadzieję, że kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy.

Ale wczoraj, habibi, wczoraj po południu, postanowiłam wreszcie, co zrobię. Siedziałam w tym samym miejscu, zwrócona plecami do Dżiddy, patrząc na morze, po którym i Ty tak często błądziłeś wzrokiem. Czulałam obok siebie ducha śpiewaka z lutnią oud - tyle razy mi o nim opowiadałeś, a teraz on zasiadł razem ze mną na tej ławce i w milczeniu przyglądał się falom. Zamknęłam oczy, bojąc się je otworzyć z powrotem na los, który mnie czeka.

Pod powiekami zamkniętymi szczelnie jak okiennice u mnie w pokoju, zobaczyłam życie, które stanie się moim udziałem, kiedy zostanę w An--Nuzli. Nabrałam pewności, że jeśli tam wrócę, umrę powolną śmiercią, zamknięta w czterech ścianach swojego pokoju, pogrzebana pod stosem norm i reguł dyktowanych przez mężczyzn - prawideł przytłaczających i miażdżących niczym kamienie, którymi mężczyźni w dawnych czasach zasypywali noworodki płci żeńskiej. Gdybym nawet wróciła i uległa ojcu, wychodząc za któregoś z jego znajomych, to co zrobiłby mąż swojej żonie, odkrywwszy, że nie był jej pierwszym?

Poczułam się osaczona: z jednej strony rozszalałe morze, z drugiej mężczyźni z An-Nuzli. Co wybrać? Po obu stronach czekała mnie śmierć.

Wciąż zaciskając z całej siły powieki, zstąpiłam jeszcze głębiej w pustkę swojego życia.

A gdy wreszcie otworzyłam oczy, przede mną było morze rozfalowane przyplływem.

Zapragnęłam zedrzeć z twarzy kwefi rzucić się pędem przed siebie, prosto w wodę, pomiędzy te hipnotyzujące fale. Byłabym wśród nich niczym dokazujące dziecko, które naiwnie wymachuje rączkami, krzyczy, wola i cieszy się krótką chwilą wolności, nietrwałym pięknem życia; koniec nastąpiłby wraz z dotarciem na głębinę.

Ale nie wstałam nawet z ławki. Moje stopy byty jak z ołowiu, a różowe buty zapuściły chyba korzenie głęboko w piasek.

Przypomniała mi się wtedy przysięga, którą złożyłam Ci w dniu, kiedy po raz ostatni gościłeś w moim pokoju.

I miałam ochotę wyć wniebogłosey, dołączyć do ryku fał. Milczałam jednak i tylko moja dłoń odnalazła torbę leżącą obok, na ławce. W tej torbie był Twój pamiętnik Twoje wspomnienia. Położyłam ją sobie na kolanach i pochyliwszy się nad nią, wybuchnęłam płaczem.

Kiedy Hilalprzekazał mi ten pamiętnik, obiecałam sobie, że nie będę do niego zaglądać, ale wczoraj musiałam usłyszeć Twoje słowa, poczuć Twoją bliskość, aby móc odnaleźć wyjście z tej sytuacji.

Strona za stroną poznawałam życie, które wiodłeś w Dżiddzie, od chwili przyjazdu aż po dzień, gdy skończyłeś już piętnaście lat, a wuj wysłał Cię do waszego kafila. Widziałam, co było dalej, kiedy pracowałeś w restauracji Dżasima. Z każdej kartki wyzierał bezmiar bólu i cierpienia, wszędzie znać było Twój nieustający wysiłek, aby wyrwać się na swobodę. A gdy skończyłam czytać, pochyliłam głowę, w której kołatała się jedna tylko myśl, jedno zbolale pragnienie: przytulić Cię mocno i powiedzieć Ci, jak wiele dla mnie znacysz.

Gdy już poznałam Twoje wspomnienia, pospieszyłam do domu Hilala, nie tracąc ani chwili. Być z Tobą - to było moje jedyne marzenie. Miałam plan i błagałam Twojego przyjaciela, aby pomógł mi go zrealizować. Zgodził się, choć bardzo niechętnie i dopiero wtedy, gdy mu powiedziałam, że pragnę tylko, abyśmy mieli choćby szansę na życie razem. Złożyłam mu propozycję, którą on z kolei przekazał Dżasimowi. Dżasim, jak sam mówiłeś, zna kogoś, kto może zdobyć dla mnie paszport i załatwić, żeby celnicy odprawili mnie bez zadawania pytań.

Habibi, kiedy tak szykuję się do tego, co muszę zrobić, aby wygrać życie, które słusznie mi się należy, nie znajduję w sobie najmniejszego żalu. Nie chcę zaprzętać sobie głowy tym, co przyniesie przyszłość. Zamiast tego wybiegam myślami do dnia, kiedy znów Cię zobaczę, i powtarzam w pamięci przysięgę, którą Ci złożyłam w tamten piątek, gdy po raz ostatni byliśmy razem. Pamiętasz to popołudnie, habibi? Mój pokój tonął w ciemności, paliła się tylko jedna świeca. Staliśmy nadzy

*naprzeciwko siebie. Pół Twojej twarzy skrywał mrok, druga połowa
lśniła w blasku świecy.*

- Fiore? - szepnąłeś.

Nie odpowiedziałam.

- Fiore?

*Wzięłam wtedy świecę ze stołu i chwyciłam ją obiema dłońmi, w mil-
czeniu badając Twoją twarz, która zawisała tuż przed moją, nad samym
płomieniem. Ogień zabarwił Twoje usta surową żółcią. Na dolną
wargę wystąpiły Ci krople potu, spływając powoli niczym łzy.
Przeglądaliśmy się w sobie jak w lustrze, odbijając jeden smutek, jedną
miłość, jeden ból i tęsknotę.*

*A kiedy świeca upadła nam do stóp, gdy ciemność zalala cały pokój,
gdy Twoje usta opadły na moje niczym wieko zatrzaśniętej skrzyni,
zapragnęłam Ci powiedzieć, zanim wyjdiesz, że niczego nie żałuję, bo
życie jest bezcenne, bo jestem za młoda, aby umrzeć, bo nigdy nie
pozwolę pogrzebać się żywcem, dopóki tylko moje serce pełne jest
bezbrzeżnej miłości do Ciebie, dopóki nie oslepną moje oczy, które
uwielbiają sycić się Twoim widokiem, ale mimo to mają jeszcze tak
wiele do zobaczenia. „Habibi”; tak chciałam zacząć, lecz w tym samym
momencie przygryzłeś mi wargę, moje serce pognało na oślep,
porwane rytmem Twojego oddechu, a język zamarł mi w ustach, za-
hipnotyzowany dotykiem Twojego języka. „Naser? Habibi?”. Miałam
Ci tyle do powiedzenia, ale moje słowa rozpierzchły się we wszystkie
strony, zupełnie tak samo jak Twoje palce, biegające po mojej skórze.
A potem zaczęliśmy wirować, jedno wokół drugiego, jak w świętym
tańcu, razem, złączeni od stóp aż po czoła, przewracając wszystko, co
znalazło się na naszej drodze, aż wreszcie, natrafiwszy na łóżko,
stanęliśmy w miejscu. Chciałam krzyknąć: „Naser, posłuchaj mnie!”,
ale Ty wsunąłeś prawą dłoń pod moje lewe udo, lewą pod prawe i po-
derwałeś mnie z podłogi, tak wysoko, że prawie dosięgłam gwiazd, a
potem zakołysałeś się i runęliśmy na łóżko niczym dwa ptaki spadające
z nieba. Zakryłam Ci twarz włosami, moje piersi zaległy całym
ciężarem na Twojej piersi, a wsuwając się pomiędzy Twoje uda,
wyszeptałam Ci do ucha swoją przysięgę:*

*„Habibi, jeśli Dżasim Cię zdradzi i zostanę tutaj sama - nie poddam
się. Nie pozwolę, aby ślepy imam w przyszłości zrobił sobie ze mnie
kolejną*

przypowiastkę do straszenia kochanków. Nie zamierzam dbać o honor swojego ojca, ponieważ moje życie należy do mnie. Nie. Umiałam sprowadzić Cię tutaj, do swojego pokoju i tak samo przeprowię się przez Morze Czerwone. Cokolwiek będzie się działo, nie umrę. Jeśli zajdzie potrzeba, nie cofnę się przed niczym, bo nie zaznałam jeszcze życia, bo pożądam go z całej siły. A wiem, że życie jest piękne".

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec trojga wyjątkowych ludzi: *habibati* Lies dziękuję za towarzysztwo, wielkie wsparcie i za to, że była pierwszą czytelniczką. Sadeeai Kevinowi Conroyowi Scottowi, mojemu agentowi, dziękuję za to, że we mnie wierzył, doradzał mi i wciąż tryskał entuzjazmem. Sadeeati Clarze Farmer jestem wdzięczny za doskonałą redakcję i szczodre wsparcie.

Dziękuję również Juliet Brooke i Susannie Porter (wydawcy z Ameryki) za wielki wkład pracy, wszystkim z Chatto&Windus za ich błyskotliwość, czterem paniom z A.P. Watt za świetne komentarze.

Davidowi Gothardowi, Binyavandze Wainainie i Kadiji George za to, że wierzyli w moje dzieło od samego początku.

Pamiętam też o swoim bracie, Salehu. Podróż jakoś się toczy.

Wreszcie, dziękuję tajemniczym dziewczynom z Dżiddy, których sekretne liściki sprawiają, że miłość jest możliwa.

Dziękuję wam wszystkim.